WYBÓR POEZYJ KONDRATOWICZA.


W. Syrokomla

WYBÓR POEZYJ

LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

WYDANIE NOWE

NA RZECZ WDOWY I SIEROT AUTORA.

TOM I.

WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

1890.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Іюня 1889 г.

Warszawa. — Druk St. Niemiery, Plac Warecki Nr 4.

PRZEDMOWA

do niniejszego wydania.

Przed ośmnastu laty, za współdziałaniem św. p. Józefa Ungra, pp. Gebethnera i Wolffa, p. M. Orgelbranda, oraz chętném przyczynieniem się prenumeratorów, wyszło w granicach możności najkompletniejsze wydanie dzieł poetyckich Ludwika Kondratowicza (Władysława Syrokomli). Przyjaciele zgasłego poety, oraz wielbiciele jego talentu szeroko rozproszeni po przestworzu, nietylko przynosili daninę pieniężną, lecz i wszelkie przedtém niedrukowane utwory, których część bardzo znaczna, przedtém nieznana, weszła do owego wydania. Starano się też wylegitymować każdy utwór z jego pochodzenia, a w miarę możności i z pobudek, które dały autorowi pochop do pisania. Do wydania owego wypadnie udawać się każdemu, kto działalność poetycką pisarza zechce ogarnąć albo zbadać w całości.

Obecne wydanie *Poezyj* Kondratowicza ma inne założenie: jest tylko *wyborem* z poprzedniego całkowitego zbioru. Nie ukrywamy przed sobą, że dokonanie tego wyboru było dla nas rzeczą nadzwyczaj

trudną, trudniejszą niż dla kogokolwiek innego. Nie zawsze można trafnie mierzyć własnemi pojęciami społecznemi i estetycznemi zasadami pojęcia i upodobania ogółu; tutaj zaś wypadło jeszcze robić ów wybór ludziom, którzy, od młodu związani z autorem i jego pracami serdeczną i dozgonną życzliwością, nawykli czcić puściznę po nim jako relikwie. Konieczność jednak nie pozwalała postąpić inaczéj. Wydanie obecne ukazuje się staraniem i kosztem wdowy po poecie i ich synów: należało się więc zastosować do skromnych środków, jakiemi na ten cel rozporządzić było można, nie odwołując się przedwcześnie do poparcia czytelników.

Dziś, kiedy znaczną część druku już mamy dokonaną, a resztę przed końcem roku bieżącego doprowadzimy do kresu i całość *Wyboru poezyj* Kondratowicza przed Nowym Rokiem złożymy czytelnikom,— możemy już patrzeć z ufnością na powodzenie urzeczywistnionéj myśli tych, którzy byli najbliższymi jego sercu, o których przyszłość troska zachmurzała jego ostatnie godziny, i których spokój zabezpieczył na téj jedynéj spuściźnie literackiéj. Publiczność polska, która ceniła dzieła Kondratowicza za jego życia i cenić nie przestaje po zgonie, spełni tę naszą ufność da Bóg w zupełnéj mierze.

Adam Pług.

Wincenty Korotyński.

Czerwiec, 1890 r.

PRZEDMOWA

z roku 1872.

Niepewna poświata odradzającego się piśmiennictwa polskiego zaledwo poczynała przebłyskiwać, gdy Ludwik Kondratowicz, za przykładem swojego wiejskiego towarzysza skowronka, zaczął podlatywać po nad uśpioną dokoła niwą zawodu poetyckiego. Ruch, który wydał Malczewskiego, Brodzińskiego, Mickiewicza, Odyńca, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Krasińskiego, Słowackiego, albo się nagle był przerwał, albo przynajmniéj przerzucił się na odleglejsze pole działania. Wielka pomroka i cisza przez lat dziesięć panowała w kraju nad przestworami piśmiennictwa, przerywana zaledwo nieśmiałém ukazywaniem się jakiegoś ubogiego noworocznika lub tłómaczenia awanturniczéj powieści francuzkiéj. Czasopism prawdziwie literackich, któreby dzielnym przykładem i zachętą przyczyniały się do otrząśnięcia umysłów z osłupienia, po upadku *Pamiętnika Warszawskiego* i *Dziennika Wileńskiego*, zgoła w pobliżu nie było. Kilka dzienników politycznych zaledwo wlokło żywot rozpaczliwy, nic wspólnego nie mając z literaturą; kilka innych nie politycznych, które kolejno powstawały i znikały, zapełniało się okruchami ze stołów zagranicznych. W takim to

stanie rzeczy, od r. 1836 do 1841, w nudnym folwarczku Marchaczewszczyźnie, nieopodal źródeł Niemna, młodziutki akolita kapłaństwa umysłowego, dzieląc czas między przymuszone pilnowanie robotnika a upragnione przestawanie z książkami, zaprawiał się na Krasickim i Euzebiuszu Słowackim do przyszłego wystąpienia na widownię publiczną. Nie miał ku temu ani głębszego ukształcenia szkolnego, bo ledwo pięć klas ukończył w Nieświeżu i Nowogródku, ani książek pożytecznych i obcowania z ludźmi oświeconymi, bo tego w ustroniu wiejskiém szukać było daremno. O własnych siłach, za przewodnictwem jedynie życzliwéj gwiazdy geniuszu, puszczał się w tajemnicze krainy niewiadomego.

Ta jednak samotność bezbarwnéj głuszy wiejskiéj, niewynagradzana umysłowi nawet wdziękami przyrodzenia, na krótko jedynie przerwana gwarliwszém życiem w Nieświeżu, gdzie Kondratowicz lat parę spędził, służąc w zarządzie dóbr Radziwiłłowskich, na dobre wyszła poecie. Jak wieśniak w ustawiczném zetknięciu z naturą nabywa niedostępnéj najuczeńszemu wprawy w odgadywaniu jéj tajemniczych porywów, jak anachoreta na pustyni wnika w niedocieczone roztargnionemu światu skrytości uczucia i myśli, tak młody Kondratowicz w ciszy Marchaczewszczyzny, a następnie wdzięczniejszego od niéj nadniemeńskiego Załucza, mógł długo i głęboko zapuszczać wzrok w najbliższe swoje otoczenie, mógł bacznie śledzić każdy ruch na obliczu natury i człowieka, każdy dźwięk śpiewu ptaszęcia i dziewoi, każde słowo cegiełki walącéj się ze starego zamczyska

w Mirze, każdą skargę ubogiego sąsiada, równie jak on pracującego na cudzym zagonie. Kiedy powiada w *Kęsie Chleba*, że łąki nadniemeńskie mógłby rozpoznać po aromacie, a ptaszyny tameczne po śpiewie, nie należy tego wcale do poetyckiej zaliczać przesady. Z tak ścisłego zespolenia ze skromnym światem otaczającym powstał niewyczerpany przez ciąg całego życia poety zasób uczuć i miłości, które przemożniéj nawet, niżeli nadobna forma poetycka, zaraz po pierwszém niemal wystąpieniu zjednały mu sławę i zwolenników. Był to na pozór świat pospolity, każdemu dobrze znajomy, szary światek „w kapocie i siermiędze;“ ale dla tego samego, że przez poetę w najsubtelniejszych szczegółach poznany, zdumiewać musiał po odtworzeniu niesłychaną prawdą rysunku i ciepłém serdeczném. Sprawdziło się na Kondratowiczu, o czém doświadczenie codzienne przekonywa, że nie rozstrzelona znajomość wszystkiego pod słońcem, ale głębokie znurtowanie i pokochanie choćby tylko szczupłego zakresu, obdarowuje ludzi twórczością artystyczną i naukową.

Uderzająca prawda w malowaniu przedmiotu, unikanie przesady w zarysach, kolorycie i oświetleniu, jest bezwątpienia jednym z najcelniejszych przymiotów pism Kondratowicza. Wszystkie jego postaci, pomimo rozlanego na nich uroku sztuki, wydają nam się najlepszymi znajomymi; „swojskość“ na wszystkich jego dziełach pieczęć niezatartą wyciska. Szkoła romantyczna przed r. 1830 brała niejednokrotnie lud wiejski za przedmiot poezyi; ale nikomu, nie wyjmując nawet najbar-

dziéj w serce ludu zapatrzonego autora *Wiesława*, nie udało się tak go wiernie odmalować, jak widzimy w najpierwszych już drukowanych utworach Kondratowicza, w *Pocztylionie* i *Chodyce*, jak daléj w *Pogrzebie rolnika* i *Liirniku wioskowym*, w *Garści pszennéj* i *Niepiśmiennym*. Autor *Lirenki*, który w pieśni z wątku żywota ludu pierwszeństwo niezaprzeczone wywalczył w naszéj literaturze, późniéj dopiero ukazał się na widowni. W obrazowaniu szlachty zaściankowej miał Kondratowicz poprzednika w autorze *Pana Tadeusza*, gdzie magicznem skinieniem wyprowadzono cały rój niezrównanych postaci szaraczkowych, oraz w autorze pierwszego opowiadania *Przygód Winnickiego*, gdzie jedną chwilę służebnego życia szlachty na strawie magnackiéj pochwycono. Wszakże pierwszy z tych poprzedników Kondratowicza spoglądał na zaścianek jedynie w chwili niezwykłéj; drugi okiem artysty patrzał na formy życia szlacheckiego zewnętrzne. Co się działo w głowie i w sercu ubogiego szlachcica, gdy w pośród nocnéj ciszy tkliwie wpatrywał się w *Trzy gwiazdki* swoich synów, gdy z panem bratem dziarsko szedł na szabelki w *Dyfferencyi*, gdy rzewnie dumał nad sierocém rumowiskiem swojego *Zaścianku Podkowa*, gdy rubasznym przykładem oduczał syna od szukania pożytku w *Kradzioném* lub służalcowi kasztelańskiemu hardo rzucał *Tręzlowe*, to dopiero Kondratowicz mistrzowskim pędzlem odwzorował. Ten żywot niepozorny, a rzeczywiście wysoce pożądany dla artysty, znalazł późniéj malarzy w literaturze po-

wieściowéj, ale w poezyi nikt pod tym względem nie dorównał Kondratowiczowi.

Wszakże nie sama wierność obrazowania zjednała od razu poecie serca czytelników i uwięziła je przy nim. Po roku 1840, ze zjawieniem się *Bibioteki Warszawskiéj* nad Wisłą, *Athenaeum* nad Wilią, z otwarciem podwojów dla literatury w *Tygodniku Petersburskim*, ruch w piśmiennictwie polskiém coraz się bardziéj ożywiał. Rzucano się na badania historyczne, na zbieranie pieśni i podań ludu, na obrazowanie społeczeństwa po francuzku, na filozofowanie po niemiecku. Jedna tylko a najważniejsza strona nieprawidłowych stosunków społecznych nie była poruszana w literaturze krajowéj. Zdawało się, że całkiem zapomniano, co się mówiło i pisało przed laty, że nic lepszego w tym względzie nie widziano i widzieć nie chciano, że samolubstwo sprowadziło bielmo na oczy i siatkę Davego na ożywcze płomienie serca. Głos Kondratowicza, ubogiego dzierżawcy z nad Niemna, głos Padalicy, równie ubogiego pisarczyka przy marszałku szlachty z nad Dniepru, przekonał, że było inaczej. Pomimo całego zastępu wysoce utalentowanych i głośnych u świata zachowawców, okrutne prawdy, bez ogródki, ale ze szczerą miłością dla wszystkich, rzucane przez Kondratowicza w *Chodyce*, w *Dęborogu*, w *Podkowie*, w *Lalce*, w *Skarbcu zaklętym*, w *Spowiedzi Korsaka*, nie tylko nie odwróciły od niego serca, lecz i owszem napełniły dla niego uwielbieniem. Sprawa moralnie była wygrana, i przeciwnicy też niedługo zamilkli. Było to wielkie święto tryumfu miłości ludu!

Z postępem czasu rozszerzał się widnokrąg umysłu i pracy Kondratowicza. Zgłębianie zabytków twórczości ze złotéj epoki zygmuntowskiéj nastręczyło poecie myśl nieoszacowaną przełożenia na język macierzysty *Poetów polsko-łacińskich*. Studya nad nimi zaprowadziły z kolei do badania rozwoju historycznego epoki, nie tylko pod względem objawów życia literackiego, lecz i całéj działalności umysłowéj narodu; a ponieważ łańcuch przyczyn i skutków wymagał sięgnięcia głębiéj w przeszłość i posunięcia się daléj za skutkami, więc z nienagła gromadził się materyał do *Dziejów Literatury*. Te znowu, jako związane ścisłym sojuszem z żywotem czynnym przeszłości, przywiodły do przekładania z łaciny starych *Dziejopisów krajowych* i do badań samodzielnych nad dziejami *Nieświeża, Mińska* i t. p. Wielorakie obcowanie z przeszłością nie mogło nie zachęcać wrażliwego umysłu poety do „odtwarzania w pieśni, co zaginęło w rzeczywistości.“ Tak po kilkunastu latach od chwili, kiedy nieudolne jeszcze wierszyki snował z tematów wałęsających się po wypisach szkolnych, rozpiął poeta kanwę do pierwszego poematu historycznego: *Kanonik Przemyski*, za którym poszły inne. Nareszcie opuszczenie cichego ustronia nadniemeńskiego i przeniesienie się w wir gwarliwszego ruchu do Wilna i podmiejskiéj Borejkowszczyzny, skłoniło Kondratowicza do malowania swoich pomysłów w gorętszych rzutach dramatycznych. Pierwszym utworem tego rodzaju było dotąd niedrukowane libretto dla Moniuszki, z tematu obrony zamku Pullen przez Margiera, pisane w roku 1853 zaraz

po zamieszkaniu w Wilnie. Następnie coraz częściej wieszcz do formy dramatycznéj powracał, a przed zgonem wciąż nowe dramata rozpoczynał i rzucał.

Ta jednak logicznie wysuwająca się różnorodność pracy pisarskiéj, któréj we wszystkich szczegółach i odcieniach przebiegać na tém miejscu nie możemy, nie zmieniała ani na jotę kierunku i nastroju, obranego przez poetę w zaraniu zawodu literackiego. Przy nieprzebranéj rozmaitości pomysłów i wdzięku formy artystycznéj, przy coraz większéj pewności pióra i głębokości refleksyi, duch w jego dziełach zawsze jeden pozostawał:— duch cichéj, rzewnéj, niezgłębionéj miłości. W późniejszych utworach, gdy nadmiar powszednich udręczeń życia za brzegi wylewał, niekiedy się wyrywało z ust poety ledwo dostrzeżone szyderstwo lub otwarta skarga bolesna, a nawet wołanie o pokój mogiły: *Cupio dissolvi!* Nigdy atoli Kondratowicz nie splamił pióra występném bluźnierstwem, nigdy nie miotał pogardą na społeczeństwo, nigdy nie zwątpił o zacności natury ludzkiéj i ostatecznym tryumfie dobrego, nigdy nie poszedł w ślady spopielałego serca samolubów, którym się zdaje, iż tém wyżéj się wzniosą, im bardziéj wszystko poniżą. Skargom jego nieodstępnie towarzyszyło przebaczenie, a udręczeniom modlitwa o „mądrość boleści.”

Nie wdajemy się tutaj ani w szczegółowe ocenienie pojedyńczo wziętych utworów Kondratowicza, ani w ich bibliograficzne regestrowanie, ani w przebieg codziennego żywota ich autora. Nim przyjdzie do zważenia tak rozległéj i różno-

stronnéj działalności na czułych szalach rzetelnéj krytyki, potrzeba najprzód odpowiednio przygotować materyał,—i to we względzie literackim stanowi zadanie obecnego wydawnictwa (1872)... Zamiar takiego wydawnictwa, w miarę sił naszych godnego pamięci autora *Dęboroga* był powzięty przez ludzi szlachetnych zaraz po zgonie Kondratowicza w roku 1862. Kierunek literacki całkowitego wydania dzieł jego wierszem i prozą był powierzony osieroconym przez zgon poety jego czcicielom i zarazem kolegom w redakcyi *Kuryera Wileńskiego*, w téj liczbie i piszącemu obecne słowa; druku miał dokonać zakład wydawcy *Kuryera* A. H. Kirkora, na warunkach najkorzystniejszych dla szczupłych funduszów rodziny, zebranych z ofiar miłosierdzia. Okoliczności niezależne od naszéj chęci nie dopuściły spełnienia wówczas zamiaru, i przedsięwzięcie puściły w długą odwłokę. Teraz dopiero, zamiar długo noszony nareszcie przyszedł do skutku.

Po potrąceniu kosztów druku, całkowity dochód z rozprzedaży obecnego zbioru idzie na rzecz rodziny poety, z któréj polecenia wydawnictwo zarządzono. Publiczność polska, która, czerpiąc z dzieł Kondratowicza natchnienia zdrowych myśli, zacnych uczuć i nieskalanych obrazów piękna, zaciągnęła względem niego obowiązki wzajemności,—nie wątpimy, iż spłaci je sierotom poety.

Wincenty Korotyński.

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ I.

UTWORY EPICKIE.

POCZTYLION.

GAWĘDA GMINNA.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w téj wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli; —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie,
I powiedz, co ćiebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twéj nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół jak wprzódy.

—„O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Niemiło na świecie, niemiło!
Daj czarkę! przy czarce odważniéj mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody,
Lecz dusza dość miała swéj mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany; —
Dostałem złotówkę, — o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt, i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem jak z równym i kwita;
I konie mię znały — jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieźć pocztę! zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jéjmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka!

Lecz serce me jednéj oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wioseczce o milę;
Bywało, wracając, nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz w północnéj coś porze,
Natychmiast się budzę, przychodzę, —
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

— „Powieziesz sztafetę!“ — Oj, licho przywiodło!—
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem.

A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci i ciemno,
A przytém okrutne bezdroże.
Dwa słupy wiorstowe mignęły przedemną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichru poświstów, głos z płaczem zmieszany
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza: — Pomogę! ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtém jakby mi zda się
Ktoś szepnął: „A tobież co po tém?
„Ej lepiéj godzinkę zyskawszy na czasie,
„Odwiedzić swą dziewę z powrotem.“

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem.
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I daléj siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie — trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty:
Duch zamarł, a serce, szepcąc po kryjomu,
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń parsknął — zjeżyła się grzywa—
Na drodze, pod płachtą powiewną,
Pod warstwą zamieci — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białéj jéj szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica... — To była... Ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć nie mogę.“

1844 w kwietniu. Załucze.

BŁOGOSŁAWIONY SADOCH.

LEGENDA KRAJOWA (1260 R.)

I.

Nad Polską słońce poranne płynie —
Nie nad żyznemi pola rozłogi,
Bo same pustki, trupy, pożogi
W błogosławionéj Piastów krainie;
Bo plenne niwy, zamożne wioski,
Bogate miasta kwitnącéj Polski
Nawiedził srogi miecz kary bozkiéj,
Wróg chrześciaństwa, zbójca mongolski.
Kędy przeleci Tatarzyn dziki,
Szlak swój naznacza krwi polskiéj falą;
Co noc to szerzéj łuny się palą,
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki.
Już na popiołach zielsko zarasta,
Już kości trupów w polach bieleją,
A jeszcze nowe wioski i miasta
Kąpią się we krwi i popieleją.
Wróg swe zagony daléj zapuszcza,
Morduje, więzi, łupi, bezcześci;
A jak donoszą codzienne wieści,
To już w Lublinie pogańska tłuszcza.

Niepłonne wieści popłoch rozszerza —
Zwiastuny nieszczęść lecą przed wrogi,
I można szlachta, i kmieć ubogi
Tłumem się sparli do Sandomierza.
Bo w Sandomierzu pewniejsze wsparcie:
Zamek kamienny, wysokie wieże,
Gruby ostrokół warowni strzeże,
A zbrojny zastęp stoi na warcie.
Dzielnych łuczników skaliste łona
Zniosły miecz Niemca, Litwina topór:
Oni Tatarom postawią opór,
W nich cała ufność, cała obrona.

II.

Nad Sandomierzem poranek płynie —
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,
Że w całém mieście, w całéj krainie
Z żadnéj się piersi głos nie dobędzie.
Tak głucho w mieście w porannéj chwili,
Że ci, co bramy zamkowéj strzegą,
Mogliby słyszeć szelest motyli
I liczyć bicie serca własnego.
Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi,—
Dzwonek kościelny milczenie budzi.
Rój Dominika zakonnych braci
Niedawno jeszcze w tych stronach gości;
A już sercami narodu włada,
Już lud cudowne rzeczy powiada:
O białych szatach, świętéj postaci,
Nauce, cnotach i pobożności.
I teraz nawet Pańscy kapłani,
Tłumiąc odważnie postrach powszedni,

Co się w około rozchodził wszędy,
W bezludném mieście zostali jedni,
I w swoich celach modłom oddani,
Sprawują śmiało święte obrzędy.
Dzwonią na jutrznię — i całą rzeszą
Na ranne modły do chóru śpieszą, —
Każdy z różańcem, z księgą, schylony,
Z okiem pobożnie utkwioném w ziemi,
Młodsi po przedzie, starsi za niemi,
A dalej starzec, ich przełożony.

Imię mu Sadoch — i lat już wiele,
Jak nosi szatę swego zakonu,
Jak niesie modły do Niebios tronu
I ostrą włosień nosi na ciele.
Z młodu wiódł żywot niemniéj surowy,
Bo dzieląc Jacka z Czesławem trudy,
Przebiegał boso pogańskie ludy
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy.
A choć mu teraz prace i lata
Zbieliły brodę, zorały czoło,
Gotówby jeszcze pobiedz wesoło,
Ogłaszać wiarę na krańce świata.
Ale starszyzna wolą niepłonną
Dała mu w rządy karność zakonną.

Czterdzieści dziewięć zakonnych celi,
Tyluż w nich braci — w ustawach ściśli,
Może ni jednéj światowéj myśli,
Może jednego grzechu nie mieli.
Bo pod świętego starca rozkazem,
Zajęci pracą swojego stanu,

W postach, modlitwie, ostréj pokucie
Tłumili wszelkie ziemskie uczucie,
A duch każdego był świętym w Panu.

III.

I otoż wszyscy, z świętym wyrazem,
Zasiedli w chóru ciemném sklepieniu, —
Wszystkie się oczy wzniosły do nieba,
I wszystkie usta zabrzmiały razem:
„Boże! pośpiesz się ku wspomożeniu,
„Panie, ratunku Twego nam trzeba!“
I daléj modły wyznawców Pańskich
W jedno donośne spłynęły brzmienie,
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich,
Jak gdyby jednéj piersi westchnienie;
Bo ich uczucia w jedno się zlały,
Jedna w nich żądza — niebieskiéj chwały.

Zmilkła na chwilę cała gromada, —
I wedle ustaw. najmłodszy z grona
Czyta tych świętych Pańskich imiona,
Których pamiątka dzisiaj przypada.
Miał już zakończyć — cóż to? błąd oka?
Zdjęła go trwoga, przytomność traci;
Widzi w swych ręku cud oczywisty,
W księdze, gdzie czytał, napis ognisty:
„Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,
„A z nim czterdziestu dziewięciu braci.“
Przeczytał słowa.— „Cóż to on gada?“
Woła z podziwem cała gromada;
I wszyscy śpieszą oglądać głoski,
I wszyscy widzą wielki cud bozki.

Wtém znikły z karty wyrazy wieszcze,
Jak sługi boże poniknąć miały,
I znowu w chórze modły zabrzmiały,
Jeszcze gorętsze i szczersze jeszcze.
Po modłach Sadoch z twarzą radośną
Do najmłodszego przyszedł kapłana,
I pełen skruchy padł na kolana,
I świętą spowiedź odprawił głośno.
Potém każdemu bratu koleją
Rozwiązał grzechy, udzielił rady,
Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieją
I świętym Chlebem Pańskiéj biesiady.

I znów przed Zbawcy klękli obrazem;
Jak niegdyś Chrystus za dusze zbójcze,
Święci wyznawcy wołają razem:
„Nawróć ich, Ojcze! przepuść im, Ojcze!"

IV.

I otoż wieczór, już po nieszporze,
Sadoch ze swymi w środku kościoła
Klęczy na ziemi, do Maryi woła,
I pieśń Maryi nóci w pokorze:

PIEŚŃ.

„Zawitaj Królowo, o Matko i Pani!
„Zawitaj o nasza nadziejo!
„Do Ciebie Adama synowie wygnani,
„Z ziemskiego padołu, ze łzawéj otchłani,
„Wzdychają i gorzkie łzy leją.

„Nam serce obsiadły i kolce i ciernie,
„I burze szaleją, i gromy w nas biją;
„Zwróć ku nam Twe oczy! o zwróć miłosiernie!
„Pośpiesz nam ku wsparciu Maryo!“

V.

Wtém z trzaskiem wrota kościelne pękły,
Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,
Wyrznąwszy w zamku zastęp przelękły,
Wpadł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.
Jedni już łupią ołtarze boże,
Drugich zbójecka wściekłość rozżarza,
I utłuszczone krwią polską noże
Wpychają w piersi sługom ołtarza.
Tryskają z piersi krwawe fontanny
I białe szaty szkarłatem broczą.
Święci pod noże idą ochoczo,
I kończą pieśnią Maryi Panny:

„A owo po ziemskiém wygnaniu tułaczém,
„Gdy pójdziem na wieczność służebną gromadką,
„Niech Jezus nad naszym zlituje się płaczem,
„Niech Jego najświętsze oblicze obaczym,
„Ukaż nam Twe Dziecię, o Matko!
„Na łonie Jezusa, światłością odziani,
„Odetchną strapieni, umarli ożyją.
„Lecz módl się za nami o Matko, o Pani!
„O słodka Dziewico Maryo!...“

12 września 1845. Załucze.

TRZY GWIAZDKI.

GAWĘDA GMINNA.

I.

— „Obdarzcie dziada, co pod waszą chatą!
Dajcie mi chleba, o więcéj nie pytam;
Bóg was nagrodzi, a ja biedny za to
Z mojéj książeczki rozdział wam przeczytam.“
— O! toś uczony, gdy nosisz księgi,
Widać, żeś szlachcic, a więc nie dziwy;
Widać po twarzy, żeś zuch był tęgi,
Widać po oczach, żeś nieszczęśliwy.
— „At! litościwy człeku, kiedyś to inaczéj
Było zemną — i szczęście, i postawa hoża;
Dziś za młodość, za szczęście — ot ten kij żebraczy!
Cóż robić? chodzę z kijem, dziéj się wola boża!
Myślisz, widzę, że noszę książeczki światowe?
Nie, to Ewangeliczka, słowa Chrystusowe!
W niéj rozdział po rozdziale przebiegam koleją...
Są mędrcy, co światowe księgi rozumieją.
Widziałem ja tych mędrców własnemi oczyma:
Świecą, jak zimny kamień, przysypany dziarstwą.

Ich księgi... mocny Boże!.. ach czegoż tam niéma?—
Cha, cha, cha! tylko prawdy ani na lekarstwo!
Nad niemi mędrcy łamią swe uczone głowy,
Nie wierząc w innych ludzi doświadczenie stare;
A chcąc wszystko wyłożyć przez rozum książkowy,
Tylko serca swe suszą, tylko tracą wiarę.
Ejże! źle im bez serca! — Ich oschła nauka
Sama im wykazuje swą lichotę biedną;
Czuje mędrzec ból w sercu, i w głowę swą puka,—
Ej panie! głowa... serce... to nie wszystko jedno!

II.

„Ot ja powiem o sobie: — Służyłem, mospanie,
W zacnym domu — tak sobie, służyłem z nałogu,
Choć była własna chatka, a w niéj, dzięki Bogu,
Na szlacheckie starcowi wyżywienie stanie.
Miałem wtedy trzech synów i sam byłem krzepki;
Bywało my we czterech choć czartu podążym.
Najmłodszy z nich chłopczyka już miał u kolebki,
Najstarszy był zaścianku naszego chorążym.
Przyszła wojna ze Szwedem... krótka szlachcie rada,
Już nie siedzieć za piecem, nie pilnować pola;
Przyszła wić od hetmana — wola czy nie wola,
Siadaj na koń, kto szlachcic i kto szablą włada.
— „Ot jedźcie, synki!“ rzekłem, wywiodłem za wrota,
I pobłogosławiłem. Padli na kolana,
Potém siedli na konie i ruszyli kłusa.
Zapłakałem ukradkiem, żem stary sierota,
Zmówiłem pięć pacierzy do Pana Jezusa,
I poszedłem na służbę do dawnego pana.

III.

„Mój pan, młodszy odemnie, ciągle czytał księgi,
I miał głowę nabitą mądrością niemiecką;
Ale umiał szanować stare niedołęgi.
Ja mu bywało bajam, on słucha jak dziecko.
Słucha, lecz mówi czasem: „Ja temu nie wierzę —
„Bo w księgach nie tak stoi.“ — Ot dziwak uczony!
Pomawiali go ludzie, że trzymał z masony;
Lecz to fałsz: sam widziałem, jak mówił pacierze.

Dobrze mi było: dość chleba i czasu,
Niekiedy panu stare rzeczy plotę,
Czasem kuflową podzielam ochotę,
Najczęściéj idę ze strzelbą do lasu.
Bywało sobie w wieczornéj godzinie,
Mówiąc koronkę, usiadam na dworze;
Liczę Zdrowaśki, patrzając na zorzę, —
Ni ztąd ni zowąd i łza mi popłynie!

A była u mnie ta przywyczka marna,
Żem trzy gwiazdeczki polubił z zapałem;
Malutkie gwiazdki, jak... makowe ziarna,
Ja tylko jeden znaleźć je umiałem.
Jam je odróżniał z innych gwiazdek grona,
Drżałem, gdy która niedość jasno świeci,
Ponadawałem im synów imiona,
Wierząc, że one, to gwiazdki mych dzieci.
Tak się to w serce wrosło, wkorzeniło,
Że gdy pochmurna albo mglista pora,
I moich gwiazdek nie ujrzę z wieczora, —
To coś mi w duszy tęskno i niemiło.

IV.

„Pan był tęgi myśliwy. Raz — było to w maju,
Het przed świtem, — ze strzelbą poszliśmy do gaju
Bić cietrzewie na tokach. Przybyliśmy wcześnie,
Siedliśmy w swoich budach, — wszystko było we śnie.
Czasem chruściel chrapliwy ozwie się gdzie z błota,
Czasem wietrzyk zawieje, słowik zaszczebiota.

Tak cicho! ani szaśnie... tak pięknie w tej dobie,
Żem niewolnie znak krzyża położył na sobie,
I począł mówić pacierz strzelisty, głęboki.
Spuściłem kurek strzelby na pierwszym odwodzie,
I czekając cietrzewi, patrzałem w obłoki,
Jak zawsze na trzy gwiazdki — te były na wschodzie.
Igrały zemną starym: błysną, to przygasną,
To zapłyną obłokiem, to zaświecą jasno,
Istne dziatki swawolne...

Ot razem coś mignie,
Coś jak sznurek ognisty po niebie przeleci.
Spojrzałem... dreszcz mnie przeszedł... i krew w żyłach
[stygnie —
Spadły trzy gwiazdki moje... gwiazdki moich dzieci!!..
Począłem płakać głośno, sam nie wiedząc za czém,
Począłem *Anioł Pański* — aż pan krzyknął w gniewie:
„Czego tam Janie chlipiesz? pospłaszasz cietrzewie,
„Z twojéj łaski zwierzyny w oczy nie obaczym!“
— Ej panie! — powiedziałem — mnie nie do zwie-
[rzyny;
Ot się trzy małe gwiazdki stoczyły z niebiosów. —

— „Cóż z tego?“—Ach te gwiazdy! to były me syny!
To gwiazdy moich synów, światełka ich losów! —
— „Zkądże to wziąłeś?“—Hola! wszakże mówią lu-
[dzie,
Że każdy człek na niebie ma gwiazdeczkę własną:
Że jéj bystra źreniczka pogląda z daleka,
I strzela promykami tak ciemno lub jasno,
Jak jasna albo ciemna dola jéj człowieka.
Że gwiazdy tych, co idą szczęśliwą koleją,
Piękną iskrą na siném niebie płomienieją,
Ot jak ta, co pan widzisz... co się w lewo żarzy...
A te gwiazdy drobniutkie — to gwiazdy nędzarzy,
Tleją... at! jak dogarek lampy na pogrzebie.

I mówią: że gdy człowiek snem śmiertelnym zaśnie,
Wtenczas i gwiazda jego stoczy się po niebie,
Błyśnie wężykiem... i zgaśnie.
Oj dożyłem na starość! — Widziałem w téj chwili,
Jak gwiazdy moich dzieci zgasły na błękicie.
Ejże biedne me syny! — już mi nie wrócicie...
Gdzieś was na cudzéj ziemi wrogowie zabili!!

V.

Pan począł śmiać się ze mnie: „Ech! jesteś dziwakiem!
„Wstydź się wierzyć w te duby, co plecie prostota!
„Człek swoim, gwiazda swoim postępuje szlakiem,
„I losami ludzkiemi nic się nie kłopota.
„Każda gwiazda na niebie, co ją wzrok doścignie,
„To planeta lub słońce przysłonione mgiełką,
„A to, co widzisz czasem, jak przeleci, mignie,
„To po prostu meteor — lub błędne światełko.

„To fosfor, albo gazy. Próżno głupcy bredzą:
„Gwiazdy o twoich synach... nic a nic nie wiedzą.“

I począł daléj mówić, tłómaczyć na nowo,
Po mądremu, z łacińska, fizykę książkową.
Chciałem wierzyć i umysł pocieszyć stroskany;
Lecz gdzie tam! łza jak na złość po oczach się kręci.
Mądre słowa, to prawda — lecz jak groch do ściany,
Nie przylgnęły do serca, ani do pamięci.

Smutnie kiwnąłem głową, i westchnąłem z cicha.
Wtem szast!! cietrzew przyleciał tak blizko aż miło...
Złożyłem się — palnąłem — ej pudło u licha!
Oko łzami zabiegło i cel prześlepiło!...

VI.

„Upłynął miesiąc — drugi... Aż oto —
(Czyż mi téj chwili dożyć potrzeba?)
Wyszło na prawdę, co ludzie plotą
O upadaniu gwiazd z nieba!...
Do pana przyszły listy z obozu,
On mi o synach wieści udziela:
Że raz na czatach wszyscy trzéj razem
Wpadli w zasadzkę nieprzyjaciela
I poginęli kulą, żelazem...

A poginęli jak raz w téj porze,
Kiedyśmy z rana byli na tokach,
Gdym widział gwiazdy zgasłe w obłokach,
A pan rozprawiał o meteorze!!...

VII.

„Ot zapłakałem, potrząsłem czołem,
Oddałem chatę moją rodzinie,
Ewangeliczkę i torbę wziąłem,
I ruszam sobie po żebraninie.
Z wioski do wioski, z dwora do dwora,
Wędruję sobię w słotę i spiekę;
A gdy uczuję, że umrzeć pora,
W rodzinne strony znów się powlekę.

VIII.

„Lecz już was nudzi, co stary gada,
Więc Ewangelię czytać wam będę;
A wy czém łaska obdarzcie dziada
I za czytanie, i za gawędę, —
Grosz na tabakę, suchar dziadowski,
Dość tego na mój zapas podróżny.“ —
Starzec przeczytał, dostał jałmużny,
I poszedł z Bogiem do drugiéj wioski.

31 marca 1846. Załucze.

O CHWALE BOŻÉJ

I CHWALE KRÓLEWSKIÉJ.

GAWĘDA Z ŻEBRACKIEGO ŻYWOTA.

I.

W kruchcie jednéj niedzieli, wynędzniali, nieśmieli,
Dwaj żebracy siedzieli.

A że wcześnie dość było, a gawędzić tak miło,
Więc się sobie gwarzyło.

Gwarzą różnie a różnie, satyrycznie, ostrożnie,
O panach, o jałmużnie,

O kalectwie i latach, o szatach i o łatach,
O dziadowskich intratach,

O żebrackim swym stanie, o dzwonach, o organie,
I o księdzu plebanie.

I rzekł Szczudło koledze: „Wiesz, że doma nie siedzę,
„Czasem wioski odwiedzę.

„Czasem sobie zachodzę pod figurę przy drodze,
„I tam piosnki wywodzę.

„Jest przychód jaki taki, na dzień ze dwa szostaki
„Na kupienie tabaki.

„Ale najlepsza rada, iść gdzie odpust wypada,
„Gdzie narodu gromada;

„Mówić święte pacierze, i śpiewać piosnki szczerze, —
„A pewno się grosz zbierze.

„Ale jedna przestroga: módl się tylko do Boga,
„Nie patrz, czy kwota mnoga;

„Bierz jak podarek boży, kto co do ręki włoży,
„A Pan Bóg ci przymnoży,

„I twych modłów nie straci, za jałmużnę współbraci
„Dobrodziejom zapłaci!

Słuchał Kostyl téj mowy:—„Rozum“—rzecze—„wart
„Koncept wielce jałowy. [głowy,

„Iść pod krzyżyk... a może... zbierzesz skarby niebożę,
„Pan Bóg ci dopomoże.

„A ja idę we dwory, choć żebrackie ubiory
„Psy szarpają ze sfory.

„Mam jałmużny do syta. Król mię żywi—i kwita,
„Pełna moja kaléta.

„Człek się wesprze na kuli, idzie pod zamek króli,
„Do muru się przytuli.

„Tam zjeżdżają się pany, wojewody, hetmany,
„Każdy w złoto przybrany.

„Spojrzy który k'téj stronie, ja się nizko pokłonię
„I wyciągam me dłonie.

„Z panami trudna rada, czasem jasna gromada
„Ani spojrzy na dziada.

„Czasem bywa człek w biedzie, gdy się wymknie po
„Bo ktoś koniem najedzie. [przedzie,

„Albo gorzéj się zdarzy, kiedy żołdak ze straży
„Halabardą nędzarzy!

„Czasem—dworskie swawole—rzuci kamień pacholę,
Wlepi siniec na czole.

„Lecz często, zamiast psoty, ze szczególnéj szczodroty,
„Rzuci czerwony złoty.

„Albo pan jaki raczy dać do ręki żebraczéj
„Sto złotych — nie inaczéj.

„Ha! każdy ma swe gusty: ja wolę kąsek tłusty,
„A ty — sielskie odpusty.

„Bóg dobry! tak kolego, lecz król... to co innego,
„Król to żywi biednego!

„Nie król, to dwór, co hula; ciebie Pan Bóg rozczula,
„Co do mnie, wolę króla.

„Wejdź pod królewskie znamię, siądź przy zamkowéj
„Obaczysz, czy ja kłamię?“ [bramie,

Szczudło głową coś kiwa, wtém organ głos przerywa,
Wyszła święta wotywa.

Boga, ten króla chwali, — a król, stojąc w oddali,
Podsłuchał, co gadali.

II.

W tydzień—znów dziady społem; król z senatorskiém
Wysiada przed kościołem. [kołem

Idzie gdzie dwaj żebracy; za nim niosą dworacy
Dwa bocheny na tacy.

Król, z uśmiechem na twarzy, obu biednych nędzarzy
Własnoręcznie obdarzy.

Szczudło, co chwalił Boga, dostał bochen pieroga, —
Bułka cienka i droga.

Kostyl z królewskiéj chwały, wziął chleb czarny i mały,
Ciężki jakby ze skały.

Szczudło w rogu cmentarza tylko pacierz powtarza,
Na podarek nie zważa.

Oparł ręce u kija, wzrokiem niebo przebija,
Mówi *Zdrowaś Marya!*

Kostyl, chwalca królowy, nie rad z bułki razowéj,
Szedł po rozum do głowy:

Skradł się cicho, i zaczém Szczudło modli się z płaczem,
Zmienił bułkę cichaczem.

Szczudło w rogu cmentarza ciągle pacierz powtarza,
Zamiany nie uważa.

Po mszy świętéj, po summie, modląc się jak kto umie,
Ludzie wychodzą w tłumie.

Mniéj już ludu co chwila, każdy gdzieś się posila,—
Rzekł Szczudło do Kostyla:

— „Czas nam użyć swobody, weźmiem chleba i wody,
„Siądziem wedle gospody.

„Zjemy obiad żebraczy, niech Bóg nagrodzić raczy
„Naszych dobrych wspieraczy!“

Dobył chleb z za pazuchy, czarny, ciężki i suchy,
Aż się sypią okruchy.

— „No, syć się bożą chwałą,“ rzekł mu Kostyl zu-
„Patrz, co mi się dostało! [chwało,

„Ja za królewskie zdrowie, mam bułkę co się zowie,
„Jadam jako panowie.“

Szczudło spojrzał przez ramię, chleb swój suchy rozła-
„Boże! czy wzrok mój kłamie?! [mie:

„Cóż to? zkąd się to wzięło? Opatrznościż to dzieło?“
Z chleba złoto sypnęło!

Bo król, hojny w potrzebie, wdzięczen pochwał dla
Zapiekł złoto we chlebie,— [siebie,

Ze dwie garści niemałe, by okazać swą chwałę,
Że ma serce wspaniałe!

I Kostyla nędzarza, co na Boga nie zważa,
Własnoręcznie obdarza.

Lecz Pan Bóg przeinacza: On podarek bogacza
Swemu chwalcy przeznacza.

Więc się Szczudło rozczula, choć chromieje i kula,
Szedł dziękować do króla.

Król krzyknął: „Precz beznogu! do kościelnego progu,
„Dziękuj tam Panu Bogu!“

Bo wstyd się w oczach zdradza, że nie królewska
[władza,
Lecz Pan Bóg wynagradza.

III.

Szczudło za swe dukaty wyniósł kościół bogaty,
Dał złote aparaty,

Zbudował dwa szpitale, i sam przy bożéj chwale
Żył pobożnie, wspaniale.

Aż syt Pańskiéj opieki, poszedł na kraj daleki,
Królować z Nim na wieki.

28 maja 1846. Załucze.

DYFFERENCYA.

GAWĘDA ZAŚCIANKOWA.

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnéj siedzą,
A w około młodzież wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,—
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.

Pan komornik z sznurem stawa;
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem, jakaś tu rozprawa,
I *de hajda*, i *de jure*.
At mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojéj schedy.
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa, tam i bitwa,
Potém kończą na statucie,

Potém kielich i modlitwa.
Szlachcic poczciw — bo ma duszę,
A wrzaskliwy — bo szlachetny,
Urodzony — nie sławetny,
I niestraszne mu ratusze!
Proces w sądzie — to nie boli,
A zabawka niezła wcale; —
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.

Ich się ojcu niegdyś szczęści,
Dość zostawił dla nich mienia,
Co dziś dzielą na dwie części,
Wedle Boga i sumienia.
Dzielą słusznie, jak wystarczy,
I grosiwo, i spiżarnię,
I oborę, i owczarnię,
I nabytek gospodarczy.
Potém, z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony
Ciągnie sznurem na dwie strony
I wydziela dwie połowy.

Zatknął wiechę strojną w liście,
Wsunął cyrkiel za popręgę,
I zawołał zamaszyście:
— „No, skończyliśmy mitręgę!
Waść, sądowy *generale*,
Mości strony i starszyzna!
Niech mi teraz każdy przyzna,
Żem wydzielił doskonale.

Ot jak z boru do sosenki
Idzie ścianką ta drożyna,
Stefanowe z prawéj ręki,
A co z lewéj — to Marcina,
A zaś młynek i zatoka
Służą obu jednostajnie.
Równe schedy, jak dwa oka,
Nawet pręta nikt nie stracił;
Mierzę słusznie, nieprzedajnie,
Bo mię żaden nie zapłacił,
Nie skaptował, nie przyodział, —
Ot i sprawa i rozprawa!
Pytam trzykroć wedle prawa:
Czyli zgoda na mój podział?"

Stefan krzyknął: — „Nie masz zgody!
Bo mi krzywda w oczy kole, —
U mnie piasek — a tu pole,
Że choć zaraz siej ogrody!
Morg pod lasem... tak daleko...
Co ja zrobię z tym kawałkiem?
Wezmę raczéj morg nad rzeką
I zatoka do mnie całkiem!..."

— „O!! zatoka za głęboka! —
Krzyknął Marcin — „Panie bracie!
Wcześnie siatkę zapuszczacie,
Nie dam ryby ani oka!
Morg mój, Mości Dobrodzieje,
Co nad rzeczką, tam pod drogą.
Nie pytając tu nikogo,
Sam zaorzę i zasieję.

Bo pomiarem...“
　　　　— „Co mi pomiar?
Kto się krzywdzić mię ośmieli,
W klindze mojéj karabeli
Słusznéj kary znajdzie domiar.“ —
— „Panie woźny!...“
　　　　— „Woźny płazem!
A mierniczy — w łeb żelazem!
Niéma pana dla Stefana —
Zaraz wszystkich ztąd wypłoszę! —
Morg nad rzeką i toń rybna
Moje!...“
　　　　— „Moje, rzecz niechybna!...“
— „Ja zasieję.“
　　　　— „A ja skoszę!—“
— „No, bratuniu, to za śmiało!.
A czy znasz ty moją rękę?“
— „A czy znasz ty, świszczypało,
Moją szablę damascenkę?“
— „Za mną szlachta!“
　　　　— „Bij, kto sprzyja!!...“
Szlachta w dwie się strony ściska,
Walka w zabój... aż krew tryska...
Pan komornik wiechą zwija,
Woźny pozwem broni duszę;
Papier, wiecha w zawierusze
Popękały się od kija.

Aż skrwawiona, zapocona,
Porąbana, zadyszana,
Ta i owa padła strona,
Wypoczywać na murawie;

Jeszcze w jęku i we wrzawie
Słychać głosy: — „To Stefana...“
— „To Marcina... morg przy drodze...“
— „Morg nad rzeką i zatoka...“
— „I okopię, i ogrodzę...“
— „Nie doczekasz! nie pozwolę!
Będę bronił moje pole,
Jak źrenicę mego oka!“
— „Nie o pole, nie o szkodę,
Lecz tu idzie o bezprawie.“
— „A ja mówię i dowiodę,
Że na swojém rzecz postawię.“
— „Ciężko skarzę upór bratni!...“
— „Wara leźć mi w moją grzędę!...“
— „Krwią słuszności bronić będę,
Do kropelki, do ostatniej!“

II.

— „Cyt mi *szersznie!* tfu do kata—
Huknął stary pan Ambroży.—
Taki rankor brat na brata!
Mospanowie, to gniew boży!
Bić się z bratem jakby z wrogiem!
Jakiém okiem, jakiém czołem,
Staniesz jutro przed kościołem,
A pojutrze i przed Bogiem?
Uściśnijcie mi się szczerze,
I wypijmy pojednanie,—
Jutro spowiedź!...“
— „O mospanie!
A zatokę kto zabierze?

— „Nie chcę morga, co pod lasem!“
— „Nie dam morga, co przy drodze!“
— „No, uciszcie się z hałasem,
Ja wam całą rzecz pogodzę.“
— „A to jaki śmiałek groźny
Medyacyę swoją wnosi?!“
— „Sza panowie! — krzyknął woźny —
Pan Ambroży o głos prosi!“

Więc Ambroży siadł na miedzy,
Brzęknął czarą po butelce:
— „Bracia szlachta i koledzy,
Mościwi wielce a wielce!
Za zatokę i za pole
Będzie zawsze wrzawa sroga,
Będą skargi i zatargi,
I procesa, i swawole,
I obraza Pana Boga.
Bracia zniszczą się ze szczętem
Przez rankory i rozpusty;
Będą dzieciom testamentem
Przekazywać proces pusty;
Na braterskich karkach — szpetnie
Czynić próbę szabel hartu,
Mazać herb swój nieszlachetnie
I oddawać duszę czartu!

„By więc zetrzeć plamę z czoła,
Zmazać karę nieochybną,
Radzę oddać do kościoła
Oba morgi i toń rybną.
Za tę skruchę Pan Bóg — jużci
Grzech dzisiejszy wam odpuści,

I ofiarę przyjmie wdzięcznie
Za zgładzenie tych bezprawi, —
A ksiądz proboszcz comiesięcznie
Za was świętą mszę odprawi.
Bóg okryje swém ramieniem
Tarczę herbu starożytną,
Wasze domy z pokoleniem
Pomyślnością wam zakwitną....
No! czy zgoda?“
— „Mądra rada —
Już inaczej nie wypada;
Oba morgi niepodzielne
I zatoka koło młyna
Ni Stefana, ni Marcina,
Ale odtąd już — kościelne.
Niech pan woźny tu posiedzi,
I dokument spisze żywo —
Jutro idziem do spowiedzi
Z tą pobożną donatywą.“
— „A salarya?“
— To nie minie,
To proboszcza rzecz, nie nasza, —
A za cięcia od pałasza
Damyć żyta po ośminie.“
— „Zgoda! — krzyknął woźny żwawie —
Teraz kielich do roboty!“
Dictum, *factum*, i po sprawie
Wykonano co do joty.

III.

Dwie już setki lat się zaczną,
Jak braterskie kości społem

Gniją w ziemi pod kościołem,
A mogiły ani znaczno.
Ale ród ich gęsty w Litwie,
I poczciwy, i zamożny;
Bo co miesiąc głos pobożny
W mszalnéj wzmieniał ich modlitwie.
A na morgach w pszennym plonie
Pleban piękne żął owoce,
Stawił kopy na zagonie,
Łowił rybkę na zatoce...
Teraz słyszę, inne dzieje: —
Ktoś już inny morgi trzyma,
I pszeniczkę inny sieje,
I za zmarłych mszy już niéma.
Słyszał nawet dzwonnik głuchy,
Z pod grobowca u parkana,
Jakieś krzyki i rozruchy —
Spór Marcina i Stefana.

5 października 1846. Załucze.

CHODYKA.

GAWĘDA Z TRADYCYI POLESKIÉJ.

I.

Zagrano w trąby i naród ciekawie
Na zamek słucki ciśnie się jak woda.
Oto zasiada na sędziowskiéj ławie
Dziedzic na Słucku, książe wojewoda,
I wedle mocy swoich przywilei,
Zbrojny prawami i łaski, i miecza,
Kmieci i szlachtę sądząc po kolei,
Gromi, uwalnia, karze, zabezpiecza.
Książę daleko od natłoku gości
Siedzi za stołem oddzielony kratą,
Tam Krzyż i Statut oprawny bogato,
Opodal pisarz i pan podstarości —
A w izbie gwarno.
                        Wtém wpośród hałasu,
Pomimo ciżby i oporu warty,
Wszedł jakiś starzec, znędzniały, odarty,
Z kijem sękatym — jak rozbójnik z lasu.
Strach było patrzeć: pod wielkiemi brwiami
Oczy się dziko iskrzyły dziadowi,
Włosy jak mleko, splątane kudłami,
Rysy kościste, ramiona garbate.

Starzec jak błędny wcisnął się za kratę,
Padł... ciężko dycha... ale nic nie mówi.
Książę się cofnął... pisarz się przestrasza...
Krzyknął i rozsiał strach w całéj drużynie —
Pan podstarości jął się do pałasza
I szepcze jakiś pacierz po łacinie.
A starzec leży skulony na ziemi,
Głucho coś jęczy i szepcze grobowo,
Dycha — jak gdyby perśmi chrypiącemi
Chciał nabrać siły, by wyrzec choć słowo.
Odetchnął wreszcie — spoczął bez przeszkody,
Nabiera głosu, sili się widocznie,
Pełźnie do kolan księcia wojewody,
I płacząc, tak mówić pocznie:

II.

„Nie bój się, Jaśnie Oświecone Książę!
Ja z twojéj wioski, ja tu z niedaleka,
Ja zbójca jestem, ja zabiłem człeka,
Znam, że mą głowę miecz katowski czeka,
Niech się przynajmniéj sumienie rozwiąże!
O! bo to ciężko... tak ciężko... nie wiecie —
Nosić na rękach krew w złości rozlaną;
O! tak to dręczy, tak pali, tak gniecie,
Jak gdyby w piersi żaru nasypano...
Zdaje się dawno — przed trzydziestu laty,
Ale sumienia nie przedawnić marnie...
Zdejmijcie tylko z méj duszy męczarnie,
A głowę sobie oddajcie na katy;
Może toporem odbita od szyje
Przestanie płonąć od gorących myśli,

Może krew moja krew niewinną zmyje.
Każcie mię skować, uwięzić najściśléj,
Tylko z sumienia rozwiążcie mi pęta —
Bo jak to ciężko, nie daj Panie Boże!“
— „Któż ty snadź jesteś?“ —
— „Zwali mię Chodyką,
Rodem z Polesia — w mojéj wiosce może
Który ze starych dotąd mię pamięta;
Choć to już dawno na bezludnym borze
Żyję jak zwierzę ze zwierzyną dziką,
Lecz długo żyje pamiątka zbrodniarzy!
Może, dawniejsze wspominając lata,
Któryś mój sąsiad i dziś jeszcze gwarzy
O tym Chodyce, co zgładził ze świata
Niewinną duszę!...“
— „Kiedy? jak to było?
Gadaj mi, starcze!“ —
— „Oj ty jasny książę!
Niemiło przeszłość wspominać, niemiło,
Kiedy się zbrodnia do wspomnień uwiąże.
Odkąd poszedłem na bezludną puszczę,
Nie wyjawiłem méj zbrodni przed nikim;
Lecz dziś, jak w cerkwi, jak przed spowiednikiem,
Wszystko z pod serca, a wszystko wyłuszczę.
Chciejcie posłuchać, co wyznam otwarcie,
A potém zróbcie co trzeba, sędziowie;
Dekret śmiertelny napiszcie na karcie,
I dajcie spełnić na zbrodniczéj głowie.

III.

„Ja byłem osocznikiem, miałem chatę w lesie —
Chatka nad *Żyd Jeziorem*, stara i pochyła...

Boże mój! jak tę chatkę obaczyć mi chce się!
Czy jeszcze dotąd stoi, czy może już zgniła,
Czy kto inny w niéj mieszka? — Ja, grzeszny zabójca!
Nie śmiem do niéj się zbliżyć, bo ktokolwiek zoczy.
Tam miałem młodą żonę i starego ojca...
Bóg ich wie, kto im piasku nasypał na oczy?
Gdzie na mogiłach leżą?! pewno już ich niéma!
Lat trzydzieści... dla życia starca i kobiéty!?
Ot zdaje się, jak żywo widzę przed oczyma
To jezioro, te mszary, ten las nieprzebyty,
Gdzie niegdyś jasnych panów na obławę wiedziem,
Gdzie ludzie i zwierzęta znali mię po głosie,
Gdzie się nieraz zdarzało borykać z niedźwiedziem,
Wbijać na sztych odyńce lub wytrapiać łosie...
Byłem silny jak niedźwiedź, a prędki jak dziecko,
A ochoczy do łowów! — ani dnia, ni nocy.
Ej drogoż przypłaciłem ochotę łowiecką!
Czemuż mi nie dał Pan Bóg przeleżeć w niemocy
Raczéj, niż iść na łowy!?...

IV.

„Raz—było to w zimie —
Pan łowczy mię przywołał swoim obyczajem,
(A był to człowiek drobny, lecz ramię olbrzymie,
Dobrze władał oszczepem, a lepiéj nahajem).
Otoż woła i mówi: — „Niech cię Pan Bóg strzeże,
„Abyś miał niesprawnością popsuć polowanie!
„Dajem tutaj obławę wielkiemu Sapieże,
„Jest to hetman litewski — nie żarty mospanie!
„Czy masz w twoim obchodzie coś z bujniejszych zwierzy?“ —

— Są, panie, dwa kudłacze, przepyszne niedźwiadki.—
— „Otoż na przyszłą środę spraw się, jak należy;
„Wziąć obławę, osoczyć, urządzić połatki,
„Bo pan hetman przybędzie,—staraj się a żwawo,
„Aby mu się zwierzyna pod strzał nawinęła;
„Ja przybędę, mospanie, kierować obławą,
„A tymczasem ty będziesz naczelnikiem dzieła.
„Masz tynfa na gorzałkę — i spraw mi się gracko!
„Bo inaczéj, Chodyko, ty znasz moją rękę!
„Ja nie umiem żartować z plecionką kozacką:
„Dwieście! choćby sam szatan brał cię na porękę.
„Marsz! i spraw się!“ (Pan łowczy sam nie bywał
w lesie,
Bo miał młodą małżonkę i bał się niedźwiedzi).
Wyszedłem — mając tynfa, — ej pohulać chce się!
Ot powiem szczerą prawdę, jakby na spowiedzi:
Trzy dni piłem gorzałkę. Przyszedł dzień wskazany:
At, myślę, wszak zwierzyna jakoś się osoczy;
Ale niedźwiedź zrozumiał, że strzelec pijany,
Szedł cichaczem z ostępu, uciekł w żywe oczy.
Ja milczę — aż we środę — mój Boże jedyny!
Zebrała się obława, zjechały się pany,
I pan hetman litewski ze swojemi syny,
Strojno, dworno, hałaśnie. Mój domek drewniany
Przemienił się na pałac — oświecono wrota.
Jaki dwór! jaka służba zebrała się wcześnie!
Jaka psiarnia dobrana! co srebra, co złota!
To w bajce nie wygadać, ani przyśnić we śnie.
Ruszyli do ostępu — ja wiem, co się święci —
Ale nie zdradzam siebie mężnemi oczyma.
Obława strzela, huka, trąbi bez pamięci,
Pany ziębną w połatkach, a niedźwiedzia niéma.

Ot i słonko już zaszło — już się zmierzchać bierze,
Hetman się zniecierpliwił, jakby Bóg wie o co.
Złajał pana łowczego, a zjadłszy wieczerzę,
Kazał zwinąć swój obóz i ruszył przed nocą.
Tutaj dopiero łowczy, korzystając z pory,
Rozkazał mię pochwycić, przywiązać do drzewa, —
Bito mię harapami, żelaznemi sfory.
Próżno człowiek krwią spłynął, daremnie omdlewa,
Daremnie stary ojciec po ziemi się tarza,
Daremnie żona płacze... Ach! ten jęk przewlekły
Ponure, leśne echo słyszy i powtarza!
Ale łowczy nie słyszał — tak był gniewem wściekły.

V.

„Ot nakoniec oprawcy zbitego puścili...
Wyrwałem się.... tu szatan szepnął mi nad uchem.
Miałem topór za pasem, więc, nie tracąc chwili,
Ciąłem w głowę łowczego zamasznym obuchem,
A potém w piersi ostrzem...
Padł... krew mu lunęła...
Trysnęła w moje oczy, zalała sukmanę.
Ot jeszcze na odzieży pamięć mego dzieła!
Czy widzisz, mości książe, plamy niezmazane?
Zbutwiała mi siermięga, choć się raz w rok bierze,
Straciła swoją barwę od czasu i słoty, —
A ślady krwi niewinnéj... patrzcie, jakby świeże,
Nie starły się aż dotąd, jak pieczęć sromoty!...

—„Uciekaj!“—ktoś mi szepnął.—Ujrzałem, że zginę,
Bo strzelcy obces do mnie; — ja z toporem w dłoni

Poleciałem do lasu, skryłem się w gęstwinę.
Ho! w lesie osocznika nie każdy dogoni!
Biegłem nocą i lasem jak po równéj drodze;
Ukryłem się przed ludźmi, zginąłem bez wieści.
Żaden mię nie dośledził całe lat trzydzieści,
Aż dzisiaj dobrowolnie z kryjówki wychodzę.
Bo fraszka sądy ludzkie — tam w piersiach głęboko
Gorszy sąd... gdzie sumienie władzę rozpostarło!
Ząb za ząb trzeba oddać, a oko za oko...
Skowajcie mię w łańcuchy, osądźcie na gardło.
Lecz póki kat nadejdzie, poważni sędziowie,
Raczcie jeszcze posłuchać, radzi czy nie radzi! —
Jam człowiek nieuczony, roił czasem w głowie,
Że pokuta i praca moją winę zgładzi.
Otoż jam pokutował jak duch tajemniczy,
Co jęczy w suchéj wierzbie i wzdycha do nieba;
Pracowałem ze łzami, jadłem chleb goryczy...
Gdzie tam chleb?! co ja dałbym za kawałek chleba!
Bo co to kawał chleba w rodzinnym zakątku!
Co to chata! spokojność! i chleb na wieczerzę?!
Bez chleba człek zapomniał, że jeszcze nie zwierzę...
Lecz słuchajcie mię, pany, słuchajcie z początku.

VI.

„Darłem się przez gęstwinę, zmykając pogoni:
Czy wiatr w zlodowaciałe gałęzie zadzwoni,
Czy śnieg skrzypnie pod nogą, czy zawadzę o co,
Czy puszczyki na dębach w skrzydła załopocą,
Mnie się widzi tuż pogoń — pod piersią zdrętwiałą
Sam w sobie niosłem pogoń, bo sumienie gnało,

Gnała jakaś obawa, jakaś myśl zwierzęca.
A tutaj wiatr ze śniegiem w gęstwinach się skręca,
Zawiewa moje ślady — choć odzieża ciepła,
Cały skrzepłem od chłodu, tylko myśl nie skrzepła.

Wreszcie, choć w głowie szumi, choć pod sercem boli,
Zimny wiatr krew gorącą ostudził powoli.
Spojrzałem w koło siebie, wspomniałem o strzesie,
Nie pierwszyna strzelcowi zanocować w lesie!
Patrzę... rozpierzchłe myśli zbieram pomaleńku...
Jest hubka i krzesiwo, jest siekiera w ręku,
Jest strzelba za plecami i mieszek borsuczy.
No, — myślę — przez dni kilka nędza nie dokuczy,
Przetułam się dni kilka! a potém?... O Boże!
Śmierć z głodu albo z chłodu na bezludnym borze!...
Ot tutaj ciemna jodła z kudły rzęsistemi
Opuściła gałęzie aż do samej ziemi,
Tu będzie na noc chata! to i cóż, że chata?
Nie zasnę, bo mi serce okropnie kołata, —
Ale trochę wypocznę. — Podsuwam się blizko...
Wtém ogromne wypada z pod nóg niedźwiedzisko,
Ryknął i pobiegł w puszczę. Śledząc go oczyma:
Ej szkoda, myślę sobie, że hetmana niéma!
Ej szkoda, że pan łowczy nie wiedział łożyska!...
Krew mu z rozbitych piersi czarnym sznurem tryska,
A młoda jego żona... nieszczęsna kobiéta!
Jęczy teraz w rozpaczy i zębami zgrzyta!
I tuli się do męża, całuje go w usta...
A mąż.... zimny jak kamień i blady jak chusta....
Krew mu obryzgła piersi — o szczęśliwy człecze!
Krew zakrzepła od zimna w serce ci nie piecze;

A u mnie w sercu pożar nad wszystkie pożary!
A mojaż biedna żona!... a mój ojciec stary!...

I tak całą noc bożą zlewałem się potem,
Myśli szumiały w głowie i biły z łoskotem.
Nazajutrz weszła jutrznia, i słonko jak złoto
Nie rozpędziło myśli zczerniałych zgryzotą!
Wstałem i biegłem daléj, gdzie doniesie oko,
Zabiłem się w gęstwinę i puszczę głęboką —
Tu bezpieczno od ludzi na głębokiéj puszczy.
Ale cóż? gdy sumienie czarną myśl poduszczy,
Nigdzie niéma schronienia! —

Po gęstwinach sosny
Błąkałem się jak mara aż do ciepłéj wiosny.
Kiedy zimno dokuczy, zaczajony w borze
Wykrzeszę sobie ogień i płomień rozłożę.
Gdy głodno, nabój prochu i kawał ołowiu:
Tutaj ptak się nadarzy, tu zwierz w pogotowiu.
Gdy wyszedł proch i kule, jadłem drzewną korę,
Czasem z zębów wilkowi zająca odbiorę,
Czasem puhacz wyparty z wypróchniałéj choi,
Albo skoczna wiewiórka głód mój zaspokoi,
A czasem.... głód dni kilka.

Gdy nic nie znachodzę:
—„Ej Chodyko“—czart szeptał — „siądź tylko przy [drodze,
„A tam bitym gościńcem idą karawany,
„Jeżdżą pieniężne kupcy i wielmożne pany:
„Wyskoczysz na przesmyku.... i zdobycz bogata;
„Wszak twój topór stalowy niezawodnie płata!
„Zdobędziesz kawał chleba, jak doma we żniwie,

„Toż rozkosz chleb pieczony pożerać łapczywie!
„A nie chcesz? zamiast cierpieć, zamiast znosić nędzę,
„Czy widzisz sznur rzemienny na twojéj poprędze?
„Zrób stryczek i odważ się,—skończysz w samą porę...
„A ja ci co najlepszą osinę wybiorę.“—
Tak mi szeptał kusiciel — daremne staranie!
—„Krzyż na cię Chrystusowy! odczep się, szatanie!
Idź kusić suche wierzby, albo dzikie skały!“
Czart uciekł — a głód został i myśli zostały.
I tak do saméj wiosny, pod niebem otwartém,
Walczyłem z głodem, chłodem, sumieniem i czartem.

VII.

„Ot zawiośniało, pocieplało w lesie,
Woda z pagórków sparła się w dolinie,
Szumno i huczno lód i śniegi niesie,
Po mokrych mszarach jakby morze płynie...
Nielepsze życie miałem i na wiosnę:
Rozpacz rozrywa, głód człowieka suszy,
Lecz czasem myśli nadpłyną radosne,
Rzewniéj na sercu i nadziejniéj w duszy.
Czasem się ocknę przy jakiej zatoce,
Gdzie woda huczy i ptactwo strzekoce,
A tam straciwszy i zmysły, i wiedzę,
W głuchych dumaniach całe dni przesiedzę!
Czasem w bagnistéj oczeretnéj trawie
Wierzbowy więcierz na ryby postawię,
I chwytam, świętą upojony ciszą,
Pluskanie rybek, albo fali dźwięki,
Lub, nie zważając, że ludzie posłyszą,

Tnę bezprzytomny rodzinne piosenki.
  Dotąd, bywało, gdy wieczór się zbliża,
Nie mogłem biedny odważyć się dosyć
Zmówić pacierza lub położyć krzyża,
Albo spojrzenie do Niebios podnosić.
A wiosną, panie, samemu i w lesie,
Ot, nie wytrzymasz bez modlitwy bożéj!
Tak ci zapłakać i pomodlić chce się,
Że krzyż na piersiach nie chcąc się położy.
O! wam nie pojąć, jak się zbrodniarz modli,
Kiedy mu w sercu odezwie się skrucha!
Choć szatan szepce, że się człek upodli,
Wzywając Ojca i Syna i Ducha,
Że trzeba hardo postawić się Bogu,
Gdy już nadziei w miłosierdziu niéma, —
Poczniesz modlitwę, jak gdyby z nałogu,
A skończysz płaczem, aż serce się wzdyma.
Tak było zemną...

Tymczasem od słonka
Wiosenne listki puściły na drzewie,
Począłem słyszeć śpiewanie skowronka,
Już po zaroślach tokują cietrzewie;
Zaśpiewał słowik — już częściej się spotka
Borowy kwiatek, lub grzyb i jagodka.
Lecz zły to pokarm, choć zebrać tak blizko:
Człek jako zwierzę pragnie krwi i mięsa;
Nieraz bywało, jak głodne wilczysko,
Człek się za mięsną zdobyczą wałęsa...
Lecz trudno zdobyć! — nie służą dla człeka
Ni orle skrzydła, ani rysie szpony;
Nieraz, zwietrzywszy zwierzynę z daleka,

Trzeba fortelić jak kot zaczajony.
Czasem się ptaszki usidlą jak więźnie,
Czasem mój topór w łeb wilczy zagrzęźnie, —
O! wtenczas uczta! przy takiéj biesiadzie
Ze stosu łomów ogień się nakładzie —
A tam śpiewając i ćwiertując zwierzę,
Przybieram myśli weselsze i żwawsze...
Lecz rzadkie, rzadkie zbytkowne wieczerze,
Głód co najczęściéj, a złe myśli — zawsze.

VIII.

„Przyszło lato — spalone od słońca powietrze,
Ledwie daje odetchnąć osłabionéj sile;
Był to pewnie sianokos, czas po świętym Pietrze,
Bo leśny bąk i owad dokuczał nietyle.
Błąkałem się w gęstwinach, snadź blizko gdzie błoto,
Bo obecność szatana czuła się jak plaga;
Złe myśli tak mi czoło, tak mi serce gniotą —
Chciałem je spędzić krzyżem, i krzyż nie pomaga.
Nuda, głód, czarna rozpacz i zwątpienie ducha,
Nawet topór wypadał z osłabionéj ręki.
—„A widzisz,“ szeptał szatan, „jak źle kto nie słucha!
„Już dzisiaj, stary głupcze, nie znosiłbyś męki!
„Wszak tobie trzeba wisieć, bo któż tego nie wie?
„Zbrodnia się prędzej później wyjawi przed rzeszą,
„Lepiejż na szubienicy wisieć, niż na drzewie?
„Kiedy lepiej — to czekaj, aż ciebie powieszą!“
—Nie—rzekłem—czekać nie chcę, bo życie tak dręczy!
Ot, poszukam gałęzi, co się nie obłamie...

Podniosłem w górę oczy—coś huczy, coś brzęczy,
Aż tu pszczółka lecąca ukłóła mię w ramię.
Patrzę, a tu na drzewo rój spuścił się pszczelny,
Piękny rój... krew poleska wzięła swoją władzę...
Czekajcie... nim pomyślę o drodze śmiertelnéj,
Pierwéj rój ten obiorę i w ulu osadzę.
Bo wy, państwo, nie znacie poleskiego rodu:
U nas pszczoła to rozkosz, to bogactwo człeka,
I mój dziad, i mój ojciec, i ja sam za młodu
Znałem się na pszczelnictwie.—Ot będzie pasieka!
Skoczyłem do roboty żwawo i radośnie,
Zebrałem rój do czapki, jak powiedzieć słowo,
I wydrążywszy kłodę w niedalekiej sośnie,
Wpuściłem moje pszczółki na siedzibę nową.
To mi zabrało czasu cały dzień wesoły;
Wieczorem już do śmierci ochota nie bierze, —
Chce się jutro obaczyć, czy przyjmą się pszczoły?
Więc przeżegnałem pszczoły, zmówiłem pacierze,
I począłem rozmyślać: Kiedy Bóg pozwoli,
Może się więcej rojów nadybać gdzie zdarzy;
Zaprowadzę pasiekę, i w mojej niedoli
Będę leśny gospodarz, cudo gospodarzy!
Nie dla siebie, bo gdzież mi? nie przedawać w mieście
Miodu z mojéj pasieki; to ciekawość wzbudzi, —
Lecz dla pracy, pożytku... ot tak sobie wreszcie...
Praca dla Pana Boga, pożytek dla ludzi.
Teraz człowiek bez pracy wałęsać się musi,
I karmić brzydkie myśli, ażby serce zgniło...
Nad błotem krzyż postawię, to czart nie spokusi,
A pod krzyżem niekiedy pomodlić się miło;
A jak głód mię pokona, albo zmrozi zima,
Ktoś znajdzie moje kości i zapłacze może —

Zapłacze ani wątpić, bo w spadku otrzyma
Całą pszczelną pasiekę — dopomagaj Boże!

IX.

„A nasze lasy, to jak koniec świata,
Ciemna, wysoka i rozległa puszcza;
Tam nie objechać przez całe trzy lata,
A tam zabłądzić—niech Bóg nie dopuszcza.
Nie zhukasz ludzi, nie trafisz do domu,
Echo zamiera, choć puka i stuka;
Tam całe życie przesiedzisz kryjomu,
A nikt i z psiarnią ciebie nie odszuka,
Szerokie mszary i mokre bagniska,
Jak okiem rzucić, ścielą się z daleka;
Gęstą olszyną ocieniona rzeka
Pomiędzy karcze jak loch się przeciska.
Nikt cię nie znajdzie,—chyba czasem w lecie
Syknie gadzina w mokrym oczerecie,
Chyba przy zdroju u mokrych wybrzeży
Niedźwiedź zamruczy, albo lis przebieży;
A zresztą cicho — sam jeno bór stary
Szumi odwiecznie i chwieje konary.
O! w takich borach urodzaj bogaty
Na wonne zioła i miodowe kwiaty!
W spróchniałych drzewach, bez ludzkiej opieki,
Pszczół co niemiara lęgnie się i roi;
Więc by je zebrać do przyszłéj pasieki,
Chodzę uważnie od choi do choi —
I tuż przy pierwszym dalsze ule żłobię,
I tam osadzam me jeńce skrzydlate;

I sam jak pszczoła na zimę już sobie
W ogromnym dębie wydrążyłem chatę.
Przy niéj, zrąbawszy jodłowe polana,
Krzyż postawiłem — tarczę od szatana.
Ej wierzcie pany! gdzie modły i praca,
Ze złemi myślmi szatan nie powraca.
Ot nic bywało nie przyjdzie do głowy,
Kiedy pracuję cały dzionek boży,
Tępą siekierą rąbię pień sosnowy,
Lub się wieczorne ognisko nałoży,
I tam się modlę, — żal mi tylko szczerze,
Że mało modłów umiałem z pamięci,
Jeden *Ojcze nasz*, ot całe pacierze,
Ten wciąż powtarzam, a tu łza się kręci,
Serce klekoce, i w rozlicznych głosach
Szepcze: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiosach!"
Nadeszła zima, mój leśny zakątek
W pośrodku mszarów zakwitnął jak wianek.
Zliczyłem ule, było ich dziesiątek,
Tu nowa praca: jak przyjdzie poranek,
Tam się oczyszcza, ówdzie brzęku bada,
Czy silne pszczółki? czy karmu nie mało?
Czy się gdzie żółna lub szczur nie zakrada?
Czy się otulić od zimna udało?
Czasem zapłaczę, widząc, jak przy matce
Tulą się pszczółki w wesołej gromadce;
Bo moja chatka w pamięci mi stoi,
Mój ojciec, żona, sąsiedzi wioskowi,
Jakbym ich widział: „O serdeczni moi!
„Jak się miewacie? czy żywi? czy zdrowi!?"—
O! z jakiém szczęściem, o! z jaką pociechą
Gwarzyłbym, gwarzył, gdzie ludzi gromada!

A tutaj gwarzysz, to zamruczy echo,
Hukniesz — odhuknie, samo nie zagada.
Czy jęczysz we łzach, czy pracujesz w pocie,
Mógłbyś tu przebyć od wieku do wieku,
Echo nie przyjdzie osłodzić w robocie,
Nie powie tobie: „Pomagaj Bóg, człeku!"...
Lecz po co żądać, co stać się nie może?
Płakałem długo, w końcu... mniejsza o to,
Człek się odziczył borową głuchotą,
Jakby się w wilczéj wyhodował norze.

X.

„Tak przeżyłem na puszczy całe lat trzydzieści:
Prędko w myśli podumać, wygwarzyć w powieści,
Ale przeżyć nieprędko! mocna dusza człeka
Z wyniszczałego cielska niełatwo ucieka!
Na pracy i pokucie, na głodzie i zimnie,
Kiedy wszystko starzało, umierało przy mnie,
Gdy dęby, które pomnę z zieleniuchém czołem,
Poschły i poginęły — a ja nie zginąłem.
Nieraz sosnę, co była świadkiem mojéj pracy,
Wypróchniła zgnilizna, podgryźli robacy:
A mój robak, co trupa wietrzył już z daleka,
Dotąd się spragnionego żeru nie doczeka.
Już oniemiały język przyschnął mi do gardła,
Mój się topór wyszczerbił, siermięga podarła.
Cóż począć?—myślę sobie—zgon idzie powoli,
Lecz trzeba żyć dla pracy i pokucie gwoli.
Nie rzucę cię sam przez się, mój dobry pszczelniku!
Siekiera się jakkolwiek zostrzy na kamyku,

A zakrwawiony łachman niech już w kącie leży,
Bo mi kudłacz zabity dostarczy odzieży.
Nie trzeba było szukać, bo nieraz otwarcie
Przychodził straszny niedźwiedź wydzierać mi barcie.
I cóż państwo powiecie? — ot zajdę mu drogę,
I kijem lub toporem na śmierć go przemogę!
Nie nosiłem na piersiach, jak ty książę, zbroi:
Nieraz mię okaleczył... lecz to się zagoi;
Nieraz w szponach niedźwiedzich jak przyczaję ducha,
On mię łapą potrąci, obwącha, posłucha,
A sądząc, żem nieżywy, już zemsty nie szuka, —
Och! człowiek odziczały, to przemyślna sztuka...
Co tam wam opowiadać? bo któż mi uwierzy,
Jakem ja się przyczajał do ptactwa i zwierzy,
Jakem dostrzegł z daleka, jak nacierał z blizka? —
Ściągnąć orła z obłoków, zwierza z legowiska,
Zdławić łosia w objęciach — na co tu narzędzie?
Głód rozumu nauczy i siły dobędzie!

Co rok, gdy śnieg wypadnie w jednostajnéj porze,
Kreskę na moim dębie wyciosam na korze —
I tak znaczyłem lata — ej niemiłe dzieło,
Nim się dwadzieścia karbów na korze wycięło!
Czas płynie — a ja ufny w Najwyższej opiece,
Modlę się, zbieram roje, albo barci klecę.
Moje pszczółki kochane znały moją władzę:
Wyjdzie rój — ot i czeka, nim go sam osadzę; —
Wiedziały, że wsadzone rękami mojemi,
Czy wysoko na drzewie, czy nizko na ziemi,
Znajdą dobrą siedzibę; — gdy karmu niewiele,
Od starych miód odetnę a młodszym udzielę, —
I tak co rok, a co rok.

Od ziarnka do ziarnka
Mnożyła się i ręką szła mi gospodarka;—
W lat dwadzieścia i kilka — w szerokim zakresie
Trzy kopy moich barci naliczyłem w lesie.

XI.

„Ależ trzeba nieszczęścia! Wszak mówiłem o tém,
Żem niegdyś krzyż drewniany postawił nad błotem,
Jak tarczę od szatana;—ot niszczał leciuchno,
Podgnił, upadł na ziemię, rozbił się na próchno,
I już trawa zarosła na ubitéj drodze,
Gdzie bywało wieczorem pomodlić się chodzę.
Więc znowu, Boże odpuść! byłem w sidłach dyabła—
Mój topór się potrzaskał — i ręka osłabła,
Nie miałem sił na nowo odbudować krzyża,
A już czułem, jak starość, jak śmierć się przybliża,
I zapragnąłem śmierci. — Nie sposób żyć dłużéj —
Kiedy już drżąca ręka do pracy nie służy,
Kiedy nie mam siekiery — ej nie przeżyć wcale!
Czém ja kłodę rozrąbię? czém zwierza powalę?
Wszak już i głód dokucza—już niedźwiedź kudłaty,
Co mi służył za odzież, podarł się na szmaty.
Cóż począć? śmierć nadchodzi — ot szepcąc pacierze,
W mojéj dębowéj klatce do śmierci przeleżę.
Więc powlokłem kościska w wypróchniałą jamę;
Lecz tu poczęły dręczyć okropności same,
Tutaj czarna tęsknota do świata i ludzi,
Tu pragnienie rozpali, tu się głód obudzi,
Szatan po zgniciu krzyża, ufny w swéj potędze,
Przeszkadzał mi w modlitwie i wyśmiewał nędzę,

W oczy się naigrawał: — to wychodzi z błota,
To huczy w oczerecie, to dziko chychota,
To wejdzie mi do serca, i tam ślad swój znaczy
Ponuremi myślami grzechu i rozpaczy.
Gdy ja myślę o Bogu, chcę pokrzepić ducha,
On mi ogień sumienia pod sercem rozdmucha,
I krew mi przypomina, albo ryczy wściekle:
„Żegnaj się, czy nie żegnaj, obaczym się w piekle!“
Och! wtenczas, jasne pany, ucierpiałem dosyć.
Nie! — rzekłem — niepodobna takich mąk przenosić!
Czyż zniosłem tyle pokus i prac nadaremno,
Aby w końcu duch czarny wziął górę nademną?
Nie zdołam się mu oprzeć, ratuj Matko święta!
Bo w téj puszczy przed śmiercią szatan mię opęta,
I weźmię duszę moją. — Wyjdę z téj gęstwini,
Niech się już sądom ludzkim zadosyć uczyni.
Może, kiedy mię spotka zasłużona plaga,
Szatan się ułagodzi, albo Bóg przebłaga!...
I wziąłem moją zgniłą, podartą sukmanę,
Pożegnałem pasiekę i pszczółki kochane,
I płacząc po mym lesie i klnąc moją dolę,
Poszedłem, by jakkolwiek wybłąkać się w pole.

XII.

„Błądziłem długo... aż jednego ranka,
Las się przerzedził nad szeroką rzeką,
I zawidniała piaszczysta polanka,
A daléj wzgórek i wieś niedaleko.
Wszedłem na wzgórek, las zniknął w oddali;
Było mi straszno, gdy wyszedłem w pole...

Drżałem z obawy, że mię wiatr obali,
Że zbytnia jasność oczy mi wykole...
Powiodłem okiem po błękitném niebie,
Potém spojrzałem na ustroń wieśniaczą:
Mży się w źrenicach, widzę w koło siebie,
Dęby i sosny na powietrzu skaczą...
Wszedłem do wioski, strach ogarnął piersi,
Lecz razem w piersiach tak słodko, tak rzewnie!
Ludzie — mój Boże — to bracia najszczersi!
Ja wszystkich ludzi uściskałbym pewnie!
Lecz wszyscy ludzie, na całéj ulicy,
Z krzykiem, ze strachem, uciekli odemnie,
Dzieci i starsi, wszyscy bez różnicy, —
Wołam ich, płaczę, wszystko nadaremnie.
Czy to twarz moja zniszczona przez nędzę,
Czy leśna postać straszyła z daleka?
Czy krew błyszcząca na zgniłéj siermiędze?
Czy ślady w oczach, że zabiłem człeka?
Gorzko mi było, że ludzkie postacie
Stronią odemnie jakby od zarazy —
Każdy mię z dala żegna po trzy razy,
I bieży z krzykiem zamykać się w chacie.
Pierwszy z ulicy stał domek schylony,
Puknąłem w okno, zakrzyczano z chaty.
Ja się oparłem na mój kij sękaty,
Rzekłem: — „Niech będzie Chrystus pochwalony!“
Nikt się nie ozwał, ale drżące dziecko
Kawałek chleba rzuciło mi w ręce...
Oj pany! pany! nigdy tak zbójecko
Wilk nie poglądał na zwłoki jagnięce,
Ani połykał tak żarłocznem gardłem
Krwawéj zdobyczy na wioskowej niwie,

Jak ja na chleb ten patrzałem łapczywie,
I jak go żarłem...
Z wioski do wioski błąkam się mizerny,
Ludzie się lękli jak dzikiego gadu;
Nakoniec człowiek jakiś miłosierny
Spytał się u mnie: „Kto ty jesteś, dziadu?“
I wezwał na noc, i dał ciepłéj strawy,
Starą sukmanę dał mi na przykrycie,
I gwarzył ze mną — o Boże łaskawy,
Szczęść temu człeku całe jego życie!
(Najlepszy datek — o wierzcie mi, wierzcie!
Kto swojém sercem biedaka obdarzy).
On mi powiedział: że w tutejszém mieście
Zasiadłeś, książę, by sądzić zbrodniarzy,
Więc tu przyszedłem.

Jak zbrodniarze warci,
Każ mię ukarać przykładnie a srodze,
A ja cię za to sowicie nagrodzę:
Weź moje pszczoły, — te trzy kopy barci!
Jam je hodował na bezludnym borze,
Strzegłem, czy letnia, czy zimowa pora;
Dziś tego miejsca nie znalazłbym może,
Lecz każ wyszukać, gdzieś koło jeziora,
Las jakby wyspa — bagna idą w kółko,
Przy jedném bagnie jest krzyża ułomek,
A w środku wyspy, nad samą rzeczułką
W spróchniałym dębie wydrążony domek.
Nie gardź podarkiem, miłościwy książę!
A mnie na gardle skaraj jak mordercę;
Może się śmiercią sumienie rozwiąże,
Może ciężaru pozbędzie się serce!“

XIII.

Chodyka zamilkł, — a ciżba milcząca
Patrzy na dziada okiem zadumania. —
Książę z powagą wysłuchał do końca,
Westchnął ukradkiem i oczy zasłania.
Cóż to? czy książę myślami się troska,
Że zakrył oczy i poruszył głową? —
Łza mu spłynęła... O! łza Radźwiłłowska
Łacno złagodzi srogość statutową. —
Radziwił dumał — powstał naostatek,
Uderzył w dzwonek, szmer rozległ się w tłumie.
— „Mości panowie!“ — krzykł woźny u kratek —
„*Solvitur sessia* na jutro po summie!“

XIV.

Nie wiem końca powieści. We dwa lata blizko
Umarł jakiś pokutnik w słuckim monasterze;
A dzwonnik rozpowiadał, dzwoniąc na pacierze,
Że podobno *Chodyka* było mu nazwisko, —
Że aż strach było patrzeć, jak pokutę czyni,
Jak o chlebie i wodzie stare kości suszy;
Że podobno coś zgrzeszył, że był na pustyni,
A zresztą Bóg go tam wie — pokój jego duszy!
A w lesie między mszarem jest wysepka dzika,
Na niéj ogromny pszczelnik — pasieka nielada, —
A naród o téj wyspie dziwy rozpowiada,
A ten pszczelnik od wieków nazwano *Chodyka*.

17 września 1844 r.

KRADZIONE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

(Podsłuchano).

W ręce aspana, panie Jakóbie!
Mówisz: *kradzione lepsze*, i chcesz tego dowieść;
Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
Powiem aspanu przypowieść:

W samym końcu zaścianku, pilnując swéj niwy,
Żył sobie szlachcic poczciwy,—
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa.
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie jak u młokosa.
A tuż, mój mospaneńku, obok ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,
Na którym pasły się stada:
Konie, owieczki i woły.
— „Czy wiecie co, tatulu?“ (tak mówił raz młody),
„Fraszki to — praca i cnota.
„U nas, panie, poczciwość, trudy, niewygody,
„A w domu wieczna hołota.

Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
„Poczciwym nie da talarka,
„Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
„Drugiemu liczy na ziarnka.
„Naprzykład choćby u nas: — ot idą zapusty,
„A w domu ni to, ni owo;
„Hola! jakby to dobrze, by na Czwartek tłusty
„Utuczyć pieczeń wołową!“
— „A zkądże weźmiesz wołu?“

— „Czy to wielka sztuka?
„Niby to dostać nie możem!
„Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem,
„Niech potém sąsiad poszuka.“ —
— Cóż to!“ zawołał ojciec, „to kradzież wyraźnie,
„To jakaś sztuka zbójecka;
„A siódme przykazanie? a sumienie? błaźnie!
„A nasza wiara szlachecka?...“
— „At myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?
„Za cóż my biedni i głodni?
„Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni;
„Czy to po ludziach nie chodzi?“—

Na takie *argumentum* ojciec mruknął z cicha:
— „Cóż robić? szatan cię uczy;
„Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha,
„Nigdy kradzione nie tuczy!“

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się *borysza;*
Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
I z wołem... het! do zacisza.

Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,
Rozćwiertowali w stodole,
I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.

— „Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się [w pasie:
„Zjadając mięsko tak cudnie,
„Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakim czasie,
„Kto z nas utyje? kto schudnie?“ —
Zmierzyli się i każdy na swojéj poprędze
Naznaczył kreskę czerwoną.
— „Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
„Teraz utuczym się pono!“ —

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu:
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.
A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie...
Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.
Czy kto skrzypnie we wrotach—on w nocy i we dnie
Marzy o przyjściu sąsiada;
W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila pobladnie,
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechł jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.

— „A co, błaźnie,“ rzekł stary, „pamiętaj przysłowie,
„Że *male parta* do czarta.
„Ja zakupiłem wołu, — toć mi szło na zdrowie,
„Ty, kradnąc, schudłeś na charta.“ —

* * *

— A cóż, panie Jakóbie, jak przypowieść zda się?
— „Moralna! sens na wierzchu jakby gwiazda świeci.“
— Ja umiem jeszcze lepsze—a w swobodnym czasie
Więcéj opowiem waszeci.

12 marca 1849. Załucze.

ZALOTNICY.

GAWĘDA.

Onego czasu, młodziuchna, słodka,
Żyła dziewica, niebios pieszczotka,
Piękna jak gwiazda na niebie;
Cóż więc dziwnego, że serca żarzy,
Że wszyscy młodzi, że wszyscy starzy
Skarbią jéj względy dla siebie?

Młodzi poeci, starzy statyści,
Ludzie rycerscy i biuraliści
Króla Popiela czy Piasta,
Na jéj spojrzenie biegli zawodem,
Jak gdyby muchy do czary z miodem,
Wołali: — „Cudo niewiasta!"

Wołali chórem: — „O krasna dziewo!
„Spojrzyj na prawo, spojrzyj na lewo,
„My wszyscy twoi poddani!
„Dla twoich wdzięków, dla twych przymiotów
„Każdy choć w ogień polecieć gotów,
„Daj dobre słówko, o pani!

„Który z nas godzien (choć wszyscy życzą)
„Posiadać twoją miłość dziewiczą,
„Wybierz po dobrym rozmyśle;
„A gdy jednego z grona wybiorą,
„Reszta nieszczęsnych pójdzie z pokorą,
„Pójdzie — utopić się w Wiśle!“

Jęczą, wzdychają, czysto waryaci —
Biedna dziewica przytomność traci,
Spuściła oczki i słucha;
Nie wie, jak pozbyć czułą gromadę,
Więc prosi w myślach o dobrą radę
Ojca i Syna i Ducha.

Duch Święty radą wspomógł dziewicę:
Przez jéj urocze, lecz blade lice
Przebiegły krasne kolory;
Skinęła rączką drobną i białą,
I wznosząc oczki rzekła nieśmiało:
— „Moje wy czułe amory!

„Jak was nie kochać, powiedzcie sami?
„Każdy o miłość prosi ze łzami,
„Każdy jak z wosku odlany;
„A taki kształtny, hoży, stateczny,
„A taki dobry, a taki grzeczny,
„Choćby przyłożyć do rany.

„Lecz jak was kochać, moi panowie?
„Dziś wiecie sami, że Tatarowie
„Kraj najechali w drużynie —
„Mieczem i ogniem grożą ojczyźnie,
„We krwi niewinnéj i w spaleniźnie
„Biedna ojczyzna zaginie.

„Dziś właśnie pora wesprzeć brat brata,
„A wy, mężczyźni, obrońcy świata,
„Wznosicie jeno toasty!
„A zamiast śpieszyć ojczyźnie gwoli,
„Ubrani w hatłas i puch soboli,
„Klęczycie u stop niewiasty!

„Chcecie miłości? któż was pokocha?
„Chyba kobieta wietrzna i płocha
„Takim zachwyci się mężem;
„Dać komu rękę — cóż gdy się zdarzy,
„Że domowisko najdą Tatarzy,
„A mąż nie włada orężem?

Kto chce miłości, wnet mu uwierzę:
„Zrzućcie złotogłów, włóżcie pancerze,
„Na koń i przeciw Tatara!
„Wszak wasza liczba dosyć jest mnoga,
„Moich kochanków półk przeciw wroga
„Niech się odznaczyć postara.

„Kto więcéj szczerbów na swém żelezie,
„Kto więcéj znaków i ran przywiezie,
„Choćby zrąbany, kaleki, —
„Niech jeno weźmie tryumf nad wrogiem,
„Ja go przysięgam przed Panem Bogiem
„Kochać na wieki, na wieki!“

Tupnęła nóżką -- ogień uroczy,
Ogień zapału wstąpił w jéj oczy,
I padł na ciżbę w iskierce;
I zapłomienił ciżbę zdumioną —
Duch bohaterski wstąpił w ich łono,
Jak proch buchnęło ich serce.

I wzniósł się okrzyk w prawo i w lewo:
— „Cześć, bohaterko! cześć tobie, dziewo!
„Spełnią się twoje zamiary!“
Rzekli, wybiegli, chwycili bronie,
Wdzieli pancerze, siedli na konie,
I cwałem walczyć z Tatary!

Pomimo siły, mimo przemocy,
Walczyli z wrogiem trzy dni, trzy nocy,
Zbili zastępów trzydzieści;
Lecz sława przyszła drogim okupem,
Bo w końcu wszyscy polegli trupem
Na polu walki i cześci.

Tylko pozostał jeden z ich grona,
Przez niego bratnia klęska pomszczona,
Przez niego Tatarzyn ginie.
Jednych rozdzielił z życiem lub bronią,
Drugich zapędził dzielną pogonią
Gdzieś na dalekie pustynie.

Jeńcem tatarskim zmurował mury,
Ustroił ściany w łup armatury,
Wzięty własnemi rękoma;
A wystroiwszy zamek po pańsku,
Dwie beczki wina zakupił w Gdańsku,
Dwie beczki miodu miał doma.

I z dziewosłęby szedł do niebogi,
—„Nagródź zwycięzcę, pobite wrogi,
„Ja wszędzie byłem na czele!“
Dziewica oczkiem przyjazném błyska,
Rękę rycerza w swych rączkach ściska —
I wkrótce było wesele.

Wesele huczne — i ja tam byłem,
I miodek słodki, i wino piłem,
Lecz mi nie wiedzie się wszędzie;
Bo smakowity miodek i wino
Po brodzie ciekną, do ust nie płyną, —
Ot i po całéj gawędzie.

1849. Załucze.

URODZONY

JAN DĘBORÓG.

DZIEJE JEGO RODU, GŁOWY I SERCA, PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIADANE.

PRZEDŚPIEWEK DO LITEWSKIEGO CZYTELNIKA.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokaźne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawi krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta...
Ty nie dojdziesz téj sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posępna, twe niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku.
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina, —

Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.
A jednak do twéj treści gdy zajrzeć głęboko,
Litwo! tyś więcéj warta, niż zda się na oko:
Pieszczota Oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknéj Europie;
Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twém żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.
Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz téj pokorze — i patrz kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lody potrzaska, —
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,
Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipiał, już krzywd zapomina...
Ot tak samo jak Niemen i serce Litwina.
Tu gdzie niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzémali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie,
Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę.
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,

I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,—
A poznasz, jak na zimnéj i spokojnéj twarzy
Odkryć gorącéj myśli tajemnicze piętno.
O! i poważna Litwa umie być namiętną:
Tutaj chrobrym zapałem pierś męża oddycha,
Tutaj miłość dziewicza gorąca choć cicha,
Tutaj znać burze życia na obliczu starém...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem, lub z pu-
[harem,
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkażą starszy,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryarszy,
To w modlitwie, to doma, to między cudzemi
Ruchawe pędził chwile mieszkaniec téj ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta.
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą,
Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bolą.
A pamiątkę tych przygód — co krok to znachodzę!
Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Albo widząc nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzinném powietrzem nie napoił ducha?!
Ej, bolesno, bolesno! — Czemuż to, mój Boże,
Lirników i gęślarzów miało Zaporoże?
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy,
Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,
Co to każdą pamiątkę w rodzinnym zakresie
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...

Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:
My domowe pamiątki kamieniami znaczym.
Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna,
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,
A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!
Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo:
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiejszéj doby,
Od baszty w krewskim zamku, gdzie legł Kiejstut stary,
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
Z każdéj ludziom nauka, płacz albo zabawa;
A pamiątka i pieśnia, przywiązana do niéj,
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

* * *

Otoż podanie z jednéj litewskiéj mogiły
Składam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły.
Choć kształtem rymowanym oblokłem to dzieło,
Nic się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.
Prawdziwa, w rymotwórcze koncepta uboga,
Powieść urodzonego Jana Dęboroga:
O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
I jako się upiorem błąkał przez lat tyle;
O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze
I o zgodzie serdecznéj, — o definitorze,
O świętych jego cnotach, nauce i pracy,
(Czemuż częściéj kapłani nie bywają tacy?), —
Słowem, całą gawędę z upłynionéj chwili,
Jako niżéj ujrzycie, czytelnicy mili,

Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie
Poznałem go raz pierwszy. — Zda się człek statysta,
Z oczu widać szlachetność, mina zawiesista,
A dziś już obywatel, małżonek i ojciec.
Ale czy prawdę mówił — zkąd ja mogę dociec?
Więc nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
Żem coś zmyślił lub dodał w powieści osnowę,
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,
Własnemi jego słowy opowiadać będę.

URODZONY JAN DĘBORÓG.

I.

Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą:
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców w naszym rodzie
Zawsze były łaski boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje walnych chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,
Pełno główek, jak makówek;
Znają ludzie każdą głowę,
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,

Kiedy wszystko powiatowe?
Każdy urząd, chociaż ludzki,
Ani grzmiący ani groźny,
Rotmistrz lidzki lub oboźny,
Albo cześnik nowogródzki.
Herb się naszéj parenteli
Ani razu nie doporał,
By po mieczu lub kądzieli
Wziął buławę lub pastorał,
Albo mitrę; — naszéj tarczy.
Taki *luxus* nie obarczy.
Prosto sobie herb dziadowski,
Przy nim sztandar i armata,
Hełm lub czapeczka rogata,
Albo biret proboszczowski, —
Ot i basta.
Protoplasta,
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego czy za Wazy,
Deputatem był dwa razy
I wileńskim podwojwodzim.
Ale z takich antenatów
Nie ma po co dąć się w pysze:
Bo nasz przodek, był to, słyszę,
Mimo sławę wiekopomną,
Curtum visum do stu katów!
Więc nie lubim gdy go wspomną.
Za to w rodzie naszym słynie
Ów pancerny rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,

Jak bohater zginął śmiało.
O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:
Że ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieźć swoje kości
Do ojczystéj posiadłości,
Na wioskową naszą rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Nie we sklepie lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łan się ściele,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą,
Niby kopiec stał ochronny,
A na wieki znaczno było,
Gdzie poletek nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób Rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Wiedzą, że to miedza święta,
Że przywłaszczyć ztąd nie wolno
Choćby jedną skibę rolną.
Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiedziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

II.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszéj chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nie żyli;
Nigdy na naszych ucztach nie byli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem nie wspomni:
Dwa dworki, choć od siebie w mecie niedalekiéj,
Zdaje się grób rotmistrza rozdzielił na wieki.
Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną:
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu męże,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oręże;
Wije się krasnych strojów barwa uroczysta,
Jako kwiaty na łące, gdy je wietrzyk chysta.
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa i gości zaprasza;
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozpowiada o panu trockim wojewodzie,
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli, spędził młode lata.
I promienieje starzec, kiedy gwarzyć zacznie...
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie rotmistrza—wnet się ojciec zmienia,
Jak gdyby go ubodły ciężkie przypomnienia.
Wnet pobladnie jak ściana, głowę spuści smutnie,
I oblicze nachmurzy, i rozmowę utnie,
I gryzie gniewne wargi—nudzą go przytomni;
Chyba że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że go serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli... powoli...
W końcu umarł nasz sąsiad—cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nie lubił, póki żył na świecie,

Po śmierci mu wypłacał, jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;
Zakupił msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blady.
Bywało, kto w sąsiedztwie zamknie w Panu oczy,
Mój ojciec, w uczynności braterskiej ochoczy,
Śpieszy i losem sierot troska się najczuléj,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,
Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie,
I gawędki o trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,
Nie pojechał na pogrzeb, nie pocieszył wdowy,
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada lub dworu.
Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: Co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dla czego, gdy się gniewa w jednostajnéj mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dla czego, gdy żałuje, dwór omija zdala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potém zbladł jak ściana:
— „A zkądże ta ciekawość? — At, *proszę aspana*,
„Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
„Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
„Jak na skórze zużyjesz rózeg całą puszczę,
„Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyłuszczę;
„A tymczasem wiedz, błaźnie, i zapisz to w głowie,
„Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
„Może to prapradziady, mieli z sobą waśnie,
„I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie

„Póty z naszego serca, dopóki wystarczy
„Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
„Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
„Nim się w końcu Dęboróg z Brochwiczem pobrata;
„A o tamtych zatargach pamięć i nauka
„Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
„I chyba który z rodu... At i gadać szkoda!
„Coby to rzekł, mospanie, trocki wojewoda,
„Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
„Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć i kwita.“

III.

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnéj twarzy;
Czas był do szkoły, ale o szkole
Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
— „Proszę aspana, czas wyśmienity,
„Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
„A gdzie się uczyć bez Jezuity?
„Minęła wiara i karność stara,
„Po szkołach jakieś nowotne dzieło,
„Nie masz łaciny, nie masz Alwara,
„Równo z Alwarem — wszystko zginęło.
„Ksiądz Jezuita niegdyś dobitnie
„Wrażał łacinę i karność w dziecię;
„Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
„I lepiéj jakoś było na świecie.
„Przodkowie nasi ztąd mieli ducha,
„Ztąd wiekopomne tworzyli cuda;

„Dzisiaj bez rózgi moralność krucha,
„Z pijarskich książek łacina chuda.
„Synabym w domu nie trzymał dłużéj,
„Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:
„Dać do konwiktu możność nie służy,
„Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
„Zwłaszcza gdy człowiek z dawna pamięta,
„Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie:
„Byliśmy w szkole między panięta,
„Chłostę na perskim brali dywanie.
„A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
„Daremno człowiek ratunku szuka:
„Codzień to cięższéj ród podupada
„Z ojca na syna, z syna na wnuka.
„Proszę aspana, uczyć się pora,
„Lecz nie masz za co, nie masz widocznie.
„Uproszę księdza definitora,
„Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
„Kształć się w łacinie i świętéj wierze,
„Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju—
„Może się u mnie grosiwo zbierze
„I Jezuici wrócą do kraju."

IV.

O milę w wiosce był dom plebana:
Mała *świetlica* w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek boży mieszkał w téj chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,

Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościoł ubogi,
Wziął półwłócz gruntu — i na téj ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannéj porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
— „Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
„Masz waszeć, bratku, prace domowe,
„Ja sam chcę orać pole ojczyste!“
I tak modlitwę szepcząc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie.
Na jego sznurach najlepiéj rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota,
Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? — wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,

Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
Może mu nawet w samotnéj celi
I święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie.
Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłómaczył ze świętéj księgi:
„Jak to pokorny Zbawiciel świata
„Składa majestat bożéj potęgi
„I w ciele ludzkiém z człekiem się brata,
„Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
„Między grzeszniki siada do stołu,
„I daje siebie przybić do krzyża,
„I składa ciało w człowieczym grobie.
„Bóg się do ludzkiéj postaci zniża,
„By nas uzacnił, podniósł ku sobie;
„A u nas, szlachcic — jasne wielmożę,
„Rad, że mu herby dała ojczyzna,
„Bóg został człekiem, a on nie może,
„Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
„Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
„Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
„Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
„Za jeden puhar starego wina
„Głodna i chłodna chłopska rodzina
„Na rokby miała chleba i soli.
„Za jedno słówko w najmniejszéj rzeczy
„Pany się waśnią, idą na noże;
„Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
„Bo nie dla niego honor człowieczy!“

Tak to, bywało, głośno i śmiele
Ksiądz definitor gadał w kościele.
Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy.
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakréśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach! długo
Będzie spokojne sumienie twoje,—
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce... och! popamięta,
Że w niém złożona Hostya święta!
Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał poblizkie domy.
Zdala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonéj słomy.
Za cieniem wzniosłéj świętéj postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, *Servus* jego nazwisko.

A ksiądz czeczotką kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostéj chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu;
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

V.

Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie.
A ojciec mówi:
— „At, proszę aspana,
„Ksiądz i poczciwy, lecz pożal się Boże,
„Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
„Że o szlacheckim zapomniał honorze.
„Nie sztuka zrzędzić — ale Bogu dzięki,
„Moje sumienie nieskalane wcale;
„Gdyby przynajmniéj Statut wziął do ręki,
„Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
„Jak wołem pisze o ziemskiéj dawności: —
„Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
„Niech późniéj do nich i prawa nie rości,
„Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
„A toż, mospanie, od początku dzieła
„Może dziesiąta dawność upłynęła.

„Z dziadów, z prawnuków szło daléj i daléj,
„Czemuż się pierwéj nie upominali?
„Co wziąłem z ojców, muszę strzedz jak głowy,
„Muszę w całości przekazać méj dziatwie
„Grunta po miedzę, gdzie grób rotmistrzowy,
„I całą sprawę, któréj nie załatwię, —
„Bo jest przysłowie: że do końca świata
„Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.
„Ksiądz definitor napomina srodze,
„Bym oddał grunta aż do saméj rzeki;
„Proszę aspana, toż minęły wieki!
„Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
„Przodkowie nasi graniczyli miedzą
„I mieli proces o sąsiednie niwy;
„Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
„Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
„Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
„Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
„Lecz tu, na ziemi... to wcale inaczéj,
„Proszę aspana, i honor coś znaczy,
„Honor szlachecki.
„Ale to najgorzéj,
„Że ksiądz tak żywo bierze sprawę wdowy,
„Puka mi w serce swojemi namowy
„W imię sumienia i bojaźni bożéj,
„Bym zwrócił grunta; — ja gruntów nie zwrócę,
„Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
„Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
„By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
„Bo już, co prawda, to wyznać potrzeba,
„Że jego głowa przemądra choć stara, —
„Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,

„A cnoty — chyba od samego Nieba;
„Uczony, skromny, pracowity, szczery,
„Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
„O! dla młodego taki mistrz nielada,
„Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie...
„Lecz iść i prosić, nie wiem czy wypada,
„Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie.“
Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała rozstrzygnie ją może;
Więc ujął karty, liczy: tuz... król... kralka...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w imię boże.

VI.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło,
I rzekł: — „Zostań tu, chłopcze, ucz się w imię boże!
„Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,
„I nauką, co w głowie — choć jéj tak niewiele,
„Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę! —
„Tylko że widzi waszmość — rzekł do ojca daléj —
„Ja stary mam narowy, a szlachcice mali
„Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
„Bo dwa grzechy śmiertelne: lenistwo i pychę;
„A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
„Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
„Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaśmy po prostu,
„Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chrostu,
„Chłopyśmy i parobki przed bożém obliczem! —
„Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,

„Jeść będziesz razem zemną, z nami czeladź jada,
„W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
„Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
„Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;
„A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
„Z grammatyką łacińską i Wirgiliuszem,
„Z konwią mleka i z chlebem. Toż to będzie cudnie,
„Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
„Posilając się sobie, póki skwaru chwila,
„*Titire! tu patule*... tłómaczyć z Wirgila!
„Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą, —
„A szlachcic, co ma dzierżeć lud boży pod władzą,
„Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,
„Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
„A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
„Równiejsze będą skiby...

VII.

— „Miłościwy księże! —
Tak mu przerwał mój ojciec nadąsany srodze —
„Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę.
„Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko
„Winno zawsze zachować powagę szlachecką
„W obec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.
„Ot powiem jegomości — z trockim wojewodą
„Raz taki był przypadek: — Jak jegomość wiecie,
„Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie,
„Lęgną się stada kaczek. Panu wojewodzie
„Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie
„I ruszyć na jezioro. W jednéj szuhalei
„Byłem ja, pan Belina i dojeżdżacz z kniei;

„A w drugiém czółnie starém i popsutém wielce
„Jechał sam wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.
„Wpływamy na głębinę,—wtém... zawietrzył w stronę
„Wyżeł, psisko niekarne a wielce pieszczone,
„Zobaczył stado kaczek — więc bestya skora
„Machnął tylko kosmykiem... i buch do jeziora!...
„Stara łódź się pochyla, już żłopnęła wody,
„Tonie... gwałtu! ratujcie! nie masz wojewody!
„Jeno kędyś pluchoczą w rozhukanéj fali
„I on sam, i myśliwcy, którzy z nim jechali,—
„Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
„Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza. —
„Pan nie pływał, bo tusza była na przeszkodzie;
„Lecz Poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie.
„Strzelcy się wydobyli za wspólną pomocą,
„Nogami depczą fale, pięściami je grzmocą,
„Płyną, proszę aspana, że aż widok miły.
„Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hryćko, syn Kiryły,
„Wynurzył się... odetchnął... dał nurka na nowo...
„I jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
„Wybrnął z głębi i za czub wojewodę wlecze,
„Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.
„My wpław i do topielca... siłami wszystkiemi
„Dawaj na brzeg wynosić i tarzać po ziemi,
„Aż struga z wojewody leje się jak z kadzi.
„Pan bez zmysłów, bez pulsu—więc w całéj czeladzi
„Przerażenie i popłoch; aż po długiéj męce,
„Wojewoda odetchnął, wzniósł do góry ręce,
„I choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,
„*Te Deum laudamus* zabełkotał z cicha.
„Zaraz go nieść do zamku na barkiśmy wzięli.
„Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli,

„I wydał dla nas ucztę.
„Kiedyśmy przy miodzie
„Wszystko opowiedzieli panu wojewodzie:
„Jak się czółen wywrócił, jak on wpadł do toni,
„Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
„Jak nakoniec (niech będą wielbione Niebiosy)
„Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy;
— „Jakto! (krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę)
„Śmiała mię chamska ręka dzierżeć za czuprynę!
„Trockiego wojewodę! pana! dygnitarza!
„Gdzie ów śmiałek?—Sto batów! niech się nie odważa
„Na podobne zuchwalstwa—bo krew szlachty święta.
„Sto batów myśliwcowi! — niechaj zapamięta,
„Że szlachcic, chociaż w ogniu, albo w wodzie ginie,
„Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie!“ —
„W końcu nieco ochłonął — musnął się po głowie:
—„Ale żem ja niewdzięczen, niechaj nikt nie powie.
„Panie rządzco! ja Hryćkę kwituję z pańszczyzną—
„Dać mu na całe życie włókę gruntu żyzną,
„Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie
„Trockiego wojewodę salwował w przygodzie!
„Lecz że za czub mię dzierżał swoją chamską dłonią,
„Sto batów niech wyliczą a liczby nie ronią.“
„Więc Hryćko syn Kiryły wziął sute nahaje,
„A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
„Co rozumieć o naszym szlacheckim splendorze.
„Lecz jegomość się zżymasz?... Ej definitorze!
„Wybij z szanownej głowy swe dziwne pochopy,
„I dziecka szlacheckiego nie zrównywaj z chłopy,
„Bo na to nie pozwolę. Łaska waszmościna
„Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna:

„Dobrze, proszę aspana; lecz jeśli mój Janek
„Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek,
„Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
„Dziękuję, — mnie łaciny takiej niepotrzeba.
„Niechaj się sobie w domu choć po prostu modli,
„Lepiéj niech będzie głupim, — a rodu nie spodli.“

VIII.

— „Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśnie“ —
Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
„Lecz pozwól Waszmość...“ Co tam mówił daléj,
Mogli zrozumieć chyba wszyscy święci;
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci.
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina, druga upływa na swarze;
W końcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze.
Snadź się mój ojciec wysilił w gawędzie,
Dał się pokonać chociaż z wielką biedą,
Bo tylko mówił: — „*Concedo! concedo!*
„Proszę aspana, niech już i tak będzie.“
Potém rzekł do mnie: — „Tutaj cię porzucę;
„Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
„Sprawiaj się pilno w pracy i nauce,
„Honor szlachecki niechaj cię napędza,
„Zresztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
„Bo mu *paternam* zdaję *potestatem!*“
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza,—
Spójrzałem, zbladłem, zadrżałem od mrowi:

Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
— „Ufam, że nigdy potrzebny nie będzie.“

IX.

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie, —
Tak i z moją nauką. Pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...
Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do mszy służę,
Potém dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wziąwszy więcierze, idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniosłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Lineja, Newtona,
I tłómaczy mniéj z książki a więcéj z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica, i śniegi, i grady?

Jak się obiega ziemię w żeglarskiéj podróży?
Jak się ów ptak nazywa? k'czemu kwiat ten służy?—
A ja, siedząc oparty o kłodę olchową,
Piję łapczywém uchem każde starca słowo,
I pilno każde słowo w pamięci zasklepię.
A tymczasem już szczupak w więcierzu się trzepie,—
Więc wyciągamy kosze, powracam do chaty
Z pełném sercem i w nową wiadomość bogaty;
A starzec kontent zemnie, na końcu mi gwarzy,
Z jakiemi przyprawami szczupak się uwarzy,
Aby smaczny był obiad. Daléj kształcąc wiedzę,
Godzinę albo drugą nad książką przesiedzę,
I znowu do roboty na łąkę zieloną,
Lub na pole szerokie z sierpami lub broną.
Tam dla mnie wszystko nowość kędy okiem rzucę;
Starzec wszystko obracał ku mojej nauce,
Opowiadał dobitnie, jasno a powoli,
O własnościach powietrza, klimatu i roli,
O pracach ludzkiej ręki i bydlęcéj szyje,
Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje...
Na takich pogadankach płynie chwila chyża,
Ani ujrzysz jak słońce ku ziemi się zniża,
Jak całodzienna praca już do końca blizko,
Jako się snop przy snopie składa na ściernisko.
Wtedy, złożywszy kopy, wracamy do wczasu,
Nócąc psalm staroświecki Jana z Czarnolasu;
Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
Aż się puszcza rozlega od hucznéj pogłoski.

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskiemi chłopcy, z tabunem koni,
Lecim na nocleg śpiewając skocznie.
Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze,
Konie w paszę z rąk, —
I już chłopcy w jednéj chwili
Stosy chróstu naznosili
I zasiedli w krąg;
I ziemniaki w żarze pieką, —
Płomień bucha — ej daleko
Widać ogień nasz!
Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasku, —
O to ani dbasz.
Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiego serce boli,
To najmniejsza rzecz.
Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie,
Wszelka bojaźń precz.
Na rosnéj trawie rozściełamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,
I chór: „Dobranoc o Jezu!“ jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku zatrzęsie.
I daleko po równinie
Świętéj pieśni echo płynie.
Czasem słowik wtór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,

Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się jak woda.
Człowiek rzeźwiejszy po świętéj pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarżą, tu ogień błyśnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, — a gromada
Pieśni, gadki opowiada,
Gadek, pieśni bacznie słucha.
Miłoż w kółko siąść na ziemię!
Gwarzyć w ptactwa słodkiéj wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie, —
Miłoż drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień zwolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brzęknie tręzlą, wstrząśnie grzywą,
Albo zarży na uboczy.
Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściéj stuka w kopyta,
Zroszoną trawę pośpieszniéj chwyta.

Cyt! już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nócim: „Zawitaj ranna Jutrzenko!“
Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza jak dziewica
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek, dziad kościelny
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozpływa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!
Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A niebo w złocie, w różach, w błękicie,
Ziemia w zieloność strojna wesołą,
A człowiek wtedy, patrząc w około,
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Aniby sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcej — zlepek gliniany.
Hej! do domu czas już pewnie:
Konie syte nocną paszą,—
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łąkę naszą.
I wtórując trąbką z rogu,
Na wyścigi, hej przez rowy! —

Ot i nocleg nasz majowy, —
Śpieszmy oddać chwałę Bogu.

XI.

A kiedy święto, lub deszcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści,
I ciasném kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści.
A jego pamięć uczona, bogata,
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki patryarsze.
Jesteśmy zda się w rozmarzeniu złotém
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem, gdy się więźniem czyni,
Błądzim z Mojżeszem w arabskiéj pustyni.
Dopieroż słuchaj, kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapałem odżyją,
Głosząc z proroków przyjście Messyasza!
Aż się radujem z Anioły, z Maryą,
Tężymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pośpiesza.
My w wieczerniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości, —
W świętéj boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebiańskiéj miłości.
Tak nas ów obraz do niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża...
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś Herodot wśród pokoleń nowych,

Kreśli nam dzieje Aten albo Sparty,
Czasów Likurga lub Peryklesowych.
Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że ci się żywa przed oczyma wyda,
Że tylko westchniesz: „O zeszléj mi, Boże!
„Życie Solona, albo Arystyda!“
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upiór przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.
Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!
We krwi gorącéj wre jakby w ukropie.
To śnię zborzysko italskich zbrodniarzy,
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie;
To zda się widzę, że krok ku mnie czyni
Pobożny Numa lub hardy Tarkwini;
Lub się w kościele Jowiszowym baczę,
Rzym jeszcze nie jest zepsutym służalcem,
W krzesłach senatu zasiedli brodacze,
Cycero zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katylina... A tam złoto ważą,
I leżą trupy, pływają krwi fale.
Na rzymskiém forum Galle gospodarzą,
Kwiryci złoto niosą im na szalę,
A na tém złocie arcydziełem dłóta
Twarz rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtém szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta Rzymian się przeciska,
Kamillus wpada i szalę gruchota,
I dzikich Gallów spędza z targowiska;
Słychać jak giną, jak pierzchają dzicy,
Słychać szczęk mieczów po stalnej zbroicy.

A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca co orze z daleka,
Idę — poznaję Kwinta Cyncynata,
Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem;
Precz zrzucił pancerz, znowu wziął opończę,
Śmieje się stary w wesołéj gawędzie:
„Ot jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
„Posieję żyto — i niezgorsze będzie.“
Rzymski szlachcicu, dopomóż ci Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno.
Wtém nowe mary na młodzieńcze łoże
W innych postaciach nalatywać zaczną.
Wiją się hufce i obcych i braci,
Płynie krew, pole trupami się ściele,
A wtém dziewica anielskiéj postaci
Rękę przez Niemen podaje Jagielle;
Słychać organy, i mężowie w bieli
Z piękném rycerstwem bratnio się objęli.
Wtém nowe widmo: wśród blasku oręży
Siedzą poważni państwa dostojnicy,
I w obrzędowéj dalmatyce księżej,
W koronie, z berłem, na ojców stolicy
Siadł Zygmunt August z postawą młodzieńczą.
W koło tłum ludzi daleko, daleko;
Swoi coś gwarzą, a wrogowie klęczą,
A u stóp tronu płynie miód i mleko...
Ten piękny widok pobledniał i skonał,
Zniknęły tłumy, wrogowie, pancerni;
Na miejscu tronu stoi konfessyonał,
W nim siedzi postać obleczona w czerni,

Postać zbiedniona, pokorna i blada,
A Zygmunt Trzeci przed nią się spowiada...
I tak kolejno myśli mojéj głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dzielą.
Wtém przeraźliwie ach! sen mój dziejowy
Rozproszył kogut, piejąc nad pościelą.
— „Czas do roboty!“ — poznaję głos dziada,
Co zwykł mię budzić gdy godzina szara;—
„Ksiądz definitor dawno już spowiada,
„Czas do mszy służyć — sen mara, Bóg wiara.“

XII.

Biegły me dni jak w niebie na takiéj nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co niedzielę,
Zaczepiał mię z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!
— „Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
„Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
„A tarcza z Dęborogiem, wśród chłopstwa wytarta,
„Co kapelusz żydowski tyle będzie warta.
„Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
„Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
„Staremu trzeba uledz, bo mi zrzędzić zacznie;
„Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie

„I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
„Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
„Dłoń szlachcica stworzona do miecza, nie żniwa,
„Krom rycerskiéj zabawy niech wolno spoczywa.“
Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnéj rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przedemną,
Tam dla duszy przestronniéj i sercu weseléj.
Ojciec to zauważył, — więc jednéj niedzieli
Na mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna już zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy:
Już wybiła bolesna godzina podróży.
Ksiądz mnie rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem,
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiéj sośnie;
Stary *Servus* zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu — ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdziem przeżył tak błogo,
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

XIII.

Czém w polu zasiew, czém zawiązek w kwiecie,
Tém w życiu męża szkolne sześciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy,
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,

Choć jeszcze teraz, po ileż to razy!
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!
Niekiedy marzę, że nie umiem *Składni*
A tu za chwilę wejdzie *ksiądz Łacina*.
Szydzą z méj biedy uczniowie przykładni,
Truchleję — blednę, aż krew mi się ścina,
Aż się rozbudzę, — ale gdy na jawie
Ochłonę nieco ze strachu szkolarza,
To w gorzkiém życiu słodko się zabawię,
Pierś orzeźwioną wspomnienie rozmarza.
Tak w skwarne lato oddychamy miło
Pod ciemnym klonem lub brzozą pochyłą.

Pomnę, raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwogę w sercu przezwycięża!
A ojciec prawi w gawędzie wesołéj,
Jak to chłostali jezuiccy księża.
Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał Jezuita i poglądał srogo,
Ukrywał kańczug pod wełnianą togą,
A w jego rękach grammatyka grecka.
Takiemi strachy napełnia się głowa,
Chór Jezuitów groźnie mię otacza.
Tak gdy niebaczna piastunka wioskowa
Postraszy dziadem małego krzykacza,
To dziecko płacze gdy go w cerkiew wiodą,
Choć tam Pan Jezus we złocie i srebrze,
Lecz strach u progu — dziad z torbą i brodą
Wyciąga rękę i śpiewając żebrze.
Od tego dziecka nie weselszy zgoła
Ujrzałem mury gdzie klasztor i szkoła,

Kędy mnie wiedli. Z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za fórtę klasztorną...
Na kurytarzach nie było nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzmiały w sto głosów; widać, żeśmy w szkole,—
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.

Tedyśmy weszli do jednéj z tych celi.
Tutaj ksiądz prefekt mego ojca wita,
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli,
Całkiem nie taki, jak ów Jezuita,
Co w czarnéj szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Pewno wyczytał przestrach z mojéj miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,
Potém z nienacka zapytał z łaciny,
Ja mu pijarską grammatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo,
Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wenę —
Odmieniam *terra*, konjuguję *amo*,
Ksiądz prefekt chwali: *Bene*, *puer bene!*
Aż ojciec wesół, że syn tak rozbiera
Nomen, *pronomen*, *verbum*, *et caetera*.
A jaka szkoda, o Boże mój, Boże!
Że tu nie wszyscy kogo serće kocha!
Czemuż cię nie ma, o definitorze!
Moim tryumfem pocieszyć się trocha!
Widzieć jak rośnie, rośnie mi odwaga,
Jak mi się czoło rozjaśnia, choć potnie...
Ksiądz prefekt bada — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie,

Przebiegł tablice Pytagoresowe,
Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
— „Wybornie chłopcze—będziesz w drugiéj klassie!“
Ojciec wesoły, że nam w jednéj chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli:
— *„Proszę aspana!...“* i łzami się zalał.

XIV.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klassy
Przylgło, przyrosło na głucho?!
Gdzie wy drobne a wzniosłe mojéj pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolném po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższéj opiece,
Gdy się modlę w kaplicy albo do mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre niebardzo cieszy, złe niebardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoją mądrość, księże professorze?

Wiara, z jaką słuchałem na szkolnéj ławicy,
Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbiera,
Lub kiedy ksiądz Łacina, mistrz na kazalnicy,
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera?
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?
Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy.
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać a przed czém uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłem w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: „Doprawdy, będziem wielcy ludzie!"
Jeden — dziecię pobożne, z zapałem na twarzy,
Będzie doktor kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika;
To będzie Archimedes, cześć tutejszej ziemi,
On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.

Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie! bo świat ciężka proba!
Żal się Boże bywało co ksiądz prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze: —
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza, —
Ów co miał drogę słońca odmienić na niebie,
Ów co miał zostać wieszczem—w śnie życie przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.
A toż bywało o nim ksiądz Retoryk szepce,
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na zwierza,
Miłość go rozbydlęca, kielich z nóg obala,
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
Albo drzemie po uczcie Heliogabala.
Aż ci się serce ściśnie, aż się łza poleje...
Precz te smutne uwagi o człowieczéj doli!
Ja miałem opowiadać moje szkolne dzieje,
Teraz siła nie starczy i żal nie pozwoli...
Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha.
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga;
Składam ojcu świadectwa — dziękuje mi za to,
I mówi, żem dostojen herbu Dęboroga.

W niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam, gdy gradem mądrości na przytomnych rzucę,
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiécha,
Aż się dziady kościelne dziwią méj nauce.
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową — więc ojciec go pyta:
— „Nie prawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
„Skończy szkoły uczony jakby Jezuita?“
— „Tak — rzecze definitor — zna wszystko po trosze,
„A gdzie nie ma zdolności, tam pracą okupi;
„Braknie mu jednéj rzeczy...“ — „A czegoż to proszę?“
— „Mądrości sokratycznéj — poznania, że głupi.
„Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
„Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie...
„Tymczasem daj mi rękę, wychowańcze drogi,
„Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie.“

XV.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze,
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie:
— „Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
„Jakiś tam zawód na bożym świecie,
„Dam ci zabawkę — i co się zowie,
„Co przyozdobi herbowne dziecko,
„Przez którą starzy Dęborogowie
„Zyskali niegdyś godność szlachecką.
„Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
„Pisze zkąd nasze godło urasta:
„Jak na Zygmunta Augusta dworze
„Był *quondam* strzelcem nasz protoplasta;

„(Proszę aspana, dzielny myśliwy
„Na pańskich dworach zawsze jest w cenie).
„Razu jednego znalazł — o dziwy!
„Wrosłe do dębu rogi jelenie.
„Rzecz taka rzadka i niewiadoma,
„Więc gdy ją złożył królowi w darze,
„Król mu szlacheckie nadał dyploma
„I Dęborogiem nazwać się każe.
„I od téj pory chętka myśliwska
„Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
„Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
„Choć nie senator, *venator* przecię.
„Ja sam za młodu strzelałem dużo,
„Świadkiem nieboszczyk trocki wojwoda.
„Dzisiaj, mospanie, oczy nie służą,
„A jednak pola zależeć szkoda;
„Więc się chowają, proszę aspana,
„Strzelby i pieski dobre do pola,
„Stara myśliwska szkapa bułana,
„Wojewodzińska trąbka bawola
„I zasłużona torba borsucza.
„Otoż ta cała strzelcza spuścizna
„Dziś się waścinym rękom porucza,
„Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna.
„Mamyć tu przecię las jaki taki,
„W zatoce kaczek bywają stada,
„W naszych zaroślach skaczą szaraki,
„Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
„Będziesz polował, — wy młodzieniaszki
„Winniście wprawiać oko do strzału;
„Proszę aspana — tylko po mału,
„Strzeż się jak ognia dziewcząt i flaszki.

„Za naszych czasów, za Jezuitą,
„I kiedy pańskie świetniały dwory,
„Proszę aspana, tęgo nas bito
„Za gorzalinę i za amory.
„Kiedy to trocki żył wojewoda,
„Ja sam, pamiętam, cięgę dostałem;
„Proszę aspana... krew była młoda
„A jam okropnym był sowizrzałem.
„Otoż...“
Lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchéj ściany:
Bom z podarunku uradowany
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad zajęczy,
Konno to pieszo zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąbka brzęczy,
I strzał po strzale wstrząsa chróśniakiem.

XVI.

Moja rusznica pali donośnie,
Bije zające, kaczki, cietrzewie;
Ojcu z radości aż dusza rośnie,
Jak mię uściskać sam stary nie wie.
— „Proszę aspana, ej szkoda, szkoda!
„Gdyby to trocki żył wojewoda,
„Ty byłbyś w łaskach: bo jako żywo
„On szczerze kochał młodzież myśliwą,
„A nawet z każdym, co pewien w strzale,
„Lubił, mospanie, żyć poufale.
„Proszę aspana, na jego dworze
„Raz pan Belina w dobrym humorze

„Prawił, jak skakał do głuszca w toku,
„A wojewoda słuchał go z boku.
„Ten pan Belina, człowiek ruchawy,
„Gdy o myśliwstwie rozprawiać pocznie,
„To choćbyś głuchy, poznasz widocznie
„Z jego podskoków, ruchów, postawy.
„To w dłoń zatrąbi — psy nawoływa,
„To się jak zając czai do ziela,
„To niby tropi, prześlad okrywa,
„Nabija, pełźnie, mierzy się, strzela.
„Otoż z tym głuszcem kiedy się chwali,
„Czasem tokuje, podskoczy czasem,
„Tak się uwinął, że w pańskiéj sali
„Wielkie zwierciadło strzaskał obcasem.
„Pan się nasrożył, uczuł nad szkodą,
„Lecz pan Belina, jakby w igrzysku,
„Z cicha mu szepnął: „Cyt wojewodo!
„Bo spłoszysz głuszca na tokowisku.“
„My w śmiech — pan także, nawet mu za to
„Darował pyszną strzelbę turecką,
„Puścił w niepamięć szkodę bogatą
„I długo, długo śmiał się jak dziecko.
„Czasyż to były!!
„Otoż mospanie,
„Gdybyś za czasów żył wojewody...
„Lecz może jeszcze — wszak jesteś młody...
„Ruszajże sobie na polowanie.“

XVII.

Hejże znowu ja do kniei!
Jesień — zima — wciąż na łowy.

Raz zabiegłem po kolei
Aż na wzgórek rotmistrzowy,
Aż za kopce cudzych granic.
Była wiosna — zachód słońca,
Lecz nie zwykłem zważać na nic,
Kiedy ruszą psy zająca.
  Daléj, daléj,—a tu ciemno,
Czas do domu, zmrok zapada;
Patrzę w koło — tuż przedemną
Dwór sąsiadki czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki, choć ubogi.
Nasłuchałem się za młodu,
Żeśmy sobie wieczne wrogi,
Że Dęboróg — póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
Grób rotmistrzów, jakieś pole,
Były źródłem wiecznéj waśni;
Lecz o całym tym warchole
Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim —
Stary Brochwicz umarł dawno,
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnéj nie mam nienawiści;
Coś mi szepcze — pomóż Boże,
A ja rankor ten umorzę.
  Dworzec mały — a tak schludno,
Tak coś miło w każdéj stronie,

Że źle trzymać o nich trudno,
Poczciwością zewsząd wionie.
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Same kwiaty, same róże,
Pięknie w okół — przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa,
I piosenkę, jakąś śpiewa.
Słucham... słucham, serce gubię,
Za jéj głosem myślą idę;
Ona śpiewa jak na biédę
Tę piosenkę, co ja lubię.
Długom patrzał między liście,
Coraz baczniéj, coraz miléj...
Krótko mówiąc — od téj chwili
Zakochałem się ogniście...
Gdym odchodził, pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesiłem dwa szaraki.

XVIII.

Codzień w pole, — ej! nie w pole,
Lecz do dworku pod topole.
Już znajomość — cóż za dziwy,
Blizki sąsiad i myśliwy,

Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko?
Że zwierzynę mamie nosi
I zagląda w oczki Zosi?
Ej poziomki! ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!
Ej te oczki! — mówiąc krótko,
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno! — Z wolna... z wolna...
Już w nas chętka zobopólna
Spojrzeć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiedz na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.
Cicho, z wolna, niewidomie
Gore dusza, gdy spodoba;
Z małéj iskry bucha płomię
I zażega serca oba.
Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,
Zda się fraszki — daj im wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa,
Gdy w tych fraszkach się rozpływa!
Już dla świata żyć nie może,
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhoworze
Wieki wieków. Czas przeleci
Stokroć chyżéj od motyla:

Bo szczęśliwi to jak dzieci,
Dni ich lecą jako chwila.
Precz godziny! gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy;
Jedna bieda — że ci starzy
Na zegarach czas swój liczą.
Ani śni się ojcu, matce,
Co ci miło? co cię bodzie?
Dusza rwie się jak ptak w klatce,
A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka — lecz nie zgadnie,
Co tam dziecka myśl kołycha?
Czego dziewczę ciągle wzdycha?
Czego młodzian smutny bladnie?
Na niepokój snu twojego
Dają leki, warzą ziela,
A broń Boże gdy postrzegą,
Gdzie najczęściéj oko strzela!
Wnet witają chmurną twarzą,
Dają rady i przestrogi,
I zachmurzą dzień twój błogi,
I uczuciom zmilknąć każą.
Zimném okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi:
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyziębi.
Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię jak syna,
Jednak czasem głową rusza:
Częsta moja tam gościna
Snadź się matce nie podoba.

Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba,
A ja wymknąć się nie mogę.
Ho, ho! gdyby ojciec wiedział,
Gdzie mnie codzień kroki wiodą,
Wnetby z trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada.
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg póki świata
Z Brochwiczami się nie zbrata.
At zwyczajnie ludzie starzy!
Ale miłość, pełna szału,
Nie zagląda do herbarzy,
Ni w dekreta trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna;
Stary proces lub herb stary
Fraszka w oczach Kupidyna.
Dzisiaj szczęsno!
Lecz niestety!
Jaka przyszłość? serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli.
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada;
Matka Zosi niewesoła,
Bo żal czuje do sąsiada.
Jakieś kłótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą.

Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie? — śmierć z rozpaczy!...
Precz te mary zapaleńcze!
Choć przycierpię, choć się zdręczę,
Lecz zapomnę... nie inaczéj.
Ot na sercu rękę kładę
I tamuję jego bicie:
Nigdy... nigdy... póki życie,
Już na łowy nie pojadę,
Ani spojrzę k'tamtéj stronie,
Ani myślą nie pogonię.
Co jest w sercu, to się zatrze,
I zapomnieć jestem gotów;
W jasne oczy nie popatrzę,
Nie usłyszę jéj szczebiotów,
Co to płyną dźwięcznie, z cicha,
Aż się serce rozkołycha...
Takem roił zamyślony,
Ciągle patrząc w lube strony;
Potém kojąc serca bole,
Marsz do dworku pod topole!
A przed bramą wiem, że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek na brzezinie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem, gdy podchodzę,
Zosia spotka mię na drodze.
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszę miłość święta,
Duch, pijany od rozkoszy,
Rannych zaklęć nie pamięta.

XIX.

Raz, jak dziś pomnę — wieczór był świeży,
Szedłem dumając pod lube sioło,
Zosia jak zwykle spotkać mię bieży,
Ale w jéj oczach coś nie wesoło.
— „Czy wiesz?—mówiła ze łzami dziewa—
„Niedobre wieści: mama się gniewa.
„Ja wczora, licząc na dobroć mamy,
„A chcąc ją zdziwić niespodziewanie,
„Szczerze wyznałam, że się kochamy,
„Jak tylko serce pokochać w stanie.
„Mama mi rzekła, że się nie dziwi,
„Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,
„Bo cóż, że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
„Rozdraźnią serce i gorzko będzie.
„Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
„Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
„A moje serce... i moja ręka
„Nie dla sąsiadów z za waszéj miedzy.
„Tak mówi matka (przebacz mój drogi!),
„Że my odwieczne dla siebie wrogi,
„Że lat ze trzysta od owéj chwili,
„Jak z Brochwiczami Dęborogowie
„O jakieś grunta się pokłócili,
„I proces spadał po męzkiéj głowie
„Z ojca na syna, jak powieść niesie.
„Ach cóż te grunta? nie dopuść Boże!
„Ot tylko śmiać się i płakać chce się;
„Miłość grunt rzeczy — nie prawda może?

„Wielkie mi święto, że spór się toczy!
„Śmieszne te sądy i trybunały....“
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.
Jam drżącą ręką schwycił jéj dłonie,
Gorąca głowa zwisła mi z szyje,
Czuję — w jéj rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.
— „O Zosiu moja! — rzekłem w rozpaczy —
„Przed tobą młodość, życia rozkosze,
„Ty mię zapomnisz... Bóg mi przebaczy,
„Ja żyć nie mogę...“
— „O! bardzo proszę;
„To coś jak w książce — my chrześcianie,
„Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!
„Jest Bóg, jest przyszłość — ej panie Janie!
„Gdy będziesz płakał, to wnet uciekę.
„Śpieszę do matki, matka się gniewa,
„A my tu marnie kwilim jak dzieci.
„Kto na kominek przyniesie drzewa?
„Kto jéj tak jasno ogień nanieci?
„Kto ją bezemnie do snu ugada?
„Ja kocham mamę jak własną duszę;
„Dziś mi na wieki pana sąsiada
„Każe pożegnać — i spełnić muszę.
„Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
„Żeśmy znęciły młodego ptaszka,
„By wam wyłudzić pole za miedzą,
„Że nasza miłość — at sobie... fraszka.
„Piękna to fraszka... serce tak boli,
„Matce się zdaje, że to daremno!...
„Czyż nigdy ojciec twój nie dozwoli,

„Aby Dęboróg łączył się ze mną,
„Z córką Brochwicza?... Ej te przestrogi!
„Niby twój ojciec taki już srogi,
„Niby ja nie wiem, że ciebie pieści,
„Chociaż się zdaje trzymać na wodzy?
„Ej ci rodzice! niby to srodzy,
„A znieść nie mogą naszych boleści.
„Ot jestem pewna — o rękę Zosi
„Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
„Wtedy się chyba... wtedy obaczym!...
„Bądź zdrów — nie traćmy dobréj nadziei...“
I tak szczebiocząc z śmiechem i płaczem,
Znikła w zaroślach ciemnéj alei;
Tylko jéj piosnkę słychać z daleka —
Czy chce łzy pokryć? czy marzy świetnie?
Może odemnie rada ucieka —
O serce! serce szesnastoletnie!
Jak bezprzytomny padłem na ziemię
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc, co dotąd za lasem drzemie,
Wychylił na świat głowę czerwoną,
I drżącém światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu.
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy,
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

XX.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.

Droga znajoma, ach! i jak jeszcze...
Znam każdą trawkę, w nocnéj pomroce,
Wiem jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się żegnają, coś do mnie kwilą.
Tyle wspomnienia! tu świat mój wszystek,
Tu moje niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz... piekielne bole
Nad memi piersmi pastwią się srodze...
Idę jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wśród czarnéj nocy brnę nieprzytomnie,—
Wtém coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie.
Spojrzę: dziad jakiś... biały, wysoki,
Stoi odemnie tuż o dwa kroki.
— „Kto tu? i poco?“ krzyknę do dziada,
A w trwożnych piersiach żamiera słowo.
Starzec jak martwy nie odpowiada,
A tylko głośniéj jęknął grobowo.
Wzrostem jak olbrzym — jak leśna jodła,
Ubrany w białéj, grubéj opończy,
Snadź kula czoło jego przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy,
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska;
A taki straszny wyraz oblicza,
Że gdy go przyśnię i dziś mi trwożno...
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potém na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie,
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:

— *„Redde quod debes!!“*
— „Kto tu?!“ krzyknąłem,
Choć pierś zamarła ledwie kołata,
Czuję pot zimny leje się czołem —
Wtém zniknął upiór z tamtego świata.
Lecz wyobraźnia, strachem nabita,
Jeszcze go widzi na ciemnéj błoni!
Uciekam polem, ot zda się goni
I trupią ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu—wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łoże padłem.
Chłód mię przejmuje, gorączka pali —
To zda się walczę z jakiémś widziadłem,
To widzę matkę Zosi surową,
To mię mój ojciec przeklina marnie,
To zważam każde kochanki słowo,
A w każdém słowie nowe męczarnie.
W takich torturach duszy i ciała
Chciałem gdzieś uciec, lecz się nie dźwignę, —
Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
Sen ukołysał ciężką malignę...

XXI.

Przespałem tydzień — strach co mi się marzy!
Ciało jak kamień, a dusza — jak w piekle,
Modlę się we śnie, to przeklinam wściekle,
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w myślach nie sprawię,
Co było we śnie, co było na jawie.

Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mém łożu baczę:
Ksiądz definitor modli się koło mnie,
A ojciec ręce załamał i płacze.
Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
Ojciec wzniósł ręce i głośno zawoła:
— „Witaj nam z grobu młody Dęborogu!
„Proszę aspana — siedem dni jak chwila
„Byłeś w gorączce — ale dzięki Bogu,
„Dziś się choroba stanowczo przesila.
„Boże mych przodków, o wielki Jehowo!
„Puść mię w pokoju! niech starzec już skona,
„Kiedy żyć będzie na świetność herbową
„Mojego domu latorośl zielona.
„A ja o mojém rozpaczałem dziecku,
„Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
„Ja umrę z żalu — i po staroświecku
„Herb mego rodu przy trumnie pokruszą...
„Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
„I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste.
„Dzięki Ci, Matko święta z Poczajowa!
„Dzięki'ć cudowny boromelski Chryste!
„Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą;
„Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
„Proszę aspana, powiedz, jak to było,
„Kto ci napędził tak ciężkiej niemocy?“
— „A dajcież pokój, a bądźcież uważni! —
Rzekł definitor, ocierając oczy,
„Jeszcze go powieść na nowo rozdraźni,
„I znów gorączka głowę mu zamroczy.“
—„Nie, ojcze—rzekłem—pozwala mi zdrowie,
„Mogę przypomnieć minione obrazy,

„A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
„To lżéj mi będzie, lżéj będzie sto razy.
„Ot kiedym z łowów powracał w noc ciemną,
„Z grobu rotmistrza opadły mię strachy, —
„Straszny dziad jakiś stanął tuż przedemną,
„Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy;
„A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,
„A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie.
„Tchnie groźbą cała postać tajemnicza,
„I skinął ręką przed oczami memi
„Na nasze grunta i na dwór Brochwicza:
„*Redde quod debes!* — wyjęknął z pod ziemi.
„A jam bez ducha uciekał po błoni,
„A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
„Wbiegłem do domu o saméj północy,
„Krew lodem krzepnie, to żarem się pali,
„Padłem jak martwy na łoże niemocy,
„I nie pamiętam, co już było daléj;
„Tylko w gorączce ani chwili niéma,
„Aby mi starzec nie stał przed oczyma."
— „No, dosyć tego—rzekł mi ojciec smutno—
„Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo."
Ale widziałem, że zbledniał jak płótno,
Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową
Szeptał z westchnieniem:—„Miłosierny Panie!
„Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?"

XXII.

Coś moje ozdrowienie szło krokiem niesporym:
Ojciec i definitor troszczą się nad chorym,

Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
Drugi, pełniąc po prostu prawo Chrystusowe.
Czy mi gorzéj, czy lepiéj, czy usnę, czy wstanę,
Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,
A straszne moje dumki chcąc rozpędzić szczerze,
Grali ze mną w arcaby, mówili pacierze.
Lecz ojciec coś mi nie zdrów, coś twarz jego blada,
O trockim wojewodzie nic nie opowiada,
Gdy siądzie do maryasza, choć to gra tak łatwa,
Zamiast bić ze czterdziestu, Bóg wie jak się gmatwa;
A pomnę jak to dawniéj było z nim inaczéj,
Okładał pacierzami najzawziętszych graczy.
Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole,
Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,
Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana,
A miód stary od szwedzkich wojen Sudermana
Wiekował w naszym lochu.
Ach, co mu się stało!
W oczy definitora pogląda nieśmiało,
Zamyśla się, i widać po całéj postaci,
Że chciałby o coś pytać — a odwagę traci.
— „Księże definitorze! — wreszcie go zagadnie —
„Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładnie,
„Śpieszysz z usługą bliźnim ilekroć się zdarza,
„Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,
„Uciekasz od podzięki, jakby od napaści.
„Ale stary Dęboróg modli się za waści,
„A pomimo dawniejsze z waszmością zatargi,
„Wyznam, żeś taki święty, jak w żywotach Skargi.
„Nie zżymaj się, nie bluźnię—niech mię Bóg zachowa!
„Bo to, proszę aspana... lecz nie o tém mowa...

„Chciałem mówić, żeś kapłan ze słowa i czynu,
„A teolog zawzięty, jak Tomasz z Akwinu,
„A łacinnik, mospanie, to jak Jezuita;
„Jednak... proszę nie śmiéj się... gdy cię prostak spyta:
„Czy waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
„O których Jaś mój gada... zwyczajnie jak chory?
„Wierzysz mu, czy nie wierzysz?"
Ksiądz na to odpowie:
— „Są cuda, panie Pawle, o których mędrcowie
„Ani śnili na jawie—jest gra wyobraźni,
„Czasem szatan widmami do złego nas drażni,
„Tak piszą stare księgi — liczyć je nie pora;—
„Ot, prosto z duszy naszéj wyrobi upiora
„I postawi przed oczy—nie dziw, że przestrasza!
„A są widma i święte: czytaj Tobiasza,
„Czytaj o świętym Pawle, toć twój patron przecię.
„Są marne przywidzenia, są cuda na świecie,
„Poznacie je z owoców—Bóg jest miłosierny."
— „A ja wierzę!—rzekł ojciec — że rotmistrz pan-[cerny
„Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma.
„Dziś, wyznam jegomości... wszak nikogo niéma:
„Ot! jak chciałbym bez zmazy przejść niebieską bramą,
„Że ze trzy razy w życiu widmo takie samo
„Widziałem, jak was widzę—krew mu płynie z czoła,
„Jęcząc, *Redde quod debes!* po łacinie woła,
„Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze.
„Mniemałem, że to figiel, że sprawcę dośledzę,
„Ale nie było czasu—bo to owéj daty
„Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty.
„Myślę sobie: na wojnie nim kulą w łeb palną,
„Bezpieczniéj będzie odbyć spowiedź generalną.

„Przed spowiedzią, wieczorem, kiedy grzechy liczę,
„Mignęło się na polu widmo tajemnicze.
„Upłynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
„Ja na dworze trockiego wojewody służę,
„Parzę zęby, jak mówią, na dworackiéj kaszy;
„Kiedy umarł mój ojciec, słonimski strukczaszy.
„Więc przyjechałem tutaj w wiosennéj coś porze,
„By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże,
„Objąć w moje dziedzictwo *naturali jure.*
„Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
„Patrzę na grób rotmistrza,—aż przy grobie stoi
„Widmo wzniosłéj postaci i w żelaznéj zbroi,
„Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
„Znowu: *Redde quod debes!* z jękiem zawołało.
„Zbladłem... serce zamarło... i trwożliwie puka;
„Lecz mówię sam do siebie: To znów czyjaś sztuka!
„A nawet się domyślam...
„Lat kilka omija,
„Zapomniałem o strachach — bo krasna Marya
„Herbu Łabędź, łowczanka zakroczymskiéj ziemi,
„Snuła się jako widmo przed oczyma memi.
„Począłem konkurować—zezwolili starzy —
„Szczęśliwym się sukcesem nasz związek kojarzy.
„Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy,
„Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
„Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnéj dobie
„Wieczyście zapomniałem o rotmistrza grobie.
„Lecz oto... w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela,
„Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
„Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.
„Do rozrzewnionéj duszy modlitwa się ciśnie.

„Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu,
„I znowu słyszę jęki od strony kurhanu,
„I znowu takież widmo, z témże groźnem słowem:
„*Redde, redde quod debes!*—aż echem grobowém
„Zadrgał las wśród północnéj uroczystéj głuszy...
„Choćby kazano przysiądz na zbawienie duszy,
„To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata...
„Struchlały padłem na twarz.

XXIII.

„Przyszły starsze lata.
„Z razu dobrze się wiodło—potém źle najczęściéj,
„Człowiek jak wół pracuje, a Pan Bóg nie szczęści;
„To mi żona umarła, to grad wybił zboże,
„Straszna nędza poczęła ściskać Dęboroże.
„Dawniéj, proszę aspana, człek uczty wydawał,
„Dziś na kufel podpiwka i na chleba kawał
„Ledwie starczy staremu—dajże radę biedzie!
„Ot nic, proszę aspana, ręką się nie wiedzie.
„Idzie od śmierci żony jesień siedemnasta,
„Ja stary bezsilnieję—a tu syn podrasta,
„On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
„Okryć nową świetnością tarczę Dęboroga;
„Ale coś zły prognostyk od ojca na syna:
„Widmo się ukazywać młodemu poczyna,
„I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzęże...
„Czy wasze wierzysz w strachy, miłościwy księże?“
— „Wierzę—rzekł definitor— wierzę całą duszą!
„W waszmościnéj fortunie ludzkie łzy być muszą.

„Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje,
„Widmo jakieś czyscowe zasnąć wam nie daje;
„Może to grzechy przodków—wiadomo waszeci:
„Za nieprawości ojców pokutują dzieci,—
„Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
„Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem."
— „Jakto, proszę aspana!!..."
— „Powoli! powoli!
„Ja jestem ksiądz i starzec, moj wiek nie pozwoli
„Grać ze szlachtą w szablice,—bić się rzecz człowiecza,
„A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza,
„Tak stoi w Piśmie Świętém. Nie rwij się z zapałem:
„Waszmościnego herbu obmawiać nie chciałem;
„Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
„Pragnę położyć koniec tej waszéj niedoli.
„Wielkie są skutki złego, choć początek marny."
Tak mówił definitor—a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego ściech.
— „Nie gniewaj się wasze,
„Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
„Oto wczora wieczorem, zmówiszy pacierze,
„Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze;
„Więc począłem rozmyślać... od nudów... tak sobie...
„O domu Dęborogów, o rotmistrza grobie,
„Począłem przypominać, co doszło méj wiedzy,
„Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
„Dla czego mara jego błąka się u drogi?
„Proces co z Brochwiczami toczą Dęborogi—
„Wszystko, coś mi powiadał o staréj intrydze
„I co ze staroświeckich dokumentów widzę.
„Ot tak mi się te myśli po głowie dziwaczą,
„Że przyśniłem rotmistrza i wojnę kozaczą.

„Usnąłem... widzę zastęp na zastęp uderza,
„Dęboróg wiedzie hufce Jana Kazimierza;
„Łamią tabor Dnieprowców pancernicy młodzi,
„Których dziad siwobrody chorągwią dowodzi.
„Wtém k'niemu Zaporożec mierzy z samopału,
„Wystrzelił — siwy rotmistrz zachwiał się pomału,
„Podjął kratę od hełmu z wejrzeniem ponurém,
„Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem,
„Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z głazu...
„Lecz walka się usuwa niby w głąb' obrazu,
„Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
„I widziałem zgon starca — posłuchaj mię wasze.

XXIV.

Sen Definitora.

„Ze wzgórza widać, jak dym się czerni,
„Słychać z daleka strzelbę armatnią,
„A na pagórku bracia pancerni
„Oddają komuś posługę bratnią;
„Kształtem namiotu rozpięli płótno,
„Stanęli kołem i gwarzą smutno.
„A pod namiotem, z głową u siodła,
„Leży dziad siwy w grubéj opończy;
„Kula mu stare czoło przebodła,
„Po białych włosach krew mu się sączy;
„Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
„A starzec z dumą po wąsach muska.
„A w koło starca cisz uroczysta.

„Trzech zbrojnéj szlachty otacza łoże:
„Jeden coś pisze — pewno jurysta;
„Drugi puls maca — to lekarz może;
„A trzeci skłonił głowę do łona,—
„To syn żałosny tego, co kona.
— „Cóż?—jęknął chory — mijają chwile,
„A księdza niéma, ach! ani blizko:
„Jeden Bernardyn a rannych tyle.
„Pewno obchodzi pobojowisko...
„O duszo moja, o duszo biedna!
„Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?“
— „Bredzisz rotmistru, ot byle skrucha,
„Bylebyś w sercu nie miał rozpaczy,
„Sam Bóg spowiedzi twojéj wysłucha,
„Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
„Odbyłeś spowiedź tuż przed *potrzebą*,
„Umierasz w boju — toć pewne Niebo.“
„Tak to jurysta cieszył chorego —
„Temu rumieńcem zaszła twarz blada,
„Po siwych rzęsach łzy ze krwią biegą,
„Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
„Nagle dostojne oblicze zmienia,
„Wyrazem bolu czy przypomnienia,
„I głucho jęknął: — „Grzeszyłem dosyć,
„Lecz żal otwiera niebieskie wrota.
„Umiałem ciernie życia przenosić
„Jako ofiarę grzechów żywota,
„Strzegłem jak mogłem grzesznego łona,
„Reszty niech Męka Pańska dokona.
„Jeden grzech tylko, grzech to nie świeży,
„Moją śmiertelną godzinę plami,
„Ciężkim kamieniem na sercu leży

„I stawia piekło tuż przed oczami.
„Któż mię rozgrzeszy, kto mi przebaczy?
„Boże mój, Boże! chroń mię rozpaczy.
„Zbliżcie się tutaj dopóki pora,
„Głośno go wyznam, o bracia moi!
„Może skruszona moja pokora
„Gniewne oblicze Boga rozzbroi.
„Zbliż się mój synu, zważ każde słowo:
„Bo waść nagrodzisz winę ojcową.

* * *

„Burzliwy byłem w młodości mojéj—
„Jeno przy czarce, jeno we zbroi,
„Niekiedy tylko znużony szałem
„Litewski Statut w przemian czytałem:
„Obcą mi była wszelka zabawa,
„Okrom oręża, kufla i prawa.
„Z takich rozrywek—z naprawy czarta,
„Idzie nieprawość siłą poparta;
„Było to grzechem, lecz w owéj chwili
„Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
„Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy
„Wciąż nam szeptali, cośmy powinni;
„Lecz choć się człowiek spowiedzią skruszy,
„Z młodemi laty, z duchem Sarmaty,
„Idzie tak samo jak inni.
„Mijały wiosny, mijały lata,
„Szumiał jak wicher wiek mój swawolny,
„Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
„A ja zostałem ziemianin rolny.
„Tutaj zbytkując huczno i gwarnie,
„Nabyłem sobie nielekkiéj sławy:

„Nie było psiarni nad moją psiarnię,
„Nie było konia jak mój cisawy;
„Nie było miodu jako mój lipiec,
„Nikt w koło nie miał takiego wąsa,
„A przy odgłosie rzęsistych skrzypiec
„Nikt tak polotnie w tanku nie pląsa.
„A biada temu, kto mi zawczasu
„Nie umknął z drogi, — młodzi czy starzy!
„A trzykroć biada, kto mi do lasu,
„Kto mi do pola wedrzeć się waży,
„Kto mi wśród tanka parę odbija,
„Albo mi mruknie słówko sromotne!
„Bo wnet, jak zmówić Zdrowaś Marya,
„Wyzwę na rękę i uszy otnę.
„A jak na biedę, miałem sąsiada:
„Pan Maciéj Brochwicz o mnie nie stoi.
„On mi bywało do lasu wpada,
„On się przymila mojéj dziewoi,
„A na pałasze bił się tak świetnie,
„Że mię i nieraz ciężko obetnie.
„Wtém weszli Szwedzi — w wojennéj porze
„Któż o prywatnym myśli raukorze?
„I my z Brochwiczem, bracia koledzy,
„Złożyli z serca kłótnię zawziętą:
„Nie pora myśleć o swojéj miedzy,
„Kiedy z miedzami ojczyzny kręto.
„Rycerska szlachta na konia siada—
„Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
„A wojna szwedzka waściom wiadoma,
„Lecz opowiadać nie pora wcale;
„Dość, że po wojnie zasiadłem doma,
„A sąsiad jeszcze bije Wandale.

„Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
„Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
„Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
„W kije i rydle uzbrajam chłopy,
„I w dziesięć koni na pole jadę,
„Tam gdzie graniczne stały okopy.
„Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
„Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem.
„Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy,
„Za morg zabrany — dziesięć odjąłem;
„I nowe kopce (piekielna rada!)
„Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.
„Nazajutrz tedy o rannym świcie
„W sto moich pługów ruszyłem żywo,
„Orze się skiba na cudzém życie,
„Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo, —
„Kopiec graniczny gdzieindziéj stoi,
„Miedzę i zboże zorali chłopi;
„Już ani znaku dawniejszéj Troi,
„Staréj granicy nikt nie wytropi.
„Lecz myślę sobie: Zabrałem jawnie,
„Tylu jest świadków, wszystko widocznie,
„Jakże zabory moje uprawnię,
„Kiedy mnie sąsiad pozywać pocznie?
„Począłem dumać — sprawą szatana
„Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
„Sąsiad miał lamus w środku zagrody,
„Co prapradziadów pamiętał jeszcze,
„Ściany ciosane z dębowéj kłody,
„Drzwi kute blachą, zamki jak kleszcze,
„Miał postać baszty pięknego gmachu,
„Chorągiew z herbem skrzypi na dachu.

„W takich lamusach w wojennéj chwili
„Przodkowie nasi skarby swe kryli.
„Sąsiad mój sobie szlachcic biedota,
„Pereł, brylantów nie miał i sztuki;
„Lecz miał papiery droższe od złota,
„Pamiątka dziadów, spadek na wnuki.
„A waszmość wiecie, — takiego plika
„Szlachcic pilnuje jak serca w łonie:
„Tu się szlachecka pewność zamyka,
„Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
„Tu pergaminy odwiecznéj daty,
„W nich bezpieczeństwo dla twojéj głowy,
„Że były szlachtą twe antenaty,
„Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
„Zniszczyć papiery — to znaczy może
„Zniszczyć na mieniu i na honorze.
„A ja w szaleństwie... i z jakiém czołem
„Ja się na świętą własność targnąłem!
„Gdybyż to w zwadzie, albo rozterce,
„I po rycersku, zbrojno, otwarcie...
„Ale to spodlić szlacheckie serce,
„Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!
„Bo oto w nocy z mojéj namowy
„Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
„Podpalił głównią lamus dębowy,
„I poszły z ogniem odwieczne karty.
„Ja stałem w oknie — noc była czarna,
„I z niepokojem patrzę k'téj stronie, —
„Oto buchnęła łuna pożarna,
„Pewno graniczny dokument spłonie,
„Uprawnię tedy mój zabór cały...
„Sumienie jękło... padłem omdlały.

„Powraca sąsiad — załamał ręce,
„I mnie obwinia sprawcą pożogi;
„Ale ja pewien, że się wykręcę,
„Hardo stawiłem bezczelne rogi.
„Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,
„Lecz jakże dowieść nocnéj kradzieży?
„Jednak zapozwał przed trybunałem,
„Żem sprawca gwałtu i konflagraty:
„Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
„On bez dowodów, a ja bogaty;
„Kopce granicą z obojéj strony,
„Więc cały zabór mnie przysądzony.
„Czułem zgryzoty w sercu i w głowie,
„Alem sumienie skałą zawalił.
„Powrócić krzywdę — toć każdy powie,
„Żem zabrał grunta i lamus spalił.
„A on bez chleba, z proga do proga
„Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie;
„W końcu zdał pomstę na Pana Boga,
„I tak mi uszło moje bezprawie.“

* *
*

„Tak stary rotmistrz prawił swe dzieła—
„Głos jego słaby zamrze niedługo;
„Krew mu obficiéj z czoła trysnęła,
„Płynie po zbroi czerwoną strugą,
„Płynie po wąsach i usta klei,
„Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
„Tchnął — żyje jeszcze, natęża płuca,
„Chce jeszcze mówić, co duszę boli,
„Ale już słabo, cicho, powoli,
„Słówko po słówku ledwie wyrzuca:

— „Synu! to moja spowiedź—ty napraw me grzechy,
„A wy bracia nademną miłosierdzia proście.
„Umieram bez kapłańskiéj kościelnéj pociechy...
„Na święconych mogiłkach nie spoczną me kości.
„Synu, wieź je do domu—chcesz ulżyć méj duszy?
„To je pogrzeb' pod lasem, na polu, przy gruszy,
„Tam były stare kopce granicy sąsiada.
„Dziesięć morgów na prawo—to grunt, co zabrałem,
„Oddaj je Brochwiczowi—i biada ci biada,
„Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiém ciałem!
„Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecię
„Będzie kopcem granicznym zobopólnéj miedzy...
„A gdy gruntów sąsiada nie odda me dziecię,
„Wnet wyrodka do sądu pozwijcie koledzy;
„Rozpowiedzcie rzecz całą ojcowskiemi słowy,
„A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy...
„Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie...
„Grób mój... kopiec graniczny... pod gruszką...
[słyszycie?"
„Rzekł, uderzył się w piersi i opuścił szyję,
„Krew się przestała sączyć... Rotmistrz już nie żyje.
„Poklękli nad umarłym uzbrojeni męże,
„A jam się modląc ocknął."

XXV.

— „Bałamucisz, księże!
„Ja poznałem od razu—to nie było we śnie;
„Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:
„Abym powrócił grunta Brochwiczowéj wdowie,
„Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,

„Chociaż—proszę aspana—rzecz jasna jak złoto...“
— „Nie sroż się, panie Pawle, tu nie idzie o to,
„Czy to sen marny, albo rzeczywista jawa,
„Czy grunt dzierżysz bezprawnie, albo wedle prawa;
„Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo,
„Jak kochasz twe zbawienie i tarczę herbową,
„Jakeś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
„Walecznego rotmistrza chorągwi pancernéj —
„Powiedz mi (boś się nigdy kłamstwami nie zmazał),
„Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał?
„I czy tam, gdzie kazano, pogrzebł ojca kości?“
—„Jużci... proszę aspana, w tém nie masz pewności...
„Ów syn... pan Piotr Dęboróg... a mój pradziad prosto,
„Był za Jana Trzeciego rzeczyckim starostą
„I człekiem wielce skąpym—pokój jego duszy:
„Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
„Pochował go za rzeczką dziesięć morgów daléj,
„Tam, kędy *violenter* kopce usypali —
„A tak uprawnił zabór. Trudno dociec z dzieła,
„Gdzie wtedy gruszka rosła, jak rzeczka płynęła.
„Kto to wie? w ciągu wieków wszak przemiana bywa.
„Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
„Że syn Piotra, Mateusz, piwniczy nadworny,
„Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny.“
—„I cóż? wygrał, czy przegrał?“—definitor spyta.
—„Ani wygrał, ni przegrał—forsował i kwita.
„Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,
„Że jak sprawę zahaczą w taktowym regestrze,
„Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
„Komportacye papierów, badania miejscowe;
„Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału
„Od sądów podkomorskich do spraw trybunału.

„Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
„Niełacno się pan Brochwicz dekretu doczeka,
„Niełacno się w Temidy dokołatać wrota.
„Dęboróg miał pieniądze—a Brochwicz hołota—
„Pan Mateusz wziął górę. Za pamięci naszéj,
„Tymoteusz Dęboróg, słonimski strukczaszy,
„Jego syn a mój ojciec—jako ślad znachodzę,
„Chciał załatwić rozterki w polubownéj drodze;
„Lecz potém się rozmyślił—obliczył z chudobą:
„Nikt się nie dopomina, dawność miał za sobą,
„A grunta tak wybornie zarodziły latem,
„Że zostawił przy sobie ich *haereditatem*,
„A jam po ojcu objął całe Dęboroże.“
— „Wielkie—rzekł definitor—miłosierdzie boże!
„Pociesz się, panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
„Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa:
„Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
„Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednéj chwili,
„Rozzbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
„Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem,
„Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy z dala
„Kamień grzechu i zgryzot, co-ć piersi przywala.
„Obaczysz... w twojéj duszy jaka będzie zmiana,
„Gdy wrócisz cudze grunta.“
— „Ot, proszę aspana,
„Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrotą?
„Wszak wdowa po Brochwiczu nie prosi mię o to,
„I co powie, mospanie, cnych przodków oblicze,
„Po których Dęboroże ojczyste dziedziczę,
„Żem uszczuplił odwieczną praojców siedzibę
„Choćby o jeden zagon? choć o jedną skibę?...“

XXVI.

Tu definitor powstał jak w stanowczéj dobie,
I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki:
—„Ej, wara, panie Pawle, wspominać twe przodki!
„Bo czy waszmość masz serce, czy masz wasze głowę
„Skazywać twoich przodków na męki czyscowe?
„Widziałeś cień rotmistrza, co cierpi tak srodze:
„Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennéj drodze?
„Nie pomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga:
„Ot! błąka się po nocach i potomków błaga,
„Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
„Co niesłusznie przywłaszczył. Czyż dalsi przodkowie
„I całe pokolenie parenteli waszéj,
„Pan starosta rzeczycki, piwniczy, strukczaszy,
„Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?
„Czy tam nie pokutują za krzywdę sierocą?
„Czy myślisz, panie Pawle, że zbiór ich katuszy
„Nie spadnie na rachunek waszmościnéj duszy?
„Syn, wnuk i chrześcianin, szlachcic jak należy,
„Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?
„Czy to po chrześciańsku? pytam: czy to pięknie?"
—„Dosyć... proszę aspana... bo serce rozmięknie"—
Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,
I ocierał łzy bujne rękawem kubraka.
Zamyślił się i dodał: — „Prawda, prawda święta,
„Lecz są ważne przeszkody, są *impedimenta:*
„*Pro primo*, trzeba wyznać i powrócić jawnie,
„Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,
„I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma;
„*Secundo*, starych kopców i śladu już niéma,

„Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda:
„Oddaj kurowi grzędę, to zechce ogroda.
„Potrzecie... grób rotmistrza... święte przodków kości,
„Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?
„Potém... proszę aspana... w szlacheckiéj chudobie
„Dziesięć morgów nie żarty—pomyśl tylko sobie!
„Toż i tak Dęboroże już nas nie przeżywi.
„Na taką szczodrobliwość i mój syn się skrzywi,
„Bo on po mnie dziedziczy — a z czego żyć będzie?“
—„Gdzie rzecz o cudzą własność, nic nie masz na [względzie!—
Zawołał definitor ze świętą powagą;—
„Bóg dobry, i nikogo nie opuścił nago;
„A zresztą choćby żebrzeć przy kościelnéj wieży,
„Jednak *redde quod debes*, oddaj co należy!
„Ale nie pójdziesz z torbą, już moja w tém rada.
„Jest sposób i powrócić grunta do sąsiada,
„I honor twoich przodków ocalić najściśléj,
„Że grabieży i zwrotu nikt się nie domyśli,
„I syna zaspokoić zręcznie a korzystnie,
„Że na oddanie gruntów i słówka nie piśnie.
„Słowem: przebłagasz Nieba, a dom twój, widocznie
„Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;
„Otrzymasz przebaczenie za twe antenaty,
„Zysk w niebie, a na ziemi—ani na grosz straty.“

XXVII.

— „Jakiż to dziwny sposób? ot, proszę aspana,
„Oto ręka szlachecka niczém, nieskalana,
„Oto *nobile verbum*, słowa nie zmitrężę,

„Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,
„A na wszystko przystanę! Niech odetchnie stary.
„Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,
„Co dawniéj mię dręczyły, a dziś mego syna,
„Ta domu Dęborogów widzialna ruina —
„Och! to mi rani serce okropniéj od noża.
„Poradź mi!“
— „Niechaj przyszły dziedzic Dęboroża
„A godny syn waszmości za mnie już dogada,
„Czy chce wojny, czy zgody z rodziną sąsiada?
„Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści,
„Jak ją spełnić bez ujmy rodowitéj cześci,
„Wedle Boga, sumienia i słuszności całéj,
„Aby się dusze przodków w Panu radowały.“
— „Jak to zrobić—rzekł ojciec—nie widzę dokładnie,
„Gdy ja zgadnąć nie mogę, to jakże syn zgadnie?
„Wszak starość przed młodością rozumem się szczyci.
„Tak trzymali pobożni księża Jezuici.
„Przy trockim wojewodzie niech-no się odważy
„Młodzieniaszek mieć więcéj rozumu niż starzy!...“
— „O! — rzecze definitor — i ja przy tém stoję.
„Starość ma swoje prawa, a młodość ma swoje.
„My starzy mamy rozum z doświadczeń i biedy,
„A oni sercem widzą — i jaśniéj niekiedy;
„A więc gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
„Posłuchajmy serc młodych—tam skarb nieprzebrany!
„No! śmiało, panie Janie, niepróżno cię dręczę,
„W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze.
„Podsłuchałem w gorączce twe marzenia chore,
„I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
„Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem.“
Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,

Przywodząc mię za rękę do ojcowskiéj ławy,
A jam blednął i kraśniał i drżałem z obawy
Srożéj niźli przed owém rotmistrza widziadłem.
Wreszcie jak bezprzytomny na kolana padłem.
—„Ojcze!—rzekłem nieśmiało, jak młode pacholę —
„Przebacz, że bez twéj wiedzy dałem sercu wolę:
„Kocham córkę Brochwicza — bo chodząc na łowy,
„Częstom odwiedzał dworek sieroty i wdowy.
„Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą;
„One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,
„Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie...“
— „Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie?—
Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo;—
„Zdaje się taki sensat... pokochał... i kogo?...
„Córkę tych, co od wieków... co może lat dwieście...
„Byli nieprzyjaciołmi... Ej sidła niewieście!!
„Oplątać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje
„I herbu Dęboroga jedyne nadzieje...
„Bratać się z Brochwiczami... O! nie! żart na stronę:
„Musisz puścić *per non sunt* zapały szalone.“
—„Nie, mój ojcze—odpowiem z błagalnym wyrazem:
„Już nie wydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem.
„Dałem słowo — i żadną nie zhańbię się zmianą.
„Ja pierwszy pokochałem... i... mnie pokochano.
„Święte uczucia serca — to nie mary senne,
„A miłość nasza czysta, jak niebo wiosenne.“
—„No! zręcznie-ć ułowiono!—to zuch jakaś dziewa.
„Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa,
„Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata,
„Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata —
„Co tu począć z przysłowiem?“
— „Cóż to! czy my dzieci? —

Zawołał definitor —„Ktoś dwa słowa skleci,
„To dla tego zapomnieć przykazania Boga!
„Cóż to! związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
„Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele,
„(Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
„W obu domach mieszkańcy poczciwi choć prości,
„Nikt tam nie stawił sideł na syna waszmości,
„A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
„Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
„Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
„Dała uczuć swéj córce, że odtąd niemożna
„Ani widzieć kochanka, ni się pismem znosić,
„Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić
„Dla swego jedynaka.—I cóż waszmość na to?
„Grzechy kończą się karą, a cnota zapłatą.
„Pamiętaj, panie Pawle, że kara łupieży,
„Że grzech kilku pokoleń na twéj głowie leży,
„Że dom wasz podupada — i niech Bóg zachowa,
„Ostatnia jego gałąź zawiędnąć gotowa.
„Młode serce, jak ogień paląc się wyniszcza —
„Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza?
„Po niém błąka się widmo i przemawia do cię:
„*Redde! redde quod debes!* — wróć krzywdę sierocie!“
Ojciec zalał się łzami, — za rękę go chwyta:
— „Błogosławionyś, księże, jakby Jezuita!
„Nawet, proszę aspana, trocki wojewoda
„Przyznałby, że masz słuszność... A zgoda już! zgoda!
„Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
„Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze.“
To mówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy;
Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:

— „Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,
„Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
„Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
„Niech będzie godzien swego herbu i nazwiska.“
Potém definitora serdecznie uściska.
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów szwedzkich tę sprawę zaleli.

XXVIII.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza.
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza,
Polubił Zosię i jéj matkę starą,
Złożył mój affekt — a serca ofiarą
Nie pogardzono. Tak w jednym obchodzie,
I młodym sercom, i rodowéj zgodzie,
I cieniom przodków spełniło się zadość.
Było wesele, miód, wino i radość,
I sporne grunta, zarośla i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się weselą,
Mówią pacierze, lub grają w drużbarta.
A kiedy ojcu poszczęści się karta,
Popija miodek i z ogniem nielada
O wojewodzie trockim rozpowiada.
A gdy już sporna zaorana miedza,
Ksiądz definitor rzadko nas odwiedza,
Choć go błagamy raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas, jak u dzieci.
Ale ze starcem sprawa nie tak łatwa,
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,

W niejednéj wiosce i w niejednym dworze
Są nieszczęśliwi — a któż im pomoże?
Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,
Tam ktoś w rozpaczy na duchu upada,
Tam pełno starych i chorych Łazarzy,
Któż ich nawiedzi, kto ziółek nawarzy?
A tam już może puka kto we wrota
O pokarm ciała, lub o Chleb Żywota.
Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
Bronuje pole i mówi pacierze.

XXIX.

Gdyśmy w miłości i bojaźni bożéj,
Widmo rotmistrza nigdy nas nie trwoży.
Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny.
Tam, gdy domowa dola lub niedola,
Idziem się modlić — a Pan Bóg litośny,
Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
Zawsze gorącéj modlitwy wysłucha,
Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
Lub serce wzmocni i otuchy doda.

1847.—1850 Załucze.

Epilogos do drugiego wydania.

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)
Oddawał Dęboroga pod drukarskie prassy,

Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,
Że je tak dobrém sercem łaskawie przyjmiecie.
Dziś, kiedy rozrzewniony jak na dłoni baczę,
Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy
Zagrać na waszych sercach, kreśląc kraj rodzimy,—
Rumieniec zawstydzenia do twarzy mi bije,
Żem tak mało ulepszył drugą edycyę.
Może przynajmniéj z łaski posłuchać zechcecie,
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.
Stary Dęboróg umarł ku powszechnéj szkodzie,
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;
Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,
Oczyszczony pokutą, wzmocnion Sakramenty,
Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbowéj
Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy. [rzeszy,
Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,
Wymodlił mu w niebiosach dekret miłosierny,
I obaj z wyżyn patrząc na litewską stronę,
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa,
I troje małych wnuków, nowe pokolenie,
Rośnie krzepkie jak dęby, zwinne jak jelenie.
Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny:
Że szlachcic stworzon z inszéj, a chłop z inszéj gliny.
Przebaczmy staréj głowie—przebaczmy tém szczerzéj,
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.
Szlachta na całéj Litwie jest bracią swéj włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości;

W wioskach, słyszę, dostatek, wyplenione chwasty,
Zakwitnął bujném kwieciem nasz wiek dziewiętnasty;
Obruszać się na szlachtę nie miałby sposobu
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.
  Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,
Jak grób jego porasta darniną zieloną.
Młodzi Dęborogowie i naród z daleka
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka.
O nim serdeczna pamięć łzy im sączy z oka;
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,
A przykład jego cnoty nie zaginął marnie,
Bo długo jeszcze będzie umacniał owczarnię.
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;
Lecz dzisiaj kościół święty, prawowiernych matka,
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,
Co własne swoje dusze za owczarnię kładną,
Co pracują na polu, znoją się w kościele,
Dzielą ze smutnym smutek, z wesołym wesele,
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,
A lud boży przykładnie ich nauki słucha,
Z ich serca, jak ze źródła, czerpiąc dobre wzory
Dostojnego ubóztwa i świętéj pokory.
  Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;
Ty zasię strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznio postępu, świtaj nad mą głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowéj ciemności otchłanie,
Gdy promienni twém światłem zajrzym do podziemi,—
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszemi.
Bo biada naszéj głowie i twym blaskom biada,
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada

I głosem uroczystym zagrobowéj mary
Rzecze: „*Redde quod debes*, płaćcie dług wasz stary!...
„Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę
„Na wasze ręce silne, na głowy uczone, —
„Od zgonu waszych przodków do dzisiejszéj chwili,
„Obliczcie coście wzięli, coście przymnożyli?
„Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,
„I więcéj kwiatów w polu, i cnót w sercach ludzi;
„Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,
„U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie,
„Równych synów ludzkości odkupionych z krzyża
„U was pycha herbowna pewno nie poniża;
„Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi,
„Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;
„A skoro Bóg nagradza cnotę zasłużoną,
„Toć i wasze niebiosa błękitniejsze pono...“
Och! bolesno posłyszeć taki głos z mogiły:
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,
A choć zda się dokoła zielone przestworza,
Po trawce nie rozeznać kąkolu od zboża.
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:
Bo nie zgadnie do jakiéj nastroić się nóty,
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

7 maja 1855. Borejkowszczyzna.

ZAŚCIANEK PODKOWA.

Gawęda szlachecka z 1812 roku.

PODRÓŻNY.

Boże, co za spiekota! pot czoło opływa...
Prędkoż mię do gospody zawiedzie ta ścieżka?
Ziemio rodzinna moja! szczęsny, kto tu mieszka,
    Biedny, kto podróż odbywa!
Hop mój koniu! choć pianą i potem okryty,
Choć pan twój ledwie żyje ze skwaru, z niewczasu!
Tam za górą, na łące widać jakieś szczyty:
    To może strzecha popasu.
Mylę się... to są gruzy starego kościoła,
Tynk opadł, okna puste, wyszczerbione mury,
Na dachu szkielet krokwi nienakrytych zgoła,
    A w klonie dzwon sygnatury.
Co za rozkoszne miejsce! a pustkami stoi,
Odłogiem leży pasmo pól i sianożęci...
Jak tu pięknie w olszniaku ów strumień się kręci!
    On nas spragnionych napoi.
Puszczę konia na trawę, a sam wodą czystą
Orzeźwię się, umyję i ręce i skronie;
A ległszy na murawie, olszyną cienistą
    Spaloną głowę osłonię.

ŻEBRAK.

Dzień dobry, mój paniczu! Niech cię Pan Bóg broni,
Niech chowa w swojéj opiece.
Wiedz, że tutaj na łące niewolno paść koni,
Niewolno poić w téj rzece.

PODRÓŻNY.

Jak to! mówisz: niewolno,—a czyjaż to łąka?
Czy jesteś stróżem najętym?

ŻEBRAK.

Tak panie, jestem stróżem, jak pies, co się błąka,
Czując nad skarbem zaklętym.
Stróżem jestem; ten kościół, te spalone krzyże,
Cmentarz, zkąd panisko dyba,
Te łąki, te poletki i te wody chyże,
To moich przodków siedziba.
Czy widzisz za kaplicą gruz pieców ceglasty?
Widzisz ten komin wyniosły?
Czy widzisz stosy węgla, pokrzywy i chwasty,
Co na popiele wyrosły?
Czy widzisz tę w zagonach ziemię nieuprawną?
Nie zawsze była jałową!
Przed trzydziestu latami... niezbyt jeszcze dawno
Tu stał zaścianek Podkowa, —
Tak narzeczon od herbu, co rodu zaszczyty
Głosił z niepamiętnéj pory,
Bo my choć biedni, mamy klejnot rodowity,
Co dał nam Stefan Batory.

Bo to za owych czasów nasz przodek Konstanty
Nabył swój klejnot dostojnie:
Kiedy Stefan Batory zdobywał Inflanty,
Zyskał szlachectwo na wojnie.
Od niego to pochodzi parentela nasza,
Drzewo wspaniałéj postaci:
Syn Konstantyna Krzysztof zrodził Tobiasza,
Tobiasz zrodził trzech braci;
Najstarszy był Mikołaj, jego gałąź trzyma
W rodzie pierwszeństwo ojczyste,
Mikołaj zrodził Pawła, Paweł Joachima,
Joachim Jana Baptystę;
Jan, mosanie, Baptysta, zbaw mu Boże duszę,
To był mój ojciec rodzony.
Ach! coby on powiedział, że ja spędzać muszę
Gościa, co przybył w te strony!
Pan myślisz, że ja bronię łąki i pastwisko
Z jakiéjś nieludzkiéj rachuby?
Nieprawda, jak Bóg żywy, nieprawda panisko!
Ja tylko nie chcę twéj zguby.
Ho! ho! gdybyś zawitał do tego ustronia,
Gdy tu mieszkałem za młodu,
Miałbyś suto murogu i owsa dla konia,
Miałbyś i piwa, i miodu.
Bo tu była zamożność i wiosną, i zimą,
Wiesz, jaka była tu cnota?
Każdy, kto tu przyjechał, lub zabłądził mimo,
Nie wyszedł trzeźwy za wrota.
A teraz, gdy zaścianek przyszedł ku zagubie,
Wiesz, jak przeklęty okropnie?
Biada bydłu, co trawy z téj łąki uskubie!
Biada, kto wody téj złopnie!

A nawet kto tutejszy, mija to bezdroże,
    Bo wie, że ziemia zaklęta,
Albo koło się złamie, lub koń zaniemoże,
    Albo go niemoc opęta.
Mnie pan hrabia tutejszy trzyma za zapłatą,
    Bym stał jak wiecha przydrożna,
I ostrzegał podróżnych i zima, i lato:
    Że tędy jechać niemożna.
Bywało—zorzą drogę—to jedzie kto nie wie,
    I klęskę sobie napyta;
W przeszłym roku, żebraka, ot tu przy tém drzewie,
    Roztrzaskał piorun i kwita.
Czy mało? co rok prawie coś się komuś stanie,
    Kto w to zabłądzi bezdroże.

PODRÓŻNY.

Cóż to jest? czary jakieś?

ŻEBRAK.

Nie czary, mój panie,
    Lecz pomsta musi być boża.

PODRÓŻNY.

Za co?

ŻEBRAK.

Ha! długo gadać, koń trendzlami dzwoni
    Na długie gawędy nasze.
Wiesz pan co? przebrnij rzekę i na tamtéj błoni
    Puść swego konia na paszę.
Tam już grunt niezaklęty i dobre pastwisko;
    Widzisz tę kłodę dębową?
Siądźmy, ja ci opowiem, zkąd to uroczysko
    Zaklętém i *Pomstą* zową.

II.

Tandem więc, jak mówiłem i jak widzisz ślady,
Tu był zaścianek Podkowa,
Tu żyły moje dziady i moje pradziady,
Poczciwa szlachta czynszowa.
A tam daléj za lasem stał dwór murowany,
Z zamkiem, wałami i fossą;
Tu jeńcowie tatarscy budowali ściany,
Jak dawne powieści niosą.
Pan dzisiejszy zmurował pałac znakomity,
Ślad zamku zarosły chwasty,
Ale jeszcze jest brama, a na niéj wyryty
Rok tysiąc sześćset szesnasty.
Jeszcze pamiętam zamek i pana starostę,
Kiedy to jedzie na sejmy,
Przysyła tu hajduka i szlachcice proste
Sprasza na obiad uprzejmy.
Było w naszym zaścianku domów ze dwanaście,
Płacących czynsze za ziemię:
Dziedzic jak grunt wydzielił ojcu protoplaście,
Z wiekiem... rozrosło się plemię.
A czynsz, mospanie, lekki, opłacać aż miło,
Lub służyć w bandzie ochoczéj;
Najczęściéj się do zamku rycersko służyło —
Koń i pachołek z pół-włoczy.
Ale co to za służba? to i znaleźć rzadko!
Wojna, czy sprawa domowa,
Każą jednemu jechać, to całą gromadką
Wali zaścianek Podkowa.
Dziedzic bywało krzyknie: „Pomóżcie mi, chłopcy!“
My lecim z ciałem i duszą,

Czy gdzie karczmę zapalić, czy rozrzucić kopcy,
Wszyscy z zaścianku wyruszą.
Czasem się aż starszyzna rozgniewała nasza,
Kiedy w sianokos lub żniwa
Jaśnie wielmożny dziedzic na sejmik zaprasza
Lub na obławę przyzywa.
Któż pogardzi sejmikiem albo polowaniem?
Więc krzyczy młodzież wesoła:
„Murem, mospanie! murem naszych piersi staniem,
„Gdzie pan starosta powoła!“
Mój ojciec (wieczny pokój!) czasem podziwaczy:
„Ej! młodzi! żnijcie i koście!“
Ale sam się uśmiecha, bo wie, co to znaczy
Wskarbić się w łaskę staroście.
Tylko wolę starosty miéj za rozkaz święty,
A wszystko uzyskać można:
Łąka ci nieskoszona, albo morg nieżżęty, —
Dworscy włościanie go pożną.
Jedno słowo: „Wy bracia, wy sąsiedzi moi!“
Było na ustach paniska;
Bywało zbierze szlachtę, nakarmi, napoi,
Jeszcze do piersi przyciska.
Czasem, gdy stary szlachcic w uroczystym czasie
Zanadto spełnia wiwaty
I upadnie pod ławę, — to w pańskiéj kolasie
Odwiozą starca do chaty.

III.

Tak wiek z wieków, od czasów któregoś Zygmunta,
Szlachta osiadła te grunta;

A ten strumień, co płynie pomiędzy parowy
W kształcie herbowéj Podkowy,
Pamięta, choć w około ślady się zatarły,
Jak dziady i wnuki marły,
Jak prawnuki wzrastały; on powiedzieć może
Wszystkie dopuszczenia boże,
Wszystkie lata wesołe, wszystkie czarne biedy,
Jak szły Tatary i Szwedy;
W którym roku był pomór, w którym znak niebieski,
Sejm, czy trybunał litewski?
Bo nieraz tu starcowie o wieczornéj chwili
Swoje przygody gwarzyli.
Strumień pewno pamięta... dowiedzieć się muszę,
Kto to zaszczepił te grusze,
Które ot tam, usechłszy na zaklętéj ziemi,
Sterczą szkielety nagiemi?
A smaczny miały owoc!... aż dotąd mi w duszy
Smak tych jabłoni i gruszy,
Com je niegdyś obijał z téj gałęzi dużéj,
Co krukom za gniazdo służy.
Strumień mi kiedyś powie, z jakiéj to ofiary
Wzniesiono kościołek stary,
Który tam właśnie sterczał sosnowemi ściany,
Gdzie dzisiaj ten gruz ceglany?
Pamiętam tę kapliczkę drewnianą, nadgniłą,
Gdzie to się do mszy służyło,
Gdziem z pod saméj wieżyczki, dla marnéj uciechy,
Wykręcał wróble z pod strzechy;
Gdzie z chóru jakby z tronu poglądałem dumnie,
Gdziem ojca zakopał w trumnie,
Gdzie brałem ślub, gdzie dla mnie i starzy, i mali
Veni Creator śpiewali.

Jasny był dzień! ej jasny! lecz w oczach mi ciemno...
Panie! zlituj się nade mną!
Stare oczy a głupie—wspomnisz dawne dzieje,
To z nich się i łza poleje.
Fraszka łza i wspominek!—tylko duch rozżarzy,
Wypala zmarszczki na twarzy;
A jeszcze cudzy człowiek, widząc, że my płaczem,
Gotów się zaśmiać cichaczem.

IV.

Po starych dobrych czasach—ot przyszedł wiek nowy.
Nastały czarne lata na szlachtę z Podkowy,
Przeminął czas sejmików, jak mija sen marny,
Zhardział nasz pan starosta niegdyś popularny,
Zostaliśmy magnatom niezdatni i biedni,
Minęła łaska pańska, minął chleb powszedni.
Tam grad pola wybije, owdzie chata spłonie,
Trudno już było wyżyć na naszym zagonie,
Gdzie się nowe kłopoty zjawiały co chwilę,
Gdzie czynszmi obłożono we dwójnasób tyle,
Gdzie, nie bacząc na starca lub niewiastę chorą,
W dzień świętego Marcina okna ci wybiorą.
Ej, te nieszczęsne czynsze! jakby kość do gardła...
Przez nie to w rok po ślubie żona mi umarła,
A gdyśmy wieźli trupa, pachołek pijany
Konia mi z pod śmiertelnéj wyprzągł karawany.
Znosili twardą biedę Podkowianie starzy,
Gniew trząsł się na ich wąsach i zmarszczkach na twarzy,
Nieraz pobiedz do zamku i rąbać się chcieli;
Do boku! och! na teraz szkoda karabeli!

Szkoda poczciwéj broni! Choć cię w sztuki potną,
Cierp, szlachto podkowiańska, zelżywość sromotną,
  Pan starosta, co naszéj urągał się biédzie,
Rozumiał, że na niego śmierć nigdy nie przyjdzie;
Śmierć przyszła swoją drogą—pan leży w kościele...
On wiele uszczęśliwił i ukrzywdził wiele;
Niech mu Bóg dobrotliwy jego win nie baczy,
Niech mu jedno nagrodzi, a drugie przebaczy!...
Źle nam było pod koniec — lecz gniew nastał bozki,
Gdy syn jego, pan hrabia, odziedziczył wioski:
Sam z człekiem i nie gadał, a dworskie kozaki
Krwawo i łzawo szlachcie dali się we znaki.
Szlachta lubi polować, a tuż las graniczy.
Biada, jeśli ze strzelbą spotkał cię leśniczy!
Biada, jeśli dziewczęta niebaczne, bo młode,
Zerwą kwiatek na łące lub w lesie jagodę!
Biada, jeżeli trzoda za rzeczkę choć wbieży!
Nie unikniesz pogróżek, gwałtów i grabieży!
Kiedyśmy szli do hrabi skarżyć się na zgraję,
Psami szczwały nas z zamku francuzkie lokaje;
A pan, jeśli do niego docisnąć się zdarzy,
Obelgą cię nakarmi lub czynem znieważy.
  Myślisz — hrabia, co bronił swe lasy i pasze,
Wzajemnie kiedy miedze uszanował nasze?
Gdzie tam! — konno, ze psami, z harapem u pasa,
Codzień po naszych łąkach i pastwiskach hasa,
Nasze zboże tratuje, poniewiera marnie,
Lub na naszych owieczkach zaprawia swe psiarnie.
A jeśli się pożalisz, to cię sfuka o to:
  „A milczeć mi! zuchwała, niewdzięczna hołoto!
„Jeżeli wam niedobrze na tutejszéj stronie,
„Precz mi z mojego gruntu! ja odejść nie bronię!“

Próżno się człowiek modli i litości czeka —
Wciąż jedna sprawiedliwość i jedna opieka.

V.

Wtém dziwne wieści krążą po powiecie,
Trąby francuzkie po za Niemnem dzwonią,
Dwa groźne wojska stanęły pod bronią,
I hrabia wspomniał, żeśmy ludzie przecię.
Czy to z nadziei, czy z jakiegoś strachu,
Wnet powziął ku nam najżyczliwsze chęci;
Ot! jak chorągiew na zamkowym dachu,
Tak serce hrabi za wiatrem się kręci.
Grzecznie się kłaniał, aż jednéj niedzieli
Odwiedził wszystkich czynszowych swéj ziemi,
Uściskał młodzież, szeptał ze starszemi,
Kląkł przed kaplicą, i wszyscy klęknęli...
Modlą się, gwarzą — już i noc zapada,
A jeszcze trwają modły i narada.
Nazajutrz, ledwie poranek zabłyska,
Znikła z zaścianku młodzież od wyboru,
Zniknęły konie z naszego pastwiska,
Zniknął pan hrabia ze swojego dworu.
W siedzibach naszych jeno pozostali
Drżący starcowie albo chłopcy mali,
Kobiety słabe, lub kto mimo chęci
Pozostał doma z wiarą i otuchą;
W zaścianku naszym jak w grobowcu głucho,
Nie słychać brzęku kos na sianożęci, —
Nie zarżą konie na wieczornéj paszy,
Trwożna niewiasta co godzina blednie,
Bo wyją wilki, których nikt nie straszy,

I puhacz puha czarne przepowiednie,
I smutno jakoś w chmurach się rozbija
Echo od dzwonka na *Zdrowaś Marya.*

VI.

Robocze lato wyzwało nas z domu.
Po ukraińsku rozrosło się żyto;
Kłos z niebem gada i chleba obfito,
Tylko pracować i jeść nie ma komu.
Kilku staruszków — ot cała drużyna;
Dziad chce pracować, lecz mu ręka mdleje,
Tylkoby śpiewał godzinki za syna,
Lub przypominał starodawne dzieje;
Kilku młodzieńców, co niby to skoro
Rwą się do pracy, by rozerwać serce,
Ale na polu do kółka się zbiorą,
Gwarzą o bitwach, mundurach, żołnierce.
A pora schodzi — przeminął czas suszy,
Mgłami jesieni powlokło się słońce,
Zboże niezżęte sypie się i kruszy,
Trawy stwardniały i zeschły na łące;
Ledwie gdzie niegdzie wytykają głowę
Kopice siana lub mendle zbożowe.
Nastała jesień, cały plon się kwasi,
I tak zmarniała całoroczna praca.
A gdzie pan hrabia? gdzie rycerze nasi?
Nie masz i wieści, gdzie kto się obraca.
Nastała zima o niezwykłéj porze,
Pan Bóg na ziemię zagniewał się biédną —
Śniegi głębokie wypadły na dworze,

W białéj zawiei i świata niewidno;
A mróz ognisty z jesieni jak chwyci,
To trwa do wiosny ku ludzkiéj zagubie;
Niejeden zginął i w rysiowéj szubie,
A cóż nędzarze łachmanem okryci?
Włóczą się wszędy i o każdéj chwili
Przemarzłe dziady, żołnierze, Żydziska,
I częste wieści od pobojowiska:
Tu zbili jednych, tam drudzy pobili,
Owdzie wygrana, owdzie straszna klęska,
Owdzie pod tego, tam owego wodzą,
Z pod Borysowa, Możajska, Smoleńska,
Wieści po wieściach jak gromy dochodzą.
Jeden im wierzy, a drugi nie wierzy,
Lecz pełno westchnień, postów i pacierzy,
Codzień pod kościoł ciśnie się gromada,
Modli się z płaczem i ofiary składa.

VII.

W początkach Adwentu, o szaréj godzinie,
Do naszéj chałupy zeszła się gromada,
I w koło zasiadłszy przy ciepłym kominie;
Ten szczepie łuczywo, ten wzdycha, ów gada;
Mój ojciec przy oknie, w płóciennej opończy,
Sieć wiąże na ryby i pacierz swój kończy.
A był to czas mroźnéj zamieci i słoty —
Wiatr silny—aż ściany łamią się i trzeszczą,
A wicher śnieg skręca i składa w sumioty,
I świszcze w kominie piosenkę złowieszczą.
Wtém drzwi się rozpadły: ktoś zziębły, wąsaty,
Przy szabli i w burce wtoczył się do chaty.

Przeraził nas wszystkich ten napad z nienacka,
Wiadomo, jak w wojnie żołnierze zuchwali;
Czy banda westfalska, czy sotnia kozacka,
Zrabuje, spustoszy, a może i spali.
— „Niech będzie pochwalon!“ — zawołał przybyły.
— „Na wieki i amen!“ — odrzekła gromada.
Ot jakoś nieznacznie przybyło nam siły:
— „Kto chwali Chrystusa, kto tak do nas gada,
„Nie może być rabuś,“ — rzekł ojciec spokojnie. —
„Ot dzięki Ci, Boże, są wieści o wojnie!“—
I zatknął u pasa święcone paciórki—
A żołnierz śnieg otrząsł z kaszkieta i burki,
I z lodu ocisnął namarzłe wąsiska...
To Stefan—to brat mój... Z pochmurném obliczem
Podbieżał do ojca, kolana mu ściska,
I wita się z nami — my bieżym i krzyczym,
Witamy, ściskamy, radością wzruszeni:
— „No cóż tam? jak idzie? jak się wam powodzi?“
Tysiące zapytań, jak z procy kamieni,
Rzucają z pośpiechem i starzy, i młodzi.
— „Źle idzie,—rzekł Stefan:—skończyła się praca,
„Już nasze rojenia minęły, uciekły;
„Już Francuz w cieplejsze krainy powraca,
„Przemarzły, przelękły, pobity i wściekły.
„Bóg z nimi, mój ojcze! ja u was w gościnie,
„Konika popasę i ruszam z kopyta:
„Za Wisłą, za Niemnem, na cudzéj krainie,
„Być może, że słońce nam jeszcze zaświta.
„O! wtedy to z hrabią rachunek uczynim —
„On stchórzył na polu, gdzie ogień się krzesze,
„Porzucił nas wszystkich, co byliśmy przy nim,
„Zapragnął Paryża i powiózł depesze,

„I żołd nasz zagarnął na domiar swéj zbrodni.
„Ej hrabio, nie ujdziesz pałasza lub kija!
„My tutaj krew lejem, i głodni, i chłodni,
„A waszeć w Paryżu gdzieś winko popija!
„Jedź z Bogiem, pij z Bogiem wesoły i zdrowy,
„Nie zginiem bez ciebie, kochany sąsiedzie!
„Nas wzięto po półkach—a szlachcie z Podkowy
„Ze strzelbą czy z lancą niezgorzéj się wiedzie,
„Bo Pan Bóg nad nami litować się raczy.
„Zwyczajnie jak wojna—wszelako się zdarzy:
„Piotr został raniony od piki kozaczéj,
„Jan krzyżyk otrzymał za wzięcie bagaży,
„Franciszek w szpitalu, bo rąbał się szczerze,
„(Nie lękaj się ojcze, nie będzie kaleką),
„Mikołaj kapralem przy głównéj kwaterze;
„O reszcie ja nie wiem, bo półki daleko.
„Dziś idziem do Niemiec, choć pędzą za nami,
„Posłyszycie wkrótce nowiny rozgłosne,
„A śladem za wieścią my do was, my sami,
„Z jaskółką, z bocianem powrócim na wiosnę.“

VIII.

Ale wiosna nie chybia, jak człowiecza dola.
Przyszło cieplejsze słońce, śnieg otopniał z pola,
Strumień otrząsł się z lodu i swobodnie płynie,
I bocian zaklekotał... ot na téj olszynie!
I przyleciała czarnych jaskółek gromada,
A każda coś szczebiocze, każda rozpowiada...
Któż tam, proszę, potrafi dowiedzieć się od niéj?
Może pokłon przynosi z krainy zachodniéj?

Ale gdzie tam... dla Boga! — och! ku naszéj strzesie
Czarny kruk chyba z wojny wiadomość przyniesie,
I rozpowie krakaniem żarłocznego gardła;
Matka głos ten pojęła, i szatę rozdarła,
I załamała ręce... Serce matki zgadnie,
Choć wojna za górami, gdzie kula upadnie.
Sprawdził się przestrach ojców i matek w Podkowie,
Sprawdziło się co czarni krakali krukowie:
Bo wszystka niemal młodzież, cała nasza siła
Gdzieś w niemieckiéj krainie głowę położyła;
Kilku jeno wróciło poranionych srodze,
Z krzyżykami u piersi, na drewnianéj nodze,
Lub na szczudłach żebraczych. Mała z nich usługa,
Okaleczałe ręce niezdolne do pługa,
Młode jeszcze, lecz kulą zgruchotane barki
Nie podźwigną ciężaru chatniéj gospodarki.
Stary ojcze i matko! to cóż, że wy starzy?
Idźcie na chleb pracować dla biednych nędzarzy,—
Nie każdemu sądzono w jednostajnéj mierze
Wypoczywać na starość, szeptając pacierze.
Ojcze, bierz się do pługa, matko, idź do żniwa,
Pracujcie i na syna, co z ran dogorywa,
I na czynsze, dworową zakreślone kartą,
Aby wam w dzień zimowy okien nie wydarto.
— „Co tam czynsze? wszak hrabia powrócił już, słyszę,
„Wspomni na swojéj broni wierne towarzysze —
„On niegdyś grosz ich zabrał, dziś w potrzebnéj porze
„I młodych pożałuje, i starych wspomoże.“
Tak starcy, pocieszając swój frasunek srogi,
Powlekli się do zamku żebrzeć zapomogi.

IX.

Zajrzyj do ula ciemnego kąta:
Jak się rój cały przy matce krząta,
Jako tam w roju z życzliwych dzieci
Jedno drugiego w pracy wyściga,
To niesie matce balsamy z kwieci,
A drugie wody kropelkę dźwiga;
Każde się krząta, ile sił starczy,
A matka wiedzie ład gospodarczy.
Tak szlachcic czynszem, a kmiotek znojem
Karmią i poją dziedzica ziemi,
Żeby on za to czuwał nad niemi,
Jak matka pszczelna czuwa nad rojem;
Żeby miał litość dla naszéj biedy,
Gdy się o litość poprosić zdarza, —
Żeby przynajmniéj kiedy niekiedy
Choć dobrém słówkiem wspomógł nędzarza...
Lecz nasze pany to taka matka,
Co tylko miody ssie do ostatka!
A kiedy chciwość wstąpi mu w oczy,
Przed zimą wygna swój rój roboczy.
Więc nasi starcy, poczciwe dusze,
Przyszli do zamku w dobréj otusze,
W dobréj otusze weszli do sali
I za kolana hrabię ściskali.
A gdy się z płaczem boleść przekłada,
Gdy proszą wesprzeć ich biedne siły,
Przerwał im mowę ptaszek nielada,
Pański służebnik z Niemiec przybyły;
Zwał się *Agronom* (Bóg wiedzieć raczy,

Czy to nazwisko, czy urząd znaczy).
Rzekł do hrabiego:—„O! w téj Podkowie
„Widziałem jadąc wyborne zboże;
„Kiedy nie płacą szlachta panowie,
„Wygnawszy szlachtę, folwark założę.“
— „Zgadzam się na to—odpowie hrabia—
„Piękna posiadłość z tego się sklei...
„Wypędzić szlachtę, wszak grunt obrabia
„Bez żadnych nadań i przywilei.
„Wypędzić szlachtę! Aspan w tym względzie
„Trafiłeś całkiem po mojéj chęci;
„Przynajmniéj nadal szkody nie będzie
„W lasach, na polach i sianożęci.
„Tak! idźcie z Bogiem, panowie moi,
„Wasze sąsiedztwo w gardle mi stoi!“

Szlachta jęknęła:—„Za cóż nam, za co
„Nie dają spocząć w ojców mogile?
„Tu każdy zagon spulchniło pracą,
„Oblało potem pokoleń tyle!
„Wszak my i w wojnie, wszak my i doma
„Biegli na każde pańskie skinienie,
„Wierność szlachecka była wiadoma
„Od pokolenia na pokolenie;
„Niech naszych przodków poświadczą kości
„I te portrety przodków waszmości.
„Cofnij się, hrabio, w swoim zamiarze,
„Nie daj się uwieść namową zdradną,
„Bo za nieludzkość Pan Bóg pokarze,
„Bo ci łzy nasze na głowę spadną!“ —

Tak uroczyście, wznosząc ramiona,
Zawołał głośno najstarszy z grona.

Hrabia się gniewnie nasrożył za to,
A pan Agronom, co bliżéj stoi,
Znieważył starca trzciną sękatą
I wygnał za drzwi z pańskich podwoi.

X.

I wypchnięto nas z gruntów rękami przemocy...
Zawitał Święty Jerzy w sam dzień Wielkiéjnocy,
Gdyśmy zdrowi i chorzy, i starzy i mali,
W kaplicy *Alleluja* radośnie śpiewali.
Któż z nas nie zna téj chwili obfitéj rozkoszą,
Gdy z rzewnego wesela aż piersi się wznoszą,
Kiedy dzwony podają uroczyste hasło,
A jeszcze na cmentarzu ognisko nie zgasło?
Lud się ciśnie z kościoła, jak mrowie z mrowiska,
Wszyscy się pozdrawiają, brat brata uściska,
Wszyscy serca z sercami, rękę spletli z ręką,
A skowronek drze piersi radosną piosenką;
Wiatr cię nawet świątecznym uściskiem ogarnie,
Serce ani poczuwa, że idą męczarnie.
Rankiem było na niebie i w sercach różowo,
Wieczorem czarne chmury zwisły nad Podkową:
Oto groźni spojrzeniem a strojem wytworni,
Konno lecą pod kościoł pachołkowie dworni,
Na czele pan Agronom. Ten z karty nam czyta,
Że dzisiaj Święty Jerzy i z dzierżawy kwita,
Że grunt nasz już zajęty we dworskim obszarze,
A pan hrabia nam dzisiaj precz wyruszyć każe.
Szlachta gwarno zawrzała: „Krzywda i sromota!“
Lecz hałastra: *Precz!* krzyczy i kijmi nas grzmota,
Straszy końmi niewiasty i obala dzieci,

Jęk, płacz jakby w dzień sądu pod niebiosa leci,
Miesza się z echem dzwonu, ściele się po ziemi;
Starzy zaleli oczy łzami gorącemi,
Oczy żarem błysnęły — a stara i śmiała
Krew szlachecka ukropem w sercach zakipiała.
Mój ojciec siwą czapkę nacisnął u czoła:
— „Bij, kto poczciw!“—grzmotliwie do swoich zawoła:
I wnet tłumią się w ciżbę blizcy i dalecy,
Starcy ujęli kije, a szczudła kalecy,
I zakipiał bój wściekły; ale trudna rada —
Niemiec uciekł i wrócił, z nim chłopów gromada.
Rzucili się na chaty służalcy zuchwali,
Brzękły okna, sprzęt chatni na dworzec się wali,
Wyganiają dobytek, pastwią się siepacze,
Trzoda ryczy, dzwon jęczy, ciżba niewiast płacze...
Trudno pokonać siłę — więc starzy dokoła
Zbierają się i radzą. Jeden z nich zawoła:
— „Oj! piersiami nie przeprzeć, kędy woda płynie!
„Sądzono nam na starość iść po żebraninie,
„Idźmy, ładujmy wozy i zabierzmy dzieci;
„Nie nad samą Podkową słońce boże świeci.
„Na ziemi dobrzy ludzie przygarną nam głowy,
„Na niebiesiech jest Pan Bóg i grzmot piorunowy.
„Oj, te odwieczne grunta, te zielone pasze,
„Kaplica naszych ojców i te domy nasze!
„Tutaj serce przyrosło... aleź w czarnéj doli
„Na co wróg ma się cieszyć, że nas serce boli?
„Na złość sercu, po mężku, ot tak, w jednéj chwili,
„Niech i śladu nie będzie, żeśmy tutaj żyli!“
Starzec otarł swe oczy roziskrzone śmiele,
Wbiegł na cmentarz, gdzie ogień tlał jeszcze w popiele,

Rozdmuchał czarną głównię i silnym zamachem
Rzucił ją na kaplicę ze słomianym dachem —
A ciżba przerażona jeno patrzy z dala,
A starzec wybiegł z ogniem i strzechy zapala.
Wiatr się wzdyma, zahuczał, skręca się nad jarem,
Ogień dymi się, czai i buchnął pożarem.
Trzeszczą belki i krokwie pod słupem ogniska,
Chałupa po chałupie w głównie się rozpryska,
Nikt pożaru nie gasi — bo nasza gromada
Krząta się koło wozów i tłomoki składa,
I ucieka z pożaru — a dworna czereda
Nie troszczy się o pożar, bo mu rady nie da.
I ogień coraz słabszy, coraz niżéj błyska,
Sterczą kominy z cegieł i stos popieliska,
Sterczą zwęglone drzewa, i jeno do góry
Wspina się kolumnami dym czarny i bury,
I jeno czarny obłok, jak chusta grobowa.
Rozciąga się nad miejscem, gdzie stała *Podkowa.*

XI.

A mieszkańcy Podkowy za lasem daleko,
    Pan Bóg wie dokąd się wleką —
Dym rodzinnego zgliszcza rozciąga się torem
    Za ich sierocym taborem,
I głowę ściska bolem i przegryza oczy,
    Aż łzę z pod serca wytłoczy.
Trzody ryczą, a wozy obarczone srodze
    Skrzypią po gleistéj drodze.
Mąż smutnie zwiesił głowę, a niewiasta kwili,
    Żeśmy złéj pory dożyli.

Gdzie się biedni przytulim? oto noc się zbliża...
    Chyba pod ramiona krzyża,
Który stoi w równinie i trochę wesela
    Biednemu sercu udziela.—
Zatrzymaliśmy wozy, i przed krzyżem z drewna
    Klękła gromadka niepewna,
I piosnkę *Alleluja* w cześć Wielkiéj niedzieli
    Wszyscyśmy sercem huknęli.
Och! tę samą piosenkę jeszcze dzisiaj rano
    W naszéj kaplicy śpiewano!
Któżby wtedy powiedział, że w wieczór zapłaczem
    Nad naszém życiem tułaczém?
Że domy i kaplica, i wspomnień tak wiele
    Zginą w pożarnym popiele?...
Lunął deszczyk wiosenny—jego święta władza
    Zbolałe serca ochładza,
I słońce się przedarło z za obłocznéj ściany,
    Świat jakby złotem oblany,—
Krzyż zabłysnął, i świętém miłosierdziem płonie
    Chrystus w cierniowéj koronie!
A nadzieja na każdéj zjawiła się twarzy,
    Że Pan Bóg wesprze nędzarzy.
Zmówiliśmy pacierze, i siadłszy w oddali,
    Chleb wielkanocny łamali,
I spożyli baranka na ucztę ostatnią,
    I pożegnali się bratnio.
Cztery drogi rozstajne schodzą się przy krzyżu —
    Jeden miał krewnych w pobliżu,
Drugi miał nieco groszy, więc ruszył na wzwiady
    Gdzieindziéj szukać posady,
Trzeci strzelał bez pudła, więc przy jakim dworze
    Myśliwcem zrobią go może...

Inny z nabożną książką kędyś przy plebanie
Może dzwonnikiem zostanie
I będzie uczył dzieci... Tak radząc się w tłumie,
Każdy przypomniał co umie.
I poszli w cztery strony Podkowianie biedni
Pracować na chleb powszedni.
Tylko starzec bezdzietny, co w ciężkiéj chorobie
Oślepnął na oczy obie,
I młodzian, w bitwie lipskiéj porąbany srodze,
Siedli pod krzyżem przy drodze,
Czekając dobrych ludzi, którzy, idąc drogą,
Żebraków chlebem wspomogą.

XII.

Hrabia z dwornemi złączył nasze pole
I gospodarzy jako tylko może.
Czasem i piękne udało się zboże,
Lecz z niego nie miał korzyści w stodole;
Bo jakaś klątwa, czy boża niełaska,
Nie da mu z cudzéj pożytkować pracy:
Jednego roku grad kłosy potrzaska,
Drugiego roku podgryzą robacy;
Czasem już żniwo i do sterty zwali,
To grzmotnie piorun i stertę zapali.
I bujno łąki zarastają nasze,
Lecz deszcz ich kosić i zebrać nie dawa;
Hrabia je kazał obrócić na paszę,
Lecz jadowita znalazła się trawa.
Gdzie były chaty, gdzie miejsca cmentarne,
Lęgną się węże i gadziny czarne.

Sumienie przecię skruszyło dziedzica,
Zrozumiał przecię, że to Niebios plaga:
Na starém miejscu, gdzie stała kaplica,
Zmurował kościół — i to nie pomaga.
Przypatrz się jeno tym gruzom kościoła:
Tu grom niebieski powyszczerbiał mury,
Na dachu krokwie niepokryte zgoła,
A tylko w drzewie dzwonek sygnatury;
Kiedy się wicher rozhula po błoni,
Dzwon się kołysze i ponuro dzwoni.
Tak gdy Podkowa przyszła ku zagubie,
Bozkie przeklęctwo ściga ją okropnie —
Biada, gdy bydło tu trawy uskubie,
Biada człekowi, co tu wody żłopnie!
Gdy kto nieświadom zbłądzi w to bezdroże,
Musi przypłacić lub życiem, lub zdrowiem,
I hrabia uznał dopuszczenie boże,
Kazał to miejsce zostawić pustkowiem,
Zaorać drogę i posadzić człeka,
By tędy stopa nie przeszła niczyja;
I lud tutejszy trwożliwie ucieka,
Przychodzień miejsce zaklęte omija.
I nasza stara podkowiańska niwa
Dziś *Uroczyskiem Pomstą* się nazywa.

XIII.

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki moje,
Byli panom potrzebni na sejmy i boje,
Głaskali nas, poili w uprzejméj postaci,
I nosiliśmy imię: miłościwych braci.

Minęły stare czasy, a wśród różnéj zmiany,
I braterstwo, i miłość zapomniały pany.
Czytasz z pańskich postępków i na pańskiéj twarzy
Pogardę i szyderstwo z herbowych nędzarzy.
Staroświeckiego szczęścia nieznaczno ni śladu.
Oj panisko! złe lata!...

PODRÓŻNY.

Daj pokój, mój dziadu!
Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat — to szerokie pole; pełno na nim chleba;
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce...
Bywało, nasza szlachta, czy w wojennéj chwili,
Czy rozprawia na sejmie, czy puhar wychyli,—
Znał ją świat i podziwiał potęgę olbrzyma.
Dzisiaj, gdy wojen, sejmów i puharów niéma,
Niech nasz umysł u świata na podziw zasłuży.
Bądź zdrów, panie Podkowa!

ŻEBRAK.

Szczęśliwéj podróży!

1 grudnia 1850.

ŻEBRAK-FUNDATOR.

GAWĘDA KLASZTORNA.

I.

Z torbą na plecach, w wypłowiałéj kurcie,
Dziad siwobrody, schylony przez lata,
Stanął pokornie przy klasztornéj fórcie
I drżącą ręką we dzwonek kołata.
Stary kapelusz cienił starą głowę,
Na czarnym sznurku wisiały u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi,
A u popręgi paciorki bukowe.
Żebrak czy pielgrzym? — a któż jego zbada?
I któżby zresztą troszczył się o dziada?
Starzec we dzwonek fórciany kołata.
Była to fórta bernardyńskiéj braci —
Snadź musi pomnieć staroświeckie lata,
Snadź i ojcowie tutaj niebogaci.
Klasztor i kościoł budowane z drzewa,
Czasy Witołda pamiętają pono;
Ściany się trzęsą, kiedy wiatr powiewa,
Dachy słomiane zakwitły zielono,
Przy starych ścianach rozrosły się chwasty,
Szorstka pokrzywa i oset kolczasty.

Starzec za sznurek pociągnął potrzecie,
Rozbity dzwonek gdzieś głucho kołata —
Wreszcie ktoś idzie — otwarła się krata —
Odźwierny spytał: „A czego tam chcecie?“
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

II.

I rzekł:—„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
„Oto do miejsc cudownych wybrałem się w drogę,
„Ślubem po żebraninie obchodzę te strony,
„Ale głodny, schorzały, daléj iść nie mogę.
„Mam moje święte wota, chcę czynić im zadość,
„Ale cóż? stare nogi nie służą mi sporno,
„Stare kościska bolą... ej! starość nie radość;
„Ojcowie! chcę gościny za fórtą klasztorną,
„A za dzionek, za drugi, orzeźwiwszy duszę,
„Powiem szczerze: *Bóg zapłać*, i daléj wyruszę.
„A może tutaj umrę, no! to zawsze lepiéj
„Umrzeć w świętym klasztorze, niż na drodze pono;
„Przecię kapłańska ręka powieki zasklepi
„I trupa choćby wodą pokropi święconą.
„Ojcze! powiedz starszemu, że tu dziad w podróży
„Prosi o miskę strawy i schronienie skromne;
„A za to, czyli umrę, czy żyć będę dłużéj,
„Nigdy w moich modlitwach Ojców nie przepomnę.
„Uczynność nie stracona—wszak wiesz ksiądz dobro-
[dziéj,
„Kiedy żebrak przychodzi, sam Chrystus przychodzi;
„Kropla wody, co podasz ze szczerego łona,
„Na sądzie ostatecznym będzie policzona!“

III.

Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.
Odźwierny fuknął: — „A toż co się znaczy?
„Niedobrześ trafił, morałów twych szkoda;
„Tu klasztor księży, nie szpital żebraczy,
„Ani zajezdna żydowska gospoda;
„Tu nie masz chleba i kątka dla ciebie,
„U nas ciasnota i ubóztwo wszędzie,
„My sami żyjem o żebranym chlebie;
„Ruszaj ztąd, dziadu, nic z tego nie będzie!
„A zresztą... zostań, odpoczniéj za bramą,
„A ja się dowiem do starszyńskiéj celi,
„Możeć jałmużny gwardyan udzieli—
„Lecz pewien jestem, że powie to samo.“
I tak odźwierny z niechęcią na twarzy
Odszedł i zniknął w głębi kurytarzy.

Wkrótce powrócił:—„Mówiłem za pewno,
„Że się nie wnęcisz pod klasztorne szczyty;
„Ksiądz przełożony ofuknął mnie gniewno:
„ — „Czy my bogacze? czy my Jezuity?
„Czy widzą u nas pałace w klasztorze,
„Że się włóczęgi chcą wnęcać bez pracy?
„Na nas poddaństwo nie sieje, nie orze,
„Sami jesteśmy w Chrystusie żebracy!
„Dziad, mówisz, chory — umrze gdzie pod progiem,
„To nowy kłopot, chować go potrzeba.
„Dajcie mu piwa i krajankę chleba,
„I niech co prędzéj wynosi się z Bogiem.“ —“

Tak rzekł odźwierny i z sobą coś radzi,
W środek klasztoru żebraka przyzywa,
I dał mu w izbie klasztornéj czeladzi
Krajankę chleba i szklanicę piwa.
Dziad się orzeźwił — i z bożego domu
Wyszedł pokornie cieniem kurytarzy,
I siwym wąsem mrugnął pokryjomu,—
Czy to był uśmiech, czy boleść na twarzy?
Potrząsnął głową, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

IV.

Pokulał w miasto — o kroków niewiele
Stała kaplica drewniana i nizka,
Z cmentarza brzydkie oczyszczono ziele,
Na dachu krzyżyk jak gwiazda połyska;
Kapliczka nowa, skromna i chędoga,
Że gwałtem pragniesz modlić się do Boga.
Tuż przy kaplicy stoi domek cichy,
Na dachu krzyżyk a u okien kraty,
Znać, że i tutaj zamieszkały mnichy,
Znać, że i tutaj zakon niebogaty.
Nad fórtą obraz: wielkiemi rozmiary
Skreśleni więźnie, księża i Tatary.
Starzec uklęknął i uchylił głowę;
Snadź do modlitwy zapalony szczerze,
Odpiął od pasa paciorki bukowe,
Bije się w piersi i liczy pacierze;
I słońce zaszło, i ciemno na dworze,
A starzec jeszcze z Bogiem w rozhoworze.

V.

Wtém ktoś mu rękę na ramię położy.
Dziad się obejrzał: oto kapłan przy nim—
Ubrany biało, jakby anioł boży,
Krzyż ma na piersi purpurowy z sinim.
— „Wybacz mi, dziadu, żeć przerywam modły.
„Znać, że odbywasz pielgrzymkę pobożną,
„Lecz kiedy ciebie losy tu przywiodły,
„Wiedz, że przed nocą odejść ztąd niemożno.
„Nie tobie ziębnąć na wieczornym chłodzie,
„Nie jesteś młodzik, krew ci się nie żarzy,
„Nie szukać kąta w żydowskiéj gospodzie,
„Gdy masz pod bokiem klasztor Trynitarzy.
„Z łaski Najwyższéj, choć dostatków niéma,
„Lecz nie jesteśmy ubodzy i głodni,
„Znajdzie się szklanka wina dla pielgrzyma,
„Znajdzie się kątek na noc dla przychodni.
„Chodź za mną, stary! dam ci w szczupłéj celi
„Misę pokarmu i siennik pościeli.“

Dziad się pokłonił i szepnął nieśmiało:
— „Ej! chciałbym spocząć we schronieniu świętém!
„Miałem już dzwonić, lecz męztwa nie stało,
„Człowiek w łachmanach nie chce być natrętem.
„Wasz klasztor szczupły, jako z wierzchu baczę,
„Och, dobry księże! nieśmiałość mię bierze:
„Gdzieby tam miejsce na szmaty żebracze?
„Gdzieby tam waszą objadać wieczerzę?“
Ksiądz się ofuknął, i podnosząc ręce:
— „Boże! — zawołał — co ten człowiek plecie?

„Myż Trynitarze, wykupując jeńce,
„I wzdłuż i wpoprzek włóczym się po świecie;
„Toć w Tureczczyźnie i w tatarskim Krymie,
„Kiedy obaczą, żeś pielgrzym z daleka,
„Proś o gospodę w Chrystusowe Imię,
„Dadzą ci miskę kobylego mleka;
„A tu, mój bracie, przecię nie Tatary,
„Lecz klasztor polski, co w Chrystusa wierzy!
„Niema co gadać, chodź ze mną, mój stary,
„Resztę modlitew skończysz po wieczerzy.“
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VI.

Nocował z bracią, a nazajutrz rano
Nie poszedł w drogę. Dni za dniami biegą,
Dziad nie odchodzi, bo i niema czego,
Gdy mu tak dobrze za kratą fórcianą.
Pod bokiem kościoł, — korzystając z pory,
Starzec się modli od samego ranka,
Daléj obiadek, a daléj nieszpory,
I przyjacielska z ojcy pogadanka.
Ma czysty siennik i wygodną celę,
Ma w refektarzu swój stolik, gdzie jada;
Nawet w drewnianym i szczupłym kościele
Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
Tydzień i drugi dziad bawi z rozkoszą,
Lecz być natrętnym nie wypada dłużéj;
Jużby i poszedł, lecz go księża proszą:
„Pozostań, starcze! wypocznij z podróży!“

I tak do siebie przywykli nawzajem,
Że kiedy przyszło pożegnanie rzewne,
Dziad się nie kłaniał żebrackim zwyczajem,
Lecz ściskał ojców jakby swe pokrewne—
Przełożonemu oddał ze swéj szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VII.

Dziad powędrował—i wieść przepada,
I zapomniano starego dziada.
Aż oto... minął miesiąc nie daléj,
Pańska karoca po bruku pali,
A za nią wozów ładownych w zboże
Wązka ulica objąć nie może.
Strojny w bogate z futrem czamary,
W karocy siedzi pan jakiś stary.
On skinął ręką—i wozy staną
Przed Trynitarską fórtą drewnianą;
Pan wysiadł z wozu, i przed kościołem
Zdjąwszy swój kołpak, uderzył czołem,
A jako dobrze świadom téj strony,
Poszedł do celi, gdzie przełożony.
Widząc, że postać tak znakomita,
Ksiądz przełożony u progu wita,
Prosi do celi, jeżeli łaska;
Pan się uśmiecha i brodę głaska:
— „Ej, dobry księże! czyż w nowéj szacie
„Starych znajomych już nie poznacie?
„Patrzaj — jaż przecię żebrak ten samy,
„Coś z przed kościelnéj przywiódł mię bramy,

„Coście tak długo, ojcowie mili,
„Chlebem karmili, winem poili;
„Dziś znów przychodzę do was gościną,
„Lecz niosę z sobą mój chleb i wino,
„I was zapraszam do mego stołu;
„Co Bóg udzielił, jedzmy pospołu,
„A co zostanie, użyjem godnie:
„Zjedzą ubodzy albo przychodnie!"
Ksiądz przełożony patrzy ciekawie,
Nie wie, czy we śnie, czy to na jawie,
Nie śmie zadawać pytań starcowi.
Ten się uśmiechnął i daléj mówi:

VIII.

— „Nazwisko moje: Paweł Maikowski,
„Bóg mię na długie błogosławił lecie,
„Mam piękny dworzec, przy nim cztery wioski,
„Miłość u ludzi i urząd w powiecie.
„Byłem szczęśliwy wpośród dziatwy grona,
„Lecz sądów bożych nikt nie zna, nikt nie wie;
„Umarła dziatwa, umarła mi żona,
„Zostałem jeden, jako liść na drzewie.
„Gdy drodzy sercu, gdy zmarli jedyni,
„Tęskno mi było w mym złoconym gmachu;
„Jęczałem smutnie, jak ptak na pustyni,
„Jako kruk nocny, co czuwa na dachu.
„I rzekłem w duchu: dopomóż mi, Panie!
„Dolę, niedolę złożyć w Twoje ręce,
„Niech dusza moja spokojną zostanie,
„Na chwałę Twoją me włości poświęcę!

„Bóg mię wysłuchał w utrapieniu mojém
„I duszę świętym nawiedził spokojem.

„A więc skwapliwy ze śluby mojemi,
„Przed Sakramentem przysiągłem w kościele,
„Grosz mego skarbca i majątek ziemi
„Oddać na dobre dla ludzkości cele:
„Na jakiś zakon, co w świętéj pokorze,
„Z otwartém sercem jako Zbawca stoi,
„Pełni nad bliźnim miłosierdzie boże,
„Łaknących karmi, pragnących napoi,
„Co garnie ludzi, jako Chrystus dzieci,
„Słabych umocni, a ciemnych oświeci.

„Jest pełno mnichów, wszystko niebogaci,
„Wszyscy gorliwi i święci być mogą;
„Jak zrobić wybór między tylu braci?
„I kogo wesprzeć moją zapomogą?
„Więc jąłem czytać zakonnicze prawa,
„I patryarchów klasztornych statuta;
„Widzę, że wszędzie zbawienna ustawa,
„Jeśli występkiem ludzkim nie popsuta.
„Jakiż tu wybór i różnica jaka?
„Duch Święty środek poszepnął mi na to:
„Przywdzieję szmaty prostego żebraka,
„Sam się przekonam za klasztorną kratą,
„Gdzie ludzie bardziéj w zakonie zupełni?
„Kto piękniéj cnotę miłosierdzia pełni?

IX.

„Więc z kijem w ręku, w żebraczéj odzieży,
„Szedłem do miasta w pokornéj postaci;

„Zliczyłem krzyże od kościelnych wieży,
„I zapukałem do najpierwszych braci.
„Ojcze, szanując ich sukienkę świętą,
„Tego klasztoru głośno nie nazowę—
„Dość, że mnie ztamtąd zelżywie wypchnięto,
„Gdym prosił chleba w Imię Chrystusowe.
„Poszedłem daléj—przed memi oczyma
„Stanął klasztorek świętego Bernarda,
„I tam do zbytku uprzejmości niéma,
„I tam mię gorzka spotkała pogarda,
„Tylko mi dała ręka litościwa
„Krajankę chleba i szklanicę piwa.

„Tak mię to zimne przyjęcie odstrasza,
„Że w waszą fórtę nie pukałem zgoła —
„Tylko ukląkłem, a uprzejmość wasza
„Sama żebraka wzięła z pod kościoła;
„Wyście mi dali ojcowską gościną
„Chleb i gospodę, i serce, i wino.
„Ślub mój spełniony—niech w waszym klasztorze
„Zostanie moja posiadłość ojczysta;
„Tu się wypełnia miłosierdzie boże,
„Tu z moich darów społeczność skorzysta;
„Skorzysta więzień, co wykupu czeka,
„Stary przechodzień i żebrak kaleka.

X.

„Oto, mój ojcze, przyznany w urzędzie
„Akt fundacyjny księży Trynitarzy.
„Ze czterech wiosek dostatecznie będzie
„Przyjąć żebraka, kiedy się nadarzy,

„I dźwignąć z muru kościelną budowę,
„I monasteru kurytarze nowe.
„Ja wszystek grosz mój składam w twoje ręce,
„To będzie dla mnie starego na kaszę —
„Bo ja się do was na gościnność wnęcę.
„Dawny znajomy, wiem porządki wasze:
„Dacie mi ciepłą choć malutką celę,
„I w refektarzu stolik gdzie się jada,
„Nawet pamiętam, że w waszym kościele
„Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
„Potém mię pogrześć będziecie łaskawi,
„Bo już przeczuwam swój kres niedaleki;
„Niechaj się co rok kilka mszy odprawi
„Za mego życia i w potomne wieki.
„A gdy z mych wiosek będziecie bogaci,
„Spełnić wam jeden warunek potrzeba:
„Złóżcie corocznie bernardyńskiej braci
„Beczułkę piwa i bochenek chleba;
„Bo oni w kuchni swego refektarza
„Chlebem i piwem przyjęli nędzarza."

XI.

Obok zamku, co stare przypomina dzieje,
Murem obwiedzion kościoł i klasztor bieleje.
Tak tu święcie, tak cicho, że westchniesz z rozkoszą!
W kruchcie siedzą żebracy i jałmużny proszą.
Zapytaj ich, przechodniu, a każdy ci powie,
Kto dał pierwszy początek ceglanéj budowie:
Że bogaty fundator w żebraczym ubiorze,
Probując gościnności, był w każdym klasztorze.

Że zewsząd odepchnięty, choć kłaniał się nizko,
Tu jeno chrześciańskie znalazł przytulisko;
Że przezeń Trynitarze zostali bogaci,
Że włożył obowiązek na zakonnych braci,
By ojcom Bernardynom, jako rok upływa,
Składali bochen chleba i beczułkę piwa;
Że ten stary obyczaj aż dotąd się trzyma,
Że dziś ojce gościnnie przyjmują pielgrzyma,
By snadź bogaty żebrak, jeżeli się zdarzy,
Nie powędrował daléj szukać Trynitarzy.

7 grudnia 1850. Załucze.

GRABARZ.

GAWĘDA

W kościele trumna — słychać organy—
I śpiew szpitalnych nędzarzy;
A przy kościele grabarz wpół-pijany
Wsparł się na rydlu i gwarzy:

—„Poczciwy rydel!... służy mi godnie,
Kopie tu żwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie,
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.

„I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono — i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
O biedna... biedna niewiasta!...

„Co tam niewiasta? póki odwyknie,
Płacze i mówi pacierze;
Potém... filozof... jak człowiek łyknie,
To zdrowiéj te rzeczy bierze.

„Na przykład... ktoś tam schodzi ze świata —
Grabarz mu jamę otworzy;
Mniéj jednym człekiem... zdaje się strata,
A może zresztą niezgorzéj!?

„Człowiek stworzenie bozkie rozumne,
Toż go nie pogrześć jak bydło.
Szpital za dzwony, stolarz za trumnę,
Za lampy, świece, kadzidło,

„Ksiądz za msze święte, psalmy pokutne,
Grabarz, że kopiąc się trudzi, —
Każdy grosz weźmie... śmierć — prawo smutne,
A z niéj pożytek dla ludzi!

„Jeden coś traci... to drugi zyska;
Bo wszyscy — boża drużyna.
A tam pod ziemią... trupie kościska
Gniją — zwyczajnie jak glina.

„Na trupie dziecka wąż się obwije,
Mędrcom — szczur wlezie do ucha,
I gniazdo złoży, i mózg mu wyje,
W piersiach dziewicy — ropucha.

„Ej! łzy się kręcą... lecz niema rady;
Nie tylko człeka, co z duszą.
Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady,
I oneż przecię jeść muszą.

„A potém z trupa korzysta bliźni,
Bo zgnije trumna i kościę,
A od zgnilizny grunt się użyźni,
I bujniéj trawa poroście.

„Czyż tylko trawa? Na złego grobie
Rosną pokrzywy i chwasty;
A dobry człowiek wyda po sobie
Jagódkę, kwiatek krzewiasty.

„Lub piękne drzewko wyskoczy hożo,—
Więc idzie korzyść koleją..,
Czasem tak bywa... cmentarz zaorzą,
A na nim żyto posieją.

„I kupa kłosów urośnie z ziarnka...
Och! jak to słodko i ładnie?
Na piersiach ojca córka żniwiarka
Mendel zbożowy nakładnie.

„To cóż, że cielsko zjedzą robaki,
Kiedy grób chleba przymnaża?
Boże mój, Boże! gdyby zgon taki
Na przykład... dla mnie nędzarza!

„Na chwałę Twoją niech idzie, Panie!
Com ja wycierpiał za młodu;
Teraz na starość w zdartéj sukmanie
Ginę od głodu i chłodu.

„Wczora tak słodko, tak miłosiernie
Cieszył mię pleban dobrodziéj,
Że za łzy moje, za moje ciernie
Pan Bóg mię niebem nagrodzi.

„Chcesz mię nagrodzić, Ojcze światłości?
Będę zapłacon obfito:
Niech z moich kości dla potomności
Wyrośnie kwiatek lub żyto.“

1851. Załucze.

O SKARBCU ZAKLĘTYM.

GAWĘDA GMINNA.

I.

Ma swe powieści prostota wioskowa —
A tak im wierzy, że przysiądz gotowa!
Kłamią starcowie, dokłamują młodzi,
I tak się gminne podanie urodzi;
Z ojca na syna, a z syna na wnuka
Idzie naprzykład taka banialuka:

* *
*

Stał sobie zamek przed dawnemi laty,
Żył sobie w zamku kasztelan bogaty;
Znany po całym Wschodzie i Zachodzie,
Rąbał Tatarów jak zielsko w ogrodzie,
Zmurował kościół z miedzianemi szczyty,
Przy nim osadził ojce Jezuity,
Sprawiał dla królów biesiady i łowy,
Wypędzał z gruntów sieroty i wdowy,
Z wielkimi pany żył *za panie bracie*,
Szlachciców chłostał na perskiéj makacie,
Tysiąc mu chłopów uprawiało zboże,
I wielkie skarby zgromadził w komorze.

On żył — zwyczajnie jak książę udzielny,
Umarł — zwyczajnie jak człowiek śmiertelny;
Śladem za dziadem i ród jego ginie,
I groźny zamek stanął w rozwalinie.
Marmur i cegła z wieżycy wyniosłéj
Opadły gruzem i chwastem zarosły;
Po bastyonach, zkąd grzmiała potęga,
Szczur się zagnieżdża i żmija wylęga.
Bóg jeno tutaj przytułek naznacza
Na noc dla zbójcy, na dzień dla puhacza;
Słowem pustkowie!...

Nie całkiem pustkowie —
Spytaj się ludzi, a każdy ci powie:
Że pod gruzami, trzy sążnie od ziemi,
Jest loch zakuty sztaby żelaznemi,
A w lochu skrzynia zakowana młotem,
A w skrzyni skarbiec ze srebrem i złotem,
A na powietrzu, nad gruzami, nizko,
Sine i błędne pali się ognisko.

II.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi;
Zwiedzał to miejsce niejeden ochoczy,
I widział skarbiec na własne swe oczy,
Lecz brać niemożna, bo w głębi pieczary
Jęczy duch jakiś czy pokutnik stary.
Twarz jego sucha, jakby trupia głowa,
W sobolą szubę i w kołpak się chowa;

Ma siwe kudły na brwiach i na brodzie,
Oczyma strzela aż duszę przebodzie;
Iskrzą brylanty u jego kaftana,
Na piersiach zbroja srebrem żwirowana.
On jęczy jękiem żywego człowieka,
A przecię grobem czuć odeń z daleka;
Postać nieznana, krój szaty nieświeży,
Rdza na pancerzu, a pleśń na odzieży.

Brzęcząc w ogniwa rdzawego łańcucha,
Pies z całych piersi groźnym rykiem bucha,
Szczeka i warczy, i pilnuje wnijście,
Z oczu mu patrzy krwawo i ogniście.
Niejeden z mieczem i szepcząc pacierze
Był tam w nadziei, że skarby zabierze;
Lecz byle trafił na jaskinię czarną,
Grobowe jęki strachem go ogarną;
Brytan się rzuca na piersi, na ramię,
Zakrwawi ręce i oręż połamie,
Aż biedny śmiałek, nie mogąc dać rady,
Ucieka z lochu zraniony i blady.

III.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi —
I mówił prymas do pobożnych księży:
— „Niech egzorcyzmem piekło się zwycięży!
„Śpiewajcie psalmy i uderzcie w dzwony,
„Znać że ów pieniądz na kościół sądzony.
„*Orate fratres!* tę duszę coś boli;
„Od mąk czyscowych modlitwa wyzwoli.

„Zbrojny w modlitwę i święconą wodę,
„Ja sam was, bracia, do zamku powiodę,
„I skarb zabierzem.“
I oto kapłani
Wychodzą, w szaty świąteczne przybrani;
Choć po ich czołach pot ocieka zimny,
Biją we dzwony i śpiewają hymny,
Święcą zwaliska, i pełni popłochu,
Przy świetle gromnic tłoczą się do lochu.
I widzą postać zbrojnego widziadła —
Postać jęknęła i na twarz upadła;
Lecz kiedy prymas, za którym szło grono,
Sięgnął rękoma, kędy skarb złożono,
Widmo powstaje, rękę mu odpycha,
Pies brzęknął w łańcuch i zawarczał z cicha.
Prymas nie wątpi, że strachy odegna,
Żegna upiora, i upiór się żegna;
Święconą wodą kropi go co chwila,
Upiór się modli i głowę uchyla.
Więc chrześcianin... nie lęka się krzyża,
Lecz trąca, kto się do skarbu przybliża.

Probują księża wszyscy po kolei,
Śpiewają psalmy: „*Miserere mei!*“
I upiór śpiewa, i uklęka z dala,
Jeno do skarbca tknąć się nie dozwala.
Jęczy, aż echo odzywa się w gmachu.
Kapłani zbladli, umilkli ze strachu
I przerażeni wybiegli z podziemi,
A jęk grobowy ozwał się za niemi.

IV.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi —
I król zawołał: — „Zkąd ten postrach płonny?
„Ej, mości panie podskarbi koronny!
„Znając odwagę waszą nieomylną,
„Wierności waszéj polecamy pilno:
„Ruszaj do zamku! to sprawa ojczysta,
„Rzeczpospolita na skarbie skorzysta;
„A jakieś widmo, co przestrasza księży,
„Mego rycerstwa pewno nie zwycięży.“
Więc uzbroiwszy i piersi, i głowę,
Lecą pancerni w zwaliska zamkowe,
Lecą w sto koni, na śmierć obojętni;
Wesołe echo po zwaliskach tętni,
Mieczami brzęczą, a tu nóta żwawa,
Bojowa surma serca im dodawa.
Zsiedli z rumaków i w szykownéj parze
Tłoczą się w wązkiéj i ciemnéj pieczarze,
Weszli do lochu — cofnęli się w trwodze...
Widmo rycerza klęczy na podłodze.
Wbiega podskarbi (a śmiały był dosyć),
Każe rycerstwu cały skarb wynosić...
Widmo spojrzało strasznemi oczyma,
Wzniosło prawicę, do boku się ima,
I z dzikim zgrzytem, coby wzruszył skały,
Wyciąga z pochwy swój miecz zardzewiały.
Zwarli się bojem — szczękła stal na stali,
Trupie żelazo jakby ogniem pali,

Rąbie pancerze i gruchocze kości,
A brytan skuty wścieka się ze złości,
Skacze rycerstwu na piersi, na ramię,
Zakrwawia ręce i oręże łamie;
Kto się posunie, już na ziemi leży,
Widmo zrąbało secinę rycerzy.
—„Nie walczyć z duchem!—wykrzyknęli sta-
„Nas nie przemogli Szwedzi ni Tatarzy, [rzy,—
„Przemogło widmo, na jawie czy we śnie...
„Trudno dotrzymać, gdy rażą boleśnie!"
Więc bladzi, we krwi, wybiegli z podziemi,
A jęk grobowy ozwał się za niemi.

V.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi;
A lud się dziwi, że nie dany zgoła,
Ni dla ojczyzny, ani dla kościoła.

Jesienną nocą, sierota z poblizka,
Przyszła w ruinach szukać przytuliska.
Wicher się wkradał przez okna i szczyty,
Jęczał od gzemsów ceglanych odbity;
Puhacz wychylił ze strzelnicy głowę
I wydobywał jęki nadgrobowe.
Smutniéj nad wichry, smutniéj nad puhacze,
Młoda sierota narzeka i płacze:
— „O ludzie, ludzie! niech Bóg nie pamięta!
„Jestże na ziemi sprawiedliwość święta?
„Rodzice zmarli, zgorzał dach méj chaty,
„Czyha na cnotę złoczyńca bogaty,

„Abym służyła za hańby narzędzie,
„Zbrojne pachołki ścigają mię wszędzie!...
„Muszę uciekać i tułać się z dali,
„Kryć się od ludzi, by mię nie wydali.
„Straszno mi w nocy! przypadłam bez znaku
„Na grobie matki w cmentarnym sośniaku;
„Ach! przed zbrodniarza dzikiemi oczyma,
„Nawet na grobie przytuliska niéma;
„I tam mię ścigał — biegnę na bezdroże,
„Te puste gruzy ocalą mię może;
„Lecz przyjdzie jutro — ja wyjść ztąd się boję,
„Umrę od głodu — o losyż wy moje!!
„Za cóż ja, za co mam cierpieć tak srogo?
„Nie mam na świecie nikogo! nikogo!

„O! znam ja kogoś, co mi rękę poda:
„Jemu dla biednej i życia nie szkoda!
„On mię tak kocha, mnie przy nim tak miło,
„Jeszczeby szczęście sierocie wróciło!
„Lecz biednym myśleć o szczęściu niewolno,
„On sam na chleb swój pracuje mozolno,
„Z pracy rąk jego wyżywienia czeka
„Zgrzybiały ojciec i matka kaleka.

„Och! marnych groszy gdyby choć niewiele,
„Wnetbyśmy wiarę przysięgli w kościele,
„Potém, gdzie oko, gdzie poniesie noga,
„Na krajby świata uciekli od wroga.
„W słomianéj chacie, na ubogiéj niwie,
„Wiekby nam płynął, oj płynął szczęśliwie!
„Bo niczém praca na polu lub w lesie,
„Byle mieć szczęście, jako sercu chce się.

„Mało co sercu! kiedy dola nie da...
„Ot czeka hańba, albo gorzka bieda!
„Wybierz, sieroto, dopóki masz porę —
„Nie! ja śmierć głodną w tych gruzach wybiorę!“

VI.

Wtém zagrzmiał tętent donośny i długi...
To prześladowca ze swoimi sługi...
Sierota drgnęła i pełna popłochu
Tuli się w gruzy... i wpadła do lochu.
I widzi skrzynię okutą w oddali,
Nad nią w powietrzu ognisko się pali,
Klęczy człek w staréj rycerskiéj odzieży
I pies łańcuchem przykowany leży.
Twarz jego sucha, jakby trupia głowa,
W sobolą szubę i w kołpak się chowa;
Ma siwe włosy, grobem z niego wieje,
Lecz w oczach widać słodycz i nadzieję.
Skinął na skrzynię, potém na dziewoję,
Jak gdyby mówił: „Zabieraj, to twoje!“
I wnet ze skrzyni, jakby cudu dzieło,
Rozpękły sztaby i wieko runęło.

VII.

Sierota w strachu zemdlała, upadła,
I słyszy we śnie, jakby głos widziadła:
— „Owo te skarby we srebrze i złocie,
„Ja przed wiekami wydarłem sierocie;

„Lecz za tom srogą ukaran pokutą,
„Bo serce moje do skarbu przykuto.
„I po mym zgonie zostawszy upiorem,
„Musiałem jęczeć i czuwać nad zbiorem,
„Aż nim sierota cnotliwa a biedna,
„Zabrawszy złoto, zbawienie mi zjedna.
„Zabierz i módl się — bo jest wyrok boży,
„Że twa modlitwa niebiosa otworzy!“
Dziewczę się budzi — i patrzy, i słucha;
Zniknął już upiór, zniknął pies z łańcucha,
Jeno we skrzyni migocą się staréj
Czerwone złote i białe talary.
Sierota klękła, i łzami zalana,
Zaduszne psalmy mówiła do rana,
Porankiem wyszła strwożona i blada,
Z płaczem, ze śmiechem swój cud opowiada.

VIII.

Zbiegli się ludzie poczciwi a prości —
Patrzą na złoto, lecz nikt nie zazdrości,
Szeptają owszem i młodzi i starzy:
— „Dawny kasztelan ukrzywdzał nędzarzy,
„Zgromadził wiele i srebra, i złota —
„To łzy sieroce — niech bierze sierota!“

IX.

W niedzielę idą przed ołtarza progi
Biedna sierota i młodzian ubogi,

I świętych ślubów zaprzysięgli słowa,
I była huczna biesiada godowa. —
Zabrali skarbiec, i świętym zwyczajem
Dzielą się z Bogiem, bliźnimi i krajem,
Sypią jałmużny ku biednych potrzebie,
Murują kościół, że aż widno w niebie;
W kościele zasię modlą się co rana
Za wieczny pokój duszy kasztelana.
Rzeczpospolitéj dali na usługi
Hufiec pancerny i jeden, i drugi,
A co zostało, to jakoś się sporzy...
Żyli w miłości i w bojaźni bożéj.

X.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
W całym się kraju przypowieść rozchodzi, —
A gdy ją każdy powtarzał jak zdoła,
Doszła nakoniec do naszego sioła.
By zaś w późniejszéj nie zginęła dobie,
Ja wziąłem przed się utrwalić ją sobie,
I wedle ludzi statecznych rozmowy,
Spisałem wszystko rzetelnemi słowy.

25 lutego 1851. Załucze.

HETMAN POLNY.

GAWĘDA STARO-ŻOŁNIERSKA.

„Bo gdy doma lwami okrutnemi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami.“ *P. Skarga.*

I.

Po za pagórkiem, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych w miejscach nocleg wypadnie.
„Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
„Z po za pagórka wypaść z nienacka!
„I broniąc nizkie strzechy wioskowe,
„Krymskich bandytów pobić na głowę!“—
Tak już uradził plan całéj sprawy
Wielmożny hetman polnéj buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowéj zbroi,
Nie zawżdy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszcza:

Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,
Robocze woły rznie na wieczerzę,
Znieważa krasne dziewy wieśniacze,
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy
Wielmożny hetman polnéj buławy.

III.

A wtém pod wioskę nocną zaciszą
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:
— „Ej, nie masz Boga jak Allah w niebie!“—
Po bisurmańsku rzekli do siebie:—
„Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
„Sulejman-Murza od przedniéj straży.
„Niechże rabują, niech się ochocą,
„Nam tu zajeżdżać już niema po co;
„Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,
„Wielmożny hetman polnéj buławy.“

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore łuna obszerna;
Hetman na niebo spojrzał z oddali:
— „Na koń, rycerstwo! mój dwór się pali!“—
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
Zamek spalony, służba wyrznięta,
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta...
Na zgliszczach domu modli się łzawy
Wielmożny hetman polnéj buławy.

1851. Załucze.

WIEŚ LUBRANIEC.

FRAGMENT.

I.

Przy staroświeckim gęślowym rozgwarze
Wyśpiewam powieść z oddalonéj chwili:
Na toż wezwani zostali gęślarze,
By dzieje ojców potomkom prawili.
Kronika szkielet przeszłości ukaże,
Pieśń z martwych wskrzesza, gdy trumnę uchyli;
Przeto choć prostéj, choć ubogiéj treści
Z piastowskich czasów słuchajcie powieści.

II.

„Cóż nam, spytacie, z owymi książęty,
Co siedem wieków jak próchnieją w grobie?
Pergaminowy, na klamry zamknięty
Wolumen dziejów niech spoczywa sobie;
Szanując przodków relikwiarz święty,
Oczy ku przyszłéj wytężamy dobie.
Cóż mamy cenić, zapaśnicy młodzi:
Wczorajszy zachód? czy jutrznię co wschodzi?“

III.

Och, nie bluźnijcie! a uchylcie głowy!
Bo z piersi ojców i na ich kurhanie
Rośnie kłos żytni i konar dębowy,
Chleb i osłona, i czoła ubranie;
Tu w szumie liści tajemnemi słowy
Szepczą ojcowie wnukom przykazanie;
Tu przeszłość siwa, zakopcona, śniada,
Młodéj przyszłości rzewnie się spowiada.

IV.

Czerwona cegła lub piaskowiec szary,
Strzaskana baszta lub ściana w ruinie,
To życia ojców zagrobowe mary:
Tu były twierdze, tu były świątynie.
Dziś te wieżyce i ciemne pieczary
Jękliwy puhacz zamieszkał jedynie,
A nikt z prawnuków wsłuchać się nie raczy
W treść tajemniczą piosenki puhaczéj.

V.

W dębowych deskach foliant zbutwiały
Uszedł przed czasu zagładą zdradziecką;
W blade gzygzaki pokreślony cały,
Trudno wyczytać rękę staroświecką.
Ztąd dusze ojców do dziatwy skarlałéj
Zdają się wołać: „Bohaterskie dziecko!
Przyjdź tutaj zgłębić minione koleje,
Posłuchać ducha, co z téj karty wieje.“

VI.

Oj danaż, dana, piosenko kochana!
Zadzwońmy w gęśle, by zebrać słuchaczy;
Śpiewać będziemy sarmackiego pana,
O ile siły wystarczy śpiewaczéj.
A słuchacz, prostym zwyczajem Słowiana,
Niech wdzięcznie przyjmie—a resztę wybaczy.
Przypomnim wnukom pradziadowskie lata,
Uraczym gości czém chata bogata.

VII.

Na tronie Piasta, z krzyżem Mieczysława,
Z Chrobrego szczerbcem, w pancerzu ze stali,
Królował w Polsce z dziedzicznego prawa
Bolesław, co go Krzywoustym zwali;
A jego imię—dla wrogów obawa,
A jego serce jak wulkan się pali,
A jego czoło rzadko się rozchmurzy,
A ramię w boju jak piorun wśród burzy.

VIII.

W dziewiątym roku w niemowlęce dłonie
Brał ciężki bardysz i topór kowany,
Czechów zwyciężał w bojowym zagonie,
Wilczym go synem zwały Pomorzany;
Szesnastoletni już siedział na tronie,
Pierśmi podpierał swego państwa ściany;
Zawżdy wojując, wypoczynku nie zna
W stołecznych murach Krakowa i Gniezna.

IX.

Już cztery lata jak panował godnie
Krakowskiéj, szlązkiéj, sandomierskiéj ziemi;
Lecz niedość wrogi zwyciężać przychodnie,
Cięższy wróg—bezład, co doma się pleni:
Ujrzał Bolesław swego ludu zbrodnie,
Zrzucił przyłbicę ze szczerby gęstemi,
I w całym kraju wśród gwarnéj niedzieli
Sądy królewskie woźni okrzyknęli.

X.

Ciżby narodu nie zmieściłby Kraków,
W lesie sądowe naznaczono wiece;
Słychać szczęk mieczów i rżenie rumaków,
Okrzyki męzkie i gwary kobiece;
Z bitych gościńców i z wioskowych szlaków
Płynie lud ufny w monarszéj opiece;
Mżą się i kipią tłumy jak mrowiska,
Złoto, żelazo i szkarłat połyska.

XI.

W około lasu pancerni skrzydlacze
Harcują raźnie, grając w róg bawoli;
Woźni, przybrawszy postawy junacze,
Szykują naród porządkowi gwoli,
A w gronie ciżby ktoś jęknie, zapłacze,
Śpiesząc się skarżyć na to, co go boli.
Wiatr echo trąby daleko gdzieś niesie,
A jęk bolesny rozwiewa po lesie.

XII.

W lesie na trawie, pod zielonym cieniem
Dębu starego, co rozrósł się w chmury,
Siadł król młodzieniec z poważném spojrzeniem
W szkarłatnéj todze ze złotemi sznury;
Kowany pancerz srebrzystym promieniem
Żywo migotał z pod pańskiéj purpury;
A u stop pańskich i u pańskiéj głowy
Wieją proporce zdobyczy bojowéj.

XIII.

Po prawéj ręce dla biskupów ława —
Tam siedzą wedle starszeństwa różnicy:
Marcin gnieźnieński, mąż herbu Zabawa,
Baldwin z Krakowa i Paweł z Kruszwicy,
Święci starcowie, opiekuny prawa,
Boga, monarchy, ludu pośrednicy.
Och! nie jednemu wnet otuchy doda
Ich święta postać, ich twarz siwobroda!

XIV.

Zawierzaj świętéj twarzy i postaci!
Słuchaj tych starców, o sarmacki panie!
Każdy za kmiotków i za szlachtę braci
I Pismem Świętém, i piersiami stanie.
Drżyjcie przed nimi łupiezcy bogaci,
Do nich, nędzarzu, znajdziesz odwołanie.
Biskup krakowski śmierci się nie lęka,
Dzierżąc pastorał, nie zadrży mu ręka...

. . . .

1851. Załucze.

KANONIK PRZEMYSKI.

GAWĘDA HISTORYCZNA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

WIECZÓR W LŚCINIE.

I.

O Boże moich ojców! coś jeszcze z przed wieka,
Świętém prawem miłości wiążąc ród człowieka,
Na kamiennéj tablicy na synajskim szczycie
Wyrył cześć dla rodziców, co dali nam życie,
I wedle tegoż prawa we wszechmądréj myśli
Kazał kochać ziemicę, gdzieśmy na świat przyszli,
I prochy prapradziadów, i wszystkie ich słowa,
Czy co w uściech wiekuje, czy w księdze się chowa!
Och! wyrył się twój zakon, dany po ojcowsku,
Na miękkiém sercu mojém, jak gdyby na wosku —
Ja pokochałem przeszłość i praojców twarze,
I często je wspominam, często o nich marzę!
I z czasów staroświeckich, co już śpią pod pyłem,
Jedną chwilkę przelotną niedawno przyśniłem.

Więc stroję moją lutnię na pieśń wedle czasu,
Pod takt Reja, Acerna, Jana z Czarnolasu,
I modlę się: O Boże! daj mi wzrok proroczy!
Niech święta starożytność stanie mi przed oczy,
Uroczyście, dobitnie, we własnéj postaci,
Bym, co przyśnił o ojcach, wygwarzył dla braci.

II.

Ubrane proporcami i żelazną zbroją,
Pod krakowską świątynią pańskie trumny stoją;
Trzeci rok jak w téj trumnie pomiędzy filary
Błogosławioną głowę złożył Zygmunt Stary —
Polska modli się po nim wedle obyczaju...
Ale młody monarcha — to jak ranek w maju:
Bóg wie co będzie latem, urodzaj czy susza?
Lecz w młody czas wiośniany weseli się dusza,
Raduje się nadzieją obfitego chleba;
Słowiki, kwiaty, ciepło — czegoż jeszcze trzeba?
Dobrze wróży latorośl Jagiellonów młoda —
Pod Zygmuntem Augustem wygoda, swoboda,
Polska słynie pałaszem i piórem, i srébrem,
Znają nas nad Sekwaną, znają i nad Tybrem.
A doma tak swobodno, że aż dusza hula,
Piszemy prawa z królem, piszemy dla króla;
Sejm wre — bo nie na rękę i Bonie, i Kmicie,
Że król piękną Litwinkę ukochał nad życie.
Lecz rozdarła się hydry nienawistnéj paszcza,
Prymas czoło królowéj chryzmatem namaszcza.
Piękny dzień! dajże hasło monarchini młoda,
Niech będzie w całym kraju kochanie i zgoda,

Niech się wszyscy weselą, jakeś ty wesoła...
Gdzież tam!! waśń między braćmi nie ucichnie zgoła;
Szlachta, wolą, rozumem i groszem bogata,
Pobratawszy się z królem, już się z Bogiem brata.
Oto od gór helweckich, od germańskiéj rzeszy
Rój mistrzów zapalonych w Sarmacczyznę śpieszy —
Wołają, że posiedli całą mądrość bożą,
Wznoszą palec k'południu i Rzymowi grożą.
Już Stankar, już Blandrata rozbiegli się w dali,
Z nad kościołów, z nad cerkwi krzyże połamali,
Odarli z malowideł poświęcone ściany,
Na wieżach miasto krzyża już kogut blaszany
Urąga się Piotrowi, co Cię przeczył, Chryste!
Piotr rzucił z Watykanu spojrzenie ogniste
Na zbłąkaną owczarnię—w klucze niebios dzwoni—
Wścieka się Lippomani, gniewa Kommendoni,
A mężowie, biskupią obleczeni togą,
Na swych krzesłach w senacie dosiedzieć nie mogą,
I z pasterskiéj mównicy, jak wyznawcy szczerzy,
Walczą głową i pierśmi, by przeprzeć kacerzy,
Grożą piorunem klątwy poroztrącać głowy,
Kto śpiewa po niemiecku Psałterz Dawidowy.

III.

Lecz nad klątwy jest Pan Bóg, co patrzy z daleka,
A Pan Bóg się nie gniewa, czy poprawy czeka: —
Oto połowa lipca, patrz na polskie niwy,
I żyta, i pszenicy jaki plon szczęśliwy!
Płynie mlekiem i miodem w którą spojrzysz stronę,
Owdzie soczyste śliwy, tam jabłka kraszone,

Tu lasem rośnie chmielnik na spulchnionéj grzędzie,
Pszczółka żwawo się krząta, toć i miodek będzie;
A lud żwawy i czynny, jak mrówki w mrowisku,
Brzęczy w kosy na łące i w sierpy na rżysku,
Pracuje w świętym pocie i cieszy się głośno,
Ten śpiewa pieśń pobożną, a drugi miłosną,
Snadź słodkich jego uczuć serce nie ogarnie.
O prymasie Dzierzgowski! patrz na twą owczarnię,
Patrzaj na tych żniwiarzy, kosarzy, oraczy,
I z gnieźnieńskiéj stolice pobłogosław raczéj,
Niech miecz klątew pasterskich jeszcze w pochwie [drzemie,
Gdy Pan Bóg swojéj klątwy nie spuścił na ziemię.

IV.

Drogą pomiędzy zbożem, jakby wiodąc tany,
Harcuje młody jeździec złocisto przybrany;
Na jego piersiach igra z promieniami słońca
Jak zwierciadło weneckie półzbroja błyszcząca;
Z pod zbroi widać czarna aksamitna świta,
Szamerunkiem ze srebra wzorzyście wyszyta;
Czarny glancowny rzemień kibić mu przeciska,
A za świetny dyament, co u klamry błyska,
Kupiłbyś całą wioskę, albo całe miasto,
Jeżeli dodasz rubin, co kitę pierzastą
Do czarnego kołpaka przypina u boku.
Harcuje młody rycerz w cwale to w podskoku,
I jak gdyby ciekawa patrzała nań rzesza,
Ku lewemu ramieniu hardą głowę zwiesza.

Pięknie mu odbijają szkarłatem jagody
Od puchu czarnych wąsów i strzępionéj brody;
A w oczach jeźdźca zapał, na czole nadzieja,
W ustach — piosnka biesiadna Mikołaja Reja.
Pod nim arabski rumak pieni się i zżyma,
Jakby wzięty od żłobów ze stajni Selima;
Gdy drobnemi kopyty jeno piasek zwiewa,
Rzekłbyś: sarna swawoli lub tańcuje dziewa.
A na piersiach rumaka, jak na piersiach pana,
Błyszczy stalowa blacha srebrem dźwirowana,
A na czole nagłównik, na nim herb się mieści,
U trendzli wiązka wstążek jedwabiem szeleści.
O młodzieńcze! to oko, ten wąs, ta czamara
Niebezpieczne dla dziewcząt, groźne dla Tatara.
Na twym dzielnym rumaku i w stroju ze złota
Harcuj wesół po drodze twojego żywota;
Bo jako wróżę, patrząc na twą głowę wzniosłą,
Książka, pióro, różaniec — nie twoje rzemiosło.
Tyś zrodzony dla życia wdzięcznych krotochwili,
Żadna myśl, żadna troska twych bark nie uchyli;
Nawet miłość, ów robak co ssie pierś młodzieńczą,
Nie wpije się w twe serce — bo k'tobie się wdzięczą
Wszystkie oczy niewieście—ho! ho! i w tym dworze,
Dokąd śpieszysz tak pilno—czekają cię może.
Przy krośnie siedzi w oknie jakaś dziewa słodka,
I pyta się u sroczki, pyta się u kotka,
Czy przyjedzie gość luby? Jakiś stukot w lesie —
Uradowanéj dziewce śmiać się, płakać chce się,
Słucha, tamując oddech, porzuciwszy pracę,
Czy to tętni twój rumak — czy serce kołace?
Bo u niéj serce żwawo i niesforno bucha.
Harcerz pokręcił wąsa, poprawił łańcucha,

Spojrzał w dalekie okna znajomego domu,
Uśmiechnął się junacko, westchnął po kryjomu
I spiął konia ostrogą.

V.

Każdy przyznać musi,
Piękne są dworki w Polsce, w Litwie i na Rusi;
Bo piękne nasze wzgórki, strumienie i łany,
Jest kamieni i gliny na zamek ceglany,
Pięknych dębów i sosen obfitość tak mnoga,
Że z nich nie wstyd wznieść nawet świątynię dla Boga.
Niech jeno biegłe oko i ręka bogata
Czarodziejską naturę ze sztuką pobrata,
A można w Polsce stworzyć taki cud piękności,
Że szlacheckiego domu sam król pozazdrości.
Lecz fraszka wszystkie sztuki i natury dziwa,
Najpiękniejszy ten dworzec, gdzie luba przebywa;
Tam się wszystko spodoba, wszystko wzrok zachwyci,
Choćby droga z krzemieni, most z pajęczych nici;
Jakby w raj Mahometa — piąć się — miła praca!
Och! tylko powrot ciężki, bo coś wstecz zawraca.
Tak marzył młody jeździec.
Wśród zboża i trawy
Skręca się bita droga, jakby wąż żółtawy,
I wije się pod lasek do strzeleckiéj chaty,
I daléj gdzieś się skrywa za wzgórek garbaty.
Ze wzgórka widzisz groblę, kędy twoją głowę
Ocieni młody olszniak i liście wierzbowe;
W poprzek grobli pod mostem strumień sączy wodę,
Przezroczystą i wrzącą jako serce młode;

A po obojéj stronie pokoszona trawa
Tchem balsamicznéj woni rozkosznie napawa,
Strzekocze polny konik, a w takt strzekotania
Mżą się cienie olszniaku, co groblę osłania.
Za groblą u krzyżyka rozdziela się droga;
Lecz niepotrzebny munsztuk ni srebrna ostroga:
Zmyślny rumak wie czego twemu sercu chce się,
Rycerzu, on cię skokiem do lubéj zaniesie!
Dwory polskie obronne — jedyna w tém rada,
Bo Tatar jak szarańcza co rok kraj napada,
I Kozak każdéj wiosny rzuca Zaporoże,
Wiozący Lachom gościniec: płomienie i noże.
Lecz daremnie pan Chełmski od hord najezdnika
Swój dworzec ostrokołem i rowem zamyka:
Najezdnik, co po serce jego dziewki kroczy,
Szańców się nie przelęknie i pale przeskoczy.
Ale nie trzeba skakać przez szańce i rowy,
Gość przedsię nie Tatarzyn, ni Kozak stepowy.
Wrotny spojrzał przez szparę i poznał sąsiada,
Brama z dębowych desek na pół się rozpada,
I stanęła otworem pełna uprzejmości,
Jako serce szlachcica, kiedy wita gości.

VI.

Zbladło oblicze jeźdźca, uczuł bezład w duszy,
Kiedy ujrzał wśród klonów, jabłoni i gruszy,
W cieniu brzóz rozczochranych z białemi konary,
Dom italską strukturą, drewniany i stary,
Otoczony w około róż kolczystym płotem,
I ganek z ławicami, z herbownym klejnotem.

Fraszka wszystkie klejnoty, fraszka wszystkie róże!
Droższy skarb, świeższy kwiatek mieszka w lścińskim
[dworze.
Héj, nie dziw, panie Chełmski, że codzień masz goście,
Że na twoim dziedzińcu trawa nie poroście!
O! nie znajdziesz spokoju na twe stare lata,
Dopóki modrookiéj córce twego brata
Nie wynajdziesz Bogdana — w domu pana stryja
Młodzież kamienne progi czołem porozbija,
A pijąc zdrowie krasnéj, do dna powytacza
Twój miodek Jagielloński i wino z Munkacza.
Ot i ten, co przyjechał, co złotem się żarzy,
Młody Prokop Zaręba, ozdoba ussarzy,
Muska pieszczoną bródkę i nastraja minę;
Niby to do starego przybywa w gościnę,
Niby chce się poradzić na sejmik zawity,
Czy głosować za Kmitą, czyli przeciw Kmity?
Niby z Pisma Świętego ciekawość go bierze,
Czy ma słuszność pan Stankar, czy rzymscy papieże?
I nie zrozumiał tekstu świętego Łukasza...
Urodzony Zarębo! mądra miłość wasza;
Ale pan Chełmski mędrszy, zgadł po tonie pieśni,
Że Łukasz, Kmita, Stankar waszeci się nie śni,
Że cię tutaj nie sejmik, nie papiezka władza,
Lecz panny Magdaleny spojrzenie sprowadza.
Oho! starego wróbla nie złowić na plewie.
Niby to nie rozumie, niby to nic nie wie,
Lecz z uśmiechem już poszedł po rozum do głowy:
Bierze statut Herburta i kodeks sejmowy,
I Biblię łacińską, i Pawłowe listy,
I gościa poprowadził pod klon rozłożysty.

Tam na dębowéj ławce, przy puharze wina,
I doczesne, i wieczne sprawy rozpoczyna,
A trunek i wyrazy tak powoli sączy,
Że do skończenia świata gawędy nie skończy.
Już i zorze błysnęły — młodzieniec w rozpaczy
Patrzy na dom, czy w oknach lubéj nie zobaczy?
Próżno rwiesz się, młodzieńcze, i strzelasz oczyma,
Zorzy twego żywota jak niéma, tak niéma!

VII.

Wyszła nakoniec dziewa i skromnie się kłania,
Z uśmiechem rycerskiego słucha powitania,
I zaprasza do izby i gościa, i stryja,
Bo już na półzegarzu dziewiąta wybija,
I wieczerza gotowa — lecz cóż mu wieczerza?
Młodzieniec się prostuje, czuprynę najeża,
A świadom jak podbijać młodociane łona,
Potoczystym a gładkim stylem Cycerona
Zaleca swoje służby i powolne chęci,
I kłania się rycersko, i wąsiki kręci.
O! w chorągwi hetmańskiéj, gdzie Zaręba służy,
Nikt nad niego junaczéj oczu nie przymruży,
Nikt się wdzięczniéj nie skłoni—nie podskoczy śmieléj,
Nikt sowitszemi słowy do serca nie strzeli;
A kiedy ku dziewczęciu niby nieumyślnie
Oko z pod ciemnéj rzęsy promieniem wytryśnie,
Na gładkich licach dziewy taki wzrok junaczy
Wywoła pewnie kraskę — on wie, co to znaczy.
Wedle polskiéj dworności grzecznego nałogu,
Pan Zaręba i Chełmski kłaniają się w progu,

I wciąż jeden drugiego k'pierwszeństwu zaprasza.
— „Przodkujcie miły gościu!“—„Idźcie miłość wasza!“
Aż po długich ukłonach, wzajemnéj podzięce,
Weszli obaj do izby, wziąwszy się za ręce.
W izbie ni zbyt ubogo, ni nazbyt bogato:
Na środku stół okryty turecką makatą,
Przy nim dębowe ławy z kraciastą poręczą,
A srebrzyste lichtarze ze świecą jarzęczą.
Komin, gdzie gorą z trzaskiem sosnowe polana,
Sieje blask po komnacie, aż miga się ściana;
Jest się od czego migać — bo w iskrach się pali
Bohaterski rynsztunek ze srebra i stali.
Niedarmo Chełmski bijał Turki i Wołoszę,
Ma płatnerskiéj roboty wszystkiego po trosze:
Owdzie wisi hełm z kratą i ze strusią kitą,
Tu widzisz karacenę od kuli przebitą,
Owdzie krótki proporczyk, owdzie spisa długa,
Pancerz o karpiéj łusce, dróciana kolczuga,
Kołczan, szeroki topór i szabla wytworna —
Słowem, wszelka zaczepna, wszelka broń odporna.
A wszystko polerowne, zostrzone, jak nowe:
Choć dziś, panie hetmanie, daj hasło bojowe!
Zbroja pana Chełmskiego nie zawiedzie cześci.
Z jéj blaskiem metalicznym gdy słońce się pieści,
Lub gdy ogniem wieczornym zabłyśnie komnata,
Rzekłbyś, że sto błyskawic na powietrzu lata.

VIII.

Przy wieczerzy gospodarz wciąż gwarzy i gwarzy:
Wykłada Pismo Święte, sejmiki kojarzy,

Rzuca jakieś pytania i sam je tłómaczy.
Zaręba czy pojmuje? Bóg to wiedzieć raczy!
Zdaje się, że młodzieniec ku słuchaniu pilny;
Lecz mu lata po uściech uśmiech krotochwilny,
A kradzionėm spojrzeniem ustawicznie goni
Tam, gdzie główka dziewczęcia, oparta na dłoni,
Drzemie albo coś duma. — Czy wiesz co, nieboże?
Gdyby odkraść tę dumkę — ciekawybyś może
Obaczyć, co tam duszę zajmuje kobiecą,
I poważne dumanie rozweselić nieco?
Bo też biorąc te rzeczy rycersko, młodzieńczo,
Bóg wie na co te myśli!—tylko serce dręczą,
Tylko od nich bezładno w głowie jakby w lesie —
Niech zresztą starzy myślą, kiedy im tak chce się,
Lecz młodemu człekowi i młodéj kobiecie
Śmiać się, pląsać, poigrać — to coś warto przecię,
Umysł się nie utrudzi, a orzeźwi łono.
Tak marzył pan Zaręba, i miał słuszność pono.
Ależ szukaj, nieboże, słuszności u ludzi!
Synowica dumaniem, stryj gawędą nudzi!
Skończyć poważne nudy już ani nadziei —
Wtém pan Chełmski, postrzegłszy, że mu się nie klei,
Zawołał wielkim głosem:—„Cóż to jest, u licha!
„Waszeci drzemać chce się, mnie w gardle zasycha,
„Więc pokrzepmy tę sprawę — wina! moja luba,
„Nie jest ci to Falernum ni grecka Ekuba,
„Przedsię wino węgierskie, które wam zalecim,
„W tysiącznym czterechsetnym dziewięćdziesiąt trze-
„Zlane było do stągwi z dębowego drzewa, [cim
„Jak to napis łaciński na boku opiewa.
„Czasem się tylko u mnie w uroczystéj chwili,
„I to z serdecznym gościem, puharek wychyli.

„Dziś zajrzyjmy do dzbana, by rozjaśnić oczy!"
A więc dziewa z pośpiechem do piwnicy kroczy,
I szyderczym uśmiechem nastroiwszy lice,
Wnosi gąsiór wytłoczyn z węgierskiéj winnice,
I dwa srebrne puhary z kłosami ze złota
(Norymberskich złotników misterna robota).
Więc nalano puhary, więc w srebro brząknięto,
I wychylono duszkiem przez powinność świętą
Zdrowie Rzeczpospolitéj i królewskiéj mości.
Oj, Prokopie Zarębo, szkoda mi waszmości!
Po co się tak skwapliwie bierzesz do kielicha?
Patrz, jako się dziewica posępnie uśmiécha,
Na twarz grzecznie figlarną rzuć jeno oczyma,
A od razu wyczytasz, co o tobie trzyma.
Myśli w duchu nieboga: — „Otoż to ussarze,
„Zepsuto wychowani w obozowym gwarze!
„Nudzi się biedny żołdak, drzemkę ma u powiek, —
„Nawet przy moim stryju, choć to mądry człowiek
„W bozkich i ludzkich rzeczach—choć z ogniem nie-
„Bitwę mu obertyńską ściśle opowiada; [lada
„Pan Prokop niecierpliwy usnąłby na stole,
„Nudno mu nawet przy mnie — o biedne pacholę!
„Dajcież mu raczéj kielich niźli stare dzieje,
„Pustkę głowy i serca niech winem zaleje.
„A szkoda... jasne oko... i twarz znakomita,
„Niech jeno na oblicze jakaś myśl wyświta,
„A byłby rycerz piękny i pełen ponęty...
„Kochać go... czy nie kochać?... Bógże to wie święty!"
I pokiwała główką jakby coś nierada.
Czyśmy zgadli jéj myśli? i któż to wybada?
Ale sądząc z posępnie nadąsanéj miny,
Takie dumki latały po głowie dziewczyny.

IX.

Wilcza natura ciągnie do głębokiéj kniei,
Ussarska do szklenicy — a gdy po kolei
Dwakroć, trzykroć brząknęli w srebrzyste puhary,
Młody się rozpromienił, a odmłodniał stary.
Chełmski zanócił piosnkę, jak bito Wołoszę;
Zaręba, już weselszy i śmielszy po trosze,
Zbliża się do dziewicy, oko na niéj pieści
I potrząsa swój skarbiec śmiesznych przypowieści.
Prawi swoje przygody i pocieszne dzieła;
Ona — dąsa się — dąsa, i śmiać się poczęła:
Jak w Krakowie Zaręba, hulając przy miodzie,
O blasku księżycowym wracał ku gospodzie
I bił się z własnym cieniem bohaterską dłonią;
Jak drugi raz umykał przed Żydów pogonią
I wpadł do wyschłéj studni, jakby wilk do dołu;
Jak zwaśnił dwie przekupki siedzące pospołu.
I insze płoche brednie. Lecz bredzi tak mile,
Tak do poważnéj rzeczy wtrąci krotochwilę,
Że na dziewiczém czole już srogość nie taka;
Widać, że polubiła młodego pustaka.
Żartami płaci żarty, wesoła, szczęśliwa,
Już do pustéj swawoli sama go wyzywa,
I gwarzy, i szczebioce — ej! po takim gwarze
Przyśni się młody harcerz w srebrzystéj czamarze.

X.

Bogdajby wiecznie spleśniał matematyk stary,
Co wymierzył godziny i stworzył zegary!

Weźcież pod mądry cyrkiel, uniżenie proszę,
Boleść serca ludzkiego i jego rozkosze:
Kędy męża z daleka wygląda małżonka,
Kędy więzień pod ziemią łańcuchami brząka,
Kędy boleje chory z mizerném obliczem.
Kędy kochanek z lubą rozmawia o niczém,
Kędy dzieci swawolą — czas jednakoż płynie?
Fałsz, mędrcze! ach! godzina nierówna godzinie.
Oto na półzegarzu już północ uderza,
Darmo rumak pod gankiem czeka na harcerza.
Prokop przeklął godzinę — przypasał pałasza
I żegna gospodarzy; — pan Chełmski zaprasza,
Aby pozostał na noc — daremnie go prosić,
Lubych marzeń dla serca na dzisiaj już dosyć.
Bo grzech zbytnie nurtować w upojenia czarze,
Za przedłużenie szczęścia czasem Pan Bóg skarze;
Nie kosztować za życia wieczystego nieba —
Przytém sercu co kocha samotności trzeba!
Słodkoż uśpiwszy rozum — wypuścić bez pana,
Niechaj sobie pohula myśl rozkołysana;
Niech to będzie na polu, albo jadąc lasem,
By snadź ciekawy człowiek nie podsłuchał czasem,
I nie wziął za szaleńca, gdy przyjdzie do głowy
Myśleć w niekształtnym śpiewie lub głośnemi słowy.
Rumak, spięty ostrogą, więc posłuszny panu,
Przeleciał groblę, mostek pędem huraganu,
Pod górę zwolnił biegu — udała się sztuka,
Począł iść wolnym krokiem, jakby wsparcia szuka;
A Prokop, rozmarzony jakąś dumką błogą,
Ani myśli figlarza ponaglić ostrogą.
Czémże przedsię ta głowa tak mocno zajęta?
Och! dzisiaj w jego duszy uroczystość święta,

Dzisiaj człowiek ciekawy łatwo zeń skorzysta;
Jego żelazny pancerz i pierś przezroczysta,
W ustach dziecinna słodycz, głowa mu się pali,
Samby wszystko wygadał, gdybyśmy spytali.
Lecz wara szperać w sercu, co się dziś wynurza,
Bo jutro...
Ot zagrzmiało — będzie deszcz i burza.

XI.

Noc ciemna — na niebiosach od brzega do brzega
Wrząca chmura grobowym całunem zalega,
Lunęła rzeźkim deszczem, ozwała się grzmotem,
A w namiętnych jéj piersiach zagrał puls z łoskotem;
Ciężko westchnęły szturmem nadęte jéj płuca,
Wicher łamie gałęzie i piasek rozrzuca,
Leci duch spustoszenia — błysnęło jak wstęga,
I jak gdyby runęła niebieska potęga,
Piorun dwakroć i trzykroć zawarczał u głowy,
Drgnął i palnął ogniście w stary pień dębowy,
Aż jękła czarna puszcza — a po niéj szeroko
Toczy się echo gromu,—choćby wykól oko
Nastała czarna ciemność, a z nią cisza głucha,
Jeno deszcz drga w powietrzu i po ziemi plucha
I po liściach łopocze. Błysnęło w oddali,
Znowu wzdyma się wicher, znowu piorun pali,
Posypały się z ogniów lodowate grady,
I organy niebieskie huczą pieśń zagłady,
I straszliwego sądu sygnały złowieszcze...
Héj! rycerzu Prokopie, czy ty żyjesz jeszcze?
Jeden, w nocy, wśród burzy, deszcz spluchał ci pono
I twoje pióro strusie, i brodę pieszczoną,

I srebrzystą czamarę. Ot widać trzy krzyże,
Rumak wspina się, parska i uszami strzyże,
Czy droga nieświadoma, czy się czego lęka?
Patrz... iskra nieruchoma — to światło z okienka.
Ach pomnę — jest tu chata strzelecka na lewo,
Może znajdziem przytułek przed straszną ulewą;
Strzelec tutaj znajomy — zapukajmy śmiało,
Pan Boksza Radoszewski, starzec jakich mało,
Biedny lecz zacny szlachcic — ej będąż nam radzi!
Kielich pieprznéj gorzałki po deszczu nie wadzi,
A stary ma gorzałkę. Tak Zaręba marzy,
A deszcz oczy zalewa, grad chłoszcze po twarzy,
A rumak, choćby żebra przebić mu ostrogą,
Nie chce kroczyć inaczej jak noga za nogą,
Snadź trwożny błyskawicy, która wciąż migota.
Rycerz dobił się wreszcie pod strzeleckie wrota,
I silnie zakołatał, i słyszy w oddali:
— „Kto tam stuka? Wszelki duch Pana Boga chwali!"
— „Podróżny! wpuśćcie na noc!" — „Ot zaraz otworzę—
„A cóż to za ulewa!" — „Nie dopuszczaj Boże!"

Pieśń Druga.

TRZÉJ OKSZYCE.

I.

Kto ciekaw, niech w Bartoszu Paprockim przeczyta,
Że Boksze Radoszewscy szlachta znakomita.
Pieczętują się Okszą — to świetność nie mała,
Na czerwonéj pawęży halabarda biała,

A ostrze halabardy służy na lewicę.
Z Czech, z rodziny Werszowców pochodzą Okszyce,
Lecz dobrze zsarmacieli przez wieków koleje,
Wątrobkowie, Bokszowie i Nagłowscy Reje,
I mnóztwo innych domów téjże paranteli
Zacną Okszę krwią swoją rzęsiście obleli,
Walcząc za sprawę polską.
Taki klejnot drogi
Posiadał Marcin Boksza, dziad stary, beznogi;
Wnuk pana z Siemikowic sławnego Stogniewa
Pilnował w lasach lścińskich zwierzyny i drzewa.
Ma kilku współherbowych i stryjecznych braci,
Co na Węgrzech i w Polsce głośni a bogaci;
On strzelcem — lecz ma czystą herbowną siekierę,
Ubogi, to cóż robić? — *sic fata tulere.*
Marcin został sierotą, młodziutkie pacholę,
Niepieszczony od matki, niesmagany w szkole,
Uciekł od opiekunów, wziąwszy szkapę łysą,
I pojechał na Węgry z toporkiem i spisą,
Gdzie pan Mikułasz Boksza, brat jego stryjeczny,
Miły królowi Węgier, Turkom niebezpieczny,
Przełamywał rycersko Selimowe szyki.
Marcin łatwo się wpisał między ochotniki —
A raz ująwszy w rękę swój topór i kosę,
Ścinał nie gorzéj ludzi łby Turków bezwłose.
Gdy pod Mohaczem króla Ludwika zabito,
Pan Mikułasz powrócił w stronę rodowitą,
A pan Marcin gdzieś zginął — ot zwyczajnie młody,
Pojechał w świat szeroki, szukając przygody.
A same go przygody szukały widocznie;
Tylko bywało słuchaj, gdy rozprawiać pocznie:

Jak postrzelon z rusznice z ran już prawie kona,
Jak w Niemczech kochał córkę jakiegoś barona,
Jako potém wędrował, by zwiedzić Rzym święty,
Jako bywał od włoskich zbójców napadnięty,
Jako służył rycersko na hiszpańskim dworze....
Kłamie, czy prawdę mówi — któż to zgadnąć może?
Jeno że człek bywały, jak to z miny wnosim,
A nie było go w Polsce lat siedem czy osiém.

II.

Wreszcie się do ojczyzny przywałęsał z dala,
Wrócił pieszo o kiju, by dziad do szpitala;
Miasto łuku i miecza miał torbę przez plecy,
Gdzieś mu nogę urwano przy szturmie fortecy,
To chodził o drewnianéj — jak żebrak z rzemiosła;
Broda mu kędzierzawa do piersi wyrosła,
Głowa hełmem przytarta świeci się łysiną,
Rany niezagojone jeszcze we krwi płyną;
Był blady, lecz wżdy z miną gęstą i szlachecką,
Miał za cały majątek Biblię niemiecką.
Zmarniała piękna młodość — gdzież wioska ojczysta?
Część spalili Kozacy, część zabrał jurysta;
Boksza, nie chcąc się pieniać, dał mu pokój święty.
Poszedł k'bogatym krewnym, tam zimno przyjęty,
Gdy mu dawał pieniądze pan Mikułasz stary,
Marcin cisnął na ziemię grosze i talary,
I poszedł szukać chleba z bliznami na czole.
Sromota rycerzowi bakałarzyć w szkole:
Łaciny, co mu jeszcze w głowie pozostało,
Na szlachcica aż nadto, na księdza za mało;

Że więc oszczep i topór pokochał jedynie,
Został beznogi rycerz leśniczym we Lścinie,
I już od lat dwudziestu zdrowy i wesoły
Wychowuje ogary, gończe i sokoły.
To nic, że dziad kaleka — bo, panowie moi,
Śmiało jeszcze na oszczep z odyńcem dostoi,
A gdy stawi obławę lub urządza sieci,
Stary tak się uwija, jakby wicher leci;
Jeno się młodzi strzelcy dziwią niepomału,
Zkąd ta łowiecka biegłość? zkąd tyle zapału?
A pan Chełmski, szanując rycerskiego ducha,
Pana Marcina Bokszy jak wyroczni słucha;
Lubią go w okolicy i młodzi i starzy,
A on im za to swoje wydarzenia gwarzy.

III.

Choć go z progów rodzinnych prawie odepchnięto,
On kocha herb swój Okszę, jak Biblię świętą,
Jako miłą ojczyznę, jak dobrego pana.
Nad gankiem jego chaty Oksza wyrzezana,
Okszę piastował w sercu i powtarzał w mowie,
„*Jakem Okszyc z Okszyców!*“ — takie miał przysłowie.
Lubił, mając słuchaczów przy kominku zimą,
Powtarzać swego herbu kronikę rodzimą:
Zkąd się początek godła i kształt jego bierze,
O sławnym Ratyborze, czeskim bohaterze,
Protoplaście ich rodu — potém gwarzył daléj
O Werszowcu, którego Geszkonem przezwali,
Potém o swoich dziadów rycerskiéj ozdobie,
O swoim ojcu, stryju — nakoniec o sobie.
Wtedy, pięścią po stole bijąc z całą siłą,

Gromił Turków i końca gawędzie nie było.
W Krakowie jest gospoda—zowie się *pod Chmielem*,
Tam się zszedłszy pan Boksza z dawnym przyjacielem,
Dzieje swojego rodu kiedy mu powtarza,
Siedział z boku Paprocki, układacz herbarza,
Podsłuchał i zapisał o jego splendorze,
O wojennym Geszkonie, mężnym Ratyborze —
Lecz ze złości, że stary nie kupił mu wina,
Pan Bartosz w swym herbarzu opuścił Marcina.

IV.

Kiedy nie ma z kim gwarzyć — z dawnego nałogu
Marcin Boksza poświęca swój czas Panu Bogu.
Na półce jego chaty jest Biblia dawna,
W wielkie dębowe deski i w skórę oprawna
I na klamry mosiężne zapięta zamczysto.
Dziad wieczorem zasiada z twarzą uroczystą,
I przy jodłowym karczu lub smolném łuczywie,
Słowa Pisma Bożego czyta zapalczywie
I rozbiera je w duszy — już z niemieckiéj strony,
Gdzie bywał na wojaczce, powrócił zlutrzony.
Lekce sobie poważał Pańskie tajemnice,
I dzwonki loretańskie, i gromniczne świéce;
A przedsię gdy niedawno piorun stuknął w lesie,
Stary zbladł—na odwagę przeżegnać się chce się,
Chce się zasłonić tarczą dawniejszych pacierzy,
I westchnął, że w krzyż święty jak dawniéj nie wierzy,
Bo dzwonek loretański i święcona woda
Pomoże, nie pomoże, a otuchy doda.
Tchórzysz, stary rycerzu! Boksza kiwnął głową,
Łyknął pieprznéj gorzałki, i śmiały na nowo.

V.

Kołacze ktoś we wrota... dziad wesół się zrywa
I wybiega otworzyć — noc taka burzliwa!
Samemu tak coś straszno w bezludnéj pustyni,
Że każdy, kto przybędzie, dobrodziejstwo czyni;
We dwóch jakoś weseléj, kiedy ciemną nocą
Warczy grom błyskawiczny i deszcze pluchocą.
Więc Boksza wiedzie gościa w swoje nizkie ściany;
Wbiega rycerz nawalną powodzią oblany,
Z pięknéj jego odzieży strumień deszczu płynie;
Dziad rzęsiste ognisko naniecił w kominie —
Z razu poznał przybylca — i głośno wykrzyka:
—„*Jakem Okszyc z Okszyców!* witam porucznika!
„Fortunna dla mnie burza — błogosławię bogi,
„Żeś spadł z chmury deszczowej na mój dom ubogi.
„Cóż? przemokłeś do nitki — precz z ubiorem twoim!
„Harcerza zaraz w kabat strzelecki przystroim,
„I wnet będziesz wygladał od stóp aż do głowy,
„Jak Boksza Radoszewski, stary stróż gajowy.
„Pięknać metamorfoza — któż się to spodziewa?
„Gdyby waści widziała... wiesz, ta czarnobrewa...
„Śmiechuż byłoby, śmiechu!... ale w złéj godzinie
„Zrzuć ten pancerz, ten kaftan, niech z wody opłynie,
„A tymczasem włóż delię, co od święta nosim,
„Podpasaj się jak możesz moim pasem łosim,
„I siadaj przy kominie, co tak mile nęci.“
— „Dzięki wam, panie Boksza, za uprzejme chęci“ —
Odpowiedział Zaręba.—„Lecz mój koń przy drodze
„Moknie jeszcze w pluchocie“...
— „Ubliżasz mi srodze!

„*Jakem Okszyc!* znaj waszeć gospodarską władzę,
„Rycerskiego rumaka ja sam odprowadzę
„I szlacheckim obrokiem nakarmię przy żłobie.
„Masz waszeć suchą odzież — przebieraj się sobie,
„Ja do was wnet powrócę — chwila nie upłynie,
„A pić będziem i gwarzyć przy ciepłym kominie.“

VI.

I stary nie mieszkając uiścił się w słowie.
Zasiedli przy kominie i piją *prze zdrowie!*
Gospodarz w ręce gościa, gość do gospodarza,
Ciepło z ognia i miodu już członki rozmarza:
Młody Zaręba w drzemce ledwie głową ruszy,
Snadź że mu pilno przyśnić boginię swéj duszy;
Pan Marcin przypomina swoje młode lata...
Wtém znowu ktoś gwałtownie do bramy kołata,
Pękły bramne zapory parte z całéj mocy,
I zaturkotał brzękot kowanéj karocy,
I zagrzmiał głos tubalny, co strwożył po trosze:
— „Miły panie leśniczy! a otwórzcież proszę!“
Boksza skoczył, ze ściany stary oszczep schwyci:
— „*Jakem Okszyc z Okszyców!* to jacyś bandyci!
„Kto tam? po co? tak późno! zaraz ztąd wystraszę!“
— „Szlachcicowie podróżni! ale wpuśćże wasze!
„Bo ci drzwi wysadzimy — mimo dobréj woli.
„Nie chcę, by zmókł na deszczu mój kołpak soboli!“
Więc strzelec odryglował zapory w swéj chacie,
I weszły dwie szlacheckie czy pańskie postacie.
Starszy z gości celował wiekiem i urodą,
W złotogłowym żupanie, z patryarszą brodą,

Czupryna biała, krótka, w górę nastrzępiona,
Czytać w błękitnych oczach spokój jego łona,
A na poważnéj tuszy starego brodacza
Rzemień dziany perłami zaledwie się stacza.
Drugi zasię podróżny, prawie młodzian jeszcze,
Na nim szata z czarnego jedwabiu szeleszcze,
Rzęsiście koronami strojna jego szyja,
Pięknie na czarnéj szacie biały haft odbija,
Ciemna niewielka broda drobno mu się kręci.
Spójrz na tego człowieka—westchniesz mimo chęci!
Czoło jego chmurnieje — ponad czarną rzęsą,
Gdy spojrzy, w czarném oku aż iskry się trzęsą;
Twarz młoda, lecz wybladła, zmarszczona i sucha,
Nosi piętno boleści ciała albo ducha.
Zaręba, co z daleka siedział na swéj ławie,
Poskoczył i zawołał:—„Witaj Stanisławie!
„Świat jak morze—nie prawdaż?—poniosła nas fala,
„Łodzie naszego życia rozbiegły się zdala,
„Lecz gdy burza szturmuje, kiedy piorun błyska,
„Oto my u komina jednego ogniska.“
Przybylec z cicha westchnął i pokiwał głową,
I najserdeczniéj ściskał rękę Prokopową,
I rzekł powolnym głosem:—„Och niewielkie dziwa!
„Wszak los nie takich rzeczy jeszcze dokazywa!“

VII.

— „Wyście tu dopytali staréj znajomości,
„To dobry znak zaiste!“—rzekł najstarszy z gości,
I głaszcząc swoją siwą a przemokłą brodę:
„Czołem panie gajowy!—a dajcież gospodę
„Dwom podróżnym, co w nocy i w nawałność srogą
„Zbłąkali się, że trafić do mety nie mogą.

„Po nocy, wśród piorunów, po chróstach, po łomie,
„Kolasa szwankowała, że znacznie coś chromie.
„Deszcz opluchał nam głowy, aż leje się z czoła,
„A zgłodniały żołądek o wieczerzę woła.
„Już to mam z sobą w wozie, jak człek gospodarny,
„Spory gąsiorek miodu, spory udziec sarny,
„Że więc tutaj spoczniemy, a oschniem po trosze,
„To za złe, miły strzelcze, nie poczytaj proszę.“
— „Och miłościwy panie! — rzekł mu Boksza na to—
„Pan Bóg dzisiaj nad moją zlitował się chatą,
„Bo staremu mieć gości gromadę tak zacną.
„*Jakem Okszyc z Okszyców!* w tym lesie niełacno.“
— „Jakto! więc waść posiadasz herbowne zaszczyty?
— „Szlachcic jestem — rzekł Marcin — Okszyc ro-
[dowity,
„Nazwiskiem Radoszewski—dziś pilnuję zwierza,
„Potomek Ratybora czeskiego rycerza,
„Za młodu człek rycersko pracował żelazem.“
— „Więc tu trójca Okszyców zebrała się razem!“
Zawołał pan przybyły. — „Witam was z rozkoszą,
„Boć Rejowie Nagłowscy Okszę w herbie noszą,
„Również jak Orzechowscy—poczciwe ludziska;
„Niech tedy Oksza Okszę jak brata uściska!
„Héj mości Radoszewski, miły współ-Okszycu,
„Nam obu siwe brody trzęsą się na licu,
„Poznajmyż się jak szkapy jednostajnéj maści:
„Mikołaj Réj z Nagłowic czołem bije waści!“
— „Jakto!... zawołał Marcin—co u świata słynie,
„Wielki Réj herbu Oksza jest u mnie w gościnie!
„Panie, daj mi już umrzeć—bom szczęśliw bez miary,
„Albowiem oczy moje...“
— „A cichoż, ty stary!
„Patrz na tego księżynę, jest to Okszyc trzeci,

„Lecz z nim się nie dorównać ni mnie, ni waszeci,
„Bo to jest ksiądz Stanisław Orzechowski z Rusi,
„On nawet w waszych lasach znajomy być musi
„Ze sławy, co szeroko w całej Polsce lata,
„To Demosten łaciński, Cycero-Sarmata.
„K'nam świeckim idzie włócznia i zbroja stalowa,
„On jeno walczy piórem i piorunem słowa;
„Lecz wkrótce w jego ręku marne pióro gęsie
„Całą Europę zdziwi i Polską zatrzęsie."
— „Och mości Mikołaju!"—ksiądz Stanisław powie—
„Wam zawsze krotochwilne *Figliki* po głowie.
„Zamiast słuchać gawędy o méj wielkiéj sławie,
„Pozwól niech ci mojego bratanka przedstawię:
„Jest to Prokop Zaręba, pieszczota Bellony."
— „Czołem biję"—rzekł Prokop—„gwiazdo polskiéj [strony,
„Sławny panie z Nagłowic!"
— „Czołem!" — Rej powtórzy.—
„Ot księże Stanisławie, błogosławmy burzy:
„Tu poczciwego człeka znaleźliśmy chatę
„I naszych współherbowców i powinowate.
„Warto uczcić tę chwilę, bo snadź to nie żarty,
„Trzéj Okszyce z Okszyców a Zaręba czwarty.
„Złączmy się— aż się sypną i trzaski i wiory,
„Gdy stukną Okszycowie w herbowne topory,
„Kiedy rąbnie Zaręba—wspomnisz moje słowa,
„Że ksiądz biskup Dziaduski gdzieś w kątek się schowa."

VIII.

Starzec wiązkę murogu rozpostarł na ziemi,
I pokrył ją na pościel szuby kudłatemi,

I przyniósł stągiew miodu, co krew rozegrzewa,
Na ogień rzucił wiązkę szczepanego drzewa,
I uśmiech uprzejmości rozpromienił miło
Oblicze gospodarskie i chatę pochyłą.
Jak tu nie brzęknąć w czarkę, kiedy dusza rada?
Jak nie ścisnąć prawicy serdecznego dziada?
Choć Boksza Radoszewski był leśniczym prosto,
A Rej z Nagłowic panem lubelskim starostą,
Przecięż obadwaj szlachta, rodem spokrewniona,
Obudwom siwe brody spadały do łona,
I obie stare piersi jeden ogień wzdyma,
W obu piersiach i Pan Bóg i ziemia rodzima
Odbierają cześć świętą, jak gdyby w kościele;
Obaj starcy bywalcy, przeżyli lat wiele,
I znali każdy kątek rodowitéj ziemi,
Chleb i sól pożywali z ludźmi niejednemi,
Obaj dzielni mistrzowie łowieckiéj zabawy,
Chętni na stary miodek i rozhowor żwawy,
Cóż za dziw, że przy ogniu zasiadłszy w rozmowie,
Przypadli sobie k'sercu starzy Okszycowie?
Orzechowski z Zarębą, w poważnéj postawie,
Ujęli się za ręce i siedli na ławie,
I poufnie szeptają bratankowie młodzi:
— „Tyle lat!... cóż na świecie?... jak ci się powodzi?"
Spytał Prokop. — „My dziećmi czyż dawno, mój Boże,
„Razem zbierali konchy przy jedném jeziorze?
„A teraz już dorośli—ja w zbroi, ty w todze,
„Błąkamy się po życia krzemienistéj drodze,
„Ja żołdak pospolity, jak wszyscy pancerni,
„Ty już w wianku laurowym..."
— „Ach, to wianek z cierni!" —
Zawołał Orzechowski cisnąc czoło w dłoni. —

„O Prokopie, Prokopie! niechaj Pan Bóg broni
„Być sławnym... gdy twą duszę rozrywają bole!
„Gawiedź podziwiać przyjdzie świetną aureolę,
„Co ci z czoła wytryska — daj na sztych twe serce,
„Jak rzymski gladyator w cyrkowéj szermierce;
„A kiedy krwią obryźniesz i upadniesz w prochu,
„Twoje drgania śmiertelne pośmiech dla motłochu,
„Co jeszcze przed skonaniem twe zwłoki podepce.“
Tu Orzechowski umilkł i z cicha już szepce,
Aby nie przerwać starcom ich myśliwskich bredni.
Lecz już na wiązce siana i sutéj niedźwiedni,
Pan Rej, patrząc w ognisko, złożył głowę senną,
Drzemie Boksza strudzony pracą całodzienną,
Już gwarny Rej zasypia, zasnął i stróż lasa,
A ogień zwolna płonie, węgli się... dogasa,
I już chatnie okienko zabłysło świtaniem,
Widać pogodne niebo i gwiazd kilka na niém,
I jutrznię, co na wschodzie krasno rozwinięta,
I słychać jak szczebiocą gajowe ptaszęta;
Bo i serca ptaszkowe, jako serca ludzi,
Nie śpią o brzasku dziennym—gdy miłość rozbudzi.
Lecz dwaj młodzi pokrewni, co siedzą przy ścianie,
Czyż i tym spać nie dawa sercowe dumanie?
Któż wie? lecz o spoczynku i śnie ani marzy
Młody kapłan ni młody porucznik ussarzy.
Szepczą—a Orzechowski na braterskie łono
Przytulił pieszczotliwie głowę rozpaloną,
I głosem, co mu drżący z pod serca się leje,
W te słowa opowiada swe burzliwe dzieje:

Pieśń trzecia.

WYZNANIA.

I.

„Jam człek wolny, jam dziecię wolnego narodu—
Za cóż krzepkiemi więzy skuto mnie za młodu?
Ach, ojcze! na toż wyszły twe troskliwe chęci,
Że w przystępie rozpaczy bluźnię twéj pamięci?
Nie pomnąc, że o chlebie Bóg dla nas pamięta,
Chciałeś być opatrzniejszym niż Opatrzność święta!
Ojcze! na złeś obrócił rodzicielską wolę,
Kładąc księżą czamarę na młode pacholę...
Bóg mnie stworzył rycerzem na trud i na boje,
Krew gorącą jak lawa wlał pod serce moje:
Lecz ojciec zbyt troskliwy o mój los ubogi,
Skował dziecku łańcuchem i ręce i nogi.
Złotyć to wprawdzie łańcuch, poważny znak cześci,
Na nim krzyż, godło szczęścia i godło boleści...
Przebacz, Chryste! że ręce drętwieją bezwładne,
Że pod ciężarem krzyża Twojego upadnę!
Dano mi go... był złoty... błyskotką omamion
Wziąłem... nie obliczywszy siły moich ramion.
Ale wierzyłem, biorąc święcone błyskotki,
Że jarzmo Twoje lekkie, że zakon Twój słodki;
Ani mi się marzyło po dziecięcéj głowie,
Że mądre teologi, uczeni skrybowie
Doszli w Twoich wyrokach przez pracę mozolną,
Że chcąc być doskonałym, człekiem być nie wolno,
Że trzeba skazać serce na kleszcze i noże,
Gdy się uczuć człowieczych odprzysiądz nie może.
Zkąd ja to mogłem wiedzieć, nieuczone chłopię,

W méj wiosce Barańczyckiéj?—pomnisz ją Prokopie?
Pomnisz, jakeśmy razem, swawolnicy mali,
Klejonego latawca na sznurze puszczali?
Och! leciał w górę papier ze skrzydły smoczemi;
Lecz chyżéj dumka moja rwała się od ziemi,
I swobodniéj niż owa latająca żmija
Śmiało się po niebiosach i ziemi uwija!
To sobie wyobrażam, żem zefir swawolny,
To się z chmurką pokłócę, to kwiat zerwę polny...
Tak dziecię sześcioletnie kiedy hasam śmiele,
Już mi ojciec zakupił dostojność w kościele,
I w szkole między żaki zaszczyt mi się czyni,
Żem pleban i kanonik przemyskiéj świątyni.
„I wiary i łaciny, którą dzisiaj gwarzę,
Uczyli mię w Przemyślu ruscy bakałarze.
Pod ich okiem, namiętne do nauki dziecko,
Łapczywie piłem mądrość i rzymską i grecką.
Tam żyłem z Homerową rycerską drużyną,
W Horacym pokochałem dziewice i wino,
Tam rozogniałem usta Cycerońską frazą,
Tam mi serce rozłechtał Owidyusz Nazo.
A gdy mi biły pulsa jako morskie fale,
Kazano zostać zimnym i czytać we mszale.
Oblegli mnie duchowie i biali i czarni;
W książce szukałem nieba, szukałem męczarni,
I toczyłem sam w sobie dzikich walk tysiące.
Owdzie zimna rozwaga, owdzie serce wrzące
Ścierały się morderczo w głębi mego ducha.
Patrzę na krzyż — i ztamtąd przyszła mi otucha,
I ślubowałem Panu uroczyste wota,
Nie odpocząć, aż trafię na prawdy żywota.

II.

„Skończyłem lat czternaście. Mój ojciec w tym czasie
Z handlownymi Ormiany, w kupieckiéj kolasie,
Wyprawił mnie do Niemiec, z niepłonną nadzieją,
Że ocean mądrości w moją głowę wleją.
Marzyłeś, zacny starcze! marzyłeś radośnie,
Że i Polsce ode mnie zaszczytu przyrośnie,
I ty dojdziesz pociechy na zgrzybiałe lata,
Że syn twój będzie mędrzec na podziw u świata,
Arcybiskup gnieźnieński i prymas koronny...
O! znikły twe rojenia, jak meteor płonny!
Bo k' ziemskim dostojnościom trzeba zimnéj głowy:
Ja mam serce szaleńca i polot orłowy,
Nie umiem kłamać cnoty, w którą się nie wierzy,
Rzucać klątwy na bliźnich lub więzić kacerzy.
„Niesforne moje serce i mój umysł bystry
Wittemberskie doktory, wiedeńskie magistry,
Świadomi co się dzieje na ziemi i w niebie,
Jęli kształcić i łamać każdy wedle siebie,
I każdy, wznosząc księgę okurzoną pyłem,
Wołał: „Do mnie, młodzieńcze! ja prawdę odkryłem!“
Ja biegłem, porzucając spoczynek i jadło,
Z pokarbowaném czołem i z twarzą wybladłą,
I patrzałem ze skrytym niepokojem łona,
Jak na skinienie Lutra germańskie plemiona,
Szarpając pisma Rzymu z zajadłością wściekłą,
Wyzywały do walki i niebo i piekło.
Od Elby aż do Renu rwąc się z całą mocą,
Jednym śmiechem szyderczym narody chychocą,

Krzycząc, że teraz światło prawdy się wyjaśni,
Że potargano siatkę przesądów i baśni.
Patrząc w oczy człowieka, co te cuda tworzy,
Rzekłem w sobie: „Zaiste! ten jest prorok boży!“
A prorok mnie pokochał uprzejmością chętną
I namiętnie rozżarzał mą duszę namiętną.
Mawiał do mnie: „Młodzieńcze! sądzono-ć zaiste,
„Byś, jak Jędrzéj apostoł, światło wiekuiste
„Zaniósł na Słowiańszczyznę—śmiało jeno, śmiało!
„Ostrz twe pióro, by zwalić starzyznę spróchniałą!“
„Święta księgo żywota, o Biblio wzniosła!
Do twych kart uroczystych dusza mi przyrosła:
Badałem twoją mądrość i twój duch proroczy,
Aż mi krwią, aż mi ciemnem zabiegały oczy;
Upajałem się tobą, ile głowa zmieści,
I doszedłem... że miłość to treść twojéj treści.
I poczułem zgryzotę, kiedy wzrok mój pada
Na twarze Melanchtona, Lutra, Karlostada:
Bo po hardych obliczach znać co w piersiach żywie—
Świętą cechę miłości zatarli troskliwie,
Żółcią, nie zaś balsamem ich serce oddycha,
Na ustach złorzeczenie, a na czołach pycha.
Wzdrygnąłem się, uciekłem ze ściśnioną duszą.
O! prorocy Chrystusa nie tacy być muszą!
Do Rzymu! hej, do Rzymu śpieszmy lotem ptaka!
Kędy następca Piotra, Świętego Rybaka,
Sługa sług Chrystusowych błogosławi rzeszy —
On mnie prawdy nauczy, z kacerstwa rozgrzeszy.

III.

„Więc rzekłem: „Bóg was żegnaj, swarliwi mistrzo-
I w pokutnéj włosieni, z popiołem na głowie, [wie!“

Szedłem do ziemi włoskiéj. Lecz tam z całą siłą
Powietrze zaalpejskie krew mi rozogniło:
Bo oczy włoskich dziewic i auzońskie klima,
Choćby pielgrzym był z głazu, roztopią pielgrzyma;
Choćby szedł do spowiedzi—tak mu kochać chce się,
Że więcéj jednym grzechem do Rzymu przyniesie,
Jeśli miłość jest grzechem. „Grzech ciężki! grzech
Mówiły mi klasztorne stare teologi... [srogi!“
A owo serce gore... i mój spokój płoszy,
Szarpane zgryzotami, pijane z rozkoszy.
Pomnę, chciałem je zdrętwić w modlitwie i pracy,
A padewski Bonamik, wenecki Egnacy,
Mistrzowie sławni w świecie, memu sercu mili,
Być zimnym a rozważnym szaleńca uczyli.
Chcieli zagasić wulkan — o pożal się Boże!
Nie każdy zimno czytać i modlić się może.
Bóg rzucił w piersi moje gorejącą głownię:
Gdy czytam, to namiętnie,—modlę się, gwałtownie,—
Kiedy kocham, precz z myśli cała mądrość ziemi, —
A kiedy pokutuję, to łzami krwawemi!
Nie pytaj — czy mi dobrze z tak dziką naturą,
Nie zazdrość — że u świata głośne moje pióro,
Które we krwi gorącéj napawam, gdy piszę.
Precz mi z bolesną chwałą!... dajcie mi zacisze,
Dajcie mi pokój duszy! uleczcie z rozpaczy!...
Uśmiechasz się Prokopie?... ja wiem, co to znaczy:
Szydzisz w myśli, że cierpię, że dręczę się marnie!
Och, nie ussarskiém sercem pojąć te męczarnie!“
—„Stanisławie! — rzekł Prokop — ale sercem brata
„Można pojąć, jak serce braterskie kołata,
„I współboleć i pomódz, gdy jest jaka rada.
„Mów daléj — twoje słowo nie na kamień pada.“

IV.

Orzechowski podumał i tak daléj mówi:
„Z Padwy z kijem pielgrzyma szedłem ku Rzymowi.
I w Rzymie myśli moje darły się na poły, —
I Watykan poważny i Tyber wesoły.
Tam kapłan siwobrody odzywa się śmiele:
„Upadaj na kolana i kórz się w popiele!“
Tam rozkoszny Horacy inną piosnkę śpiewa:
„Chodźmy pomiędzy mirty i oliwne drzewa!
„Na zielonéj murawie, w rozkoszném Tivoli,
„Wartoż w końcu zapomnieć, że nas serce boli!
„Naléj pienistém winem twą czarę głęboką,
„Graj w strony i opiewaj dziewę czarnooką!“
„Młodzieńcze! gdzież tu przylgnie twoje serce szczere?
Czy piosenka miłosna, czy psalm *Miserere*
Bardziéj, ci wstrząśnie duszą? Lecz cel twój wytkniony:
Nie dla pieszczot miłosnych przybyłeś w te strony!
Mówcy grzmią z kazalnicy, a każdy im wierzy,
Że uczucie młodzieńcze to wymysł kacerzy,
Że serce winni zdławić ludzie prawowierni,
I że nie masz zbawienia krom krzyżów i cierni.
Więc kiedy pomrok uczuć upajał mi głowę,
Liczyłem je za grzeszne natchnienie Lutrowe
I przepędzałem noce bezsenne a łzawe,
Mówiąc psalmy pokutne.
„Lecz w świętém konklawe
Są kardynali mądrzy a pełni zalety,
Młodzieńczy Kontarini, stary Spanoletti,
Ludzie, co sami żywot Chrystusowy wiodą,
Co brzydzą się jak śmiercią kacerską swobodą,

A przedsię od tych mężów słyszeć było można,
Że krzywi słowa Pańskie gorliwość pobożna,
Żeśmy ryglem zamknęli podwoje do nieba,
Że i w kościele bożym reformy potrzeba,
Że przyjdzie czas, gdy kapłan będzie mógł bez winy
Zostać zacnym małżonkiem i ojcem rodziny,
Obywatelem kraju i bratem swych braci.
O męże, darem Ducha Świętego bogaci!
O książęta kościoła! czołem biję, czołem!
Z ust waszych promieniściéj Chrystusa pojąłem:
Że Bóg nie kazał sercu zadawać katuszy,
Pastwić się fanatycznie nad uczuciem duszy,
I nie przeklął miłości; że chcąc poznać Pana,
Nie chodź między kacerze, owieczko zbłąkana,
Bo rzymski dobry pasterz Piotrowéj owczarnie
Twe zwątpienia rozproszy, twe rany przygarnie.
—„Tak,—mawiał Spanoletti—wiem, że Paweł trzeci
„Jest Ojcem miłosiernym Chrystusowych dzieci,
„Co związano, rozwiąże w upatrzoną porę,
„Jeno zbrojni we skruchę i świętą pokorę
„Módlmy się...“

V.

„Takiéj mowy słuchałem ochoczy,
Prysnął kamień zwątpienia, co mi serce tłoczy;
A kiedym po raz pierwszy odetchnął swobodnie,
Przysiągłem, że ich słowa czynem udowodnię.
Domownik Kontarinich, Farnezich pieszczota,
Dostojności kościelnych otwarte-m miał wrota:
Więc marzyłem, że kiedyś w ojczystym kościele
W obronie Chrystusowéj odezwę się śmiele;

Że Bóg brzydzi się wkładać kajdany na serce.
Choćby wołał fanatyzm: „Ukrzyżuj bluźniercę!“
Niechaj na mnie kamieńmi albo błotem ciska,
Zniosę gminu obelgi i urągowiska;
A choćby przyszło jaśnieć w biskupiéj tyarze,
Wstąpię we ślubne związki, jak mi serce każe.
Dowiodę i przysięgnę, choćby w obec krzyża,
Że godności kapłańskiéj mój ślub nie ubliża,
Że niedość po łacinie szargać Pańskie słowo,
I swarzyć się ząb za ząb o wiarę Lutrową,
Albo o dziesięciny. Nie próżnować marnie,
Lecz wszczepić się miłością w serce swéj owczarnie,
Dać jéj wzór, doskonałość jako się dościga,
I ocierać pot krwawy, kiedy krzyż swój dźwiga,
I dopomódz dźwigania — to święciéj daleko,
Niż z bukowym różańcem i chmurną powieką,
Z lodowatemi pierśmi, w doktoralnéj todze
Dać aniołowi pychy wyolbrzymieć srodze.
Głos ten trafi do Rzymu — a wtedy swą władzą
Apostolskie wyroki słuszność mi oddadzą,
A żmija fanatyzmu, co mię zdławić życzy,
Z pod ziemi chyba klątwy pobożne wysyczy.
„Śmiało goniłem w myślach na ów bój zajadły;
Lecz gdy przyszło do czynu — ręce mi opadły!
Zląkłem się, żem ułomny przed obliczem Pańskiém,
Uciekałem przed świętym chryzmatem kapłańskim,
Aż zbadam, aż uzacnię głąb' mojego łona.
Lecz łódź mego żywota na szturmy sądzona
Nie mogła w cichym porcie zawinąć swych żagli.
Ojciec woła mię z Rzymu, zaklina i nagli,
Ażebym powróciwszy do ojczyzny skoro,
Został domu i braci jedyną podporą,

I wykonał kapłańskie niezmazalne śluby,
I zajął wsi kościelne, co pełen rachuby
Ojciec dla mnie wyjednał. Tak się los mój kończy:
Z tytułem kanonika, lecz w świeckiéj opończy,
Mędrszy kilku myślami, starszy kilku laty,
Powitałem na Rusi ojczyste Penaty.
A gdy w myślach rozważam mą przyszłość niepewną,
Mój ojciec się oburzył i tak mówił gniewno:

VI.

—„Héj! przyniosłeś od Włochów snadź rozumu siła!
„Lecz pomnij, że twa mądrość nasz dom przygubiła;
„Cośmy mieli w klejnotach, w sprzętach, w gotowi-
[źnie,
„Przejadłeś na łacinie i mądréj greczyźnie;
„Nie na tom cię we Włoszech obsypywał złotem,
„By twa mądrość na Rusi zakwitła blekotem,
„Ażebyś owinięty w twojéj chwały tęczę
„Strzelał w głowy prostaczków sofizmy szaleńcze;
„Lecz raczéj, abyś kształtem palmy lub jabłoni,
„Co owocem nakarmi a liśćmi przysłoni,
„Wsparł zubożałych braci i dom co upada;
„To obowiązek cześci. A biada ci, biada!
„Jeżeli cześć domową podasz ku zatracie!
„Ja o wioski kościelne starałem się dla cię,
„Ty musisz być kapłanem i wzmocnić twe prawa;
„Już mi i tak ksiądz Tarło spokoju nie dawa
„I obsyła pozwami, żem przed kilku laty
„Zagarnął na twe imię kościelne intraty.
„Mądry ksiądz! lecz i moja wedle kształtu głowa!
„Jutro, chłopcze, bądź gotów: na wóz i do Lwowa!

„Tam zacny arcybiskup wesprze nasze chęci,
„I chryzmatem kapłańskim twe czoło poświęci,
„A wtedy, księże Tarło, choćby walczyć z piekłem,
„Probostwo żórawnickie...“
— „Mój ojcze!—wyrzekłem: —
„Lecz mi się w biednéj głowie co innego marzy;
„Ze drżeniem przystępuję do Pańskich ołtarzy,
„Tysiące wątpliwości w sercu skołataném...
„Straszno mi... mógłbym zostać niegodnym kapłanem.“
—„A więc pozostań godnym!—mój ojciec ofuknie:
„Bierz przeklęctwo ojcowskie, albo księżą suknię,
„Jedno z dwojga... rozumiesz?!! wyrok się nie cofa,
„Lub w łachmany opadnie toga filozofa,
„I spokornieje harde mądrością oblicze:
„Bo jeśli nie usłuchasz, wnet cię wydziedziczę!“

VII.

„Daremnie się przekłada, daremnie się błaga;
Twardą była nad dzieckiem ojcowska powaga.
Pojechałem do Lwowa, widząc opór marny,
I poszedłem przed ołtarz, jak cielec ofiarny,
I tam Piotr Starzechowski, arcypasterz siwy,
Namaścił mnie kapłaństwem na bój nieszczęśliwy,
Który staczam codziennie, jako szermierz dziki,
Z własném gorącém sercem, z zimnemi zwierzchniki
I z przesądami świata. Owdzie motłoch głupi
Rozjątrza księdza Tarły fanatyzm biskupi;
Owdzie pasterz przemyski gwoli urągania
Z żórawnickiéj świątyni gwałtem mię wygania
I ramieniu świeckiemu na igrzysko poda;
Tam nikczemny Odrowąż, ruski wojewoda,

Rad się pastwić bezkarnie, kiedy zręczność baczy,
Nasyła w dom mój woźnych, pijanych siepaczy.
„Biegłem po sprawiedliwość do powagi starszéj,
Przed stolicę prymasa, i przed tron monarszy,
I na zjazdy szlacheckie, i w izbę senatu,
I wygrałem mą sprawę, i polskiemu światu
Dałem poznać me imię...
„Nastąpił zgon Tarły:
Wstąpił po nim Dziaduski — i sprawy umarłéj
Nie wskrzeszał, choć radzili prześladowcy dzicy;
Zostawił mnie spokojnym w mojéj Żórawnicy.
I przecię odetchnąłem serdecznym spokojem
Z Panem Bogiem i z księgą i z łańcuchem moim;
Choć go potargać w sztuki czułem się na sile,
Lew odpoczął po walce i zadrzemał chwilę.

VIII.

„Dziękuj Bogu, Prokopie, za rycerskie życie:
Bo cóż tam, że z Tatarem na ostre gonicie?
Liczysz zwycięzkie szczerby na twojém żelazie;
Choć cię wrogi zwyciężą, to w najgorszym razie
Głowę mieczem a serce oszczepem rozsieką,
Przynajmniéj możesz skonać — lecz straszniéj daleko,
Gdy człowiek sam ze sobą w dzikiéj walce zgrzyta:
Tam i serce rozdarte, i głowa rozbita,
I zwycięztwo niełatwe, i skonania niéma —
Tylko bohater ducha tę walkę wytrzyma!
Ja, ognisty młodzieniec, nad księgi zimnemi,
Wysysałem z nich życie, rwałem się od ziemi.
Ty nie znasz tego szczęścia wśród gwarnych ussarzy,
Gdy się młody samotnik zaczyta, zamarzy

I przyrośnie do księgi, jak gdyby jéj karta;
Ale nie znasz męczarni, gdy dusza, wydarta
Z krain zmarłego świata żywych uczuć szuka.
Szczebiotliwa jaskółka gdy w okno zapuka,
Słowik, co swéj jedynéj pieszczotliwie gwarzy,
Tak mu duszę rozwiośni, tak mu krew rozżarzy,
Tak pragnieniem miłości rozkołysa głowę,
Że chętnie własne serce darłby na połowę,
Byle dzielić się sercem... Niechajże niebacznie
Niesfornemu duchowi folgować coś zacznie,
I na licach dziewiczych spojrzenie popieści,
I wda się w szczebiotliwy rozhowor niewieści, —
Zgubiony!! bo rozognił płomienistą ranę,
Zgubią go sny tęczowe i myśli jutrzniane...
„Ginąłem! — a tu przesąd i oko i ucho
I serce kazał wiecznie zakować na głucho,
I prawa kanoniczne przede mną rozwija,
I szepce, że łańcuchem skuta moja szyja.
Potargałbym przesądy, zagrzmiałbym do tłumu
Słowy Spanolettego, słowami rozumu,
I otworzyłbym piersi na uczuć powaby;
Lecz wstyd samego siebie, żem za nadto słaby.
„Więc porwałem za pióro z tajemnéj nadzieje,
Że wicher piśmienniczy głowę mi owieje,
Że gdy poczną mię czytać i wielbić ciekawi,
Próżność insze uczucia w mych piersiach zadławi.
Och! nie zadławić serca oratorskim szałem:
Miłość nie zaginęła — lecz sławny zostałem;
Bo miłość kiedy wstrząśnie człowieczą budową,
Myśl jego potężnieje, rozpala się słowo,
I do serca bliźniego jako piorun grzmoce.
Świetne były méj pracy piśmiennéj owoce.

Rozbiegły się po całéj sarmackiéj przestrzeni,
Czytali je prostacy, czytali uczeni,
A oklask, co rzęsiście w moją cześć wybucha,
Przyświadczał, że rodakom trafiłem do ducha.
Turczyn wtedy plondrował Węgierszczyznę biedną
I wzrokiem bazyliszka pasł Polskę sąsiednią.
Jam był szlachcic, więc rycerz, a choć miecza niéma,
Cisnąwszy ostrzem pióra — zachwiałem olbrzyma,
I wróżyłem Sarmatom, że mu czoło przetną,
Gdy zmienią rozpacz podłą na rozpacz szlachetną.
Tam głosem świętych przodków mój głos do nich woła,
Tam jękiem żon i dziatwy, tam w imię kościoła,
Bohaterskim zapałem zatrząsłem ich łona,
I rzuciłem, jak tuszę, nie marne nasiona.
Czytano me *Turcyki* w uniesienia gwarze,
Tłoczyli je krajowi i obcy drukarze,
A świat mnie Demostenem łacińskim nazywa,
I Cyceronem polskim... Ej, nie wielkie dziwa,
Że człek, pełen miłości i dzikiéj rozpaczy,
Wymowniejszy od greckich i rzymskich gadaczy!

IX.

„Więc puszczam w lot piorunu me pióro zażarte,
I co tylko wre w sercu przenoszę na kartę,
Polska musi mnie czytać rada czy nierada.
Czy to naród na sejmie swe klęski przekłada,
Ja z odkrytemi pierśmi wychodzę widomie,
Zdzieram maskę ze zdrajców i zbrodniarzy gromię;
Czy to pożegnał żywot nasz monarcha stary,
Ja w ostatecznym hołdzie poddańczéj ofiary

Składam na jego trumnę podarek grobowy,
Wieniec pochwał uwity serdecznemi słowy;
Czy gdzie kacerz wypuści z niemieckiéj zasadzki
Na zgruchotanie Rzymu swój grot świętokradzki,
Ja śpieszę zdeptać hydrę, jak powinność woła,
Jako prawy walecznik Pańskiego kościoła.
Ale choć duch i ciało w ustawnéj rozterce,
Wciąż cypryjska bogini rozpala mi serce;
Więc rzekłem: Grzech być dłużéj pastwą tych pło-
[mieni,
Bo się zapał niewinny w zbrodniczy zamieni;
Pójdę za głosem serca, bo piekło zwycięży! —
I napisałem księgę *O małżeństwie księży*,
I puściłem ją na świat między ludu rzesze:
Niech się pastwią pobożni—ja wiem, że nie zgrzeszę!

X.

„Ciekawie moje pismo z rąk do rąk chwytano,
I jak głównia rzucona na strzechę słomianą,
Zażegło całą Polskę — i już pożar płonie.
Zadrżał biskup Dziaduski na przemyskim tronie;
Jednak władzę pasterską chcąc okazać światu,
Wezwał mnie do podnoża swego majestatu.
Stanąłem... brew najeżył... chciał mnie skarać pono;
Lecz ze mną Pismo Boże i przyjaciół grono —
Więc zmieszany, że idę z wiarą i otuchą,
Chciał wyklinać, lecz tylko zająknął się głucho.
Na wiszniańskim sejmiku znów badał mą sprawę,
Czy doprawdy mam złamać bezżeństwa ustawę?
Mimo klątwy kościelne, mimo zbrojne straże:
—„Tak jest!—odpowiedziałem—bo sumienie każe.“

Więc mnie pismem przypozwał stanąć na swym dwo-
[rze,
Mniemając, że się zlęknę, że się upokorzę;
Lecz ja na jego pozwie, wśród szlachty okrzyku,
Powtórzyłem to samo, com rzekł na sejmiku:
Żem winien posłuszeństwo nie ludziom, lecz Panu,
I podpisałem pismo: „*intrepida manu.*“
Słyszałem, że rozjątrzon chce się mścić nade mną
I pojmać, i osadzić w ciemnicę podziemną.
Ho! ho! księże biskupie, skoryś do napaści;
Może i pan Odrowąż dopomógłby waści
Wojewodzińską strażą — tylko trudna rada,
Bom ja szlachcic herbowy, mnie sądzić wypada!
Nie da sądzić na rozkaz pana wojewody,
Ze mną szlachta w obronie swéj własnéj swobody,
Nie tylko dać swe miecze, lecz gardło gotowa —
Mamy powagę sejmu: jedźmy do Piotrkowa!
Obaczym, co powiedzą posłowie i radni,
I czyja się prawica z gromów obezwładni?“

XI.

Tu się Prokop zapytał prędko i ciekawie:
—„Jak to? więc ty małżonkę pojmiesz, Stanisławie?
„A twojaż głośna chwała? a stanże twój święty?
„Lecz prawda... tu ksiądz Marcin, owdzie ksiądz Wa-
[lenty
„Wzięli żony i ścieżkę ukazali tobie.“
— „I przeszli do kacerzy!... ja tego nie zrobię! —
Zawołał Orzechowski, drąc szatę z szelestem; —
Pójdę za głosem serca i będę czém jestem...

Rozumiesz?... tém, czém jestem! Klnę się w obec Nieba,
Że sofizmów kacerskich dla mnie nie potrzeba,
Że w mych piersiach goreje żarliwość pobożna,
Że z Marcinem Krowickim równać mnie niemożna,
Bo to żmija wylęgła w kacerskim bezwstydzie;
Takim ludziom o prawdy żywota nie idzie,
Jest to wilk w owczéj skórze, miękki sybaryta!"
—„A przecięż, Stanisławie," — znowu Prokop spy-
„Mówiono, żeś go kochał i bronił jak dziecko [ta,—
„Przed zawziętą powagą duchowną i świecką;
„Mówiono, że w Krakowie, kiedym był na wojnie,
„Przed księdzem Maciejowskim stanąwszy dostojnie,
„Broniłeś Krowickiego bohaterskiém czołem?...
—„Broniłem—rzekł Stanisław,—aż sam zaginąłem,
Bo odtąd mnie obsiedli ludzie nienawistni.
Tak było: ksiądz Krowicki był plebanem w Wiszni;
Jam go przyjął, gdy ztamtąd kacerza wygnano,
Jam mu ślub błogosławił ręką niezachwianą;
A gdy był prześladowan, ja w kornéj postaci
Kołatałem do panów i do szlachty braci,
Polegałem na silnych przyjaciół drużynie:
Oleśnicki w Pińczowie, a Chełmski we Lścinie,
A Rej w Nagłowskiéj wiosce—to moja podpora;
Więc od miasta do miasta, od dwora do dwora
Jeździłem, przekładając Krowickiego nędzę
I prosząc o opiekę.
„Ach! w tamtéj włóczędze
Zginęła mego serca chwilowa swoboda:
Przebodła mię spojrzeniem czarodziejka młoda,
Że już wskrzesnąć nie mogę—we śnie i na jawie
To spojrzenie urocze klnę i błogosławię...

Lecz po cóż mam zatajać me uczucia rzewne?
Wszakże i nasze rody i serca pokrewne.
Prokopie, tyś towarzysz dziecięcéj swawoli,
Przed tobą można wyznać, jako serce boli.
Więc słuchaj...

XII.

„Gdzie? nie powiem,—w Krakowskiém,
[to dosyć,
Przybiegłem o opiekę nad Krowickim prosić.
Gospodarz postać zacna i w kraju znajoma;
Ale kiedym przyjechał, nie było go doma,
Bo posłował od szlachty na krakowskim sejmie.
Więc młoda synowica wdzięcznie a uprzejmie
Zabawiała przybylca — który do téj chwili
Pamięta każde słowo, cośmy tam gwarzyli,
I każdą grę rumieńca, co kraśnieje falą,
I każde mgnienie oczu, co jak słońce palą.
Czy ona była piękną?... któż to wiedzieć może?
Insze jest piękno ludzkie, insze piękno boże!
Ludzie mają prawidła dla kształtów, dla twarzy,
I opisali piękność jak szperacze starzy,
Co opisują w księgach dokładnie a wiernie
Garnek wynaleziony gdzieś w rzymskiéj cysternie.
Lecz piękność, tchnienie Boga, odcisk jego myśli,
Grzech temu kto określa — i nikt nie określi.
Ona nie była piękną wedle piękna ziemian:
Oczy modre jak niebo i zmienne naprzemian
Jako niebo sarmackie — to pogodą błyśnie,
To się chmurką zasępi niby nieumyślnie,

To poważnym obłokiem cała się ogarnie,
To promykiem słonecznym wystrzeli figlarnie.
Niechże mi to określi twoja myśl bogata!
Określ mi tę purpurę, co po licach lata,
I tę postać Dyany, co skromna jak dziecię,
Co nie wie, że bogini, a króluje przecię,
Co dziwi się, gdy przed nią zdumieni uklękną...
Nie nam... nie nam, Prokopie, określić to piękno!
To nie rzeźba z marmuru, tu snadź bije łono;
A znurtować myśl bożą nie ludziom sądzono,
Jeno czołem uderzyć...

„W rozmowie nam płynie
Godzina w jednéj chwili, cały dzień w godzinie.
Mówiłem jéj o Włoszech, o mojéj podróży;
Pytała mnie o Rzymie: czy tam kościół duży?
Czy Papież siwobrody? czy po polsku mówi?
Czy nie byłem na Etnie, idąc ku Rzymowi?
Czy straszno, kiedy ognie wulkaniczne gorą?
Czy pięknie, gdy się Włoszki w niedzielę ubiorą?
Jak tłómaczyć na polskie chrzestne ich imiona?
Czy wszystkie takie chytre jak królowa Bona?
I dalszych pustych pytań rzucała mi krocie —
Że poważny teolog był przedsię w kłopocie.
Chociaż Polska mię swoim Cyceronem zowie,
Dałbym pokój méj chwale i mojéj wymowie,
A jeszczebym się Bogu pomodlił sowicie,
Żeby w tak słodkiéj bredni spędzić całe życie...
„Nad wieczór stryj sędziwy powrócił z podróży.
Ona wybiega... wita... ochoczo mu służy,
I pieści się u kolan siwego brodacza,
I pancerz mu odpina, i krzesło wytacza,

I ognisko nanieca, i puhar nalewa.
A kiedyśmy przy ogniu suszonego drzewa
Jęli ze starym gwarzyć, kiedy z całą siłą
Biedny stan Krowickiego jasno się skreśliło:
Jako folgując serca niezłomnéj naturze,
Wywołał piorunową fanatyzmu burzę,
Jak nań klątwy ciskają, jako w jednéj chwili
Jego chleb mu wydarli i w nędzę wtrącili,
Że jeśli nikt tułacza nie wesprze opieką,
To go kędyś w nieznaną ciemnicę zawleką, —
Stary obiecał pomoc, ile starczy siła.
A ona pilno słucha... i czoło zakryła.
Och! widziałem i dobrzem zachował w pamięci,
Jak święta łza współczucia w jéj oczach się kręci!
Zadrżałem i przysiągłem, choć piekło się zbudzi,
Że jéj rękę i serce wywalczę u ludzi.
Ja dochowam przysięgi!“

Prokop zbladł jak ściana;
Trzęsie się w jego uściech mowa przerywana.
— „Stanisławie!“—zawołał rwąc się niecierpliwie—
„Powiedz mi... jak się zowie?... i gdzie ona żywie?...
„Gdzieś widział?... gdzieś pokochał tę cudną boginię?...
„Mów!... Bogiem cię zaklinam!“

— „Ot tutaj, we Lścinie,
W domu pana Chełmskiego — on pewnie ci znany...
Lecz ty zbladłeś, Prokopie?“

— „Bom dziś niewyspany...
„Mdło mi... słabo... nie troszcz się... o porannéj porze
„Wyjdę sobie do lasu... tam rzeźwiéj na dworze.“
I prędko przywdział pancerz... i wybiega z chaty;
Za chwilę mignął w oknie jego strój bogaty:

On na koniu — a rumak już tętni w kopyta;
A harcerz głównię miecza zapalczywie chwyta;
Twarz jego płomienista, oko zaiskrzone...
I poleciał... Od krzyża wziął się w lewą stronę
I znikł we mgle porannéj. Ot wróg twojéj sprawie:
Snadź mu trafiłeś w tętno, księże Stanisławie!
Niedarmo tak poleciał, tak gniewno się miota...
Och! spotkacie się jeszcze na drodze żywota.

Pieśń czwarta.

* * *

I.

Pobożny czytelniku, jeśli ci się zdało,
Że kanonik przemyski targa się za śmiało
Na kościelną powagę, że niezbyt uległy
Z nietykalnéj świątyni wyłamuje cegły,
Aby krom wielkiéj bramy, kędy lud się tłoczy,
Otworzyć dla się małą fórtkę na uboczy, —
Przepuść mu, bośmy ludzie ułomni, niestety!
I nie rzucaj kamieńmi na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.
Nie mierzmy starych czasów wedle nowéj skali.
Insza dziś, a inaczéj bywało na świecie
Po narodzeniu Pańskiém w szesnaste stulecie.
Wtedy Kościół Piotrowy podmywała fala,
Wtedy ogniem potężnym ołtarz się wypala.
Lecz jeno nabrał hartu w téj dwoistéj probie;
Więc z błędów staroświeckich nie gorszmy się sobie.

A jeśli, gdy czytacie, gorycz was przenika,
I serce zakipiało, i żal kanonika,
Nie wstydźcie się tych wzruszeń, czytelnicy młodzi!
Nad boleścią bliźniego zapłakać się godzi —
I wedle praw kościelnych grzechu za to niéma.
Lecz za zbiegłym Prokopem puśćmy się oczyma,
I wyprzedźmy go myślą, co mknie bez zawodu,
Do stolicy Jagiełłów, do Krakusa grodu.
Król w mieście—więc krakowskie otworzyste wrota
Pilnuje z halabardy węgierska piechota,
A nudząc się na warcie o porannéj dobie,
Piosenki naddunajskie wyśpiewywa sobie.
W miarę dnia coraz gwarniéj, i ludność urasta,
Piesi, konni, wozowi, do miasta i z miasta,
A każdy śpieszno dąży, a cała gromada
Po łacinie, po polsku, po niemiecku gada,
Jak niegdyś robotniki przy wieży Babelu.
A strojów ani zliczyć w przemianach tak wielu:
Hatłas, szkarłat, żelazo, migają co chwila,
Jak ubarwione pręgi na skrzydłach motyla;
Złoto iskrzy jak słońce na szlachcie i panach,
Żydowie w żółtych czapkach i czarnych żupanach,
Rycerstwo po hiszpańsku lub tatarską modą,
Tamten z sowitym wąsem, ten z trefioną brodą.
Owo pałasze brzęczą po bruku kamiennym,
Grzmią wozy, miasto kipi swoim ruchem dziennym.
Patrzaj jeno po murach: oto wzrok uderza
Łazarzowa drukarnia, daléj kram płatnerza;
Daléj w pielgrzymskim płaszczu przedaje dziad stary
Częstochowskie obrazki, tam włoskie towary;
Owdzie żaki uliczne i szkolne studenty
Klecą szopkę tarciczną na dyalog święty.

II.

A owo po nad wroty na bielonéj ścianie
W allegorycznéj myśli jakieś malowanie:
Sowita gałąź chmielu wyrasta od ziemi,
Z pokręconemi wąsy, z liśćmi olbrzymiemi,
A na szerokich liściach, jak to bywa w sadzie,
Przyczepił się rój pszczelny w niemałéj gromadzie.
Pięknież to mieć naukę! Ot naród prostaczy
Patrzy, a nie rozumie, co ten obraz znaczy?
Ale szlachta uczona, toć łacno zgadywa,
Że tutaj można dostać i miodu, i piwa.
Tu piwo niepoślednie łechce smak człowieczy,
Warzy je sam gospodarz i zna się na rzeczy;
Prawda, że i pułtuskie hańbie się nie poda,
A brzezińskie klarowne i gęby nie szkoda,
I sądeckie poszóstne wyśmienite bywa, —
Ale u Piotra Czopka toć piwo nad piwa.
Cóż za dziw, że *pod Chmielem* pełno na gawędzie?
Muzyka w dzień i w nocy na piszczałkach gędzie,
Dodawa dobréj myśli, rozwesela gości,
A świat ten — prawdę mówiąc, to próżność próżności.
W dzień jeszcze mało szlachty, lecz gdy noc się zczerni,
Tam panowie ussarze i młodzi pancerni
Uwijają się gwarno, brząkając pałaszem;
Nawet Jan Czarnolaski z Górnickim Łukaszem
Niekiedy tu zachodzą osłodzić swe losy —
A wesół starzec Gąska, Slasa wielkonosy
I wąsaty Mateusz i Jost ryżobrody
Na dzień dwakroć i trzykroć zajrzą do gospody.

III.

Jasne lipcowe słońce rozżarza się cudnie,
Wielki dzwon katedralny ogłosił południe,
Gdy szukając w gospodzie ussarskiéj gromady,
Wbieżał Prokop Zaręba pochmurny i blady,
I obrzucił spojrzeniem całą ciżbę gości.
—„Czy nikogo z rycerstwa nie masz u waszmości?
„Wszak tutaj się ussarze schodzą ku zabawie?“ —
Spytał u gospodarza. Pan Czopek ciekawie
Popatrzał na Prokopa i ramiony ściska;
Lecz pan Gąska nad konwią siedzący z poblizka,
Otarłszy siwe wąsy z szumiącego piwa,
Jako rad pobłaznować, głośno się odzywa:
—„Hej! nie znajdziesz tu waszmość swoich towarzy-
„Ussarstwo siedzi w kątkach jako rude myszy, [szy;
„Lub śpiewa po kościołach pokorne błaganie:
„Od hetmana i wojny zachowaj nas, Panie!
„Bo hetman jest w stolicy, a rozumiesz jużci,
„Że stary Jan Tarnowski płazem nie przepuści,
„I karze bez litości choćby w oczach króla,
„Kiedy huczne rycerstwo po gospodach hula.
„Dziad wiekuiście fuka jeden groźny śpiewek:
„A wara od szklenicy! a wara od dziewek!
„A zbroja czy błyszcząca? a przeharcuj pięknie!
„A złóż się rohatyną, boć ręka rozmięknie!...
„A kiedy się nasroży, jak lew jeży grzywą!
„Czy tak, mości ussarzu?“—rzekł Gąska złośliwo.
— „Tak,—odpowiedział Prokop—jeno się dziwimy,
„Że hetman, co w Tarnowie miał bawić do zimy,
„Tak prędko do nas wraca.“

— „Pilno coś na dworze,
„Pan od swojego boku puścić go nie może,
„Boć to filar ojczyzny, co się tak kołysze.
„Ksiądz biskup Maciejowski dogorywa słyszę;
„Król postrzegł, że swobodna od gderania głowa,
„Przeraził się i posłał po hrabię z Tarnowa.“
—„Jak to?—spytał Zaręba—więc waszmość mówicie,
„Że Maciejowski chory? że jest strach o życie?...“
—„Ho! ho!—zawołał Gąska—tu się coś wywiąże.
„Wszak to biskup krakowski i siewierski książę,
„Kanclerz wielki koronny—niebezpiecznie chory.
„Więc biskupi i wszystkie świeckie senatory
„Śpieszą tu na wyścigi w najgorliwszéj chęci
„Prędzéj zagarnąć spadek mitry i pieczęci.
„Świeckich łechce kanclerstwo, więc patrz co się zbiera
„Magnatów polskich, ruskich, pruskich *et caetera!*
„Zapomniawszy na sejmie o minionéj burzy,
„Każdy panu pochlebia a uprzejmie służy.
„A owo patrz, biskupom jako się podoba
„Krakowskiego pasterstwa i cześć, i ozdoba,
„I Siewierskiego księztwa monarchiczna władza!
„Jeden króla pobożnie w świątyni okadza,
„Drugi chce pokłonami podejść towarzysze,
„Ów łacińskie kameny na cześć jego pisze.
„Wszyscy tłoczą się społem do komnaty pańskiéj,
„Zebrzydowski, Przyrębski, Dziaduski, Uchański
„Okazują monarsze swą chęć nieobłudną;
„Ha! ale w tych pokłonach dopatrzyć nietrudno,
„Że futrem lisowatém ich toga podszyta.“
— „Więc waszmość jesteś pewien— znowu Prokop [spyta,
„Że ksiądz biskup Dziaduski jest w stołecznym gro- [dzie?„

—„Pewien jestem—rzekł Gąska—ot tutaj w gospo-
„Jakiś szlachcic sierdzity dziś językiem ruskim [dzie
„Rozprawiał o swym panu biskupie Dziaduskim,
„Co zbytecznie troskliwy o zbawienie duszy,
„I sam pości o chlebie, i dworzany suszy,
„Że wkrótce doczekają Przemyślanie biedni,
„Jak nakaże z ambony wieczyste suchedni;
„A iż Polskę oczyścić od kacerstwa życzy,
„Do książek zakazanych i piwo policzy —
„Bo to wymysł niemiecki, jak wiara Lutrowa.
„Hej, mości Pietrze Czopek! biednaż nasza głowa!
„Jak Araby z pragnienia poginiemy marnie,
„Jeżeli król mu odda krakowską owczarnię!“
Tak powiadał ze śmiechem Gąska siwobrody,
A Prokop brząknął szablą i wybiegł z gospody.

IV.

W długiéj, wązko a ciemno sklepionéj komorze
Żyje biskup Dziaduski. Tylko twarde łoże,
Tylko półka z księgami u wilgotnéj ściany,
Tylko w ciemnéj framudze krucyfiks drewniany
I obraz częstochowski ze srebrnemi szaty:
Oto cała ozdoba pasterskiéj komnaty.
A pasterz pokutniczo klęczący na ziemi
Modli się z wielkiéj księgi z klamry śpiżowemi,
I woła drżącym głosem: „*O sancta Maria!*“
I uderza się w piersi, aż echo odbija.
Twarz blada, bo ją postem i czuwaniem niszczy,
A rosa łez pokutnych w źrenicach mu błyszczy;
Lecz na pochmurném czole snadź duma nałogiem,
Jeśli się upokarza, to chyba przed Bogiem;
A ludzie... to jak stado pierzchliwych gołębi,

Spojrzeniem ich podepce, uśmiechem przygnębi;
Zna, że włada z ramienia Najwyższego Pana,
Jeżeli chcesz z nim mówić—padaj na kolana.
A opodal pokorny, chudy, ryżogłowy,
Stoi ksiądz Jan Czermiński, kapelan domowy;
Złożył ręce na piersiach pod jedwabną togą
I uśmiecha się jakoś chytrze a złowrogo.
Chwieje się jakby z wiatrem jego postać długa,
I wciąż głową potrząsa i oczyma mruga,
I szepce coś do siebie.
Wtém zadrgała ściana,
Brzmi po bruku kamiennym kolebka kowana,
Ucichło—jeno słychać, że ktoś stąpa w sieni,
Zapukano w podwoje: „*Veni, frater! veni!*"
Zawołał ksiądz Dziaduski, powstając w pokorze,
(Bo klasztorny obyczaj chował na swym dworze);
A Czermiński podbieżał snadź k' ważnéj osobie
I otworzył podwojów połowice obie.
Gość poważnie się wtoczył—wzniosła jego głowa,
Oblicze pełne, krasne, a pycha światowa
Wyryła na niém piętno ziemskiego zaszczytu.
Nosił fioletową togę z aksamitu,
Na piersiach wielki łańcuch i krzyż szczero-złoty,
Na krzyżu syn Dawidów, Męczennik Golgoty,
Wykonany robotą misternego Włocha,
Zda się przymawiał pysze miękkiego pieszczocha,
Co go nosił na piersiach—lecz nie w piersiach pono,
Co mu jasne brylanty na pierścieniach płoną,
Co indyjskich balsamów wonnemi przyprawy
Maścił trefioną brodę i włos kędzierzawy.
Snadź tylko co ucztował przy sowitym stole,
Snadź nieźle mu się wiedzie—a na jego czole

Ani pobożnéj myśli, ni światowéj troski —
To ksiądz biskup kujawski, Jędrzéj Zebrzydowski.
—„*Salvete mi! salvete in nomine Christi!*
Zawołał głosem dźwięcznym jak harfa psalmisty,
Co nim silnie wstrząśniona w takt zakipi rączy,
Najprzód powolne tony ze strun swoich sączy:
„Witam Waszą dostojność, mój pokłon przynoszę!“
—„*Salvete!*—rzekł Dziaduski—a usiądźcież proszę!“
I ścisnęli prawice na znak powitania,
I każdy dumne czoło do pół piersi skłania,
I skinęli obadwa i ręką i głową
Na obitą kobiercem ławicę dębową.
—„Siadajcie!“—„Siądźcie pierwsi!“—Po długim ukło-
Zebrzydowski siadł pierwszy i po prawéj stronie, [nie
(Bo czy przy boku pańskim, czy sejmowa rada,
Starszy biskup kujawski i wyżéj zasiada
Niźli biskup przemyski — tak kazano w prawie).
Ksiądz Czermiński na obu popatrzał ciekawie,
Pokłonił się i wyszedł.
— „Cóż tam słychać w mieście?“
— „Źle słychać; nic nie wiecie, choć tutaj jesteście.
„Sejm złożon do Piotrkowa—pożar w iskrze tleje!
„Górkowie, Oleśniccy, Zborowscy, Firleje,
„Cała kacerska banda na prawdę coś kroi.
„Szlachta kipi, aż słychać u pańskich podwoi,
„Województwa szemrają, powiaty się burzą,
„Wkrótce biskupów rzymskich z senatu wykurzą,
„Jako pszczoły robocze, gdy miodu naniosły.“
— „Zwyczajnie—rzekł Dziaduski—że senat i posły
„Nad Piotrową opoką jako muchy brzęczą...
„Stałość, ojcze Jędrzeju!“
— „A gdy nas umęczą?“

— „Toć pomrzem—wszakże w Piśmie rzeczono nie-
[marnie:
„Pasterz ma oddać życie za swoją owczarnię;
„Wszak nam niestraszno umrzeć choćby téjże chwili;
„*Non timet moriturus*—powiedział Wirgili.“
—„Święty, ach, święty zapał, co się u was żarzy!—
Zawołał Zebrzydowski z uśmiechem na twarzy: —
„Lecz szkoda, że ów zapał ginie bez zapłaty,
„Że nie rodzą owoców retoryczne kwiaty.
„Może i ja za trzodę umarłbym z rozkoszą,
„Lecz gdy pasterz zaginie, owce się rozproszą.
„Muszę żyć—powinienem—i przetrwać złe proby;
„Wilki się wałęsają u mojéj chudoby,
„Więc powinienem czuwać nad owczarnią bożą.
„A zresztą, księże Pawle, nam śmiercią nie grożą.
„Chcą uczynić z nas posąg bezwładny a niemy,
„Wydrzeć ostatki władzy, którą piastujemy;
„Pozwolą wszystkim wierzyć, jak wskazuje serce,
„Podpiszą obelżywą zgodę z różnowierce;
„Niech kto wola buduje kacerskie zborzyska,
„Fałsze piórem ogłasza i w druku wyciska,
„Wolno mu kędy zechce potępienie szerzyć,
„A biskupom niewolno klątwy nań wymierzyć,
„Ni uwięzić kacerza apostolską władzą.
„Choćby ksiądz—twoje prawa na nic się nie zdadzą;
„Polska, to kraj szlachciców, więc szlachectwu gwoli,
„Co ci wolno z kanonów, statut nie pozwoli.“
— „Za nic! — krzyknął Dziaduski — za nic takie
[dzieło!—
Aż mu ręce zadrżały, aż oko błysnęło,
Aż się żwawy rumieniec zaiskrzył na twarzy: —
„A i jaż przecię szlachcic! i mój głos coś waży!

„Jaż w mych ręku pasterskich dzierżę moc niebieską,
„I choćby jedną jotą, choćby jedną kreską
„Chciano czynić uszczerbek w mém pasterskiém pra-
[wie,
„Na miecze różnowierców raczéj pierś nadstawię...
„Choćby król... choćby senat... i Rzeczpospolita...“
— „Szkoda—rzekł Zebrzydowski—że cię nikt nie
[spyta.
„Bo nie tylko w magnatach—i w szlacheckiéj czerni,
„Nie tylko różnowiercy, lecz i prawowierni
„Burzą się jednym głosem, jak zhukana fala,
„Że dzisiaj stan duchowny za nadto pozwala,
„Zapozywa szlachciców przed swe sądy boże
„I sadzi do więzienia, co i król nie może.
„Ot i dziś zapalczywie gadał mi te słowa
„Na pokojach monarszych stary Jan z Tarnowa:
— „W pochwy, mościwi księża, w pochwy kord Pio-
[trowy!
„Przestańcie machać mieczem nad wolnemi głowy.
„Jeśli kacerz w swobodach zbytnie się rozhula,
„Są grody, trybunały, jest majestat króla,
„Pozwiéj przed sądy świeckie, jeśli będzie o co,
„Lecz wara gnębić szlachtę kościelną przemocą!“
— „Więc już — rzekłem — przy świeckim waszmo-
[ściów urzędzie,
„Pasterz owczarni bożéj chyba woźnym będzie?“
— „Tak!... odpowie Tarnowski ze spojrzeniem dzi-
[kiém:—
„Lepiéj ty zostań woźnym niż ja niewolnikiem.“

. . . .

1851—1852. Załucze.

ŻYWOT POCZCIWEGO CZŁOWIEKA.

GAWĘDA.

I.

Z ojca i matki, małżonków ślubnych,
Szlachty osiadłéj w swoim powiecie,
Znajoméj w dziejach ze wspomnień chlubnych,
Na ten świat przyszło płci męzkiéj dziecię;
I zapłakało — zwyczajna pieśnia:
Kiedy się rodzą, to płaczą mali;
A iż to było drugiego września
(Wtedy septembrem ów miesiąc zwali),
Przeto ksiądz proboszcz na cześć téj chwili
Imieniem Stefan ochrzcił to dziecię;
Na chrzcinach goście jedli i pili,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

II.

Malutki piersmi żył matczynemi,
Potém zajadał mleko chłopczyna,
Wyszedł z kolebki, pełzał po ziemi,
Wreszcie na kiju jeździć poczyna;

Potém szczebiotać dowcipne słowa
I ładne domki budować z karty;
A ojciec mawiał: „Niech zdrów się chowa,
„To będzie, panie... rozum nie żarty!
„Patrz, jak na kiju harcuje składnie,
„A jakby stary dowcipnie plecie,
„Choć się skaleczy albo upadnie...“
Ot jak zwyczajnie na świecie!

III.

Potém go ojciec umieścił w szkole,
Kędy się kształci rozum człowieczy;
Tam się nauczył w ciężkim mozole
Czytać i pisać i różnych rzeczy:
Z czego to deszcze powstają w chmurze?
Co jest wymowa? co linia prosta?
Tam poznał chodząc w pięknym mundurze,
Co jest swawola i co jest chłosta?
A kiedy umiał to co mistrzowie,
Wrócił do domu już w pełném lecie;
Oprócz hulanki nic mu nie w głowie, —
Ot jak zwyczajnie na świecie!

IV.

Zmarli rodzice—popłakał trocha,
Wszedł między ludzi — i było błogo;
Wszystkiemu wierzy, każdego kocha,
Nie zamknął w domu drzwi dla nikogo,

Nie zamknął serca przed żadnym z ludzi
I przysiągł sobie we mszy u fary,
Że w jego sercu nic nie ostudzi
Świętéj miłości i świętéj wiary.
Pokochał dziewczę krasne i hoże,
Więc pisał wiersze na cześć kobiecie;
Dobrych przyjaciół zliczyć nie może,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

V.

Tylko w rok jakoś czy we dwa lata
Płakał z niewiarą: „Biada mi, biada!
„Bo widzę jasno, że miłość świata
„Na moją miłość źle odpowiada.
„Niby to zdoła duszę kobiecą
„Rozognić miłość czysta i święta!
„Ona... przez próżność kocha mnie nieco,
„Ale na siebie mądrze pamięta.
„Kto do ołtarza rękę jéj poda,
„Każdemu wieniec z mirtu uplecie;
„Na taką miłość, ej, serca szkoda!“
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VI.

Więc przestał wierzyć w miłość dziewiczą,
I stał się martwym, i cierpiał wiele;
Jeno się cieszył, że przyjaciele
Bratnim uściskiem sił mu użyczą.

Ale wśród świata zimnéj rachuby
Znowu zapłakał po raz ostatni:
„O! gdyście wszyscy jak samoluby,
„Więc śmieszny ku wam mój zapał bratni.
„Zbrojno od świata... Najlepsza tarcza
„Niewiara w sercu i grosz w kalecie;
„Wszak egoista sobie wystarcza.“
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VII.

Gdy się przed światem serce zamyka,
Jużci dla serca męczarnia szczera;
Ale nie każdy na męczennika,
Nie każdy stworzon na bohatera;
I nie każdemu łacno się uda
Wykształcić w sobie wznioślejszéj wiary,
Owéj miłości, co tworzy cuda,
Rozkoszy walki, szczęścia ofiary;
Coby się chętnie przez ciernie darli,
Niewielu takich ludzi znajdziecie;
Gdy nas zabito... tośmy umarli...
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VIII.

A więc biednemu choć łza się ciśnie,
Dla świętych uczuć nie odżył więcéj.
Pojął małżonkę bardzo korzystnie,
Wziął za nią posag—ze sto tysięcy,

Śmiał się z nadziei, dał rozbrat wierze,
Zatuczył w sercu miłość dziwaczną,
Jadał śniadanie, obiad, wieczerzę,
Popijał wino i sypiał smaczno;
Bóg go obdarzył potomstwem liczném;
Raz wydał obiad sławny w powiecie,
Toć go obrano sędzią granicznym,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

IX.

Tak przeżył długo i zebrał wiele...
A gdy już w końcu siły nie służą,
Toć sobie umarł. Wtedy w kościele
Pozapalano świec dużo, dużo;
Ubrano trumnę w opony sine,
Bito we dzwony po całém mieście;
Potém ksiądz proboszcz za złotych dwieście
Chwalił zmarłego całą godzinę;
Potém lud boży mogiłę sypie,
Co na cmentarzu i dziś znajdziecie;
Potém się każdy upił na stypie,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

X.

Żona i dzieci sprawiły sobie
Z białemi pręgi czarne czamary;
Rok i sześć niedziel były w żałobie,
Bo tak przepisał obyczaj stary.

Gdy się po roku żałoba zdarła,
Znowu się w jasne ubrano kwiatki,
Żona z kim innym śluby zawarła,
Synowie toczą proces o spadki.
Gdy skończą proces, to ani wspomną,
Że mieli męża i ojca przecię,
A spadek pójdzie w kolėj potomną,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

Sierpień 1852. Wilno.

O ZABŁOCKIM I MYDLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

Wiesz co, panie Jakóbie?
Ja tych żalów nie lubię.
To już nasza natura,
Że gdzie człowiek nie wskóra,
Zaraz krzyki, hałasy:
Winien Pan Bóg, złe czasy,
Albo ludzka w tém wina,
Lub feralna godzina...
Ej! my, panie Jakóbie,
Sami winni swéj zgubie.

II.

Mamy, panie, swój rozum,
Mamy *nomen gloriosum*,
Chleba, miodu i mleka,
Że daj Boże do wieka!
Siedź w dostatkach po szyję
I chwal Pannę Maryę.

Gdzie tam! ani do głowy!
Gorzki nam chleb domowy...
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę śpieszym.
Naśladuje chęć płocha
To Francuza, to Włocha,
A jak ludzi nie stanie,
To choć Niemca, mospanie.
Więc nie dziwne koleje,
Że nas Francuz ośmieje,
Że nas Niemiec oskubie.
Prawdaż, panie Jakóbie?

III.

Żywy przykład ci właśnie
Na Zabłockim wyjaśnię.
A Zabłocki... to wiecie,
Co to sławny na świecie,
Co to z wielkiéj rachuby
Mydłem przyszedł do zguby.
Ja go znałem... Dziad stary
Siedział z kijkiem u fary,
Żebrząc chleba i strawy;
Nosił kubrak dziurawy,
Na nim torbę przypasze
I pas z herbem na blasze.
Drży bywało od chłodu...
A był bogacz za młodu!

Gdzieś na Litwie głębokiéj
Trzymał gruntu trzy włoki,
Konie, pszczoły, oborę
I grosiwo miał spore.
Gdzież to wszystko przemija?
Szlachcic przyszedł do kija!
Żebrze stary i chory;
A na mszę i nieszpory
Szlachta idąc gromadnie,
Aż od śmiechu się kładnie.
Zaczepiają go młodzi:
„*Jak się handel powodzi?*“
A staremu nie żarty:
Płacze ręką podparty,
I choć własna w tém wina,
To on Niemców przeklina.

Raz mu jakiś podróżny
Hojnie rzucił jałmużny,
Więc, jak zwykle dziadowie,
Za dobrodziejów zdrowie
Poszedł na miód w gospodę,
I tam dzieje swe młode
Gadał... mając już w czubie.
Słuchaj, panie Jakóbie!

IV.

—„Byłem młody—powiada—
„I zamożny nielada:
„Trzos pełen, szkapa gładka,
„Pracowita czeladka,

„A karność jak po brzytwie;
„A nad Niemnem na Litwie,
„Chociaż niwa piaszczysta,
„Człek na sianku skorzysta.
„Dawałem sobie radę:
„Do Turowa pojadę
„I nakupię, mospanie,
„Krówek wielkich jak łanie,
„Wołów jak się należy,
„Jak żubrów z Białowieży,
„Wszystko siwe wspaniale
„Ukraińskie rogale.
„Pędzę na błonia nasze
„I sowito wypaszę,
„A potém z naszéj trawy
„Prowadzę do Warszawy,
„I na mojéj chudobie
„Wór talarów zarobię!
„Samo szczęście szło do mnie:
„Po szlachecku i skromnie
„Zbieram ziarnko do ziarnka,
„Talarek do talarka,
„I tak z trudem niemałym
„Cały tysiąc zebrałem;
„A talarki w téj dacie,
„Jeżeli pamiętacie,
„Bite jednym kalibrem
„Szły dziewięć złotych srébrem.“
Gdy Zabłocki to gwarzy,
To aż wesół na twarzy,
Kręci wąsy w swéj chlubie,
Ot tak, panie Jakóbie!

V.

— „Raz — powiada—w Warszawie
„Szedłem sobie ciekawie,
„Szedłem i łamię głowę,
„Że tam w strony domowe
„Coś mi kupić wypadnie,
„Byle tylko coś ładnie,
„Byle tylko niedrogo!
„A zgadniéjcie dla kogo?

„Ha! choć miałem w téj porze
„Lat z pięćdziesiąt już może,
„Ale co tam! choć trzysta,
„Byle dusza ognista,
„Jak po maśle, jak z góry,
„Można ruszyć w konkury!
„A o milę ode mnie
„Mieszkał szlachcic przy Niemnie
„I miał krewną daleką,
„Krew, mospanie, i mleko,
„Dziewczę pełne urody,
„Że klękajcie narody!
„Więc myślałem i szczerze:
„Ot w zaloty uderzę:
„Daj mi rączkę i kwita, —
„I ksiądz proboszcz przeczyta
„Zapowiedzi w kościele,
„Potém będzie wesele,
„I Zabłockich rodzina
„Pójdzie z ojca na syna.

„Otoż w głowę zachodzę,
„Coby kupić niebodze?
„Mało w oczy co kole?
„Tam złotogłów, sobole,
„Zausznice ze złota,
„Wszystko cudna robota;
„Lecz to drogo bez miary,
„Senatorskie towary.
„Myślę sobie: Do licha!
„Nie dla szlachty ta pycha.
„Mój się mieszek rozszasta,
„A tu jeszcze niewiasta
„(Niechaj Pan Bóg zachowa!)
„Popsuć mi się gotowa;
„Jakiémś cackiem, klejnotem
„Kupię biedę na potém,
„Śmiać się będą sąsiedzi!“
Tak Zabłocki się biedzi,
Biedzi swoją chudobą,
I miał słuszność za sobą.
Bo kiedy się niebacznie
Zbytek przed ślubem zacznie,
To cóż będzie po ślubie?
Prawda, panie Jakóbie?

VI.

— „Co tu począć? zła rada!
„Chciałem wracać, — powiada: —
„Aż tu sklepik koło mnie,
„Strojny pięknie a skromnie,

„Na nim desek ze cztery
„Ze złotemi litery:
„*Tu są różne pachnidła,*
„*Wonią zaprawne mydła,*
„*Wonne wódki i wina.*
„*Johann Gripsner z Berlina.*“
„Ot znalazłem nareszcie,
„Co potrzeba niewieście!
„Tu nie musi być drogo,
„Kupię dla cię, niebogo,
„Funt mydełka z Warszawy
„Z różanemi zaprawy;
„Rzecz to u nas tak rzadka,
„I niejedna sąsiadka
„Pozazdrości niebodze!
„Pomyślałem — i wchodzę,
„I w targ z Niemcem — tfu mara!
„Za funt mydła talara...
„Aż przebiegły mnie dreszcze!..
„A tu Niemiec w śmiech jeszcze!
„Co to, Niemcze! ja dziecko?!
„Znaj naturę szlachecką!
„Więc zmarszczywszy nań czołem,
„Talar bity cisnąłem,
„I z mém kupnem wychodzę,
„I tak myślę po drodze:

„Co to Niemiec?! no proszę!
„Jak mu łatwo o grosze!
„Jak on w pierze porasta!
„Przemysł, panie... i basta!
„Wszak to — spytaj mydlarzy:

„Mydło z mięsa się warzy,
„Dodaj wonnéj zaprawy,
„Ot i sekret ciekawy!
„Zysk na mydle nielada!
„Funt... talara wypada
„Bez żadnego mozołu;
„Toż on z jednego wołu,
„Wziąwszy pod kredkę szczerze,
„Sto talarów wybierze.

„U nas wołów dostatek,
„Toć sprzedajem do jatek,
„Głupia szlachta i kwita!
„Żaden ani zapyta,
„Że niemiecką iść drogą,
„Większe zyski być mogą.

„Nie święci lepią garnki.
„Zła korzyść z gospodarki:
„Ot ja zadziwię tłuszczę,
„W nowe się zyski puszczę,
„I jak Pan Bóg da zdrowie,
„Kupię woły w Turowie
„I mydełko uwarzę —
„Zazdrośćcie, gospodarze!
„Bo to pod dobrą porę
„Ze sto tysięcy zbiorę
„Tych talarków... co wiecie,
„Co w brzęczącéj monecie
„Bite jednym kalibrem
„Po dziewięć złotych srébrem.“
W takich myślach jak w niebie

Wszedł Zabłocki do siebie,
Piękne zyski gotówką
Licząc kredką i główką;
A na takiéj rachubie
Zasnął, panie Jakóbie!

VII.

Już wpadł w niemieckie sidła,
Marzy o bańkach z mydła,
I wybiera z nich plony,
Sta, tysiące, miliony,
Które tak go zdurzyły,
Że już i dom niemiły,
I małżeństwo nie w głowie.
Kupił woły w Turowie,
Roił jakieś zakłady,
Przybrał Niemca do rady
Pan Bóg wie zkąd i po co?
A z niemiecką pomocą
Zrobił kuchnię z stodoły,
Rznie barany i woły,
I nie bacząc co ziści,
Na mydlane korzyści
Stracił cały kapitał,
Jeszcze długu nachwytał.
Warzy, miesza i cedzi,
Choć się śmieją sąsiedzi,
On nikogo nie słucha,
A myśli w głębi ducha:

„Otoż będą pieniądze,
„Jak się całkiem urządzę!
„Jak mydełko uwarzę,
„Przedam funt po talarze!
„Tożto ludziska prości
„Pękać będą ze złości!“

Aż tu... słyszą ludziska,
Że z pod kotła, z ogniska
Wicher iskrę wyniesie,
Buchnął ogień na strzesie,
I spłonęła stodoła.
Zginął krwawy pot czoła!
Zabłocki zły do licha...
Niemca z domu wypycha
I oblicza swe straty...
Gdzie zarobek bogaty?
Gdzie stodoła? gdzie zboże?
Gdzie bydełko w oborze?
Ot porznięte, mospanie,
Krówki tłuste jak łanie,
Woły jak się należy,
Jak żubry z Białowieży,
Wszystko siwe wspaniale
Ukraińskie rogale.

Coś tam jeszcze z pożaru
Ocalało towaru,
Ale towar ladaco.
— „Cóż mi ludzie zapłacą?
„Talarków sto, czy dwieście,
„Niech i trzysta nareszcie,

„Zawsze mało, ej mało,
„Gdy się tyle wydało!
„Dwa tysiączki, niestety!
„Dobréj, czystéj monety,
„Bitéj jednym kalibrem
„Po dziewięć złotych srébrem.
„Ej biadaż mi, ej biada!
„Marnie zginąć wypada,
„Wstyd, ubóztwo i zakał!“ —
I Zabłocki zapłakał.
Bo już strata to strata,
Lecz boleśniéj do kata
Przyjść samochcąc ku zgubie...
Prawda, panie Jakóbie?

VIII.

— „Panie ojcze!—rzekł w biedzie —
„Miłościwy sąsiedzie,
„Choć już liczę dopióro
„Lat pięćdziesiąt i z górą,
„Lecz duch jeszcze młodzieńczy,
„Miłość serce aż dręczy;
„Chciéjże spełnić me szczęście,
„Daj mi córkę w zamężcie.“
Tak Zabłocki powiada,
Klęcząc u nóg sąsiada.
Ale sąsiad ciemięga
Skrytych myśli dosięga,
A więc śmiało odpowie:
— „Ej! nie żona ci w głowie,

„Jeno myślisz, junacze,
„Że ci posag przeznaczę,
„Że ci grosza dostanę
„Na twe bańki mydlane.
„A gdzie byłeś w tym czasie,
„Gdyś miał grosze w zapasie,
„Póki chata bogata,
„Dobre imię u świata?
„Dziś, straciwszy kapitał,
„W dziewosłęby zawitał
„I uroił dziad stary,
„Że mi weźmie talary,
„Że mi córkę wyłudzi!
„Chyba na śmiech u ludzi??
„Idź do licha wasindziéj,
„Szukaj sobie gdzieindziéj
„I małżonki i grosza!“
Tak dostawszy odkosza,
Rzekł Zabłocki sam w sobie:
— „Jeszcze jakoś to zrobię,
„Jeszcze bieda nie bieda,
„Gdy mydełko się przeda,
„I po ciężkiéj nauce
„Grosz inaczéj obrócę...“
O! na wszystko jest rada,
Więc swój towar układa
Do podróżnéj kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora i rzeki
Rusza na świat daleki.
I kieruje rumaki,
Kędy widzi dwór jaki,

Lub zaścianek, lub wioskę,
Kędy słyszy pogłoskę
W jakiéj wiosce czy mieście
O jarmarku lub feście.
Tam na środku kiermasza
Ludzi k' sobie zaprasza,
I wmówić im się stara,
Że funt mydła talara
To jest wcale niedrogo;
Lecz nie złudził nikogo,
Bo był towar ladaco.
Ludzie nic mu nie płacą,
Jeszcze wstydzić się musi,
Bo na Litwie, na Rusi,
W całéj Polsce, na Żmujdzi
Już był pośmiech u ludzi,
Aż mu słuchać obrzydle
O Zabłockim i mydle.
— „Daj tu radę z prostotą!
„A mydełko jak złoto!
„A wonniejsze od róży!
„Choćby zginąć w podróży,
„Przedam towar w Kijowie,
„Aż mi będzie na zdrowie!
„To nie naszym odpustem,
„Tam słyszę ludzie z gustem
„I nie z taką kieszenią,
„Tam nasz przemysł ocenią.“
O! na wszystko jest rada.
Więc swój towar układa
Do podróżnéj kolasy,
I przez góry, przez lasy,

Przez jeziora, przez rzeki,
Rusza na świat daleki.
Tak wesoło, wygodnie
Jechał cztery tygodnie,
Stracił złotych ze dwieście
Idojechał nareszcie.
Wesół z bicza wypali;
Kiedy spojrzał z oddali
Na kijowskie wieżyce,
To aż skoczył na bryce,
Aż mu serce podrasta.
Rusza tedy do miasta,
A to była już zima,
Lód na rzece się trzyma,
Droga po nim ubita,
Więc się o nic nie pyta,
Lecz w boki się podeprze,
Rusza lodem po Dnieprze.
Już się pod brzeg pomyka,
Wtém lud pęka — i bryka,
I mydełko, i konie,
I Zabłocki już tonie.
—„Gwałt! ratujcie z otchłani
„Święci Pańscy wybrani!“ —
Krzyknął biedny w rozpaczy;
Wtém się o lód zahaczy,
I gdy zguba już blizka,
Wyskoczył z topieliska.
Wybrnął drżący jak listek;
A koniki, wóz wszystek,
I mydełko ciekawe —
Poszło rybom na strawę.

Klasnął w ręce rozpacznie
I rozmyślać tak zacznie:
Wołać ludzi z pomocą?
Ale nie ma już po co,
Dnieprowemi odmęty
Wóz się strzaskał na szczęty;
A choć szczęty dostanę,
Mydło poszło na pianę.
W domu czeka... cóż? nędza,
Dziedzic z gruntu wypędza,
Bo już mija dwa lata,
Jak o czynsze kołata.
A co doma... to marnie...
Bo wierzyciel zagarnie.
Czy na Litwie człek zginie,
Czy to w cudzéj krainie,
Wszystko jedno; gdzie ruszy,
Gdy bez grosza przy duszy,
Kiedy starość przygniata,
Pośmiewisko u świata.
W jednéj przemokłéj szubie,
Żebrak... panie Jakóbie!

IX.

Zachorował od żalu,
Wzięto go do szpitalu;
A gdy niemoc omija,
Kupił torbę i kija,
Gdy niemożna inaczéj,
Począł żywot żebraczy.

Ale mało co zyska,
Bo już z jego nazwiska
Nawet w samym Kijowie
Było znane przysłowie.
Każdy w śmiechy i kwita,
O mydełko się pyta,
Wybadywa go ściśle
O niemieckim przemyśle,
Naszydzi, naurąga,
Lecz nie rzuci szeląga.

Otoż i zysk i sława,
Kto się z Niemcy zadawa,
Kto na Litwie lub Rusi
Ich się zyskiem spokusi.
Lecz cóż? i gadać szkoda!
Obcy zwyczaj i moda
W większym u nas honorze
Niż przykazanie boże.
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę śpieszym.
Tylko zmęczym się pracą,
A zarobek ladaco;
Giną młodzi i starzy —
Dmucha, kto się oparzy —
Mądry Polak po zgubie...
Prawda, panie Jakóbie?

7 grudnia 1852. Załucze.

GRAMMATYKA.

I.

O klasztorze mi się marzy,
Ale trudność w tém jedynie:
Tam się modlą z brewiarzy,
Ja nie umiem po łacinie.
Więc mi matka, więc mi ciotka
Przywołały mędrca dziada,
Co każdemu, kogo spotka,
Horacego ody gada.
Ten mi w długich chwil przeciągu
Nieskończone męki czyni:
O *c*, o *k*, o dyftongu,
Feminini, *masculini*,
Jak przypadki się odmienia
Przez końcówek zmianę samą...
Szło mi wszystko jak z kamienia,
A najtrudniéj słowo *amo*.

II.

Widzi matka, widzi ciotka,
Że czas nauk darmo płynie,
Że po polsku choć szczebiotka,
Nic nie umiem po łacinie.

Matka, ciotka rada w radę,
Że upływa piękna pora,
Że do mniszek nie pojadę,
Trzeba zmienić *praeceptora*,
Że staruszek choć co chwila
Zdań łacińskich palnie trzysta
Z Horacego i z Wirgila,
Nic dziewczyna nie skorzysta.
Wrócił pewny Staś z Berlina,
Dobry chłopiec z piękną famą,
Ten niech kursa rozpoczyna,
Niech wykłada słowo *amo*.

III.

Wąs miał czarny, bystre oko
I z pochwalnym wrócił listem.
Spojrzał w oczy, och! głęboko,
I odmienił nauk system.
Ucałował w rączki, w lice,
Żem pojęła bez mistrzyni,
Co to znaczy w grammatyce:
Feminini, masculini...

. . . .

1853. Wilno.

KOJEC Z KURCZĘTY.

I.

Świętéj pamięci mój prapradziadek,
Nigdy bywało gwarząc nie znudzi,
Bo wielu rzeczy sam bywał świadek,
A wiele rzeczy słyszał od ludzi.
A iż zachował stary obyczaj
Gęsto używać łacińskiéj frazy,
Toć się, młodziku, pilnie obliczaj,
Aby zrozumieć wszystkie wyrazy,
Nie być zawstydzon w obliczu dziada
I odnieść korzyść z tego, co gada.

II.

Wolałbym dyszeć jego rozmową
Niż z mądréj książki brać zbudowanie:
Bo słowo w książce — to tylko słowo,
A słowo w uściech — to czyn, mospanie!
Pięknie, kto żywot czynu przeżywszy,
Zgrzybiałe lata gawędką słodzi,
I wiek swój młodszy, żywot szczęśliwszy
Rozpamiętywa na korzyść młodzi.
Raz coś o duchu świętéj ofiary
Taką powiastkę mówił mi stary:

III.

Kiedy to w Polsce Niemcy i Piasty
Śpieszyli zająć tron po Sobieskim,
Wiódł Leszczyńskiego Karol Dwunasty,
Gorąco było w Księztwie Litewskiém.
Każdy dwór w gruzach, każda wieś pusta,
Bo rabowali cudzy i nasi:
Ci stronę Szweda, drudzy Augusta,
A wszystkich razem Szwedzi i Sasi.
Nasz stary, co się różnie obraca,
Służył rycersko w chorągwi Paca.

IV.

Raz coś hussarze i petyhorce
Z noclegowiska rankiem ruszyli.
Wtém postrzegamy szwedzkie proporce
Niedaléj może jak o pół mili.
Pan regimentarz i chorągiewni
Krzyknęli szable mieć w gotowości,
A żeśmy liczby wrogów niepewni,
Kazano z wolna iść przeciw gości.
Spięte rumaki rwą się ochoczo,
Strzygą uszami i z wolna kroczą.

V.

A że rycerstwu bój nie nowina,
Więc się nie zlękli Szweda widoku:
Jeden strzemiona mocniéj podpina,
Drugi umacnia kopię w toku,

Inszy probuje ostrza brzeszczota,
A inszy śpiewa, a inszy gwarzy—
Jakoś przed bojem żywsza ochota,
To już obyczaj naszych hussarzy.
Kto mocen duchem, krzepi się w wierze,
A kto lękliwy, mówi pacierze.

VI.

Tak nieprzystępni dziecinnéj trwodze,
Ruszamy dziarskim a wolnym kłusem;
A tuż, pamiętam, przy saméj drodze
Stała figura z Panem Jezusem,
A od figury szła dróżka w lewo
Gdzieś do zaścianku pomiędzy zboże.
Tam... jakiś jeździec skrył się za drzewo,
Trędzlą rumak spina jak może;
Lecz rumak wojsko widząc z oddali,
Prosto w chorągiew z kopyta pali.

VII.

Szwed... nie Szwed zda się... gdyby to z błota
I nie tak blizko od znaku krzyża,
To się przeżegnać brała ochota,
Sądząc, że jakieś widmo się zbliża,
Jeździec bez broni w długiéj czamarce,
Porozpinany, wiatrem wydęty,
Na chudym koniu wyprawia harce,
A w rękach dzierży kojec z kurczęty.

Co nas w domysłach bardziéj mitręży,
To, że na głowie miał biret księży.

VII.

A rumak sadzi przez rowy, miedze,
Zrównał się z wojskiem i w szereg stawa.
Co o tak dziwnym trzymać kolledze?
Zkąd się tu wzięła taka postawa?
— „Ksiądz!! prze Bóg żywy!! co się to znaczy?
„Czego tu szuka?“—mówią pancerni.
A biedny jeździec woła w rozpaczy:
— „Ratujcie, ludzie! och, prawowierni!
„Konisko niegdyś służył wojskowo,
„Ciągnie mię w szereg nałożyć głową!

IX.

„Jam ksiądz wikary... patrzcie waszmoście:
„Wracam z kolędy ot na téj szkapie.
„Konisko słyszał trąbkę na moście,
„Więc jak zawierzgnie, a jak zachrapie!
„A jak poleci, a jak poniesie!
„Aż tu mię zaniósł szalonym torem!
„Ja chciałem sobie schronić się w lesie,
„Lecz cóż poradzisz z końskim uporem?
„Ja walczyć nie chcę, dobrzy rycerze,
„Ja z całym światem trzymam przymierze.

X.

„Wstrzymajcie konia, co się tak kręci,
„Ja w las ucieknę!“ — wołał księżyna.

A byli w wojsku i dyssydenci,
Więc jaki taki śmiać się zaczyna,
Wtórzą mu drudzy, choć to nie pora,
Bo Szwed nad karkiem i bić się każą;
Ale zjawisko jakby upiora
I widok księdza z wybladłą twarzą
W całéj chorągwi sprawił śmiech pusty,
Jakby dyalog grano w zapusty.

XI.

A księża szkapka stara i chuda
Swe stare dzieje wspominać pocznie,
Idzie w szeregu, wyrabia cuda,
A rży radośnie, a pląsa skocznie;
Jakby się dziwi, jakie to szczęście
Stare jéj kości k' wojsku przywiodło;
Ksiądz stracił cugle, zacisnął pięście,
Tak się oburącz trzymał za siodło;
Kojec z kurczęty rzucił na stronę,
Szeptając psalmy i antyfonę.

XII.

Wtém dano ognia—huknęło w ciszy,
I szwedzka kulka między nas gwiźnie,
I petyhyrskich dwóch towarzyszy
Poległo trupem gwoli ojczyźnie.
Zagrała bitwa, bitwa nielada!
Wróg nie folgował w strzelaniu gęstém;

Niejeden hussarz na ziemię pada,
Niejedna zbroja łamie się z chrzęstem;
Póki na ostrze gonić nie poczną,
Snadź poniesiemy stratę widoczną.

XIII.

W dymie, kurzawie jam szukał księdza,
Mówiąc do swoich:—„My go osłonim!"
Tylko że kula nic nie oszczędza,
Albo ze strachu może już po nim.
Wtém znowu szwedzka kula zaśwista
I ktoś raniony z boleści jęknie—
Patrzę: u księdza twarz promienista,
W oczach tak bozko, tak było pięknie,
Zdaje się światłość biła mu z czoła,
Gdy uroczystym głosem zawoła:

XIV.

— „Tu moje miejsce!—dzięki Ci, Panie!
„Żeś mi ukazał żniwo posługi!"
Rzekł — i odważnie a niespodzianie
Z siodła na ziemię skoczył jak długi.
Ukląkł przy rannym w piersi rajtarze,
Przeżegnał głowę i ucho schyla,
I grzechy życia wyznać mu każe,
I na wieczności drogę posila.
Krwawo z rycerstwem biją się Szwedzi,
A ksiądz wśród bitwy słucha spowiedzi.

XV.

Wśród szczęku mieczów i świstu kuli
Chodził w szeregach w pełnéj otusze,
Ranionych mężów w ramiona tuli,
A konających poleca dusze.
A choć mu wystrzał nad głową palnie,
Słowa nie przerwie, nie zmróży oka;
Pełniąc swój urząd sakramentalnie,
Czuł nad swą głową tarczę z wysoka,
A tyle męztwa, co w jego twarzy,
Może się nigdzie widzieć nie zdarzy.

XVI.

Skończono bitwę—Szwedów odparli,
Noc się już ciemni, zorza promieni.
Na bojowisku tylko umarli,
Tylko zostali ciężko ranieni.
Na krwawéj ziemi klęcząc wikary
Kończył spowiadać rycerstwo ranne;
A na uboczu koń jego stary
Ogryzał polny chwast i dziewannę,
Czekając pilno wedle namiotów,
Póki pan w drogę nie będzie gotów.

XVII.

Rozbito obóz—kipi biesiada,
Piją i pieją hussarze młodzi;

A ksiądz wikary grzebie, spowiada,
Odśpiewał psalmy i już odchodzi.
Próżno na ucztę proszą wodzowie,
On się wymówił w pokorze świętéj.
Jakże był wesół, kiedy w parowie
Zdołał odszukać kojec z kurczęty!
Na staréj szkapie odjechał kłusem
Wedle figury z Panem Jezusem.

1853. Borejkowszczyzna.

SPOWIEDŹ PANA KORSAKA,

CHORĄŻEGO POŁOCKIEGO.

GAWĘDA.

I.

Ksiądz Dominik Podolec—jak ze skryptów widzę—
Był Jezuitą w Krożach, w Połocku i w Rydze;
Nie nazbyt tęga głowa, lecz poczciwa dusza,
Cały wiek przekołatał w stopniu socyusza.
Lekce go ważą bracia i starszyzna cała,
Począwszy od rektora aż do generała;
On z wesołém obliczem, w wytartéj czamarze,
Bez szemrania był wszystkiém, co starszyzna każe:
Ogrodnikiem na lato, szafarzem na zimę,
Uczył *Sintaxim* w Krożach, w Nieświeżu *Infimę*,
Słowem, mimo przykrości, mimo wszystkie ciernie,
On wszędzie szedł ochoczo, działał prawowiernie,
Nie śmiejąc się gdy wesół, nie płacząc gdy boli,
Nosił w prostocie ducha sukienkę Lojoli.
Jużci—grzech mu zaprzeczyć, że dusza pobożna,
Lecz jak mówił ksiądz rektor: „Gorliwszym być można!
„To jakoś do wziętości u ludu pomaga,
„Modląc się wznosić oczy jak święty Gonzaga.

„Niezgorszy jesteś mówca, ale prostak z waści,
„A kiedy się polszczyzna łaciną namaści,
„Zaraz mówią słuchacze: — to mi erudyta!
„Figura retoryczna aż za serce chwyta!
„A waść co? gdy spowiadasz, to naród się ciśnie,
„Ale to dla zakonu idzie bezkorzystnie.
„Widząc, że już na serce działa skrucha święta,
„Czyś zyskał choć jednego w świecie penitenta,
„Coby tknięty do gruntu twojemi przestrogi
„Uczynił zakonowi zapis choć ubogi?
„Jaka nam z ciebie korzyść i pociecha jaka?“
Tak bywało ksiądz rektor spowiada prostaka,
A biedny ksiądz Dominik kłania się z pokorą
I przyrzeka poprawę — lecz mu nie szło sporo.
Już to... co miał pod sercem, to gadał bezwzględnie,
Gdy mówił świętą prawdę, to aż ucho więdnie,
Kiedy usiadł za kratkę, to wszelki wzgląd znika:
Pokutnik popamięta ojca Dominika!
Czy to ubogi rolnik, czy szlachcic z waszmości,
Sto pacierzy odprawi, sto piątków odpości.
Ksiądz nie wyłudzał ofiar namową figlarną,
Lecz po prostu nazywał co biało, co czarno;
Niepamiętny na względy, co komu należą,
Zajazdy zwał rozbojem, procesa kradzieżą;
Każdego we łzach skruchy tak skąpał przykładnie,
Że grzesznik popamięta, nim w grzechy upadnie.
Wiedzieli o tém dobrze i wielcy i mali,
Nie wiem czy go lubili, ale szanowali.
Tak bez żadnych godności, z dziwaczną naturą,
Dokołatał w klasztorze lat sześćdziesiąt z górą;
Wiek już zbielił mu głowę i przytępił oczy,—
Lecz starzec do roboty jak młodzik ochoczy;

Gdzie się potrzeba udać—nim drudzy pośpieszą,
Rusza ojciec Dominik, a najczęściéj pieszo,
(Bo tak już uradzili zakonni ojcowie,
Że staremu przechadzka posłuży na zdrowie).

II.

Raz na takiéj podróży, przed samą już nocą,
Szedł stary ksiądz Dominik, — a dokąd i po co?
O tém milczy kronika, z któréj powieść bierzem —
Szedł zajęty myślami, czy świętym pacierzem,
Chciał zrobić jeszcze milę o wieczornym chłodzie,
A potém zanocować w jakowéj gospodzie,
A jutro do podróży, nim słońce zaświta.
Droga szła między bujne pszenice i żyta,
Przez groblę aż pod krzyżyk i pod uschłe drzewo;
Na prawo były pola, a wioska na lewo.
Z wioski go dolatywał rozgwar niedaleki,
I wionął rzeźwy chłodek z jeziora czy rzeki,
Aż przypomniał Wirgila stary Jezuita
I powietrze wioskowe z upojeniem chwyta,
By starą pierś odmłodzić.
Wtém opodal krzyża
Ujrzał, że jakaś postać k' niemu się przybliża:
Bieży co siły starczą jakiś dziad wioskowy,
Słomiany mu kapelusz ulatuje z głowy;
Lecz stary nie uważa — znać ból tego człeka,
Bo ręce załamuje i krzyczy z daleka:
—„Księże! pośpieszaj!... prędzéj! bież co siła zmoże!
„Kona mój syn jedyny... o Boże mój, Boże!
„Gdzie tam syn?!—to mój anioł i zawsze i wszędzie—
„Dla rodzonego ojca żaden syn nie będzie,

„Czém ten człowiek był dla mnie... w miłości, w po-
[słudze!
„Bo proszę jegomości — to jest dziecko cudze,
„Lecz kochał mię, pracował, ach! pracował szczerze!
„Pan Bóg go przysłał do nas—i Pan Bóg go bierze.
„Taki młody... a wszelka nadzieja stracona...
„Prędzéj... prędzéj... jegomość! bo może już kona,
„Bo go kaszel suchotny do reszty zakrztusi,
„A biedne jego serce przygnębiać coś musi!...“ —
Tak woła stary wieśniak, piersi nie oszczędza,
I pada rozpaczliwie tuż przy nogach księdza:—
„Prędzéj śpiesz go rozgrzeszyć... bo życie ucieka!
„Moja chata przy drodze... ot widać z daleka...
„Widać... goreje w oknie światło od łuczywa...
„Mój Boże!... on tam jęczy, on tam dogorywa!“

III.

Takiéj rozpaczy czarodziejska władza —
Ksiądz Jezuita spojrzał na ognisko,
I jednym skokiem już przez rów przesadza,
Bieży przez mokréj łąki grzęzawisko,
Zda się, że starzec zolbrzymiał na sile —
Zkąd taka lekkość i oddechu tyle?
Aż stary wieśniak zawołał przelękły,
Patrząc na księdza: „Stój, stary junacze!
„Tożby się piersi młodzieńcze rozpękły —
„Jak on przez pole poorane skacze!
„W człowieku taka nie może być siła,
„Toć chyba Pan Bóg anioła przysyła!“

Tymczasem kapłan odmłodzony prawie
Wchodzi do chaty w pobożnéj otusze.
Tam młody wieśniak na szerokiéj ławie
Jęczy i Bogu poleca swą duszę;
Przy nim niewiasta płacząca boleśnie
Trzyma gromnicę i wywodzi pieśnię.
Lecz konający przy blasku łuczywa
Gdy ujrzał księdza—wzrok mu się rozżarza;
Podniósł się z ławy, a rumieniec żywy
Przebiegł po żółtém obliczu Łazarza;
I głosem drżącym, co z pod serca płynie,
Powitał księdza... aż ten się przelęknie:
O cudo!... wieśniak mówi po łacinie,
Mówi z zapałem, poprawnie i pięknie:

IV.

— „Na smutnéj życia mojego drodze
Drugi raz, ojcze, ciebie znachodzę,
Czuję nadzieję w sercu tajemną,
Że łaska boża czuwa nade mną.
Możeś zapomniał, jakeś przed laty
Dziecko zbrodnicze, zbytkiem zepsute,
Skazał na ostrą, ciężką pokutę;
Dzisiaj przychodzisz do wiejskiéj chaty
Przypomnieć życia mego koleje,
Obaczyć, co się z sumieniem dzieje,
I w Miłosierdziu, co granic niéma,
Rozgrzeszyć ciężką zbrodnię Kaima.
Pokutę twoją w szlachetnéj pysze
Miałem za twardą, dziką, dziwaczną;
Lecz tu modlitwa, praca, zacisze
Przyniosły duszy pociechę znaczną.

Już w sercu czuję niebiańską radość,
Czuję przy sobie stróża anioła.
Łzy moich oczu, pot mego czoła
Czyżby już Bogu uczynił zadość
Za moją zbrodnię? Powiedz mi, księże,
Czy mię rozgrzeszysz w saméj istocie?
A wszelką bojaźń śmierci zwyciężę,
Umrę jak Dyzma łotr na Golgocie,
Którego ciężkie sumienia rany
Uleczył Chrystus ukrzyżowany."

V.

Tak mówił konający. A staréj kobiecie
Łzy leją się po licach, głos tamują żale:
— „Och! biedny, biedny Kuźma! on w gorączce [plecie,
„Gada świętą łaciną, jakby ksiądz we mszale.
„Wkrótce stanie przed Bogiem, gdzie my wszyscy [staniem...
„Boże! ulżyj téj duszy przytomném skonaniem!"
Tak mówiła niewiasta zawodząc w rozpaczy,
I starzec wszedł do chaty i załamał ręce.
— „Matko,—rzekł Jezuita—chory nie majaczy,
„Pozwólcie, ja mu chwilę rozmowy poświęcę;
„W stygnących jego piersiach snadź Duch mówi boży,
„Dajcie, niech przed kapłanem sumienie otworzy."
Więc kmiotkowie poklękli i patrzą ciekawie,
Tłumem do progu chaty zeszli się sąsiedzi;
Ksiądz, u głowy chorego zasiadłszy na ławie,
Przeżegnał go, odmówił modlitwę spowiedzi;

Młodzieniec podniósł głowę orzeźwion widocznie,
I znowu po łacinie tak przemawiać pocznie:

VI.

— „Przez całeś twoje życie, miłościwy księże,
Wyrzucał z piersi ludzkich robactwo i węże,
Grzech albo zbrodnię tajoną;
Więc nie dziw, żeś grzesznika nie poznał w téj chwili.
Czy cię pamięć zawodzi, czy mój ubiór myli,
Nie przypominasz mię pono.

Lecz pomnisz, kiedy w kraju plondrowali Szwedzi,
A rycerstwo przed wojną biegło do spowiedzi,
Wiedząc, że w bójce śmierć czeka;
Wtedy tutaj, na Litwie—przypominasz może,
Jak przed kratką młodzieniec w pancernym ubiorze
Wyznał, że zabił człowieka.

Ja byłem tym zbrodniarzem, co na zgubę dąży,
Młody Kazimierz Korsak, połocki chorąży,
Pan mnogich zbiorów i włości;
Rozhukany w szlacheckich rówienników kole,
Nie znałem żadnych granic na moje swawole,
Ani wędzidła dzikości.

Poszargawszy uczucia szlachetne i piękne,
Wierząc, że kędy zechcę, gdzie groszem zabrzęknę,
Żadna przeciwność nieznana,

Lecąc przez namiętności szerokie bezdroże,
Pokochałem w méj wiosce jedno dziewczę hoże
Grzeszną miłością szatana.

Ale któżby uwierzył... o wstyd i sromota!...
Mimo czułe zaklęcia, mimo góry złota,
Dziewicze serce jak skała;
Nad hojne obietnice, nad pańskie namowy,
Droższy był pięknéj Hannie parobczak wioskowy,
Którego dawno kochała.

Więc piekielne w mych piersiach wylęgły się jędze;
Jakto!... jedno pacholę... jeden chłop w siermiędze
Ma mi zawadzać w rachubie?
Albo musi ustąpić, lub biada mu, biada!
Przysięgam na mój pałasz, na herb prapradziada,
Współzawodnika zagubię!

W duszy zbrodniczy zamiar dojrzewa pomału.
Raz... było to na łowach... na sam cel wystrzału
On stanął przed okiem mojém;
Dłoń mi drgnęła ku strzelbie, i za kurek cisnę,
I niby od niechcenia, w piersi nienawistne
Gruchnąłem ostrym nabojem...

Padł... zawołał ratunku, lecz ratunek próżny...
A ludzie powiedzieli, że był nieostrożny,
Że snuł się, gdy strzelać pora,—

I pogrzebli przy drodze śmiertelne ostatki.
A to był syn jedyny u ojca, u matki,
Jedyna chaty podpora.

Po nim nieszczęsna matka i kochanka płaczą,
Ojciec młodego pana przeklinał z rozpaczą—
Lecz co umarło, nie wskrześnie.
A zabójca już nie miał spokoju na ziemi,
Bo mię widmo wieśniaka z piersmi skrwawionemi
Ściga na jawie i we śnie.

Czy spełniam wpośród uczty biesiadne koleje,—
Stary węgrzyn w kielichu szumi, czerwienieje,
Krwią trąci kielich i wino;
Czy w tańcu, kędy dziewy i młodzieńcy świetni,—
Słyszę w wesołych tonach skrzypicy i fletni
Bolesną rozpacz matczyną.

Zamiast w męczarniach duszy konać niespokojnie,
Szedłem zbrodniczą głowę położyć na wojnie;
A gdym się szarpał w tym stanie,
Przyszedł rozkaz hetmański wśród bojowéj chwili,
Aby wszyscy pancerni spowiedź odprawili —
Tam cię poznałem, kapłanie.

VII.

„Powiedziałeś mi wtedy — pomnę każde słowo:
— „Nie dosyć gorzkim żalem, pokutą surową

„Błagać o przebaczenie miłosierne nieba;
„Za ten grzech najprzód ludzkość przebłagać potrzeba.
„Nic tu pokutna włosień, nic szaty pielgrzymie,
„Nie w Siedmiogórnym Rzymie, nie w Jerozolimie,
„Zadosyć uczynienia chce kościelna władza;
„Tam tylko, gdzie zgrzeszyłeś, niech się grzech za-
[gładza.
„Nie powiem: *Odejdź w Panu! zgładzona twa wina*,
„Dopóki stary ojciec mordercę przeklina.
„Patrzaj — tam jęczy starzec na wiejskim zagonie,
„Pot ze krwią pomieszany oblewa mu skronie;
„Już go tam wyręczała synowska posługa,
„Zniedołężniały starzec odwyknął od pługa;
„Dzisiaj daremnie liczy na siłę zdradliwą,
„Woły go nie słuchają i pług idzie krzywo;
„Pada dziad siwobrody w trudach i boleści,
„Już go syn nie zastąpi, ni wnuk nie popieści.
„Tyś, niebaczny morderco, za jednym wystrzałem
„Zamordował rodzinę i z jéj szczęściem całém,
„Ojcaś przywiódł do nędzy, matkę do rozpaczy,
„I mniemasz, że ci Pan Bóg tak łacno przebaczy?
„O! choćbyś progi świątyń porozbijał głową,
„Choćbyś jadł tylko piasek i trawę surową,
„Choćbyś poszedł do Rzymu i boso i pieszo,
„Nie rozgrzeszę cię pierwéj aż oni rozgrzeszą.
„Zrzuć ten pancerny ubiór, co na tobie błyska,
„Zapomnij szlacheckiego herbu i nazwiska,
„Wdziéj włosianą siermięgę, jaką noszą chłopi,
„Przepasaj twoje biodra powrozem z konopi,
„A pójdź do twojéj wioski, dziedzicu bogaty,
„Na służbę wyrobniczą do sierocéj chaty.
„Tam straconego syna zastępując szczerze,
„Poświęć całą usilność sosze i siekierze;

„A gdy po długich leciech, po mozolnéj pracy,
„Przyznają cię za syna zgrzybiali wieśniacy,
„Wtenczas upadniesz do nóg i matki i ojca,
„Wyznając, żeś ich dziedzic, żeś syna zabójca.
„A gdy grzech i pokutę uznają przytomni,
„Gdy ci ojciec przebaczy, gdy matka zapomni,
„Wtedy w kratę spowiedzi zapukasz swobodnie,
„A ja w Imię Chrystusa odpuszczę ci zbrodnie.“

VIII.

„Skruszon odszedłem od krat spowiedzi,
Ale w obozie pierzchnęła skrucha.
Ksiądz, myślę sobie, Bóg wie co bredzi,
Któż tam dziwaka rady usłucha?
Tylkoby ze mnie, z mego nazwiska
Był w całém wojsku cel pośmiewiska;
Tożby się śmieli jezdni i pieszy,
Wszyscy Sarmaci, wszyscy Litwini!
Szlachcic zazwyczaj orężno grzeszy —
Niechże orężno pokutę czyni.
A za występek ja, zbrodniarz młody,
Będę Niebiosom czynić zadosyć,
Suszyć do śmierci piątki i środy
I włosiennicę drócianą nosić.
Kiedy błyszczącą przywdzieję zbroję,
Nikt nie odgadnie, nikt nie wybada,
Że robak żalu żre piersi moje,
Że ostry bodziec ciało przejada.
Bo czyż koniecznie zbawi mi duszę
Wioskowa chata, gruba sukmana?

Szlachcie przechodzić na plebejusze —
Pokuta dziwna i niesłychana!

IX.

„Tak mniemałem złagodzić zbyt ostrą pokutę,
Nie zniżyć się do gminu, a udręczać ciało;
Ale serce, rozpaczą i zbrodnią zatrute,
Trwożliwie w piersiach pukało.

I bladłem, kiedy sygnał do boju posłyszę,
Że tu przyjdzie położyć potępioną głowę;
Gdy w wesołéj gromadzie szumią towarzysze,
Ja słyszę jęki grobowe.

W nocy pragnąłbym zasnąć, lecz próżne nadzieje,
Choć, zda się, unużyła całodzienna praca;
I marzyłem, że trunkiem frasunek zaleję,
Lecz wino w krew się obraca.

A gdy stoję na czatach w polu czy na łące
I słyszę pieśń żniwiarzów swobodną i błogą,
To mi serce tak bije, że aż ręce drżące
Włóczni utrzymać nie mogą.

A kiedy pęka serce, gdy się myśl rozmarza,
Rzucam włócznię i polem jak szalony pędzę,
I zazdrościłem szczęściu wiejskiego żniwiarza
W jego wełnianéj siermiędze.

Tom się karmił nadzieją, że pychę zwyciężę
I szlachecki złotogłów na sukmanę zmienię;
To przeklinałem ciebie, miłościwy księże,
Żeś mi rozdrażnił sumienie.

X.

„W takich męczarniach raz mi się zdarza
Otrzymać rozkaz regimentarza,
Bym we sto koni wyruszył—z blizka
Rozpoznać szwedzkie obozowiska.
Ruszam pod wieczór, i w téjże chwili
Moi pancerni Szweda złowili.
Nuż go się pytać — a on nas mami,
Że jego wojsko gdzieś za górami,
Gdzieś za rzekami, w niewielkiéj sile
Ztąd obozuje o cztery mile.
A więc z powziętéj radzi pogłoski,
Idziemy na noc do blizkiéj wioski;
Tam w dymnéj chacie, na wiązce siana
Usnęła nieco głowa znękana.
Alić nad rankiem, gdy jeszcze ciemno,
Sygnał bojowy zagrał nade mną.
Budzę się, zrywam, przywdziewam odzież;
Szwedzi już w wiosce, a nasza młodzież
Już się uciera, słyszę z oddali,
Kopie kruszy i z rusznic pali.

Rzucam się na koń, daję rozkazy,
Lecz siły szwedzkie o dziesięć razy
Większe od naszych.

Ale w rozpaczy
Żaden z pancernych tego nie baczy,
Lecz na kark wrogom wali się szczerze,
I szyki łamie, i jeńce bierze.
I zaczém obóz usłyszał cały
Nasze sygnały, nasze wystrzały,
Nim dobiegł hetman z posiłki swemi, —
Już trupy szwedzkie legły na ziemi;
Reszta pierzchając pali w kopyta.
Już piękna jutrznia na niebie świta;
Spojrzę na siebie — cóż to? mój Boże!
Zamiast w pancernym błyszczeć ubiorze,
Zbudzony ze snu bojowym strzałem,
Prostą siermięgę chłopską przywdziałem,
I w téj siermiędze, syty zdobyczy,
Zyskałem piękny laur bojowniczy.

XI.

„Gdy nasi pieją pieśnię pośród bojowiska,
Gdy mi hetman dziękuje i k'sercu przyciska,
Ja upadłem — i ziemię uderzając czołem,
W głębi mojego ducha rozmyślać począłem:
Czy trafem się przywdziała wieśniacza sukmana?
Czy może palcem bożym dobitnie wskazana,
Bym poświęcony pracom, obleczon w pokorę,
Potłumił straszne piekło, co mi w piersiach gore?
Och! dotąd cóż sny moje? co moje czuwanie?
Jeden, wciąż jeden widok dręczy nieprzerwanie:
W lesie skrwawiony wieśniak na sosnowéj kłodzie
Konającém spojrzeniem aż mię na wskroś bodzie;

Świszcze krew z jego piersi, oczy mu zalewa;
Ojciec, matka, kochanka, skupieni u drzewa,
Jęczą grobowym głosem... Ja słyszę ich żale
W pluchotaniu jeziora, w bojowym sygnale,
Słyszę je w dziennym gwarze i w nocnéj zaciszy,
I w hulackiéj piosence moich towarzyszy...
Bóg was żegnaj obozy i zwycięztwa moje!
Chyba w głuchéj pustyni serce uspokoję.
Tak pożegnawszy wojnę i mój tryumf świeży,
Poszedłem pokutować do puszcz Białowieży,
I tam w gęstwinie jodeł, kędy ścieżka znika,
Rozpocząłem surowe życie pustelnika.

XII.

„Jak zbawienie moje witam las ponury —
I w wąwozie leśnym, między dwiema góry,
Pod sosnowym karczem, pod granitu głazem,
Wykopałem sobie grób i chatę razem,
Wysypałem łoże piaszczyste, darniowe,
Zawiesiłem nad niém krzyż i trupią głowę.
Tam na twardym żwirze od nocy do rana
Klęcząc na modlitwie, krwawiłem kolana;
Od ranka do nocy skulony na ziemi
Jątrzyłem sumienie myślami gorzkiemi;
Za napój z potoku garśćmi wodę biorę,
Gryzę liść brzeziny i dębową korę,
I tak wciąż się modlę, i tak ciało dręczę,
Że w tydzień opadły me siły młodzieńcze.

A jednak w modlitwie, w czuwaniu i poście
Nic duch się nie krzepi, otucha nie rośnie,

Nie zjawia się spokój, ni święta swoboda,
Bo grzech mój za ciężki, bo dusza za młoda;
Drga serce w torturach wewnętrznéj męczarnie,
A myśl rozpaczliwa do głowy się garnie.
O! łatwiéj starcowi, łatwiéj eremicie
Prowadzić na puszczy bogobojne życie;
Młodociane serce w inszy takt kołata,
Potrzeba dlań uczuć, potrzeba dlań świata!
Niech dźwiga ciężary, niech trudy pokona,
Niech czyny olbrzymie wykwitną mu z łona,
A wtenczas jak święty umocni się w wierze,
I wtenczas znaczenia modlitwa nabierze,
I miłość młodzieńcza, i święta otucha,
I czyn jego ramion, i myśl jego ducha.

XIII.

„Jam tych prawd nie rozumiał, i mnie się zdawało,
Że chcąc ducha rozwinąć, trzeba zgnębić ciało;
Że gdy je całkiem zgnębię, że gdy zamrę w czynie,
Doskonalsza modlitwa z méj piersi popłynie;
Że szatan nie dosięże, gdy od niego stronim...
Pasowałem się z sobą, jak święty Hieronim
Na bezludnéj pustyni — lecz w tych walkach zgoła
Nie wyszedłem zwycięzcą, jak Doktor Kościoła.
Duch mój pada, lepianka cielesna się kruszy,
Bom nie obliczył zdrowia ni sił mojéj duszy;
Usta z głodu zczerniały, pierś pragnieniem gore,
Straciłem w ręku siłę i w nogach podporę;
Gdzie spojrzę, krwawe pręgi latają koło mnie,
Myśl wytężona k'Niebu rwie się bezprzytomnie;

Zapomniałem, kto jestem? gdzie jestem i po co?
Tylko głowa coś marzy, usta coś bełkocą,
Aż w dzikim szumie lasu sen objął mię złoty,
Utraciłem poczucie méj własnéj istoty.

XIV.

„Palon gorączką, nie pamiętam zgoła,
Jak wiele czasu przetrwałem w tym stanie...
Kiedym się ocknął, poglądam do koła:
Jam w wiejskiéj chacie złożony na sianie,
A nad mą głową, — czy widzę? czy marzę? —
Zwisły dwie ludzkie nieznajome twarze.
W lnianéj odzieży jasnooka dziewa,
Zarumieniona, to naprzemian blada,
Pot mi ociera, do ust napój wlewa,
I patrzy w oczy, jakby życia bada.
Półwieczny wieśniak, siedzący koło niéj,
Mego oddechu z natężeniem słucha;
Pokiwał głową, podparł się na dłoni
I buchnął dymem z krótkiego cybucha.
Twarz ogorzała, wąsata, brodata,
Lecz słodki uśmiech po twarzy mu lata;
Na silnych barkach miał sukmanę siwą,
Borsuczą torbę i przykrycie głowy;
U jego pasa był nóż i krzesiwo
I na rzemieniu kręty róg wołowy.
Patrzę się pilno... mniemałem, że roję;
Badam. czy żyję — lecz serce kołata;
Chcę mówić — słowa rozległy się moje:
— „Kto wy jesteście? i jaka to chata?

„Czemu nie jestem w pustelnéj pieczarze?
„Czym ja przytomny? czy ja we śnie marzę?“

XV.

„Rzekł mi: — „Ja jestem tutejszy gajowy,
„A wasza miłość, nie wiem kto jesteście.
„Leżałeś w lesie bez ducha, bez mowy
„Całą godzinę; zagadałeś wreszcie
„Coś bezprzytomnie, niby przy fortecy
„Rycerz zajęty bojowém rzemiosłem.
„Widząc, żeś chory, wziąłem cię na plecy
„I do méj chaty, do córki zaniosłem.
„Tutaj na sianie, to spałeś jak drewno,
„Toś sobie jakieś przypominał zbrodnie.
„Tak między życiem a śmiercią już pewną,
„Myśmy was strzegli całe dwa tygodnie.
„A człowiek jakoś na puszczy dalekiéj
„Zna różne ziółka, i kwiatki, i trawy:
„Wziąłem cię leczyć... i Pan Bóg łaskawy,
„Ot, jakoś proste powiodły się leki.
„Kto waszmość taki, nie pytam się o to,
„Boś jeszcze słaby, a mnie czas do dzieła;
„Znaczno, żeś szlachcic — ej, młoda słaboto!
„Podziękuj Bogu, że niemoc minęła!“

XVI.

„Tak, kędy serca proste, chata cicha, ciepła,
Choroba przemijała, a dusza mi krzepła.
Zszedłem z łoża niemocy. Dni za dniami biegą,
I chciałem już opuścić chatę gajowego,

Iść gdzie oczy poniosą na rozstajne szlaki,
Wybrać sobie pustynię albo klasztor jaki
I tam resztę żywota spędzić na pokucie;
Lecz tu mię zatrzymało wdzięczności poczucie.
On mi życie przywrócił, on czuwał nad chorym,
Grzechby ciężki tak prędko rozstać się z Hrehorym.
Ile ręce umieją, ile siła starczy,
Postanowiłem dzielić ich trud gospodarczy.
A to już była jesień — pomiędzy polany
Pustował w dzikim borze grunt niepoorany,
Bo gajowy pod starość rozleniwiał trochę,
Wolał pieski i strzelbę, niż woły i sochę; —
Więc mi przyszła ochota, dziej się boża wola!
Poorzę mu, jak umiem, choćby zagon pola;
Przez to szlachecka ręka nie zhańbi się srodze;
Potém zboże posieję i płotem ogrodzę,
Jesień tu popracuję, a w zimowéj dobie
Odejdę, zostawiwszy pamiątkę po sobie.
Jak się rzekło, tak stało. Z razu trudy marne:
Socha była mi ciężka, a woły niekarne,
Niewprawnemi rękoma wiedzion pług zębaty
Kroił ziemię w gzygzaki i w podarte szmaty.
Ale z pracą i na to znalazła się rada;
Już się w równiejsze skiby mój zagon układa,
Oswoiła się ręka z siekierą i z broną,
I grunt mego zasiewu zarumiał zielono.
A Hrehory i nierad, i rad, że mu służę,
Przepraszał mię, szlacheckiéj dziwił się naturze,
Wybadywał, kto jestem? czy rodem ztąd blizko?
Chciał wiedzieć me przygody i moje nazwisko.
—„I na cóż wam—mówiłem—moje straszne dzieje?
„Pozwólcie, niech pracuję, niech nie leniwieję,

„Niech dla ciebie poświęcę me siły młodzieńcze,
„Za życie, za czuwanie, za chleb się wywdzięczę!“
Tak zbywałem pytania — a żałując czasu,
Szedłem z sochą na pole, z siekierą do lasu;
I tutaj w pocie czoła wśród modlitwy bożéj,
Och! gdyby spokój ducha, byłoby niezgorzéj.

XVII.

„Hrehory miał córkę w wiośnianym dni kwiecie;
W borowéj zaciszy wyrosło to dziecię,
Jak chmielu gałązka, gdy wić się poczyna,
Lękliwa i żwawa, jak leśna ptaszyna;
Jak leśna przylaszczka błękitne jéj oko —
A duma poważnie — a wzdycha głęboko —
Czuwała przy mojéj Łazarza pościeli.
Jak leśna wiewiórka póki się ośmieli,
Od wzroku truchleje, od ręki ucieka,
I znowu ci w oczy pogląda z daleka,
I znowu się zbliży, i z wolna, och! z wolna
Oswoi się z człekiem figlarka swawolna,
Poczyna igraszkę a czasem gdy łaska,
Na ramię ci wskoczy, oblicze pogłaska,
I znowu ucieka, po drzewach się wspina:
Tak samo nieśmiała, pierzchliwa dziewczyna
Wlepiała mi w oczy wzrok pełny rozkoszy;
To coś ją przynęci, to znowu odpłoszy.
Nie chciałem o serce dobijać się młode,
I wzrokiem zbrodniarza zatruwać swobodę
Niewinnych jéj dumań.
Bywało gdy w święto,
Ja siedząc oparty o kłodę wyciętą,

I z twarzą pochmurną, jak dusza skalana,
Modlitwę pokuty zasyłam do Pana, —
A ona swobodna jak motyl skrzydlaty,
Wybiega do lasu w jagody, po kwiaty,
Zatrzyma się przy mnie, popatrzy mi w oczy,
I głowę opuści, oblicze zamroczy,
Poduma — i z trwogą aż cofnie się zbladła,
Jak gdyby głąb piersi mordercy odgadła.

Bywało z siekierą gdy ręka mi słabnie,
Gdy skiby z pod sochy ścielą się niezgrabnie,
Gdy kosa nierówno uderza po trawie,
Śmieje się dziewczyna i pyta ciekawie:
—„Ej, Kuźmo! kto jesteś? i z jakiéj ty strony?
„Jak starzec posępny, jak szlachcic pieszczony —
„Prawdziwe chłopaki to u nas nie tacy:
„Ochoczy w zabawie, a dzielni do pracy.
„Czy wiesz co? zapomnij twéj wioski dalekiéj,
„Tu zostań na długo... na długo, na wieki;
„A wtedy obaczysz... odżyjesz w tym lesie:
„Tu praca i siłę, i zdrowie przyniesie;
„Tu będziem pracować, tu będziem się śmieli,
„Dla ciebie tu zdrowiéj, a dla nas... weseléj.“
— „Pozostań tu z nami, — raz mówił Hrehory —
„Ja codzień to gorzéj i stary i chory,
„I w lesie, i w chacie coś idzie nieskładnie,
„A jak ty odejdziesz, i ten ład przepadnie!
„Ot ja ci po prostu swe myśli odkryję:
„Marya cię lubi — ty lubisz Maryę;
„Choć, widzisz... pustota jéj trzyma się głowy,
„Ty mruczysz poważnie jak niedźwiedź borowy;
„Lecz widzę was dobrze... czy w polu, czy w chacie,
„Wy sami nie wiecie, że wy się kochacie.

„Więc przyjdźcie tu do mnie, o zgodę poproście,
„Pójdziem się pokłonić we dworze staroście,
„Wyprawim sowite wesele i tany,
„I będziesz mym synem, mój Kuźmo kochany.
„Ty strzelasz niezgorzéj, widziałem już proby,
„A ja ci przekażę myśliwskie sposoby,
„I strzelbę żwirówkę, poczciwe narzędzie—
„Zostaniesz tu strzelcem... i dobrze ci będzie."

XVIII.

„Tak mi mówił Hrehory—a jam zdrętwiał cały,
Uśmiechnąłem się niby, i łzy się polały,
I w głąb mojego serca zajrzałem z obawą:
Och, jam kochał Maryę! Ale któż dał prawo
Temu posiadać szczęście niewinne młodziana,
Czyja przeszłość zbrodnicza, a dusza skalana?
Jam zatruł cudze szczęście—ach! tam w mojéj włości
Płynęła krew niewinna, płyną łzy żałości!
Tam, gdzie syna kmiecego zgładziłem ze świata,
Ojciec, matka przeklęctwy do Niebios kołata;
Gdy na mnie piorun boży gotują ich żale,
Jażbym tutaj o szczęściu śmiał myśleć zuchwale?
Nie... ucieknę! ucieknę do mojego sioła,
Jak mi kapłan rozkazał, jak sumienie woła,
Rzucę herbowną pychę... o! dosyć jéj, dosyć!
Dziś umiem, dzięki Bogu, i orać i kosić;
Już zapomnę, żem rycerz herbowny, bogaty,
Zastąpię starym kmieciom podporę ich chaty...
Och! i tego za mało gwoli ich pociesze:
Zastąpię wyrobnika—lecz syna nie wskrzeszę!

XIX.

„Gdy takie myśli Bóg we mnie budzi,
W nocy uciekłem od dobrych ludzi,
Wyszedłem z lasu, choć poniewoli;
A serce bije, a dusza boli,
Bo w lesie szczęście moje zostawa;
Ale ofiara wielkie ma prawa.
Widzę przed sobą, widzę zaiste
Drogi ciernіste i krzemieniste—
Lecz nawet z bolu jęknąć nie mogę.
O! któryś odbył krzyżową drogę,
Na mojéj drodze wzmocnij mię, Chryste,
Na szczyt Golgoty! — Nierówna miara:
Bo tam za ludzkość święta Ofiara,
Tam był Miłości przykład jedyny,
Tu jeno własnéj zgładzenie winy.
Że sercu ciężko? och, to rzecz błaha!
Przeklęctwo temu, kto się zawaha,
Kto swą powinność spełnić się zlęknie,
Kto pod ciężarem krzyża zastęknie!

XX.

„Tak świętéj powinności przejęty zapałem,
Do rodzinnego sioła pieszo wędrowałem;
Z kijem, z torbą obszedłem okoliczne strony,
Niby żebrak, roboty i chleba spragniony:
Zwiedziłem dom ojczysty—co zmian w krótkiéj chwili!
Nowy dworzec postarzał, rodzice nie żyli,

Moja siostra władała i dworem i siołem;
O mnie mówili ludzie, że w boju zginąłem.
Młodszy mój brat, przed królem stanąwszy przytomnie,
Chorążowstwo połockie odziedziczył po mnie.
W domu ojców nie zgadli kto snadź ten ubogi,
Własny brytan myśliwski szarpnął mię za nogi,
A nawet mnie nie poznał ni z twarzy, ni z mowy
Stary szafarz, mój niegdyś luzak obozowy.
On popatrzał mi w oczy, na twarz, na łachmany,
Podał mi chleb razowy i szeląg miedziany,
I westchnął stary kamrat pancernego znaku:
„*Za duszę Kazimierza, pomódl się żebraku!*"
Rzekł i odszedł powoli.

O strono domowa!
Więc tu jeszcze ktośkolwiek moją pamięć chowa!
Ale nikt mię nie poznał—czy twarz moja blada?
Czy czarna gęsta broda, co na piersi spada?
Nie odgadli żebraka w progach jego domu,
A jam się nie dał poznać nikomu... nikomu.

XXI.

„Poszedłem do méj wioski—co tu zmian, mój Boże!
Jedną chatę wzniesiono, a druga się wali.
Siadłem w izbie karczemnéj, przy progu, w pokorze;
Był to wieczór, a ludzie z pola powracali.
I zaszło tutaj kilku starych gospodarzy,
Jeden z kosą, ów z cepem—usiedli za stołem,
I jeden do drugiego przepija i gwarzy.
Ja pilno słuchać począłem.

I zadrżałem, bom poznał starego Marcina,
Któregom osierocił w moje dni junacze;
Dziad postarzał, posiwiał, garbić się poczyna,
Oczy mu krwią zabiegły, znać, że często płacze.
On przy czarce, przy lulce, w kole towarzyszy,
Rozpłakał, się gdy stare opowiadał dzieje:
—„Ej, kumie Mikołaju! Bóg widzi i słyszy,
„Co ja codzień wycierpię, co ja łez wyleję!
„Ej, Pan Kazimierz Korsak, niech Bóg nie pamięta!
„Pokrzywdził mię... wyplenił mój ród na téj ziemi—
„Ot, kumie! jużbym dotąd piastował wnuczęta,
„Jużbym dziś, wyręczony rękami młodszemi,
„Wypoczywał na starość i cieszył się dziatwą.
„O stare moje lata! o doloż ma licha!
„W lat sześćdziesiąt pracować... niełatwo, niełatwo!
„Czoło z potu, a oko od łez nie wysycha...
„Hej, panie gospodarzu! gorzałki przynieście!
„Wypiję, to mię jakoś orzeźwi, odmłodzi.
„Możebym rozżalony przeklinał nareszcie
„Zabójcę mego dziecka—a to się nie godzi.
„Już i tak on skarany za zbrodnicze dzieła,
„Poszedł rachunek z Jankiem odprawić do grobu,
„Jednego i drugiego kula nie minęła,—
„Niechże Bóg nad duszami zlituje się obu!
„Kumie, w ręce waszeci! czarkę jeszcze wzniosę
„Na szczęśliwe skonanie!“—
Stary wypił szczerze,
Wstał, zarzucił na plecy swe grabie i kosę,
I powlókł się do domu, szeptając pacierze.

XXII.

„Śladem za nim poszedłem aż do jego chaty
Ja, dziedzic włości bogaty,
I niby to z daleka przychodzień, sierota,
Zakołatałem we wrota;
I prosiłem ze łzami, by starzy kmiotkowie
Dali przytułek méj głowie.
—„Ja mam silne ramiona i serce ochocze,
„Ja was staraniem otoczę,
„Ja się pracą wywdzięczę za przytułek w chacie,
„Wszakże wy syna nie macie,
„I ja jestem sierota—wy dla mnie na świecie
„Ojcem i matką będziecie.
„Ja ujmę w młodsze ręce twoją, starcze, sochę!
„A chleba i strawy trochę,
„Trochę czułego serca niech litość przeznacza
„Dla nieszczęsnego tułacza.“
Tak mówiłem—prostota i łza moja szczera
Poczciwe serca otwiera.
Popłakali się starzy, ofiarę przyjęli,
Siedliśmy za stół weseli;
A przy skromnéj wieczerzy, wieśniaczka zgrzybiała
Kiedy mię synem nazwała,
Uczułem taką radość, taki spokój żywy,
I byłem taki szczęśliwy,
Jakby sam Bóg zawołał, kojąc me rozpacze:
— „Kaimie, ja ci przebaczę!“

XXIII.

„Już siódmy rok się kończy, jako u nich żyję,
Jarzmo pracy rolniczéj włożywszy na szyję.
Razem z duchem ofiary wzmagała się siła,
I chatnia gospodarka w mych ręku odżyła.
Potem mojego czoła zlewałem zagony,
I rodził grunt, starannie z chwastów wypleniony;
Pracowałem i ręką, i sercem, i głową,
Pobudowałem chatę i stodołę nową.
Ani na dworne miedze, ni na swoje pole,
Nigdy bywało ojcu ruszyć nie pozwolę;
Nigdy bywało matce praca nie dobodzie,
Nie przyszło żąć na niwie lub kopać w ogrodzie.
Jam pracował za wszystkich, ile siła zmoże;
Odbierałem obelgi i chłosty we dworze,
Bo nikt się nie domyślał z całego tu grona,
Ani dworski starosta, ni siostra rodzona,
Żem ja, brat zaginiony, żem dziedzic ich włości.
Takem się ja za zbrodnię wypłacał ludzkości...
Tak, ojcze spowiedniku! wedle twojéj myśli
Założoną pokutę spełniłem najściśléj:
Wdziałem wełnianą odzież, jaką noszą chłopi,
Przepasałem me biodra powrozem z konopi.
We własnéj mojéj wiosce, ja dziedzic bogaty,
Szedłem za wyrobnika do sierocéj chaty,
I rodzicom ich syna zastępując szczerze,
Poświęciłem się cały sosze i siekierze.
Oto po siedmiu leciech, po mozolnéj pracy,
Przyznali mię za syna zgrzybiali wieśniacy.
Oto ci całe życie wyznaję swobodnie...
Księże! w Imię Chrystusa odpuszczaj mi zbrodnię!

„Czuję, że życie moje chwilami się liczy:
Piersi moje osuszył kaszel suchotniczy;
Słowa, któremi moje otwieram ci rany,
To ostatni wysiłek piersi skołatanéj.
Nikomu nie powiadaj, kto jestem, kto byłem:
Srodze pokutowałem, bo srodze zgrzeszyłem.
Tu nie masz bohaterstwa ni wielkiéj zasługi —
Gdybym żył drugie życie, jeszczebym raz drugi
Odbył taką pokutę w pokorze i skrusze...
O Boże, chciéj przygarnąć bolejącą duszę!...“

XXIV.

Chory przestał już mówić — a ciekawa rzesza
Pogląda nań, z boleści ściskając ramiona.
Spowiednik rozgrzeszenia modlitwę przyśpiesza,
Dopóki Łazarz nie skona.

Ale jeszcze nie skonał, jeszcze się porusza,
Kaszlnął krwią, podniósł oczy i cichemi słowy:
„Ojcze!... matko!... przebaczcie!...“ — i już jego dusza
Stoi przed sądem Jehowy.

Z duszą jego jęk starców poleciał ku Niebu;
Zapłakali sąsiedzi, których dzielił pracę;
Jezuita spłakany wywiódł pieśń pogrzebu:
O requiescat in pace!

XXV.

Kazimierz Korsak śpi w wiejskiéj mogile,
W chłopskiéj sukmanie — a jak tego życzy,

Jego ród pański i poświęceń tyle,
Wszystko ukryte w ciszy tajemniczéj.
Tylko Podolec dla przyszłéj pamięci
Rzecz całą w aktach zapisał w klasztorze,
I stary Marcin domyślał się może,
Bo gada z sobą i głową coś kręci,
I na mogiłę chodzi co poranka,
Kędy dwa groby, i Kuźmy, i Janka.
I wkrótce ludzie wykopali z blizka
Dla dwojga starców piaszczyste mogiły.
Zielskiem zarosły cztery grobowiska,
I cztery krzyże z latami zegniły.
W wiosce czas jakiś gadano jedynie
O młodym Kuźmie, co przybył w te strony,
I jakby cudem bożym nawiedzony,
Ostatnią spowiedź odbył po łacinie.

XXVI.

Może w końcu gawędy ciekawi jesteście,
Co z Hrehorym, co z Maryą stało się nareszcie?
Czy w lesie, gdzie pracował, gdzie przeżył niemało,
Jakiekolwiek wspomnienie po Kuźmie zostało?
Och, zostało wspomnienie!... tu od chaty blizko,
Mchem borowym porosłe proste grobowisko;
I w sercu Hrehorego niezgojona rana,
I w starych jego oczach łza nieprzepłakana,
Jak woda, co z pod góry wyciska się z cicha,
Spada jeno kroplami, ale nie wysycha.
Gdy Kuźma zginął z chaty, był popłoch niemały:
Mniemano, że go zwierze w lesie rozszarpały,

Mniemano, że na puszczy zabłąkał się może,
Lub że biedny utonął w poblizkiém jeziorze.
Hrehory wzywał ludzi, błąkał się po kniei,
Wołał i w róg wołowy trąbił po kolei.
Lecz za całe wołanie, za odpowiedź całą
Tylko w sosnach borowe echo odhukało.
Hrehory przestał szukać...

A biedna Marya
Rozpaczliwém wołaniem wciąż niebo przebija:
„Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś?“ woła w puszczę głuchą,
Tamuje oddech w piersi i natęża ucho,
Kędy echem pustynia odezwie się dzika,
Ona biegnie w tę stronę i znowu wykrzyka.
A gdy w jęku i biegu opuszcza ją siła,
Głos gdy drętwiał, a usta spiekota paliła,
Ona tchem gorączkowym chcąc orzeźwić łono,
Przypada w dzikie chwasty i trawę zieloną,
I zrywa się, i bieży obłąkane dziecię:
„Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś? odezwiéj się przecię!
Przedziera się przez chwasty, to jęczy, to klęka,
Modli się, padłszy na twarz, aż łzami przesiąka
Mech borowy, i ziemia wilgotna, i trawa,
A z ziemi chłodem wionie — lżéj sercu się zdawa.
Po czterech dniach upadła w boleści i trudzie,
O trzy mile od chaty znaleźli ją ludzie:
Zbladły lica, na których kwitł rumieniec żywy,
W rękach ściśnięte kwiaty i dzikie pokrzywy.
Mniemali, że umarła, bo blada i milczy,
Tylko w błękitnych oczach blask dziki, jak wilczy,
Migoce, zdradza życie, co już gasnąć zacznie,
A poczerniałe usta coś szepcą dziwacznie.

Przysłuchali się ludzie: och, znajome słowo!
Dziewczyna śni wesele, śpiewa pieśń godową,
Że niby to ją Kuźma po imieniu woła,
Że niby to ją drużki wiodą do kościoła:

XXVII.

„Słonko niedzielne świeci,
„Świeci jasną pogodą —
„Ojcze, błogosław dzieci!
„Już mię do ślubu wiodą.

„Na dworze gości roje,
„Tam i lubego zoczę;
„Drużki, wy siostry moje,
„Śpieszcie mi pleść warkocze!

„Kieruj pod cmentarz konie,
„Pod cmentarz, drużbo miły!
„Ja matce się pokłonię,
„Przeżegna mię z mogiły!

„Z ruty zielony wianek
„Na moją głowę włoży, —
„Ej, Kuźmo, piękny ranek
„Piękną nam dolę wróży!

„Ej, śpieszcie lasem, błonią,
„Bo droga nam daleka!
„W kościele dawno dzwonią,
„Ksiądz przed ołtarzem czeka!“

XXVIII.

Tak szepcąc, jęcząc piosnkę—skonała po chwili.
Struchleli dobrzy ludzie, co świadkami byli;
A piejąc *Anioł Pański* drużyną gromadną,
Ojcu odnoszą zgubę i na ławie kładną.
Stary ojciec nie płakał, tylko ruszał głową,
Milcząc wyciosał mary i trumnę jodłową;
Wykopał sążeń jamy na jéj trumnę drobną,
A księdzu dał na dzwony i na mszę żałobną,
I garść piasku nasypał dziewczęciu na oczy...
Grób ją z lubym zjednoczył—czyż Pan Bóg zjednoczy?

Lipiec 1853. Borejkowszczyzna.

PAN MAREK W PIEKLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

Panie Jakóbie! *Canonica hora...*
Żyjemy z sobą nie dziś i nie wczora,
Byliśmy razem smutni i weseli,
Razem miód pili i razem krew leli;
Co zjedli soli nie przemierzyć korcem,
Snuli się niegdyś pod jednym proporcem
Po całym świecie, jak po piekle Marek —
Toć miło razem wychylić puharek.
Daj Bóg na starość pocieszyć się zdrowiem!
Ja ci o Marku przypowiastkę powiem.

II.

Ten Marek — słuchaj jegomość dobrodziéj —
Jak się nazywał i z kogo się rodzi,
Jakiego herbu używał w sygnecie,
Nic niewiadomo, a świat różnie plecie.
Lecz był to szlachcic; mimo szlachty braci,
Z wielkim się domem jakoś kolligaci:

Nie już po mieczu doszedł paranteli,
Lecz się poplątał więzami z kądzieli,
Co mu tak serce próżnością rozłechce,
Że z drobną szlachtą i gadać już nie chce;
Szlacheckie dwory omijając z dala,
Jeno się pany możnymi przechwala.
Zamiast zajadać z dziatkami i z żoną
Szlachecki barszczyk ze schabą wędzoną
I pijać piwko, co się w kuflu pieni,
Pan Marek wzdycha do pańskiéj pieczeni
I do ukłonów stare kości zgina,
By spijać męty pańskiego węgrzyna.
Na chudéj szkapce, z szabelką u pasa,
Z zamku do zamku ustawicznie hasa:
Tam pan kasztelan wyprawuje gody,
Tam imieniny pana wojewody.
Gdzie brat choruje, tam go ani proście:
On śpieszy leczyć ogary staroście.
Dopieroż patrzaj, jak wyciąga szyję
I jasnym panom prawi oracye,
Jak ich wywodzi od dziada, pradziada,
Jak submittuje i do stop się składa!
A jasne pany, zwyczajnie jak pany,
Szlacheckim plecom nie skąpią swéj ściany,
Rzekomo szlachtę przyjmują z rozkoszą,
Na szarym końcu do stołu poproszą,
Tam przypochlebiaj, znoś urągowiska,
A przed sejmikiem pan za to uściska,
A na sejmiku swojéj sprawie gwoli
Łeb na szablice nadstawić pozwoli:
Oberwiesz kresę, to ją znoś w pokorze!
Panie Jakóbie! czyż nie prawda może?

III.

Już to prawdziwie, gdy się człek obliczy,
My szlachta lubim ten chleb służebniczy,
Radziśmy w pańskiéj ujarzmiać się sosze,
Ten mniéj, ten więcéj, a wszyscy po trosze.
Ale pan Marek w pochlebstwa ferworze
Uboższych nie miał za stworzenie boże;
Tylko w gospodzie, przy szlachcie pozioméj
Lubił wyliczać senatorskie domy,
Z któremi, mimo dziurawéj opończy,
Albo przyjaźnią, albo krwią się łączy,
Z któremi żyje tak za-panie-bracie,
Jakby sam krzesło zasiadał w senacie.
Pan Marek ginął, ciesząc się, że ginie,
Przyjmował pany w ubogiéj wioszczynie,
Rad, gdy zapasy grosza i śpiżarnie
Zjadały pańskie pachołki i psiarnie.
A nigdy w imię braterskiéj równości
Kowieńskim lipcem nie uraczał gości;
Jeno, nie bacząc, staje czy nie staje,
Sprowadzał z Węgier kosztowne tokaje,
I (co podanie wiarogodne ręczy)
Jakby w kościele, palił wosk jarzęczy.
Kominek doma był prawie nieznany:
Wstyd przy ognisku biesiadować z pany.
A głupie zdanie! od świecy jarzęcéj
Kominek światła i ciepła ma więcéj.
A kiedy buchnie, zahuczy, wystrzeli,
Ludzie, chcąc nie chcąc, muszą być weseli.

Zwłaszcza gdy wtórzy do ognia wybuchu
Brzęk szklanic, miły szlacheckiemu uchu;
Rodzą się dumki, gawędki, *prze zdrowie!*
Panie Jakóbie! czy ja prawdę mówię?

IV.

Prawda? więc jeszcze brzęknijmy w puharek!
Co ja mówiłem?... otoż to!... pan Marek,
Lekce szlacheckie poważając rzesze,
Czepia się panów i ku ich pociesze
Nie szczędzi karku, trzosu i oręża,
Odłuża wioskę, zdrowie nadwyręza.
Przyszła choroba, po krótkiéj chorobie
Umarł nieborak i położon w grobie.
Tu nikt nie płakał u grzesznego ciała,
A tam się dusza — do piekieł dostała,
Czy, mówiąc grzeczniéj, jeśli taka wola,
Poszła na święte elizejskie pola.
Tam się ognisko niezgasłe rozpala,
Męki Danaid, Syzyfa, Tantala
Obaczył Marek z przerażoną twarzą.
Ale iż głupców tak srodze nie karzą,
Więc go strażnicza dopuściła władza,
Gdzie orszak zmarłych cieniów się przechadza.
A był to ogród cienisty, szeroki,
Zawierał gruntu trzy lub cztery włoki,
A kędy lasek czy kwiecista łąka,
Gromada cieniów swobodnie się błąka.
Niejeden z cieni stając przy sąsiedzie,
Macha rękoma — snadź rozhowor wiedzie;

Ciała nie widać, lecz kędy cień głowy
Gwar się rozlega poważnéj rozmowy.
Pan Marek myśli: — „Ha! tu jak na ziemi
„Człek się nagada, będzie żył ze swemi,
„Jeno potrzeba po dworsku i gładko
„Z jakich się panów połączyć gromadką.
„Ot, kilka cieniów toczy się, jak płynie —
„Znaczno po minie, znaczno po czuprynie,
„Co to za ptaszki i jakie ich pierze:
„Wojewodowie, hetmany, kanclerze!
„Jeden cień mówi — ho! poznaję z mowy,
„To pan wendeński starosta grodowy!“ —
Pomyślał Marek i bieży doń prosto:
— „Powolne służby dostojny starosto!“
I cień swéj ręki, jak za dawnéj chwili,
Do cienia kolan starosty uchyli;
Lecz się starosta nie odkłonił wzajem,
Tylko zachrząknął pańskim obyczajem,
I odszedł daléj, nachmurzywszy lica,
Jakby nie widział i nie znał szlachcica.
— „Dzisiaj starosta w niedobrym humorze!
„Ot, pan kasztelan — przywita się może!“ —
Pomyślał Marek i przed cieniem stanie:
— „Powolne służby, mości kasztelanie!“ —
I cień swéj ręki, jak za dawnéj chwili,
Do cienia kolan kasztelańskich chyli;
Ale i tutaj nadaremna praca:
Kasztelan spojrzał i wstecz się odwraca.
Więc Marek daléj, wciąż snuje się daléj:
To wojewodzie powitanie pali,
To hetmanowi swój affekt wymierza,
To się przysunie do pana kanclerza,

Aż łamie ręce — nadaremna rada,
Bo żaden z panów i słowa nie gada,
Choć między sobą, gdy się w kółko zgarną,
To słychać śmiechy i rozmowę gwarną.
Simili gaudent — każdy równéj głowie —
Panie Jakóbie! czy to złe przysłowie?

V.

Marek w rozpaczy — boć to męka szczera:
Język się gwałtem gawędki napiera,
I wszyscy gwarzą, i wszystkim tak błogo,
On nie ma słowa wyrzec do nikogo.
— „No! — myśli sobie — po takiéj nauce
„Już ja do panów nierychło powrócę.
„Ot, tam pod cieniem cedrów i oliwy
„Szlachecki sejmik — ale jaki żywy!
„Jaki gwarliwy! po zakroju znaczno,
„Że zaraz bić się i zapijać zaczną.
„Do szlachty, Marku! do swoich podążym:
„Tu cześnik żwawo rozprawia z chorążym,
„Wojski ze skarbnym do bitwy stanęli,
„Już się krzyżują cienie karabeli,
„A regent, znaczno już cięty po trosze,
„Woła do szlachty: *Uciszcie się, proszę!*
„Oto pan miecznik naprzeciw mnie kroczy...
— „*Czołem, mieczniku!*“ — rzekł Marek ochoczy.
Ale ensifer — zkąd taka niełaska? —
Wąsa zakręcił, czuprynę pogłaska
I rusza daléj, nasrożywszy lica,
Jakby nie widział, nie słyszał szlachcica.
— „Czegoś niewesół... niech sobie się złości!

—„*Panie rotmistrzu, mój pokłon waszmości!*“—
Zawołał Marek; ale próżna praca:
Rotmistrz pomruknął i wstecz się odwraca.
Więc Marek daléj, wciąż snuje się daléj...
Czy go nie widzą? czy go nie poznali?
Kogo powita, do kogo zawoła,
Wszyscy od Marka odwracają czoła;
Kogo chce ścisnąć — wymyka się ręka,
Napróżno woła, zaklina, uklęka
I błaga cieniów:—„*Szlachcicowie mili!*
„*Byście choć słówko przemówić raczyli,*
„*Przyjmijcie brata, nie karzcie surowo!*“
Lecz cienie tylko potrząsają głową;
A gdy upada, gdy do nóg się ściele,
Oni wzgardliwie brzęczą w karabele.
Ot, jak mu płacą — i dobra zapłata!
Bo kto się hardo wymykał od brata,
Niechaj na zawsze odrzucon zostanie!
Panie Jakóbie! czy to słuszne zdanie?

VI.

— „Niech licho bierze szlachtę od waszeci!
„Na złość herbownym przystanę do kmieci!“—
Zawołał Marek, już zły co się zowie.
Tam wedle zdroju siedzieli kmiotkowie;
Kiwa coś głową pracowita tłuszcza
I z krótkich lulek dym kłębem wypuszcza.
A cienie gwarzą:—„Ej, panie sąsiedzie!
„Bóg raczy wiedzieć, jak dziatwie się wiedzie?
„Za naszych czasów głód pukał do chatek,
„Na święty Marcin i czynsz, i podatek,

„A grunt jałowy, nie użyźnić pracą...
„Boże, mój Boże, czém oni wypłacą!?“
Tak sobie gwarzą ubodzy włościanie,
Gdy się pan Marek zbliżył niespodzianie.
Ale na widok pańskiego kontusza
Cała gromada z miejsca się porusza,
Kłania się nizko przed obliczem pana
I wstecz ucieka, jakby rozegnana.
Bo widzisz aspan, że chłopska gromada
Sercem ze szlachtą dzielić się nierada;
Wie, żeśmy o nich niewielce ciekawi,
Czy złe, czy dobre, w głębi serca dławi.
Bo taki narów już mają ludziska:
Trzeba zasłużyć, nim ufność się zyska;
Współczucie bywa współczucia zapłatą.
Panie Jakóbie! a co waszeć na to?

VII.

Marek zębami aż zagrzytał wściekle,
Daléj a daléj snuje się po piekle;
Od chłopskiéj ciżby ucieka na stronę,
Gdzie chodzą pany jaśnie oświecone;
Gdy jasne pany gadać z nim nie raczą,
Znowu się kryje za ciżbę wieśniaczą;
A kiedy kmiotki uciekają przed nim,
Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiednim;
Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci
Na nowo panom swe służby zaleci.
Gdy tak się snuje od grona do grona,
Mijają lata, wieczność nieskończona;
Wszyscy się cieszą ze swymi w gawędzie,

A Marek wiecznie pokutować będzie,
Od wszystkich spotkan szmerem pośmiewiska,
Nikt go nie pozna, ręki nie uściska,
Żaden go z braci nie uzna za brata...
Panie Jakóbie! czy słuszna zapłata?

VIII.

Pewna pobożna niewiasta w klasztorze,
Miewając we śnie objawienia boże,
Między innemi widziała w zachwycie
Marka po śmierci opłakane życie.
Jako na siostrę zakonną przystało,
Słowo do słowa historyę całą
Spowiednikowi wyznała przy kratce,
Potém do ucha przełożonéj matce,
Potém siostrzycom. Przez usta niewieście
O Marku w piekle zagadali w mieście
I w całym kraju; a na téj osnowie
Pomiędzy ludźmi powstało przysłowie,
Że kto się snuje od kąta do kąta,
Mówią: „*jak Marek po piekle się pląta.*“
Ludziom śmiech tylko—niech śmieją się zdrowi!
A tam bolesno, bolesno Markowi
Wyspołecznienie od swoich ponosić...
Ej, u nas takich grzeszników jest dosyć!
Niech Bóg im chętkę pochlebstwa odbierze —
Panie Jakóbie! zmówmy trzy pacierze.

22 grudnia 1853. Tulonka.

U r y w e k.

— Zrąbali dąb, gdzie Litwin Perkunasa chwalił,
I krzyż tam postawili — a krzyż wiatr obalił.
Dla czego Bóg wasz krzyża swojego nie broni?
Och! potrzebny nam Perkun z piorunami w dłoni!
Wszak jeszcze świętokradców jest liczba tak mnoga,
Co bluźnią starych bogów i nowego Boga!
Wy przecięż o swym Bogu powiadacie chytrze,
Że odkrywa aż w sercu uczucia najskrytsze,
Że zgaduje rzut oka, cień myśli człowieka, —
Zgaduje, zapisuje i poprawy czeka.
Zawsze jest nad grzesznikiem cierpliwości łaska!
Perkun niedługo czeka, a piorunem trzaska.
O! zuch nasz stary bożek — bo on dobrze świadom,
Że cnotliwy ulegnie zbrodniczym przykładom;
A dla złego człowieka wszystko mniejsza o to,
Niełatwo złość swą uzna, uklęknie przed cnotą.
Zabij złego, bo dobry przyjdzie ku zatracie.
A u was co?
— Nie bluźnij, nie bluźnij, mój bracie!..

1854. Borejkowszczyzna.

MARGIER,

POEMAT Z DZIEJÓW LITWY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Gdzie ty, święta przeszłości macierzystéj ziemi,
Z twojemi bohatery, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie, jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiéj książce lub na staréj cegle?
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię,
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
Któż zdoła wypowiedzieć los całéj krainy?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanéj z litewskiego drzewa,
Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze.

O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
Stara a święta harfo litewskich pieśniarzy?
Poważnym głuchym szmerem zabrzękniéj z mogiły,
Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły.
Zrodzony w nowych czasiech i w inszéj nauce,
O twoich dawnych bogach oto pieśń zanócę,
Nie świętokradzką ręką, lecz w dobréj otusze
Święty popiół praojców z mogiły poruszę.
Drużyną zakrwawioną, w niedźwiednie przybraną,
Przed oczyma potomków praojcowie staną,
Dzicy, jak dzikie puszcze, w których Litwa żyje,
Czyści, jak czyste rzeki, z których wodę pije,
Rzewni, jak wiatr jesienny, co huczy po lesie,
Jak piosenka żniwiarska, którą echo niesie.
Lud, co się przeniewierstwem nie zhańbi, nie skazi,
A szanuje swych bogów, kapłanów i kniazi;
A bogi, przed którymi na twarze się ściele,
Srodzy, dobrzy i prości, jako ich czciciele;
A książęta, co Litwę trzymają pod władzą,
Za jéj zdrowie swój żywot, swoją krew oddadzą,
A podzielą się z ludem i serca połową,
I chlebem, i zdobyczą, i sławą bojową,
I śmiercią bohaterską, gdy idzie o życie:
O takiém to plemieniu powieść usłyszycie.
A gdy słabemi dłońmi po strunach uderzę,
Czyli zapieję pieśnię o chrobrym Margierze,
Czy z daleka ukażę krwią zalane żgliszcze,
Czy w strunach zagrzmi Perkun, czy wicher zaświszcze,
Czy ziemicę Olgierda mój głos upamiętni,
Czy jęknie płacz dziewiczy lub serce zatętni,
Czy zabrzmi łoskot mieczów i bojowych młotów—
Stara harfo litewska, harfo wajdelotów!

Struny zardzewiałemi od grobowéj pleśni
Odezwiéj się z pod ziemi, daj hart mojéj pieśni.
Przyuczeni od wieków słuchać głos twój święcie,
Wstaną ojce na wnuka lirnicze zaklęcie.
Synowie młodszych czasów, rówiennicy moi!
Przyjdźcie do nas posłuchać, jak się harfa stroi,
A otoczcie lirnika serdecznie a pięknie,
A wybaczcie, gdy czasem zbyt słabo zabrzęknie,
A przyjmijcie z łaskawym uśmiechem na twarzy,
Gdy wam powieść o wiekach dawniejszych wygwarzy.

II.

Olgierd władał na Litwie, a Kiejstut na Żmudzi.
Litwa słynęła strachem i cześcią u ludzi;
Od Euksynu po ziemię krzyżackich rycerzy,
Od Karpat po Ładogę swe podboje szerzy;
Rozlewa się po ruskiéj i po lackiéj ziemi,
I utrwala swą władzę księztwy udzielnemi.
Na stolicach, gdzie dojrzeć nie może z oddali,
Książę mieści swych braci i swoich wassali;
Imieniem hołdownictwa powierza w ich ręce
I miecz sprawiedliwości, i prawo książęce.—
Prawo żyć i umierać dla dobra narodu.
O dwa dni pieszéj drogi od trockiego grodu,
W lesie nad krętym Niemnem, od krzyżackiéj ściany,
Wznosił się zamek Pullen, stary a drewniany.
Gdy Kiejstut posiadanie téj strony odbiera,
Swoje prawa książęce przelał na Margiera.
Więc jako hołdowniczy książęcéj korony,
I mieczem uzbrojony, i prawem wzmocniony,
Margier na zamku Pullen wpośród leśnéj dziczy
Nad Litwą od niemeńskich czuwał pograniczy.

III.

Na niwach nadniemeńskich bujne rosły żyta,
Zieleniła się łąka kwiatami pokryta;
Lecz przyszli Niemcy z krzyżem w nieszczęśliwéj chwili,
Łąki spaśli, a zboża spalili, stłoczyli;
A ich bardysz stalowy, a ich miecz szeroki
Nażarł się ciał litewskich, napił się posoki.
Wyzwano ich na rękę—krwawy bój się sroży,
Litwa chrobrze walczyła cały dzionek boży,
I kamiennemi młoty uderzając szczerze,
Rozbijała niemieckie piersi i puklerze.
Nie przebić głową skały—cofnęły się wrogi,
Wziąwszy łup, zostawiwszy trupy i pożogi.
Z dymów palonych wiosek, jak się widzieć może,
Krzyżacy szlak swéj drogi wzięli na Pomorze.

IV.

A tu na bojowisku, pod Pullen wałami,
Zrozpaczeni Litwini zostali się sami;
Załamane ich ręce, żałosna postawa,
A ze źrenic sokolich łza sączy się krwawa.
Czy wracać do swych wiosek? och! niema już po co...
Bo te łuny pożarne, co z dala migocą,
Ten dym, co po nad Niemnem, nad lasem się ściele,
To goniec od ich rodzin: że nieprzyjaciele
Wszystko, czém dusza żyje, co kocha najczuléj,
Srodze zamordowali lub więzami skuli
I powiedli w Niemczyznę.

Serce się rozrywa!
Po żalu przyszła rozpacz zajadła i mściwa;
Litwa wydała okrzyk i hurmem się ciska
Rąbać trupy niemieckie wśród pobojowiska,
I z ciał pokaleczonych, odartych do naga,
Ułożyć stos ofiarny, co bogów przebłaga.

V.

Straszny był widok pola: na zdeptanéj ścierni
Leżą martwe Litwiny i Niemcy pancerni;
Na jednych lniana odzież i osłony rysie,
Na drugich jasna blacha promieniami lśni się.
Owdzie silne ramiona, zakute żelazem,
Dławiąc wroga, w uścisku zastygły z nim razem;
Na jednéj twarzy boleść, na drugiéj z poblizka
Szatan swój śmiech szyderczy na wieki wyciska;
Na inszéj taka srogość, że zda się widocznie
Bój, przerwany za życia, po śmierci rozpocznie.
A wszystko krwią zbryzgane, a przy każdéj twarzy,
Zaglądając w źrenice, już kruk gospodarzy,
Szary wilk nadniemeński z za jodeł się skrada,
Tam się brytan z brytanem o zdobycz ujada,
A tam z piersi, rozbitéj ciosami bardyszy,
Jeszcze się jęk boleści lub zgonu posłyszy,
Albo ostatkiem siły przyczajonéj w łonie
Ktoś modlitwę wyszepce, ktoś przeklęctwem zionie.

VI.

Litwin, zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,

Odrywa miecz od boku, szarpie hełm bogaty
I płaszcze z krzyżem Pańskim rozdziera na szmaty;
Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
Zapuszcza w trupią brodę, we włos utrefiony,
I targa, i znieważa ostatki człowieka;
Gdzie słyszy bicie serca, pierś na pół rozsieka.

VII.

Pod jedlinowym cieniem przyczajony z cicha,
Krzyżak, młode pacholę, pełną piersią dycha;
Cios litewskiego młota, co mu zmysły głuszy,
Nie zdołał młodocianéj wykołatać duszy.
Młodzieniec czasem stęknie, zawróci oczyma,
Prawicą nieprzytomnie głownię miecza ima,
Woła o kroplę wody... choć w niemieckiéj mowie,
Lecz dźwięcznym jego głosem wzruszeni wrogowie
Stanęli jakby wryci, choć pogańcza zgraja.
Och, bo serce litewskie łacno się rozzbraja!
I litewski oprawca najdzikszéj postaci
Spojrzał niepewnym wzrokiem do koła współbraci,
I była jedna chwila w tém sercu ze skały,
Miłosierdzie i zemsta że się zawahały.
Lecz się wnet opamiętał i uśmiechnął zdradnie:
„Na Perkuna! to Niemiec—niech marnie przepadnie!"
I już podnosił topór, co piersi rozłamie,
Gdy mu silna prawica pochwyciła ramię.

VIII.

Oprawca wstecz się cofnął i obejrzał skoro,
Spuścił topór i oczy ku ziemi z pokorą:

Przed nim stał dzielny Margier. Odgadniesz mu z twarzy
Bohaterską latorośl litewskich mocarzy.
Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa czci bogi,
Grom w prawicy Perkuna straszny i złowrogi;
Lecz silniejsze od dębu ramiona Margiera,
Straszniejsza od piorunu bojowa siekiera,
Gdy błyśnie w jego ręku. Z wileńskich ołtarzy
Znicz podsycon oliwą ogniście się żarzy;
Lecz ogniściéj wybucha i goręcéj płonie
Serce wodza miłością ku rodzinnéj stronie.
On tu nad zamkiem Pullen jako książę włada,
Pana i bohatera wielbi w nim gromada:
Bo też kołpak soboli na książęcéj głowie
I hełm z pierzastą kitą, co noszą wodzowie,
Co je Margier wysłużył rycerskiemi dzieły,
Nigdy na dostojniejszém czole nie spoczęły.
Piękne niebo, gdy jutrznia ozłoci je młoda,
Ale w duszy książęcéj piękniejsza pogoda.
Jedna tylko—dla Niemców nienawiść w nim żyje,
Ale to taka straszna, jakby wszystkie żmije,
Jakby wszystkie potwory i piekielne siły
W ogniste jego serce swój jad wysączyły.
Dziś, widząc krwią zbryzgane nadniemnowe pole,
Cierpiał za całą Litwę wszystkiemi jéj bole,
Jak gdyby w jedno serce, ile tylko zmieści,
Wszystkie miecze krzyżackie wbił po rękojeści;
Cierpiał za bogów Litwy, za ujmę ich chwały,
Nie dziw, że mściwe żądze w jego piersiach grały.
O! jeżeli w téj chwili nad niemiecką głową
Cofnął rękę siepacza do mordów gotową,
To snadź, młody Krzyżaku, w niedobrym zamiarze:
Gwoli straszliwéj zemście zachować cię każe.

IX.

Zawołał głosem strasznym, aż drgnęli Litwini
(Nie był to ryk zwycięzki tygrysa w pustyni,
Ale raczéj jęk lwice po głębokiéj knieje,
Gdy po dziatwie wydartéj żałośnie boleje):
— „Stój! zabijać bezsilnych to dla nas ohyda!
„Nam na świętszy użytek ten jeniec się przyda:
„Bo na nowiu, za miesiąc od dzisiejszéj chwili,
„Wielki dzień Ziemienika będziem obchodzili.
„Dobry Bóg urodzajów! wielkie jego święto
„Od czasu gdy na Litwie siać niwę poczęto;
„Bo z łaski Ziemienika i pod jego wodzą
„Miód, mleko, i owoce, i kłosy nam rodzą.
„Niegdyś, za naszych ojców, w Litewszczyźnie staréj
„Z miodu, z mleka, z owoców brał swoje ofiary.
„Lecz nam dzisiaj nie starczy na chleby i miody,
„Bo Krzyżak zdeptał pola, wyplenił ogrody,
„Pozarzynał dobytek i miód wydarł z barci —
„Cóż my bogu przyniesiem, z ostatka odarci?
„Lecz bóg nie gardzi sercem ni darem ochoczym:
„Mamy tu krew krzyżacką — a więc krwi utoczym,
„I ołtarz zawieszony tajemną zasłoną,
„Zamiast czerwonych kwieci, zlejem krwią czerwoną.
„Ziemienik, przebłagany w ofiarnym puharze,
„Może niwom obficiéj rozrodzić się każe,
„I w chlebie pożywanym bez łez i goryczy,
„Nowa siła do piersi wstąpi bojowniczéj...
„Weźcie żywego jeńca! okuć go należy;
„Niech czeka dnia ofiary na zamkowéj wieży!“

Tak mówił srogo Margier — a głos jego mowy
Najprzód grzmiący piorunem, a potém grobowy,
Osłabnął, kiedy książę rozkazy wydawa,
A usta były drżące, a powieka łzawa.

X.

Tedy litewscy męże rzucili się żwawie
I podjęli młodzieńca, co leżał na trawie;
A Margier zapalczywie do boku mu sięga,
Oderwał miecz, aż stalna zabrzękła popręga,
I odpiął mu z pod szyje płaszcz rycerski biały,
Krzyż wyszyty na płaszczu poszarpał w kawały
I podeptał.
Na groźne skinienie książęce,
Dwaj Litwini Krzyżaka ujęli za ręce.
A młodzian ledwo oddech wydobywa z łona,
Bezwładna jego głowa zwisła na ramiona;
A kiedy mu odarty i hełm i kolczuga,
Po jasnych jego włosach krwi pociekła struga,
Ale jéj żadna ręka nie otarła z czoła.
Nienawistne przeklęctwa zawrzały do koła:
— „Ho! pieszczone pacholę nie zwykło do zbroi!
„Miękka czaszka niemiecka, kto wie, czy się zgoi?
„Kto wie czyli dożyje o chlebie i wodzie,
„Aż nim nóż ofiarniczy serce mu przebodzie?!“
Tak, niosąc do warowni rannego młodzieńca,
Litwa się jeszcze nad nim urąga i znęca.
—„Daj pokój!—mówił drugi—choć to młode szczenię,
„Czart niemiecki umacnia swoje pokolenie;

„Choć spłynął krwią nieczystą, choć zawraca oczy,
„Trzymaj krzepko pohańca, bo wnet ci wyskoczy.
„Jeżeli go bezpieczno masz trzymać w jassyrze,
„To mu z szyje oberwij te blaszki i krzyże,
„Któremi pierś obwiesił, bo tam czart się chowa!“
I ręka świętokradzka już była gotowa
Znieważyć mały krzyżyk na niemieckiém łonie,
Co go Papież z odpustem święcił w Awinionie;
Lecz orli wzrok Margiera zabłysnął tak srogo,
Że Litwin aż pobladnął i cofnął się z trwogą.
— „Wara!—zawołał książę na zgraję swawolną:—
„Nad wrogiem rozzbrojonym pastwić się niewolno!“

XI.

Otwarto wrota zamku—więźnia w głąb ponieśli.
Twierdza prosta, drewniana; tylko topór cieśli
Po nad Niemnem, na górze, na ubitéj ziemi,
Piętrzył dębowe kłody jedne nad drugiemi
Wysoko aż pod chmury, a przy ścianach w okół
Pozabijał warowny sosnowy ostrokół;
Tylko rydel kopacza w krąg całéj budowy
Ponajeżał wałami wąwóz nadniemnowy,
I ryjąc w głębi ziemi w tajemnym zamiarze,
Powydrążał pieczary, sklepił kurytarze,
Co ciągną się do lasów, do wiosek nad wodą;
Bóg tylko wie i Margier, gdzie te lochy wiodą,
Jak gdyby nory lisie, lub kryjówki węże,
Których brytan nie zwietrzy, a człek nie dosięże.
Och! by walczyć na zabój z niemieckiemi syny,
Trzeba mieć chytrość lisią i żądło gadziny,

Niedowierzać sojuszom, być zdradnym jak oni,
I we śnie nie upuszczać toporu ze dłoni.
Perkunie! groźny boże Litewszczyzny staréj,
Któremu krew i ogień najmilsze ofiary!
Czemu twoi czciciele tak miękcy, tak prości?
Czemu wiecznie twa srogość w ich piersiach nie gości?
Dzisiaj—rzeź, krwawa uczta dla mieczów i młotów,
A jutro Litwin sercem podzielić się gotów,
I przy czarce ałusu ściska swe siepacze,
I nad własną srogością najpierwszy zapłacze.
Przecz Margier, co Krzyżowców w nienawiści chowa
I cały kipi groźbą jak chmura gromowa,
Za chwilę łagodniejszym przemawia wyrazem,
Rozzbroił czoło z hełmu i z gniewu zarazem,
I westchnieniem ochłodził pałające łono,
I poszedł do wieżycy, gdzie więźnia złożono?

XII.

A po ciemnéj wieżycy jęk przebiega głuchy.
Leży młodzian krzyżacki, zakuty w łańcuchy;
Krew mu leje się z czoła, mimo szmatę zdartą,
Broczy kamień, na którym głowę mu oparto;
On miota się, jak gdyby chciał odpędzić ręką
Promyk słońca, co na twarz pada przez okienko.
Margier stał nad młodzieńcem, oparty o ścianę,
Wlepił w jego oblicze oko zadumane:
—„Ty cierpisz... żal mi ciebie, niewierny Krzyżacze!
„Żal twéj matki, co może gdzieś po tobie płacze,
„Żal młodości; lecz bogi sprawiedliwe, widzę:
„A małoż w waszych twierdzach, w Malborgu i Rydze
„Jęczy litewskiéj młodzi w łańcuchach niewoli?
„A i tutaj są matki, i tych serce boli!

„Tam umierają z wolna od swoich dalecy,
„Dźwigając głaz i cegłę na mury fortecy;
„Tobie przynajmniéj tutaj prędki zgon się zdarza,
„Legniesz, jak młody kłosek pod sierpem żniwiarza.
„Ty cierpisz... żal mi ciebie, o! żal w saméj rzeczy!
„Lecz odegrzeć gadzinę przy piersi człowieczéj,
„To, jak tylko odzyska siłę utraconą,
„Kolnie najpierwszym jadem w dobroczyńcy łono;
„Nie wyrwiesz z niego żądła, chyba strzaskaj głowę.
„Niechaj światu nie szkodzą plemiona wężowe!“
Tak Margier, to się płoniąc, to blednąc jak ściana,
Mówił raczéj do siebie, niźli do młodziana;
Bo był pewien, że Krzyżak, jęczący w boleści,
I nie zna, i nie słyszy słów litewskich treści.
Lecz Niemiec, w nadbaltyckiéj urodzony ziemi,
Od dziecka igrał piaskiem z chłopięty pruskiemi,
Nauczył się i dobrze ich mowę pamięta,
Do litewskiéj podobną, jak dzieci bliźnięta;
Więc zajęknął w téj mowie: — „Zwycięzco Litwinie!
„Krew za nadto waleczna w twoich piersiach płynie,
„Abyś nie czuł, zarówno jak siepacze prości,
„Ile wróg pokonany ma praw do litości.
„Mówisz, żeśmy Krzyżacy podobni wężowi,
„Do piersi dobroczyńcy rzucić się gotowi;
„Nie bluźnij nawet gadom—wszak w litewskiéj chacie
„Widziałem, jako węże święcone chowacie.
„Czyliż żmij, gdy go ludzka uprzejmość rozzbroi,
„Ukąsił kiedy rękę, co go mlekiem poi?
„A jam człowiek...jam rycerz!.. miałbym działać zdrad-
[nie!
„Nie wiesz, jaką powinność ten krzyż na nas kładnie!

„Nie myślę ci wdzięczności zaprzysięgać podle,
„Lub czołgać się w nadziei, że życie wymodlę;
„Gdybyś jednak rycersko oszczędził mi zdrowie,
„Litwinie! chrześcianin godnie ci odpowie!“

XIII.

Margier nie dzisiaj walczy z drużyną krzyżaczą,
I syszał jéj przysięgi, i wie co te znaczą;
Uśmiechnął się... podumał... i uwierzył z wolna,
Czy szczerocie młodzieńczéj, co kłamać niezdolna,
Albo słowa litewskie cud zdziałały na nim,
Które w uściech niemieckich brzmiały pojednaniem:
Bo w słowach macierzystych jest urok nielada,
Wróg zawsze nas rozzbroi, gdy niemi zagada,
Zawsze zdoła przygasić niechętne żarzewie —
Och, i dobrze, że o tém czarodziejstwie nie wie!
Tak wódz podumał w duchu i skinął na straże,
I krwawe rany więźnia opatrywać każe,
I z baszty murowanéj ciemnego sklepiska
Przenieść w insze komnaty, kędy słońce błyska.
Więc wzięli go na barki silni wojownicy
I zanieśli do długiéj wesołéj świetlicy.
Tam w środku stół, z kamiennéj wyciosany płyty,
Na nim ałus rozlany i miód niedopity;
Znać, że chrobra drużyna Litwy bohatera
Tutaj się na obrady i na uczty zbiera.
Na ścianach wbite rogi od żubrów i łosi,
Porozwieszany oręż o zwycięztwach głosi:
Tam przyłbice odarte z połowieckich twarzy,
Orle skrzydła ze zbroje sarmackich hussarzy,

I różnych barw turbany — głów tatarskich plony,
I z cerkwi Nowogrodu złociste ikony.
Obaczył tutaj Krzyżak, pomiędzy innemi,
Sławne herby Malborga i Chełmińskiéj ziemi:
Orła na białém polu z koroną na szyi;
Obaczył swe proporce z imieniem Maryi,
Obaczył bratnie płaszcze—a myśl jego świeża
Na piaszczyste Baltyku niosła się wybrzeża.
Przypomniał fale morskie, co bawiły oko,
I domek rodzicielski nad morską zatoką,
I komandorstwa mury z niebielonéj cegły,
I jeszcze coś przypomniał, bo mu łzy pobiegły.

XIV.

Bo duch ludzi rycerskich kształci się za młodu:
Krzyżak już kochał dziewczę swojego narodu,
Zmienne koleje uczuć już grały w młodzianie,
I szczęście, i cierpienie, i odczarowanie;
To uwielbiał, to szydził, to znów gonił mary,
Czuł miłość jak młodzieniec, rozumiał jak stary.
Mógłby już opowiadać swego serca dzieje,
Bo zakuta pancerzem pierś prędko mężnieje,
Bo w obozie Krzyżowców wkrada się z nienacka
I szlachetność rycerska, i gminność żołdacka.
Od dziecinnéj kolebki, z matczynego łona
Wysysał chrześciańskich wielkich cnot nasiona;
Siwy ojciec bywało na konia go bierze,
I uczy robić włócznią, i mówić pacierze,
I powieścią turniejów zabawia chłopaka,
Gdzie najpiękniejsza z dziewic, jakby święta jaka,

Z wysokiego krużganku pogląda ku ziemi
I rozdziela nagrody między walczącemi.
Cóż za dziw, że powieśćmi rozmarzone dziecię
Uczyło się po Bogu dawać cześć kobiecie?
Że nim w piersiach zagrała namiętności burza,
Wierzył w ziemskie anioły, jak w anioła stróża?
Że marzył o dziewicach promiennie i świetnie?
A kiedy serce młode, osiemnastoletnie,
Zadrgało lubym dreszczem, co się z wolna wkrada,
I zapukało silnie ku córce sąsiada —
O! wtedy błogich myśli tak wiele... tak wiele!
A w duszy taka świętość, jak w Pańskim kościele,
A dumki takie piękne, tak czyste, jak złoto!
Czy był wzajem kochany?—ani pytał o to!
Choć lubego współczucia mógł dopatrzyć trocha,
Lękał się jéj znieważyć—nie mówił, że kocha;
Tylko czuje pacholę, że mu coś uroczéj,
Gdy patrzy w święte niebo lub jéj piękne oczy.
Ale niewinność serca, to jak pył na kwiecie:
Pierwsza burza żywota oberwie i zmiecie.
Ledwie włócznię udźwiga, ledwie pancerz spina,
Poszła na dwór krzyżacki niewinna dziecina;
Tam, starszyzna i młodzież, wśród hucznéj swawoli,
Z najdroższéj jego wiary odarli powoli;
Tam gdy ucho ciekawe bluźnierstwom otworzy,
Zawahał się w swéj wierze i miłości bożéj;
Zakosztował z puharu—przed rumieńcem z wina
Rumieniec wstydliwości już pierzchać poczyna,
A otwartych zalotów raz zostawszy świadkiem,
Wstydził się świętych westchnień, co ronił ukradkiem;
Wpośród wesołych wdziękiń na dworze i w mieście,
Zapomniał czci rycerskiéj, co winien niewieście.

Śladem idąc, gdzie droga skażenia ubita,
Sam kłamliwie przysięga, o prawdę nie pyta,
A za godło rycerskie przybrawszy motyla,
Nowemi uczuciami bawi się co chwila.
Miłość, wiarę, nadzieję, wszystko brał za baśnie;
Choć przypłaci niewiarę, choć serce zadraśnie,
Udawał sam przed sobą, że nie boli rana,
Zdobywał się na uśmiech z przesadą młodziana.
I przyszły namiętności—ugięty ich probą,
Młodzian począł morderczą walkę z samym sobą.
Bo dusza, gdy się bożych napije promieni,
Szatan zbawienne ziarno niełacno wypleni.
Jedno święte westchnienie kiedy piersmi ściśnie,
Jedna łza uroczysta gdy z oczu wytryśnie,
Już dusza odrodzona, ognista i młoda,
Na długo się, na długo zwątpieniu nie poda;
Jeszcze nieraz w zapasach grot piersi rozłamie,
Lecz do ciosów odbicia hartowniejsze ramię.

XV.

W takiéj-to walki ducha uroczystéj chwili
Krzyżowcy na Litwinów wojnę ogłosili,
I pod murami Pullen pobici na głowę,
I młodzieniec się dostał w więzy Margierowe,
I zaniesion w komnatę, gdzie łupy i zbroje,
Kędy obaczył płaszcze i chorągwie swoje,
Kędy stare proporce i podarte krzyże
Uniosły na brzeg morski jego myśli chyże,
I przypomniały sercu swobodę dziecinną,
I chatę rodzicielską, i miłość niewinną,

I duch jego uniosła tajemnicza władza,
I zapłakał łzą świętą, co duszę odmładza.

XVI.

Dziwna jest koléj czasów, gdy nas serce boli:
Bo lata płyną prędko, ale dni powoli;
Miesiąc przemknie nad głową, jak chmurka niestała,
A godzina, a chwila, to jak wieczność cała;
A gdy dusza znękana orzeźwić się życzy
I wspomnieć całą koléj przebytych goryczy,
To całe ciężkie lata, całe dni boleści,
W jedném tylko wrażeniu, w jednéj chwilce zmieści.
Takie życie wiódł Krzyżak w niewoli Litwina;
Przebolał cały miesiąc—i już zapomina,
I cierpienia, i myśli przeminęły marnie;
Ale dzień do przebycia—to cięższe męczarnie.
On, niecierpliwą dłonią zasłoniwszy oczy,
Przeklina słońce boże, że leniwo kroczy;
Na swém łożu boleści targa się i zrywa,
Zabija go bezsenność i drzemka leniwa.
Przebiegł myślą swéj całéj przeszłości obrazy
Po drugie i po trzecie—może ze sto razy;
Przedumała już wszystko rozmarzona głowa,
Co się w serca tajnikach najzakrytszych chowa,
I już go unużyła, jak najcięższa praca,
Myśl, która bez przestanku kołem się obraca.
Bo dla młodego serca, to jeszcze za wcześnie
Przeszłemi wspomnieniami napawać się we śnie;
Przed tym, kto drogę życia ledwie rozpoczyna,
Jest kraina przyszłości, nadziei kraina,

Jak ziemia obiecana piękna i bogata;
Choćbyś marzył dni całe, marzył całe lata,
Jeszcze trafisz co chwila na ścieżkę nieznaną,
Nie zbierzesz wszystkich kwieci, co tam rozsypano,
Nie zliczysz wszystkich skarbów, które tam ukryto.
Ale Krzyżak, w niewoli i z piersią rozbitą,
Wie dobrze, że się jego przysłość nie promieni,
Bo śmierć nad jego głową, jak miecz na włosieni,
Zawiesił srogi Margier: przez nienawiść starą,
Krzyżak bogów litewskich ma zostać ofiarą;
Każdy dzień, każda chwila powołać go może
Przed ołtarz ofiarniczny, pod kapłańskie noże.
Krzyżak był obdarzony bohaterską duszą:
Nie zadrżałby przed śmiercią, kędy włócznie kruszą,
Ległby mężnie od miecza lub od samopału;
Ale umierać codzień, umierać pomału,
I liczyć ziarnka piasku w żywota klepsydrze,
To piersi obezsili i odwagę wydrze.
Gdy wszedłszy na wieżycę, nad zamkowe wrota,
Uderzy w róg bawoli stary wajdelota,
By dać hasło po Litwie rankiem lub z wieczora,
Że jutrznia na niebiosach, że modlić się pora,
Lub gdy stara wróżbiarka w zamkowéj podziemi
Rozpocznie swój rozhowor z bogi piekielnemi,
I śpiewa drżącym głosem, i krzyczy, i płacze,
I echo jéj przywtórzy, i jękną puhacze, —
Krzyżak zrywa się z łoża i oddech przyczaja,
I mniema, że litewskich ofiarników zgraja
Pozapalała stosy, wyostrzyła miecze,
I schwyci go za chwilę, i na śmierć powlecze.
Ale wszystko umilka... i młodzian zadrzemie.
I znów niesfornym wrzaskiem zajękło podziemie,

I znów go przerażenie ogarnia i mami,
I męztwo z jego piersi wysysa kroplami.
Gdy fatalna godzina przed jeńcem ukryta,
Sto razy żegna życie, sto razy je wita.

XVII.

A rany jego ciała już się pogoiły:
Litwin, siwy jak gołąb, zgrzybiały, pochyły,
Z cudownemi balsamy, i we dnie, i w nocy,
Czuwał z woli Margiera w młodziana niemocy.
Imię starca jest Lutas (lew w litewskiéj mowie),
Bo siłę i odwagę dali mu bogowie;
Z jego piersi głos silny gromem się odzywa,
A długi włos i broda, jak gdyby lwia grzywa,
Spadały mu poważnie na piersi i plecy.
I poblizcy Lachowie, i Niemcy dalecy,
I Ruś, i Tatarszczyzna i dziś jeszcze pomną
To oblicze wspaniałe, tę postać ogromną,
I siłę jego ramion, i potęgę młota,
Gdy się w boju nasroży i karki gruchota;
Wiedzieli jego głosu potęgę złowrogą,
Która serca umacnia lub napełnia trwogą,
Która swoich zapala do bitwy junaczéj,
A na wrogi uderza zwątpieniem rozpaczy.
Mnogie lata przebiegły, przyszła wieku zima,
Zgarbiły się potężne ramiona olbrzyma,
A długa czarna broda i włos jego głowy
Pobielały jak mleko, jakby śnieg grudniowy;
A głos, co ryczał w boju, jak piorun wśród burzy,
Dziś tylko do piosenek bohaterskich służy:

Bo starcom dano przenieść w pieśni i powieści
Chwałę starych praojców do potomnéj cześci,
Aby nie zaginęło w najpóźniejszéj chwili,
Co widzieli, słyszeli i czém sami byli.
Jako świętych kapłanów, co pilnują Znicza,
Tak i starców na Litwie władza tajamnicza:
Bo jedni na ołtarzu ogniska bożego,
Drudzy ognia, co w sercach, pilnują i strzegą...

XVIII.

Dzięki lekom, krzyżacka zasklepia się rana;
Tylko srodze pobledniał, bo krew u młodziana
Nadto hojnie płynęła i z piersi, i z głowy,
A myśli rozpaczliwe, niepokój grobowy,
Nadto go obezsila, nadto serce bodzie,
Aby więzień orzeźwiał, jako na swobodzie.
Przygodą zaniesione czasem krasne róże
Zakwitną w ciemnym lochu na wilgotnym murze;
Lecz żal się Boże kraski — tak wątła, tak blada,
Jeszcze kwiat nie przekwitnął, a już liść opada;
Wije się ziemny robak około jéj łona,
A na bladéj purpurze siada pleśń zielona;
Tak młodociany jeniec więdnieje i ginie.
Lutas odgadł cierpienie, i w starym Litwinie
Ozwało się uczucie, co wstręt przezwycięża,
Choć rodu niemieckiego niecierpiał, jak węża.
Bywało ledwie raczy spojrzeć nienawistnie,
Albo żwawo ofuknie, lub przeklęctwem ciśnie
Czy mu ranę namaści, czy uwarzy ziela,
Znaczno, że leczy boleść, lecz jéj nie podziela.

Szydził z jęków: bo długim zahartowan bojem,
Tyle ran widział w ciele i cudzém i swojém,
Tyle broczył się we krwi przez całe swe życie,
Że go ciała boleścią niełacno zmiękczycie.
Lecz postrzegłszy po jeńcu, że go dusza boli,
Srogie serce Lutasa rozmiękło powoli,
I mordercze spojrzenie złagodził widocznie,
I łagodniejszym głosem pomrukiwać pocznie.
Spytał go o nazwisko — i wspomnienia zbiera,
Że znał dawnemi laty Ransdorfa Warnera,
Co mu bliznę brzeszczotem wypisał na twarzy.
(Był to ojciec Krzyżaka, wódz toruńskiéj straży).
Potém słówko po słówku — tylko patrz na dziada:
Kiedy oko roziskrzy, kiedy się rozgada,
To się tak wspomnieniami rozigra, rozświetni,
Jakby z pleców garb zrzucił sześćdziesięcioletni.
Zda mu się, że odmłodniał, że wskrzesnął na sile,
Że wiedzie rówienniki, co już śpią w mogile,
Że mu hełmem bojowym najeża się głowa,
Że rozbija toporem wieżyce Kijowa!
Kiedy się rozpromieni, gdy rozżarzy ducha,
Czasem Margier przychodzi i powieści słucha,
Milczący, zadumany, słowa nie uroni,
Tylko mu krew rycerska uderza do skroni,
Tylko z pod chmurnych rzęsów, na czarnéj źrenicy
Błyśnie mu jakiś ogień nakształt błyskawicy,
I oczy ku téj stronie obróci z nienacka,
Kędy morze Baltyckie, gdzie ziemia krzyżacka,
I ściska gniewnie pięści, jakby pocisk mierzy,
Którym złamie potęgę niemieckich rycerzy.

XIX.

Lecz nad młodym Ransdorfem nie pastwi się zgoła,
Ani go na ofiarę przed ołtarz nie woła,
Nie wkłada mu łańcuchów, nie nagli do pracy,
Lubo w boju na Litwie pojmani Krzyżacy
Kopią lochy podziemne w robocie zadanéj,
Albo znoszą kamienie i murują ściany,
Lub skuci kajdanami, w pocie i mozole,
Ciosają twarde kłody, albo orzą pole.
Krzyżak od prac swobodny — czy srodzy wrogowie
Szanują jego młodość, czy jego niezdrowie?
Czy może niezachwiana wola Margierowa
Oszczędza niewolnika, bo na męki chowa?
Któż zgadnie? — ale cała litewska starszyna
Przyjmuje Krucygiera, jak brata, jak syna,
Jak gościa, co z daleka przybywa w te kraje.
Stary Lutas mu śpiewa i powieści baje;
A nawet srogi Margier przy książęcym stole
Wskazał miskę i łyżkę, gdzie jada pacholę,
I z Niemcem, jakby z dzieckiem swego pokolenia,
Podziela chleb swój żytni i ałus z jęczmienia,
I nigdy przy nim klątwy na Niemców nie miota;
Pozwala mu wychodzić po za twierdzy wrota,
Gdzie po całych wieczorach w zamglonéj oddali
Młodzian patrzy k'Niemnowi, i po jego fali,
I po wietrze wilgotnym, co nad rzeką płynie,
Posyła swoje dumki dalekiéj rodzinie,
Pozdrowienie rycerstwu i pokłon mistrzowi,
I pyta się u wiatru: czy żywi? czy zdrowi?

XX.

Choć marzy o rodzinie i śni pruskie miasta,
Rzecz dziwna, że do Litwy serce mu przyrasta.
On polubił Lutasa pieśni wojownicze,
Lubi patrzeć w rycerskie Margiera oblicze,
Polubił Niemna brzegi i zielone błonie,
Pobratał się z chmurami, co błądzą w téj stronie,
I z powietrzem litewskiém—i czuł w saméj rzeczy,
Że zimny wiatr niemnowy piersi mu uleczy.
Och! to nie wiatru cuda, nie chmur, ani błoni,
Nie piosnek, które stary burtynikas dzwoni,
Nie powietrzem litewskiém, ni chlebem, ni wodą,
Lecz inszém czarodziejstwem jego duszę młodą
Przykowano do Litwy, przykowano zdradnie:
Egle, córka książęca, swój urok nań kładnie.
Widział ją u kądzieli, przez okno z za kraty,
Potém widział na łące, jak zbierała kwiaty;
Uczuł w sercu niepokój, w snach odmianę błogą,
Dziwił się, że poganki tak piękne być mogą,
Że z ich oczu Kupido swe postrzały miota,
Że tyle ma powabu ich leśna prostota.
Bo co insza dziewica lub niewiasta pruska,
Gdy się w strój pozłocisty na ucztę wymuska,
I strzelistém spojrzeniem uderzając śmiele,
Liczne u drobnych stopek hołdowniki ściele;
Nietaka dziewa Litwy — pokorna, nieśmiała,
Strojna tylko rumieńcem, co w jéj licach pała,
Ozdobna jasnym włosem we dwoiste sploty,
Nie postał na niéj atłas lub strój szczerozłoty;

Śnieżysta biała szata jéj kibić obwija,
Sznurem krasnych korali uwdzięcza się szyja,
A na głowie stalowych ogniwek przewłoka
Nie zdoła zgasić blasku błękitnego oka.
Ej! niedarmo na Litwie piosenka rzewliwa
I jagódką, i kwiatkiem dziewczynę nazywa:
Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode,
Piękniejsze niźli kwiaty, słodsze nad jagodę.

XXI.

Po nad Niemnem, na błoni, szeroka a długa
Ciągnęła się zarośli niedostępnych smuga;
Tam nad gęstemi krzewy rozciągał konary
Dąb przedwieczny, jak gdyby patryarcha stary,
Co błogosławiąc dziatwie w ich życia jutrzence,
Nad młodemi głowami rozpościera ręce.
A czoło dębu suche, nieubrane w liście,
Bo go piorun przed laty roztrzaskał ogniście
I popisał mu czoło pręgi szerokiemi;
A wróżbiarka, co mieszka w zamkowéj podziemi,
Wyrzekła uroczyście, że to znak nielada,
Że sam Perkun wśród dębu mieszkanie zakłada.
Odtąd gaj nadniemnowy był świętym dla Litwy,
Miłym uchronem bogów i miejscem modlitwy;
Na gałęziach i w szczerbach, które piorun czyni,
Ustawiono bożyszcza, jakby we świątyni.
Co rano i co wieczór, w téj gęstéj zaciszy,
I Potrymbos, i Milda, co miłością dyszy,
I Ziemienik, co plonem błogosławi jesień,
Odbierali swe hołdy z modlitew i piesień.

A święcone u Litwy jaszczurki i węże,
Czując, że tu żarłoczny bocian nie dosięże,
Zwijają się po trawie secinami kroci,
Pośród wonnych przylaszczek i bujnych paproci,
Kopią nory wśród liści i suchych badyli.
A pobożni Litwini od chwili do chwili
Przychodzą tu się modlić — jak pora nadarzy,
Ofiarnicy, dziewczęta lub mężowie starzy, —
I dąbrowa, w południe samotna, milcząca,
Kipi gwarem o wschodzie i zachodzie słońca,
Aż się echo kołysze w lesie i nad wodą,
To cichym starców szmerem, to piosenką młodą.

XXII.

Tam dziewica książęca, kwiatami przybrana,
Szła na czele rówieśnic modlić się co rana.
Głos ich dźwięcznéj piosenki rozpływa się z rosą,
A dziewy konwie mleka albo kwiaty niosą,
Kwiatami opasują dąb święty, pochyły,
A mlekiem poją węże, co tak się zuczyły,
Że byle na rozdrożu zapiał głos dziewiczy,
To z pod każdéj jagódki, z każdéj trawy syczy
Tysiące głodnych żądeł—i nieraz gadzina
Czołga się aż do ręki, aż do szyi wspina,
I pieści się u łona niewinnéj dziewoi,
I czeka aż przemówi a mlekiem napoi.
Raz Krzyżak zaczajony wśród krzaków i ziela,
Widział Eglę gadzinom jak pokarm rozdziela,
I mówił sam do siebie: — „O, ślepi Litwini!
„Tutaj nie wąż jest bogiem — tu ona bogini;

„Jedno skinienie oczu — och, skinienie święte! —
„Działa na podłym płazie cuda niepojęte.
„Piękno! to wielkie słowo! potęga nielada!
„Bo najbrzydsze potwory u stop swoich składa.
„Bóg jest Pięknem i cuda swoje złożył w Pięknie,
„Przed niém wdzięczy się niebo, a ludzkość uklęknie,
„A piekło na twarz pada i w prochu się wala!“
Tak rycerz turniejowy, patrząjąc z oddala,
Hołdował dziecku Litwy, niewinnemu dziecku.
Raz ją spotkał, raz w oczy spojrzał po zdradziecku,
Ale córka Margiera, jakby ostrym grotem,
Skarciła go spojrzeniem, ani wiedząc o tém;
Ani się domyślała jéj dusza dziecięca,
Że skażone pacholę na nowo poświęca,
Że to jedno spojrzenie, jakby chrzest uczucia,
Omywa jego duszę ze skazy zepsucia.
Krzyżak czuł się odrodzon... O duszo ty młoda!
Miękkość twoja każdemu wrażeniu się poda;
Czemuż pieczęć na tobie kładą na przemiany
Dziś Pańscy aniołowie, a jutro szatany?

XXIII.

Egle często Ransdorfa spotyka na błoni;
Czy polubiła Niemca?--„O, niech Perkun broni!
„Wszak to wróg zaprzysięgły litewskiéj swobody;
„Szkoda tylko, że cierpi... taki jeszcze młody!
„A tutaj go tęsknota zgnębi do ostatka.
„U niego pewnie siostry, u niego jest matka,
„On od swojego boga musi żyć w oddali.
„A czy dobrze... naprzykład... gdyby nas skazali

„Żyć kędyś w Niemieczyźnie, na krzyżackiéj ziemi,
„Nie widzieć nigdy Niemna, nie gadać ze swemi?
„Toby człeka najpewniéj zabiło boleśnie!
„Biedny Krzyżak! on ze snu zrywa się tak wcześnie,
„Chodzi po wałach, cierpi—zwyczajnie w niewoli...
„Ja muszę z nim pomówić, spytać, co go boli?
„Może zdejmę choć trochę troski z jego głowy!“
Tak, wracając z modlitwy ze świętéj dąbrowy,
Mówiła sama w sobie litewska dziewoja.
O, córko Margierowa! biedna główka twoja!
Żałujesz, że w niewoli cierpi Krzyżak młody:
Pożałuj twego serca—już nie ma swobody!

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Zamek Pullen uśpiony. Piękna noc na dworze:
Księżyc hula wśród gwiazdek w błękitnym przestwo-
Iskrzy Niemen złocistą miotłą swych promieni, [rze,
Po dolinach rozrzuca długie pasma cieni,
Ozłaca stare baszty i dalekie knieje,
Których cień na błękicie czarno wybitnieje.
W ruchomém jego świetle, jak gdyby na fali,
Pływają nocne widma i duchowie biali,
A z po za każdéj baszty, z za każdego wzgórza
Jak gdyby tajemnicza postać się wynurza;
To tylko mgły z nad Niemna zwisły na krawędzi,
Które wietrzyk po błoni rozbija i pędzi.
Rzewnym oddechem niebios natchnieni ptaszkowie,
Po zarosłych wiszarach, na każdym ostrowie,

Gwarne pieją przyśpiewki i rozhowor wiodą,
Aż się echo serdecznie rozlega nad wodą.
Zamek Pullen uśpiony — tylko straż na wale
Czasem brząknie na trąbce sygnał po sygnale;
Bo choć spokojne czasy, trzymaj się na wodzy,
Któż wie, co teraz myślą najezdnicy srodzy?
Kogut zapiał... to północ... śpi cała gromada.
Zkądże ten blask od ognia, co na bramę pada?
Przedziera się, migoce blask żywy, iskrzaty,
Przez okienko podziemia, z za żelaznéj kraty,
To przygaśnie, to buchnie, to znów się zaciemni;
Znać, że ludzie przy ogniu snują się tajemni,
Zebrali się tak późno, tak cicho, gromadnie...
Litwa czary wyrabia?.. a któż ją tam zgadnie?

II.

O! zaprawdę to jakieś czary czy ofiary!
W głębi zamkowych sklepisk loch ciągnie się stary;
Tam się nigdy przez okno słońce nie promieni;
Zapleśniał od wilgoci stary mur z kamieni;
Krwawy blask od ogniska uderza na ścianę;
Poczerniały od dymu sklepienia ceglane,
Bo tutaj Bóg Litwinów zamieszkał widomie.
Pała we dnie i w nocy niewygasłe płomię,
To Znicz, co się z przed wieków uroczyście chowa,
Co go niegdyś do Wilna unieśli z Romnowa,
I co z małéj iskierki, zapalonéj w Wilnie,
Pielęgnują ognisko troskliwie a pilnie.
Niejeden żubr, zabity w łowieckiéj zdobyczy,
Napoił swoim tłuszczem ten stos ofiarniczy;
Nieraz tutaj niemieckie Hanzeatów posły

Pełne stągwie oliwy dla Znicza przyniosły,
I nieraz plecy jeńca, Lacha lub Germana,
Dźwigały tutaj z lasu jodłowe polana
Na pożarcie Zniczowi. Ale u ołtarza
Wciąż jedna tylko ręka ognisko rozżarza,
Ręka sucha, jak trupia, jakby szkielet z kości,
Opalona od ognia, drżąca ze starości:
Marti, kapłanka Znicza, jakby mech zgrzybiała,
Od sześćdziesięciu wiosen tutaj zamieszkała.
Było to młodę dziewczę, jak róża w rozkwicie,
Tu zakwitło, kraśniało, tu zeschło jéj życie,
Tu dźwięczny głos niewieści przybrał dzikie tony,
Tu blask pięknego oka wygryzł dym święcony,
Tutaj wszystkie uczucia, czém dusza bogata,
Wszystkie dumki i wszystkie namiętności świata,
Wszystko, czém żyje głowa, czém się serce żarzy,
Marti oddała bogom, a do ich ołtarzy
Przyrosła jak kolumna.
I cóż więc za dziwa,
Że dziś natchnienie bogów jéj piersi rozrywa?
Że widzi nawskroś niebo ciemnemi oczyma?
Że Znicz w zgrzybiałém łonie swój ogień rozdyma?
Że słynęła wróżbiarką ofiarnica ciemna
Od wybrzeży Połągi aż do źródeł Niemna?

III.

Lecz żadne bóztwo wiosny, miłości, młodości,
Nie bierze od niéj ofiar, w jéj sercu nie gości;
Tylko Poklus, bóg piekieł, ma hołd u ogniska,
Tylko Perkun straszliwy, co gromami ciska,

Tylko lubi przy Zniczu kłęby dymu ciemne,
Tylko pieści jaszczurki i gady podziemne,
Tylko podziemne bóztwa rada przywoływa;
A każda jéj piosenka złowroga, straszliwa,
Jakby wycie puhacza na wioskowéj strzesie,
Co zwiastuje nieszczęście, albo śmierć przyniesie.

IV.

Dziś wszyscy wajdeloci i wszyscy kapłani
Tylko strachem i cześcią przejmują się dla niéj;
Nawet krywe-krywejte z wileńskiéj świątyni
Przysyła posłanniki i ofiary czyni
Bogom, co w zamku Pullen, pod wróżbiarki strażą:
Bo Poklus, bożek piekieł, z zagniewaną twarzą
Stanął przed nią widomie — a Litwini dzicy
Przynieśli mu ofiarę z krwi synogarlicy,
I przed jego posągiem padając na lice,
Kadzili pruski bursztyn i wschodnią żywicę,
Mniemając, że krew ptasza, albo wonność droga
Przebłaga zagniewanie straszliwego boga.
Lecz Poklus, niedowolen takową ofiarą,
We trzy dni znowu stanął przed wróżbiarką starą;
Na strasznych jego uściech gniew trzęsie się bladszy,
A ognista źrenica jeszcze srożéj patrzy.
Widząc, że tu krwi ludzkiéj wymaga bożyszcze,
Lutas przebił swą rękę, — a ze krwi, co świszcze,
Czynił całopalenie, modlitwę, zaklęcie,
A naród zgromadzony już uwierzył święcie,
Że krew, co z ręki mężnéj wysączona tryska,
Gdy się spali, niebiosa i piekło pozyska.

Buchnął płomień, podsycon rycerską posoką,
Ucieszyła się Litwa; ale Marti oko,
Co zamknięte dla świata zna tajniki piekła,
Nie zajaśniało blaskiem.

V.

Wróżbiarka wyrzekła:
— „Za trzy dni w tém podziemiu zbierzcie się, Litwi-
„Poklus ostatnie jeszcze zjawisko uczyni. [ni;
„Obaczę, czy spokojne, czy wzdyma się łono,
„Czy mu oczy litością, czy gniewem zapłoną,
„Czy już się ze swéj groźby rozzbroiły nieba,
„Czy jeszcze krwawszych ofiar na ołtarz potrzeba.
„Za trzy dni o północy niech się naród zbierze,
„I ty, szlachetne książę, rycerski Margierze,
„Bądź tutaj ze swém dzieckiem—los się nie odmienia:
„Może trzeba krwi twojéj lub twego plemienia,
„Może trzeba łez czyich — więc bądźcie ochoczy.
„Kto może łzy wyleje, albo krew wytoczy,
„Niech pomni, że to bogom staje się zadosyć,
„I że warto dla Litwy ofiarę ponosić."

VI.

Za trzy dni o północy, nakształt bladych cieni,
Zeszli się znów Litwini trwożni, przerażeni,
Bo przed strasznêm zjawiskiem nieziemskiego świata
I w najmężniejszém sercu święty strach kołata.
Każdy żegna się z życiem, bo któż zgadnąć zdoła,
Kogo krwawe bożyszcze przed ołtarz powoła?
Czyje piersi rozpłata święcona siekiera?
Więc się każdy z Litwinów jak na śmierć ubiera;

W lnianych szatach, z orężem od srebra i złota.
Co kto miał, co kto lubił ze swego żywota,
W to się wszystko przystroił. Rzędami stanęli
Mężowie jak do boju, a niewiasty w bieli,
A dziewice zielono z wieńcami na głowie,
Kapłani przyszli z harfą i z lirą starcowie.
Margier w bobrowym szłyku a w żelaznéj zbroi,
Wsparty na dzielnéj włóczni, nieruchomie stoi;
Choć mu tajemnych myśli nie wyczytać z twarzy,
Pewno, że nie o sobie, lecz o Litwie marzy;
Chętnie dostojną głowę pod topór położy,
Byle tylko nad Litwą uśmierzyć gniew boży,
Byle Poklus ujęty, kiedy krwią opłynie,
Wyrwał mordercze żądło krzyżackiéj gadzinie.
Zna, że ze swoją twierdzą i z pierśmi mężnemi
Chroni jak mur od Niemna macierzystéj ziemi,
Czuje dobrze, że tarcza w jego rękach święta,
Pod nią litewskie strzechy, pod nią niemowlęta,
Pola chlebem zasiane i rodzinne bogi
Spoczywają spokojne, wolne od pożogi.
Więc pyta sam u siebie i wyroki bada:
Kto jego tarcz udźwignie? kto mieczem zawłada?
Kto czujniéj będzie pełnił nadniemnowe straże?
A zresztą gotów na śmierć, jeśli Poklus wskaże,
Gotów umrzeć za Litwę lub dać własne dziecię.

VII.

Cóż Egle w obec śmierci? jéj serce kobiecie
Czyż nie zadrga obawą? — O! to wielkie serce!
Zdoła umrzeć, jak słuszna dzielnéj bohaterce,

Nię zhańbi krwi książęcéj nikczemną obawą;
Ależ do niéj i życie, i młodość ma prawo.
Od niejakiego czasu, gdy oczy otworzy,
Tak coś dobrze na sercu, popięknia świat boży!
—„Co to za szczęście młodość! tak się w duszy chwa-
„Jacy dobrzy bogowie, że nam życie dali!“ [li:—
Bo na powaby życia, na uczucia święte
Przejrzało oko duszy aż dotąd zamknięte,
Otworzyło się serce na radość bez końca,
Jako młody pierwiosnek dla pięknego słońca.
I teraz trzeba umrzeć... na ofiarę zową,
Spojrzeć z pięknéj jutrzenki na otchłań grobową!..
Nie dziw, że dreszcz ogarnął bohaterkę śmiałą,
Głowa się zamroczyła, a w oczach ściemniało,
Dreszcz bojaźni po sercu przebiegł mimo chęci:
Zna już wartość dni młodych, które bogom święci,
I głowę przystrojoną w młody wianek z ruty
Zwiesza ku drżącym piersiom, i żalu wyrzuty
Stara się wyższą myślą wyprowadzić z łona,
A na licu jéj bladość, w oczach łza tajona.

VIII.

Już północ. Lud w podziemie zebrał się gromadnie,
Milczy jak w obec śmierci i stos łomów kładnie,
A wróżka je zapala i kropi oliwą.
Krwawe blaski po ścianach odbiły się żywo,
Zaiskrzyły w pancerzach, co noszą mężowie,
Zapłonęły w kolorach na niewieściéj głowie,
Zajaśniały na twarzy siwego brodacza,
I czarny cień rozliczne gromady otacza;

A tu cisza, jak w grobie... Ledwie posłyszycie
Huk płomieni, trzask polan i serc trwożne bicie.
Wtedy wróżka obrządek rozpoczyna wieszczy:
Skinęła na kapłanów — i sto trąb zawrzeszczy;
Plączą się w jeden rozgwar najsprzeczniejsze tony,
I rożek chrapowaty, i flet wypieszczony,
A wszystko przeraźliwe, gwarliwe, niestrojne,
Aż od echa zadrgało sklepienie spokojne.
A nad wszystkiemi wrzaski, nad wszystkie rozgwa-
Przemaga krzyk natchniony czarodziejki staréj; [ry,
Na oczach ociemniałych błysnął wyraz wściekły,
Włosy się najeżyły, a usta zapiekły;
Nic nie widzi, nie słyszy, chyba w głębi ducha,
Tylko ostatkiem głosu straszną pieśń wybucha.
Skinęła — ustał rozgwar — znów cisza grobowa.
Stos pali się powoli — już tylko połowa;
Ogień jaśniéj i równiéj oświeca sklepiska.
Wróżka garśćmi żywicę do płomieni ciska;
Wybuchnął żwawszy ogień, dym rozwiał się smolny,
I zagrzmiało z daleka... Przestrach mimowolny
Ogarnął serca Litwy, upadli na twarze.
Marti trąbom na nowo odezwać się każe,
I mierzonemi takty z całéj siły krzyczy:
— „Poklusie! czarnych piekieł boże tajemniczy!
„Ubłagany, czy groźny, w płomieniu, czy w gromie,
„W pośród twojego ludu objaw się widomie.
„Powiedz: za co nam pomstę zapowiadasz nieba?
„Jakiéj dla cię ofiary, czyjéj krwi potrzeba?
„Wskaż na kogo uderzyć, daj mordercze hasło!“
Umilkła... dopalone ognisko przygasło;
Więc bierze garście siarki i na węgle rzuca,
A jak gdyby wołanie zerwało jéj płuca,

Padła pierśmi na ziemię i w prochu się tarza.
A ze stosu, co płonie, węgli się, rozżarza,
Buchnęły kłęby dymu, buchnął płomyk sini,
I trupi blask uderzył po ciemnéj jaskini.
Znowu grom wstrząsnął gmachem z potęgą olbrzy-
[mią...
Cudo! z siarczystych kłębów, co ze stosu dymią,
Ukazało się bóztwo tak straszliwéj twarzy,
Jak tylko senna zmora w gorączce wymarzy!
Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze źrenic spojrzenie jak płomień wylata,
A na czole, na ustach i na wzdętém łonie,
Trzęsie się dzika groźba, gniew straszliwy płonie.
Była cisza — bo ludzie upadli bez siły,
Zdaje się wszystkie piersi oddech przytaiły.
Tylko Margier nie klęknął, choć twarz jego pała,
Choć znaczno, że bożyszcze na serce mu działa,
Nie spuścił nawet oka — oczyma mężnemi
Zmierzyli się bóg piekieł i bohater ziemi.
Ale ognik siarczysty gaśnie, dogorywa,
I nadziemskie widziadło z dymem się rozpływa.
Wróżka powstaje z ziemi i ogień roznieca;
Poklus zniknął z podziemia — tylko twarz kobieca
Pobladła, posiniała, jakby konająca,
Zwraca się ku ludowi — i z piersi wytrąca
Słowa ciche, powolne, jak gdyby kaskada,
Jak strumyk, co do Wilii z gór Ponarskich spada:
— „Poklus objawił wolę... drżyj, książę Margierze!
„Nad baszty twego zamku wnet chmura się zbierze.
„Chowasz dziecię z krwi obcéj, co Litwę wyniszcza:
„Własna krew przygotuje płomienie i zgliszcza,
„Które dom twój zagubią — zagubią cześć bożą,

„Wrogom bramę do Litwy na oścież otworzą.
„Nie ukoisz inaczéj wyroków srogości,
„Chyba krwią pacholęcia, co w twym domu gości.
„I nie daléj, jak jutro w północnéj godzinie,
„Niech krew młodego jeńca na ołtarz popłynie,
„A ciało jego spalić w ofiarnéj pożodze,
„A proch rzucić na wiatry przy rozstajnéj drodze!“
Tak mówiła wróżbiarka, znękana i blada,
Słania się wysilona i na ziemię pada.

IX.

Margier rycerskie czoło uchylił w pokorze:
Szanuje wiarę ludu i wyroki boże.
Puścić wolno Ransdorfa książę miał w zamiarze,
Lecz wyższy obowiązek poświęcić go każe.
Czy bogowie zaprawdę pragną krwi młodziana,
Czy się tylko nań sroży wróżka zagniewana,
Zawsze zgon Krucygiera w ostatecznym kresie
Znakomite dla Litwy owoce przyniesie:
Bo ku bogom rodzinnym więcéj wiary doda,
A w téj wierze dla Litwy siła i swoboda,
Bo na serca litewskie wciąż działać należy,
Jątrzyć wieczną nienawiść dla pruskich rycerzy;
To do śmiertelnéj walki posłuży najlepiéj,
I miecze zahartuje, i serca pokrzepi.
Margier westchnął, i kazał kapłanom, ludowi,
Aby jutro stanęli do ofiar gotowi,
A on sam, wierny bogom, jak wróżbiarka radzi,
Niemieckiego rycerza pod cios przyprowadzi.
Lecz dodał: — „Kiedy człeka pod topór już kładniem,
„Niewolno po zbójecku urągać się nad nim.

„A biada temu z Litwy i śmierć jego głowie,
„Kto rycerza znieważy, albo kto mu powie,
„Jaki nań zapadł wyrok — niech ma spokój we śnie.
„Na co wieścią złowrogą zabijać przedwcześnie?
„Nie masz korzyści bogom, ani Litwie gwoli,
„Że ktoś w męczarniach ducha cały dzień przeboli!“
Taki rozkaz wydawszy, pokłon bogom czyni
I z pochmurném obliczem wychodzi z jaskini.

X.

— „Straszne są bogi Litwy, którym hołdy święcę!—
Mówiła młoda Egle, załamując ręce,—
„Jakie dzikie wyroki... jak przemocne prawa
„Bóztwa, co żyje śmiercią, a krwią się napawa!...
„Czyż dla zbawienia Litwy potrzebna jest zbrodnia?
„Na co im krew niewinna obcego przychodnia?
„Czy przeto wzniosą wielkość i potęgę swoją,
„Kiedy ludzi na ludzi w nienawiść uzbroją?
„Srogi Poklus — gdy z ojca chce czynić zbrodniarza,
„Brzydka Marti — gdy takie wyroki powtarza...
„Co im szkodzi ta głowa? zabijać ją... po co?
„Czy w niéj całą potęgę krzyżacką zgruchocą?
„A może ta dziecina, taka dzisiaj młoda,
„Kiedyś rękę Litwinom przyjacielską poda
„I powstrzyma nieprzyjaźń, co dwa ludy plami,
„I złączy swoje bogi z naszymi bogami...
„Nie, Marti, czarodziejko! próżna twa podmowa!
„Na inszą krew niech Poklus pragnienie zachowa.
„On nie umrze... przysięgam, że nie umrze wcale;
„Ja go mojém ramieniem zasłonię, ocalę,

„Ja wezmę miecz ojcowski — znacie miecz Margiera!
„On nie chybi w zamachu, on pancerz rozdziera,
„On w rozpaczliwych ręku — biada waszéj głowie,
„Kapłani i wróżbici, i sami bogowie!..
„Ja bluźnię waszéj sile i waszéj dobroci...
„Jutrznio! któréj blask święty na niebie się złoci,
„I ty, który mię słyszysz, święty wietrze wschodni,
„I wy, bogowie niebios i ziemni, i wodni,
„I ty, krwawy Poklusie, co zatrząsasz piekła,
„Przebaczcie nieszczęśliwéj, co w żalu wyrzekła!
„Ocalcie niewinnego z pod oprawcy młota:
„Ja wam ołtarz zbuduję, dam srebra, dam złota,
„Dam krwi mojéj na ołtarz!“
Tak bolem, złamana,
Biedna Egle ze łzami pada na kolana,
Wzrusza niebo rozpaczą, mięknie przez pokorę,
Nie ukrywa przed sobą, co w jéj sercu gore.

XI.

Było jeszcze nad rankiem — daleko wschód słońca.
Na wale, gdzie klęczała Egle bolejąca,
Niewidziany, chcąc użyć porannéj pogody,
Siedział w myślach posępnych Lutas siwobrody.
Wysłuchał jéj bluźnierstwa, modlitew, rozpaczy,
I z razu nie pojmował, co to wszystko znaczy;
Lecz zrozumiał... popatrzał... i z oczu mu znaczno,
Że przebaczył dziewicy jéj miłość dziwaczną.
On sam dumał boleśnie nad Ransdorfa losem.
— „Słuchaj, córko Margiera,—rzekł do niéj półgło-
[sem —

„Bądź mężna — niech się twoje męczarnie ukoją,
„Podsłuchałem bolesną tajemnicę twoją.
„Czyś powinna pokochać wroga twojéj wiary?
„Niebu tylko wiadomo — jam za nadto stary,
„By sądzić wedle siebie dusze młodociane,
„Albo w boleściach serca dać balsam na ranę.
„Może i prawdę rzekłaś: za lepszych dni świata
„Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata,
„Dla Litwy i dla Niemca będzie Bóg jednaków;
„Ja nie chcę tego dożyć — nie cierpię Krzyżaków.
„Ale całą nienawiść, co mém sercem miota,
„Chciałbym dowieść toporem lub ostrzem brzeszczota,
„Jak dawniéj, gdy truchleli na blask mojéj zbroi...
„Ej, pomarli, pomarli towarzysze moi!
„Czy doznali méj ręki niemieccy wrogowie?
„Lubiłem krew ich sączyć — i dziś, gdyby siła,
„Jeszcze stara nienawiść w piersiachby odżyła,
„Ale to z równą bronią, gdy do walki zową,
„Lecz brzydzę się morderstwem nad bezbronną głową.
„Wiem, że własnej srogości pożałujem sami,
„Gdy pamięć takich mordów naszą cześć poplami.
„U mnie droga cześć Litwy, jam chlubny jéj chwałą:
„Trochę się za nią potu, trochę krwi wylało,
„Zwyczajnie stary żołdak, co mam, tém się drożę.
„Inaczéj o tém myślą ofiarniki boże;
„Oni hełmu nie dźwigną, pod mieczem nie staną,
„Im trzeba wieść przed ołtarz ofiarę związaną,
„By swą wściekłość pobożną wywarli do syta!“ —
Tak mówił stary Lutas i zębami zgrzyta,
I żelazną prawicą uderza po czole: —
„Nie!! przysięgam na bogów! że ja nie pozwolę,

„Aby zginął bezbronny, jak wróżka wymaga,
„Młodzian, któremu z oczu iskrzy się odwaga,
„Którego kiedyś w boju obaczą Litwini,
„A którego pokonać — to chluby przyczyni!“

XII.

Lutas to z wolna gwarzy, to już w zapał wpada,
A Egle zapłakana, nieprzytomna, blada,
Przypada mu do kolan i błaga przyjaźni:
—„Ocal, szlachetny starcze! ocal go od kaźni!
„Obaczysz... będzie mężny, jak tyś był za młodu,
„Będzie druhem wieczystym naszego narodu,
„Jego nikt nie zwycięży, on wszystkich pokona!“
Lutas gorzko się zaśmiał: — „Szalona! szalona!
„Szkoda mi twéj młodości, szkoda twéj rozpaczy...
„Któż wie, na co go niebo dla Litwy przeznaczy!
„Może na czele hufców znowu tu się zjawi
„Dopuszczać się za Niemnem morderczych bezprawi,
„Zapalać nasze chaty, pastwić się nad dziatwą...
„Ha! ale Litwa chrobra nie podda się łatwo!“
Starzec westchnął... podumał i coś szepce do niéj;
Spłakana twarz dziewicy radością się płoni;
On wskazał ku niebiosom, ku niemnowéj fali,
Snadź przyrzeka nieszczęsnéj, że więźnia ocali.

XIII.

Słońce wieki płynęło po niebios obszarze.
Niepokój wszystkie w zamku wypiętnował twarze:

Margier, smutny, ponury, słowa nie przemówi;
Egle od ranka patrzy wciąż ku zachodowi,
Jakby mierzy od słońca niebiosów błękity,
By się skończył dzień długi—och! dzień nieprzebyty;
Lutas potrząsa głową i sam z sobą gwarzy;
A niewiasty i dzieci, młodzieńcy i starzy
Krzątają się po zamku, patrzą na Krzyżaka,
I niejedno spojrzenie, jak zła wróżba jaka,
Zatrzymało się nad nim, lecz w ciżbie prostaczéj
Rzadko wyraz niechęci, częściéj łzę obaczy.
I dziwi się pacholę, co się w zamku stało?
Czému wszyscy nań patrzą boleśnie, nieśmiało?
Czemu z dala go mija litewska gromada,
A żaden nie pozdrowi, słowa nie zagada?
Zresztą, mało go troszczy ich trwoga nieznana;
O jedno chciałby spytać: dla czego dziś z rana,
Wedle swéj pobożności, wedle obyczaju,
Nie szła córka książęca do świętego gaju?
Och! nie tak węże z gaju upragnione mleka,
Jak on spojrzenia Egli. Czy przed nim ucieka?
Czy odgadła płomienie, co mu w duszy gorą?
Czy może zatrudnioną? czy może jest chorą?
Czy może dziki Litwin — o biada mu, biada! —
Nadniemnowéj bogini swe ofiary składa?
Ransdorf na takich myślach przebył dzionek boży,
I on cierpiał — któż zgadnie? może cierpiał srożéj;
Bo biedne młode serce, kiedy w niém zagości
Szatan niedowierzania lub piekło zazdrości!

XIV.

Słońce zaszło... Na wałach o wieczornéj porze,
Jak zwykle—Randsdorf marzy... a tam ostrzą noże,

Gotują stos ofiarny, rozpalają płomię.
Ściemniało... postać w bieli zbliża się widomie.
Krzyżak oko wytężył... to postać niewiasty:
Skrada się po za wały, po za dzikie chwasty,
Przybliża się... to ona przed jeńca oczyma...
Pokraśniała... chce mówić, lecz oddechu niéma —
Zdobyła się na słowo: — „Cudzoziemcze młody!
„Uchodź ztąd... uchodź prędko... złamane przeszkody,
„Ułatwiona ucieczka... przez Niemen... po błoni...
„Uciekaj, nieszczęśliwy! śmierć za tobą goni!“
I chwyta go za rękę, i jak młode sarnię,
Bieży z wału — to dzikie zarośla ogarnie,
To przeskoczy przez kamień:—„Śpiesz się, śpiesz, mło-
Aż serce jéj kołace, aż oddech ustanie, [dzianie!“—
A oczy jéj tak iskrzą, jakby słońce we dnie,
A lice to skraśnieje, to znowu poblednie;
Ransdorf tuż za nią dąży, lecz zgadnąć nie zdoła,
Jaką śmiercią mu grozi i dokąd go woła;
Jedno tylko rozumie: że tak dni i lata
Leciałby z nią i leciał aż na koniec świata.

XV.

Nad błoń, pod starą olchę biegli zadyszani.
Tutaj Lutas ich czekał u brzegu otchłani,
Bo już odwalił kamień z pod olchy korzeni,
A loch nieogarnionéj dalekiéj przestrzeni
Ukazał się ich oczom. Tu się Lutas spuści,
Jak do ciemnéj i strasznéj piekielnéj czeluści,
I zawołał: -- „Randsdorfie! chwila uroczysta!
„Przysięgniéj na twych bogów, przysięgniéj na Chrysta,

„Że choćby przyszło płacić życiem lub swobodą,
„Nie odkryjesz nikomu, gdzie te lochy wiodą!
„Tam już w zamku spragnieni widzieć krwi twéj fale—
„Ja przysiągłem ocalić, ja ciebie ocalę.
„Temi lochy do Niemna droga niedaleka,
„A przy Niemnie twój rumak i łódka cię czeka,
„A przez Niemen do swoich dostaniesz się snadno.
„Lecz przysięgniéj nie wydać przed potęgą żadną
„Tajemnicy tych lochów!“
Ransdorf ugiął szyję:
— „Przysięgam na Chrystusa, na świętą Maryę!
„Rycerz Krzyża statecznie tych przysiąg dochowa.
„Egle! szlachetna Egle! bądź zdrowa! bądź zdrowa!
„Wspomnij czasem Ransdorfa, o dziecko swobody!
„Weź ten krzyżyk — to Bóg mój!“
I Krucygier młody
Wskoczył do lochu, poszedł kędy Lutas każe.
A Egle pozostała przy ciemnéj pieczarze,
Odetchnęła swobodnie, zapłakała rzewno,
I bada fale Niemna źrenicą niepewną,
Aż wiatr zimny ochłodził gorące oblicze,
A z zamku doleciały śpiewy ofiarnicze.

Pieśń Trzecia.

I.

W Malborga wielkiéj sali zbiera się obrada.
Dwudziestu czterma okny blask słoneczny wpada
Na kamienną podłogę, na gotyckie ściany
I na orszak Krzyżaków gromadnie zebrany;

Złoci ich białe płaszcze, zaiskrza się, pali
Na hartownych pancerzach, na hełmach ze stali.
A wszyscy niemal bracia jednakiéj urody,
Jednako noszą płaszcze, pancerze i brody,
Jednostajna nad hełmem rozwiewa się kita;
Tylko na każdém licu inna myśl odbita.
Owdzie twarz siwobroda, znojem ogorzała,
Rozognionym rumieńcem bohatersko pała;
Owdzie lica wybladłe, pieszczone jak cacko,
Uśmiechem zalotności, swobodą hulacką
Odznaczają czcicieli Bacha i rozpusty;
Insze zasię oblicza z zaciętemi usty,
Ze spuszczoną źrenicą, poczerniałe, chude,
Znaczą dziki fanatyzm lub świętą obłudę.
Ale na żadném czole i na żadnéj twarzy
Piętna cnot chrześciańskich spotkać się nie zdarzy,
Bo kościelni rycerze zapomnieli ninie
Wzoru swych patryarchów, którzy w Palestynie
Nieśli chorym w szpitalach ratunek najżywszy,
Albo świętéj Maryi swój miecz poślubiwszy,
O głodzie i o chłodzie w Chrystusowe imię
Zabezpieczali w stepach gościńce pielgrzymie;
Od nich miał wspomożenie ubogi i słaby,
Gdy o żebranym chlebie walczyli z Araby.
Dzisiaj nad Grobem Pańskim już nie pełniąc warty,
Usiadł mnich na książęcéj stolicy rozparty;
Wyprobowawszy miecza na świętéj posłudze,
Zatopił chciwe szpony w posiadłości cudze,
A nad sąsiednią Litwą, Prussakiem i Lachem
Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.
Nienasycona żądza, nieugięta pycha
Zagnieździły się w sercu bogatego mnicha;

Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
Chce potęgą prześcignąć króle i cesarze;
Potworną jego piersią niespokojnie miota
Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota.

II.

Nieskładny gwar rozmowy przebiega po sali.
Ze wszystkich miast i zamków tutaj się zebrali
I komtury, i wodze, i kapłani starszy,
I od króla polskiego posłannik monarszy.
I z pismem apostolskiém goniec od Papieża,
I goniec od cesarza: bo rozterka świeża
Krzyżowców z królem polskim o miasta i kraje,
Niemałe w chrześciaństwie trudności zadaje.
Po sali mnoga ciżba snuje się i gwarzy.
Rozmawiają półgłosem komturowie starzy
O traktatach, i jaka należy im wiara?
O prawie kanoniczném i władzy cezara,
I o prawie podbojów co sądzili dawni,
I jako się trzymana posiadłość uprawni?
Bo dzisiaj z królem polskim spór się toczy żwawy
O stare posiadłości Dobrzyń i Kujawy.
Zasię młodsza gromada rycerzów i młodzi
O turniejach niemieckich rozhowor zawodzi,
Wenecką karaceną lub mieczem się szczyci,
Wychwala oczy dziewic i kształt ich kibici,
Śmieje się hucznym śmiechem, przechwala w bezwsty-
Albo nóci rozkoszne piosnki o Cyprydzie. [dzie,

III.

Wtém weszli heroldowie poważnie do sali
I przybycie wielkiego mistrza obwołali.
Ucichnął szmer, i wielkie otwarto podwoje,
I starzec wynędzniały przez trudy a znoje,
Ubrany w płaszcz i pancerz, jak rycerze prości,
Wszedł, poprzedzon znakami swojéj dostojności:
Wielkim krzyżem i mieczem. Ukłonił się braci,
I wszyscy się skłonili w pokornéj postaci.
Skinął i wedle stołu zasiadł tron monarszy.
Poklękli obok mistrza komturowie starszy,
I zakonny kapelan z cicha a pomału
Począł mówić modlitwę wedle rytuału,
Prosząc Ducha Świętego, który serca świadom,
By udzielił natchnienia krzyżackim obradom.
Gorzkie urągowisko! bo Świętego Ducha,
Bozkich natchnień od dawna Krzyżactwo nie słucha,
A Duch Pański nie gości w mordach i pożodze,
Nie udziela porady na bezbożnych drodze.
Od czasu jak go mistrzem obrała gromada,
Teodor z Altenburga już siódmy rok włada,
Więcéj duchem marsowym niźli bożym płonie
I chwałę bojowniczą pomnożył w zakonie.
Ale szczęściem wojenném próżno się zasłania,
Kto karty historyczne swego panowania
Przed obliczem obecnych i potomnych ludzi
Obryzga krwią niewinną lub zdradą zabrudzi.
Potężny wielki mistrzu, hrabio Teodorze!
Twój wawrzyn bohaterski niewiele pomoże:
Kto rozlał krew niemowląt, co pod Gnieznem płynie,
Kto w Kaliszu odzierał Chrystusa świątynie,

Kto w klęsce chrześciaństwa swoją wielkość kładnie,
Kto zmowę z Szamotulskim zaprowadził zdradnie,
Kto ośmielił Sarmatę — o zbrodni nieznana! —
Zaprzedać kraj rodzinny i swojego pana, —
Próżno w laury wojenne przyozdabia głowę!
Przeklęctwo nań współczesne, przeklęctwo dziejowe!
A z téj klątwy ni Cezar, ni książęta Rzeszy,
I choćby chciał rozgrzeszyć — papież nie rozgrzeszy.

IV.

Ukończono modlitwę — poczęta obrada.
Wielki mistrz na swym tronie książęcym zasiada;
Siedli panowie radni na dębowéj ławie,
A szlachetne rycerstwo stanęło ciekawie.
Otoczone giermkami i orszakiem pazi,
Czekając, co król polski przez posły wyrazi,
Czy z pokojem, czy z wojną do mistrza przybywa
Sławny rycerz z Melsztyna, Jan, herbu Leliwa.
U wchodowych podwojów zaciągnięto straże;
Mistrz rycerstwu w półkole szykować się każe.
Słychać tętent rumaków przed bramą na moście,
Słychać łoskot w dziedzińcu — przybywają goście.
Wrzasła trąba heroldów, aż zadrgały ściany,
I mężny Leliwita, jak na bój przybrany,
Otoczon gronem giermków i sarmackiéj młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą na pokoje wchodzi, —
I przeciąga przez sale pochód uroczysty.
Poseł idzie k'mistrzowi, podaje swe listy,
I odkrywa przyłbicę, i dumnie się kłania.
Znać rycerską swobodę z tego powitania,

Z mężnéj twarzy i z oka, co na wskroś przenika,
Wyczytać wielkie serce w piersiach posłannika:
Że król jego potężny, że kraj jego kwitnie,
Że nie przychodzi o nic błagać czołobitnie.
Spojrzał po całéj sali, po całéj gromadzie,
I na rękojeść miecza dłoń rycerską kładzie,
I w takowéj postawie stanąwszy z daleka,
Muskając sute wąsy, na odpowiedź czeka.

V.

Polskiéj ziemi króluje od dwóch lat bez mała
Kazimierz, co go Wielkim potomność nazwała;
Dzielne plemię Łokietka w cześć ludzką urasta,
Panując nad wszystkiemi dzielnicami Piasta.
Z młodu przy boku ojca z wojną obeznany,
Wsławił się pod Dobrzyniem, zdobywał Kościany;
Krzyżacy go doznali jeszcze z tamtéj chwili
I pana sarmackiego nie lekceważyli.
Lecz wiedząc, że Łokietek nie wskrześnie z mogiły,
A młodego orlęcia jeszcze słabe siły,
Podnieśli hardą głowę mnisi wiarołomni:
Bo któż się za bezprawia rachunku dopomni?
Bo w Krakowie niewiasta i pacholę włada,
Kilku starców zgrzybiałych w obradzie zasiada,
A ościenni książęta, patrzając zazdrośnie,
Cieszyli się, że Polsce nieprzyjaciel rośnie,
I sprzyjali Krzyżakom z niechęcią dla Polski:
Król węgierski, król czeski, cesarz apostolski,
Słowem wszyscy panowie chrześciańskiej ziemi,
Wszyscy przeciw Sarmatom — a któż był za niemi?
Jakiego sprzymierzeńca mieli na widoku?
Tylko Boga, co w niebie, i miecz, co przy boku!

VI.

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
— „Dostojny wielki mistrzu i wszyscy rycerze!
„Pan i król mój przezemnie pozdrawia was szczerze,
„I prosi Pana Boga chrześciańską modłą,
„Aby wam w łasce Jego fortunnie się wiodło.
„Przyczém wam przypomina o świeżym traktacie,
„Że Dobrzyń a Kujawy nieprawnie trzymacie,
„Że za starego króla zbici pod Płowcami,
„Gdy warunki przymierza podaliście sami,
„Gdy zakon pokonany miłosierdzia żebrze,
„Mieliście tysiąc grzywien zapłacić we srebrze.
„Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
„Gdzie wiara, utwierdzona rycerskiemi słowy?
„Gdzie kapłańska uległość wyrokom kościoła?
„Kiedy spełnicie rozkaz, co nuncyusz woła,
„I co papież potwierdził w apostolskim liście?
„Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.
„Oto wasi żołdacy, jakby horda dziczy,
„Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
„Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
„Rolnik odbieżał pługa, mieszczanin rzemiosła,
„Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
„Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?
„Niedarmo jego barki purpura osłania;
„Niedarmo jego czoło gwoli królowania
„Namaścił arcybiskup oliwą chryzmatu
„I przypasał do boku miecz wiadomy światu;

„Miecz Chrobrych, Krzywoustych, nie darmo zadzwoni,
„Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.
„Krzyżacy! ostrze jego, oświetlone chwałą,
„Od płowieckiéj potrzeby jeszcze nie stępiało!
„Ale pan mój, szanując powołanie wasze,
„Nie pierwéj wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
„Chyba że wasza pycha otwarta widocznie
„Wyroki apostolskie lekceważyć pocznie.
„Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty
„Jan ze Słupca, krakowski biskup znakomity,
„Jeździł w imieniu króla w apostolskie progi,
„I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
„Wszystko, czémeście Polskę krzywdzili zdradziecko,
„Odkrył Głowie Kościoła, jako ojcu dziecko.
„A ojciec chrześciańśtwa usłuchał wołania,
„I ku naszym uciskom swoje ucho skłania,
„I odprawę posłowi miłościwą daje,
„I szle swoich legatów na północne kraje.
„Posłanniki papieża, jak sędziowie czuli,
„Piotr, prałat aniceński, i Gerard z Tituli,
„Umocnieni powagą i zupełną władzą,
„Żałoby wysłuchają i wyrok wydadzą,
„Dopomną się krzywd Polski na wszym zakonie
„I powrócą zabory uciśnionej stronie.
„Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
„I z ramienia papieża wydają w téj chwili
„Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy,
„Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
„Gdzie na dniu pierwszym sierpnia zasiądą w urzędzie
„I sąd nuncyatury przywołany będzie.
„A Kazimierz, król polski, z uprzejmemi słowy
„Przysyła wam zapozew na termin sądowy,

„Abyś sam, wielki mistrzu, lub przez towarzysze,
„Stanął na czas i miejsce, jak w tych liściech pisze.
„Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość boża,
„A mistrz, w prawie uczony, Bartold z Raciborza,
„Wyłuszczy naszą sprawę dokładnie i szczerze,
„I obrony wysłucha, i wyrok odbierze:
„Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła
„Wszelki wyrok od Głowy widoméj Kościoła."

VII.

Rycerz skończył poselstwo, a wielki mistrz mówi:
— „Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
„Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
„Że trąba bywa woźnym, a bardysz rozprawą,
„I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
„Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem.
„Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
„I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,
„O kawał spornéj miedzy, o niedobre słowo,
„Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową.
„My wypełnimy wszystko, co papież rozkaże:
„Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,
„Nasz zakon, jak posłuszne kościołowi dziecię,
„Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
„I w cesarskiém i w bozkiém prawie wyćwiczony,
„Ojciec Jakób z Arnoldu, stanie z naszéj strony,
„Będzie przekładał prawa, na których my stoim,
„A które obelżywie nazwałeś rozbojem.
„Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdoła
„Uszczuplić posiadłości Pańskiego kościoła;

„Co dzierżym w imię boże, albo prawem miecza,
„To nam kościoł zapewnia, cesarz zabezpiecza:
„Bo wszystkiemi krajami chrześciańskiéj ziemi
„Włada cesarz niemiecki z prawami swojemi,
„I ja mnich w méj pokorze, i twój król w swéj chwale
„Jesteśmy tylko jego pokorni wassale.
„A Dobrzyń i Kujawy, Prussy i Pomorze,
„Co się wzięło na Litwie, walcząc w imię boże,
„Kraje nadane dawniéj, lub zdobyte świeżo,
„Nie do nas, lecz do władzy cesarskiéj należą.
„A gdy cesarz do siebie należące kraje
„Kościołowi bożemu wieczyście nadaje,
„My, pokorni szafarze, służebnicy prości,
„Nie mamy praw uszczuplać kościelnéj własności.
„A ktoby coś zamierzył lub działał w tym względzie,
„Wedle świętych kanonów niech wyklęty będzie;
„A na kogo włożono takie anathema,
„Nawet w mocy Piotrowéj rozgrzeszenia nie ma.
„Dochować wam przyjaźni trwam w ciągłym zamiarze;
„Ale moje sumienie jeszcze więcéj ważę.
„Nie chcę, aby mi klątwa ciążyła nad głową.
„Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.“
Umilknął--twarz rycerza szlachetna i śmiała
Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;
Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła
Ścisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła
Do srebrnéj rękojeści, jakby jednym razem
Miała błysnąć przed oczy hartowném żelazem.
Ale Jaśko z Melsztyna, posiwiały w radzie,
Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,
Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,
Kto przychodzi z pokojem i różdżką oliwy;

Więc, chociaż oburzony aż do głębi ducha,
Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,
Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą:
— „Szlachetny wielki mistrzu! czy oręż, czy prawo
„Ma dochodzić słuszności—ja się tém nie trudnię;
„Lecz po co imię boże wspominać obłudnie?
„Czy kościoł Chrystusowy wspomagać należy
„Owocem wiarołomstwa lub chciwéj łupieży?
„Król polski, panujący w potędze i chwale,
„Nie liczy się pomiędzy cesarskie wassale;
„A jeśli, jak mu każe Chrystusa nauka,
„Przez pobożność w podwoje apostolskie puka,
„Wy się przeto nie karmcie daremną otuchą,
„Że miecz jego do pochew przyrosnął na głucho.
„Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,
„Dziś rękawicy boju ciskać mi niewolno;
„Lecz gdy króla mojego wywołacie zgrozę,
„Insze może poselstwo w te mury przywiozę.“

VIII.

— „Przyjmiemy was, przyjmiemy, rycerzu z Mel-
[sztyna,
„Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina;
„W świętéj kościelnéj sprawie za pierwszém wołaniem
„Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniem:
„Kto jest bożym rycerzem, tego w żadnéj chwili
„Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli!“ —
Rzekł Rudolf, książę saski, z komturów najstarszy,
Zalecony orężem i ze krwi monarszéj,
Co mu w piersiach płynęła; Krzyżacy go zową
Starego Altenburga ramieniem i głową,

A raczéj zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.
—„Bóg—odrzekł Leliwita—Bóg słuszność wymierzy,
„Bóg wskaże kogo uznał za swoich rycerzy,
„Kto cześć Jego imienia pielęgnuje lepiéj,
„Kto świętą Jego wiarę obszerniéj zaszczepi.
„Tymczasem, wielki mistrzu, starszyzno i wodze,
„Spełniłem rzecz poselstwa w polubownéj drodze;
„Czyńcie, jak wasza wola, jak wasza uwaga.
„Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.
„Chcecie wojny, toć na was upadnie jéj wina.
„Bóg was żegnaj, Krzyżacy!“
I Jaśko z Melsztyna,
Otoczon gronem giermków i sarmackiéj młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą z komnaty wychodzi.
Za nim szmer dał się słyszeć... Mężny Leliwito!
Wzbudziłeś niechęć jawną, ale cześć ukrytą:
Bo cnota i w występnym znajdzie hołdownika,
A szlachetna odwaga i wrogów przenika;
Czy idzie z mieczem boju, czy z różdżką przymierza,
Wróg nienawidzi wroga, lecz uczci rycerza.

IX.

Za posłem wyszła młodszych Krzyżowców drużyna.
Wielki mistrz ze starszyzną radę rozpoczyna.
—„Złe wieści,—rzekł po chwili:—nieprzyjemna spra-
„Powiedz, książę Rudolfie, jak ci się wydawa: [wa!
„Czyliż przed całym światem mą słabość obwieszczę?
„Oddam Dobrzyń, Kujawy i opłacę jeszcze?
„Co powie chrześciaństwo i wszyscy mocarze,
„Jeśli wolę papieża marnie zlekceważę?

„Kędy obrócę oko, naokoło baczę,
„Dokoła słyszę zawiść na szczęście krzyżacze,
„Że my zbieramy kłosy, kiedy insi chwasty;
„I byle tylko skinął Benedykt Dwunasty,
„Wnet od Gallów, Brytanów, ze wszystkich stron [świata,
„Na krzyżowych rycerzów spadnie krucyata.
„Żartuję z klątw papieża, ale ich się boję.
„Mów książę: jaka rada? jakie zdanie twoje?"
—„Wielki mistrzu!—rzekł Rudolf—krótka moja rada:
„Po za mury kościoła ukryć się wypada,
„I przez ojca Arnolda oświadczyć królowi,
„Że jest świętém, co własność kościelną stanowi,
„Że Dobrzyń i Kujawy są już w ręku bożém,
„Że my pod ciężkim grzechem wrócić ich nie możem;
„Niech je odbiera siłą, to sam się ugmatwa.
„A iż się papież gniewa—i tu rada łatwa:
„Niech widzi naszych czynów dowód niezachwiany,
„Że służym chrześciaństwu, że walczym z pogany,
„A starzec nasze winy rozgrzeszy z rozkoszą.
„Każ mistrzu, niechaj pochód na Litwę ogłoszą.
„Piękne tameczne ziemie, zyskamy je skoro,
„Może w zamian tych krajów, co Lachy odbiorą;
„Wiele się w Litwie zyska, a mało utraci.
„A kiedy nas przypozwą papiezcy legaci,
„Nie będziem mogli stanąć mimo szczerych chęci:
„Bośmy świętą wyprawą na Litwie zajęci.
„Papież skargi Polaków poczyta za baśnie,
„I z opoki Piotrowéj jeszcze nam przyklaśnie.
„Skończyłem."
— „Wielki mistrzu! co się do mnie ściąga—
Mówił z kolei komtur Fryderyk z Elbląga—

„Dzielę księcia Rudolfa doświadczone zdanie:
„Pragnę widzieć nad Litwą nasze panowanie,
„Pragnę poniżyć rogi sarmackiéj potędze,
„I miecza nie poskąpię, i krwi nie oszczędzę,
„I może się do dzieła przyczynię po trosze,
„Bo wam z Litwy szczęśliwą wiadomość przynoszę.
„Gdyśmy obecnéj wiosny w naszych sił ogromie
„I wzdłuż i wszerz po Litwie roznosili płomię,
„Gdyśmy samego Wilna byli niedalecy,
„Musieliśmy uciekać z pod małéj fortecy.
„Kiedy Litwa pustkowiem stała w jednéj chwili,
„Gdyśmy zboża stłoczyli, wioski popalili,
„Kiedy pierzchał przed nami cały kraj przelękły,—
„Na jednym zamku Pullen nasze siły pękły.
„Pomiędzy wybrzeżami Niemna i Puniały
„Seciny krzyżowego rycerstwa zostały,
„A ze stosu ich kości, co się wiatrem bieli,
„Dotąd jeszcze nie wskrzesła drużyna mścicieli.
„Ale Margier, dowódca barbarzyńskiéj rzeszy,
„Niedługo się owocem zwycięztwa pocieszy.
„W téj chwili z jego więzów, na łono swobody
„Przybywa Ransdorf Warner, mój dowódca młody.
„On na polu bojowém kiedy obumiera,
„Został wskrzeszon do życia staraniem Margiera;
„Sądzony bogom Litwy pod nóż świętokradzki,
„Potrafił dziwnym cudem uniknąć zasadzki.
„Trzymany cały miesiąc w niewoli złowrogiéj,
„On przeznał wszystkie ścieżki, wszystkie zamku [drogi:
„Litwini zdadzą twierdzę, radzi czy nieradzi,
„Gdy na pewne zwycięztwo Ransdorf poprowadzi.

„A gdy się zamek Pullen od Niemna zawładnie,
„Reszta litewskiéj ziemi ukorzy się snadnie;
„Pęd naszego rycerstwa chyba wstrzymać może
„Olgierd w Wilnie, a Kiejstut na Trockiém jeziorze.
„Oto są, wielki mistrzu, z po za Niemna wieści.
„Każ, niech trąba litewską wyprawę obwieści,
„A gdy ziemia litewska nasz sygnał posłyszy,
„Ręczę za dobre żniwo krzyżackich bardyszy.
„Nad pogańską ziemicą już się słońce żarzy,
„Już tam kłosie dojrzałe czeka na żniwiarzy.“

X.

Waleczna Fryderyka i Rudolfa rada
K'sercu wielkiego mistrza najsnadniéj przypada.
Więc podumał i skinął — i do stopni tronu
Przybliża się najstarszy chorąży zakonu.
— „Pójdź—mówi—każ wyprawę otrąbić przed rzeszą.
„A chorągiew bojową niech z okna wywieszą,
„Niechaj w sercu papieża wszelka niechęć uśnie,
„Niech wrogowie nie mówią, że my drzemiem gnuśnie.
„A kiedy w naszych rękach część Litwy zobaczy,
„Sarmacki król-pacholę przemówi inaczéj.
„Zapomni świetnych bitew, co wygrali starzy,
„O Dobrzyń i Kujawy spytać się nie waży.
„Idźcie z Bogiem, rycerze!“
I powstała tłuszcza;
Teodor z Altenburga świetny tron opuszcza;
Sala głuchnie — a tylko, jak rycerstwo życzy,
Zagrzmiał z Malborskich wieżyc sygnał bojowniczy.
I tłumią się żołdacy chętni do oręża,
I sławetni mieszczanie, i wielebni księża,

I każdy po swojemu nowinę tłómaczy,
I każdy zapytuje: co ten sygnał znaczy?
I lecą chyże wieści od grona do grona,
Że znowu na niewiernych wojna uchwalona.

XI.

Czekając zmiany warty u narożnéj wieży,
O północnéj godzinie czuwa trzech rycerzy.
Światło smolnéj pochodni uderza na ścianę,
Na przyłbice i miecze w rząd porozwieszane,
I na twarze Krzyżowców siedzących przy stole,
Na stągiew pełną wina i rogi bawole.
(Bo polubiła w Litwie krzyżacka natura
Zwyczaj pijania z rogu bawołu lub tura
I u siebie go chowa). Rozhowor się toczy:
—„Ransdorfie!—mówił starszy— te pogańskie oczy
„Urzekły cię, jak widzę: takiś smutny, blady,
„Ani do pogadanki, ani do biesiady;
„Milczysz, jak Harpokrates, wśród naszego wrzasku,
„Zeskromniałeś na Litwie, jak święty w obrazku.
„Prawdę mówiąc, w więzieniu niewiele słodyczy,
„Głodno i niewygodno, wiadomo wśród dziczy;
„Ale zresztą na Litwie spotykałeś może
„Stary kowieński lipiec i dziewczęta hoże,
„A z takiemi pociechy i na sercu słodziéj,
„A nawet i w więzieniu prędzéj czas uchodzi.
„Litwa — mówcie co chcecie — to kraj niezły wcale!
„Choć mówi Pismo Święte w którymś tam rozdziale,
„Że ze wszystkich dóbr ziemskich, ile tylko stanie,
„Mają prawo pożytku sami chrześcianie;

„A jednak dziki Litwin, co w Boga nie wierzy,
„Smakuje stary miodek, godny ust rycerzy,
„A w kraju, otoczonym lasami i wodą
„Rodzą się czarnobrewki, co aż duszę bodą.
„Ej, Ransdorfie, Ransdorfie! wiem, żeś zawsze gotów
„Do pełnego puhara i pustych zalotów.
„Bogdaj nade mną gromy Perkuna zawisły!
„Bogajbym nic nie pijał oprócz wody z Wisły,
„Jeżeli nie odgadłem, co ci w serce kole,
„I że po całéj Litwie głośne twe swawole!
„Nie wstydź się... toż młodości prawa i zasługi.“
—„Odgadłeś go, Wilhelmie—rzekł mu Krżyżak dru-
„Pojmała go w swe sieci cypryjska bogini; [gi—
„Ale miłość na Litwie dziwactwa z nim czyni:
„Po anielsku coś brzęczy w jego sercu struna,
„Gotów czcić węże święte, kląć się na Perkuna,
„I nad wszystkie ziemianki, nad wszystkie boginie,
„Eglę, córkę Margiera, ukochał jedynie;
„A ślubom swego serca chcąc czynić zadosyć,
„Ołtarz bogini Egle chce w Malborgu wznosić.
„A chociaż cały miesiąc pod jéj dachem gości,
„Nic do niéj nie przemówił, nie wyznał miłości;
„Tam samym jéj widokiem napawał się z dala,
„A tutaj jéj szlachetność, jéj piękność wychwala.
„I słuchaj: już tam było gotowe dlań żgliszcze,
„Już go miało pożerać litewskie bożyszcze,
„Kiedy zjawia się Egle, zadyszana, blada,
„Porywa go za rękę, o śmierci powiada,
„Uprowadza przez góry, przez tajemne lochy,
„I ocala od zguby—a nasz Ransdorf płochy
„Tak uczuł bicie serca, taki zawrot głowy,
„Że kochankę pożegnał tylko czterma słowy

„I popłynął spokojnie na litewskiéj łodzi.“
—„A nawet nie uściskał? och! to się nie godzi!—
Mówił Wilhelm ze śmiechem—ach! dziecino młoda!
„Wszak tam krzyżacka grzeczność na pośmiech się
[poda.
„Jeśli się o tém dowie Rudolf, książę saski,
„Toś już na wieki wieków wypadł z jego łaski,
„A dowództwo łuczników, coś dostał tak skoro,
„Wierz mi, młody Ransdorfie, zaraz ci odbiorą.
„Komtur elbląski mistrza oszukał zdradziecko:
„Wmówił mu, żeś ty rycerz—a ty jeszcze dziecko,
„Dziecko—bo taka miłość niewiele ci wskóra;
„Dobra w książce Platona, w pieśni trubadura,
„Lecz w życiu tyle warta, co w zbroi dziecina,
„Co włócznia bez żelaza, co puhar bez wina.“

XII.

—„Bracia moi!—rzekł Ransdorf z zapałem i skoro—
„Poszanujcie uczucia, co mi w piersiach gorą!
„Czy mnie, com skłonił szyję do zakonnych jarzem,
„Com już wykonał śluby przed Pańskim ołtarzem,
„Czy mnie wolno otwierać dla miłości łono,
„Pokochać córkę Litwy, pogankę niechrzczoną?
„Tego nie wiem—lecz w bożém miłosierdziu tuszę,
„Bo czuję, że ta miłość uświęca mi duszę.
„Ale za cięższą zbrodnię, za gorszą ohydę
„Snadź mi Pan Bóg poczyta, że na wojnę idę,
„Jak dowódca łuczników. Czyż postąpię godnie,
„Wiodąc miecze mordercze, pożarne pochodnie,
„I rozbijając piersi, zapalając ściany,
„Gdzie byłem nieprzyjaciel jak brat powitany?

„Gdzie mię srodzy Litwini przyjęli jak swoi?
„Gdzie Margier chlebem karmi, Lutas pieśnią poi?
„Gdzie Egle, bozka Egle, zbawia Krucygiera,
„I rękę mu podaje, i serce otwiera?..
„Szatan chyba nie człowiek miałby w poniewierce
„Co najdroższe na świecie: chleb, pieśnię i serce!
„Niemcy! ja kocham Litwę—czyż zhańbię me ramię?
„Ja mój pancerz podepcę, ja mój łuk połamię,
„Lecz nie pójdę na wojnę, jak zbójca z jaskini.
„To cóż, że książę saski dowódcą mię czyni?
„Ja lękam się... nie tego, że mi złamią szyję;
„Lecz Margier niewdzięcznika spojrzeniem przebije,
„Lub w piersiach pęknie serce, co tak się rozżarza,
„Albo Bóg strasznym gromem ciśnie na zbrodniarza.
„Odpowiedzcie mistrzowi, on na to ma władzę,
„Niech mi życie odbierze—ja Litwy nie zdradzę!—
Tak mówił młody Ransdorf z rumieńcem na twarzy,
A w orlich jego oczach aż iskra się żarzy,
Drga mu serce, jak fala, gdy ją wicher wzruszy: —
„Wilhelmie! wara bluźnić uczuciom méj duszy!
„Choćbyś stokroć był starszy i wiekiem, i zdaniem,
„Ciskam ci rękawicę z bojowém wyzwaniem;
„Choćbyś stokroć wprawniejszy do miecza lub młota,
„Doświadczysz, czém jest ramię, którém zapał miota!“

XIII.

Wilhelm wstał i wychylił wina róg bawoli.
— „Szlachetny zapaleńcze! powoli, powoli!
„Starsi wskażą ci drogę—tu droga jedyna
„Rycerza i kochanka, i chrześcianina:

„Prowadź przed wojskiem naszém twych łuczników
[straże.
„Krzyż albo miecz pod Pullen swe cuda okaże.
„Kochasz Egle, więc dołóż chrześciańskiéj chęci,
„Niechaj chrzestne polanie jéj czoło uświęci.
„Zdobądźcie zamek Pullen, wojownicy śmiali,
„I niech się władza krzyża nad Litwą ustali,
„A ty z ramienia mistrza będziesz tam jak książę.
„Papież chętnie twe śluby zakonne rozwiąże,
„I poczniesz z swoją Egle piękne dni wesela;
„Ona wskrześnie przez ciebie w imię Zbawiciela,
„Jakeś przez nią od śmierci doczesnéj ocalał.“
Wilhelm skończył, i znowu róg bawoli nalał,
I wyszedł, bo już zegar wybił zmianę warty.
A Ransdorf długo dumał na dłoni oparty;
Czoło jego chmurnieje, to błyśnie pogodą,
Znać myśli, co weselą, co mu serce bodą,
Znaczno nadzieję niebian lub zwątpienie ziemian,
Z aniołem, to z szatanem bawi się na przemian,
I rzekł, cisnąc we dłoniach czoło niespokojne:
— „W imię niebios, czy piekieł, ja idę na wojnę?
„Czy zbawię, czy potępię? czy Litwę, czy siebie?
„Czy się wzniosę w obłoki? czy w przepaść zagrzebię?“

PIEŚŃ CZWARTA:

I.

Urodzona z wyziewów w nadmorskiéj krainie
Straszno gdy czarna chmura swe skrzydła rozwinie,
A lecąc po niebiosach w niewstrzymanym pędzie
Z gniewnéj piersi straszliwy łoskot wydobędzie,

I z gniewnéj paszczy ciśnie błyskawiczną żmiję,
A żądłami z piorunów w starą puszczę bije,
A kędy skrzydłem wionie, kędy okiem błyska,
Już tam bucha żałobny dym pogorzeliska.
Szalony pęd jéj lotu gruzami położy
Czy to chatkę poziomą, czy to kościoł boży.
Ucieka przed nią zwierząt i ptasząt gromada,
A szyn człowieczy blednie i na twarz upada.
Ale trwożliwiéj Litwin patrzy ku Baltydzie,
Kiedy czarny jak chmura huf krzyżacki idzie.
Nie tyle straszny piorun, co błysk ich puklerzy,
Nie tyle wściekły wicher spustoszenia szerzy:
Bo tutaj ani zboże, ni wioski, ni miasta,
Ni starzec siwobrody, ni krasna niewiasta,
Ani dziecię w pieluchach, ani mąż we zbroi,
Nigdzie się nie ukryje, nigdzie nie ostoi.
Na strzechy mają płomień, a na starców noże,
Na niewiasty rozpustę i chrzest w imię boże,
A na mężów litewskich, gdy do boju zową,
Mają strzelby siarczyste i chytrość wężową.
W imię twoje mordują, pustoszą nam niwy, —
O! Jezu chrześciański, jakiś ty straszliwy!

II.

Nad strzechy litewskiemi słychać jęk puhacza:
Oto wojsko krzyżowe po nad Niemen wkracza!
Śmierć liczy pewne żniwo po niedługiéj chwili,
Bo rzadko tyle siły Niemcy zgromadzili.
Dziesięć straszliwych hufców ciągnie się koleją,
Dziesięć wielkich proporców nad ich głowy wieją.

O milę ich pancerze migocą się jaśnie,
A przy blasku ich włóczeń błyskawica gaśnie.
Gromem tętnią po błoni rumaków kopyta,
Jękiem piekieł ich trąba wojownicza zgrzyta,
A gdy trąby ucichną, z daleka ich wyda
To piosenka rozpusty, to psalmy Dawida:
Bo tu szatan rachuby i niewiary zimnéj
Umie w jedno zespolić bluźnierstwa i hymny.
Wielki mistrz z gronem wodzów i starszyzny saméj,
W białéj szacie jedwabnéj ze złotemi lamy —
Przed nim niosą chorągiew wielką, znakomitą,
Na któréj w białém polu złoty krzyż wyszyto;
On na dzielnym rumaku przodkowanie bierze,
Przy nim jadą przybyli w gościnę rycerze.
Bo niemieckie książęta, hrabiowie, barony,
Jako błędni rycerze przychodzą w te strony;
Bo jedni pięknéj chwały, drudzy przygód życzą,
Insi chcą się zapomódz pogańską zdobyczą,
Insi, czując za zbrodnie sumienia wyrzuty,
Śpieszą dopełnić ślubów lub jakiéj pokuty:
Bo w krainie Germana, Brytana i Galla
Mnich rycerzy do walki z pogaństwem zapala,
I chętnie rozgrzeszenia każdemu udziela,
Kto idzie szczepić w Litwie wiarę Zbawiciela, —
Przyrzeka, że kto zgasi zniczowe ogniska,
Ten odpust całkowity i niebo pozyska,
Zjedna dla się Chrystusa i świętą Maryę,
Kto stu pogan nawróci albo ich zabije.
A więc każdy z bojaków te słowa pamięta
I w szeregach krzyżackich stawają książęta.
Dzisiaj belgijski Nemur z ich hufcem się wiąże,
I mężny Hanneberger, z ponad Renu książę,

I Ludwik, pan udzielny brandeburskiéj ziemi,
Stają do boju z Litwą z zastępy mocnemi.
Mistrz ochoczo przyjmuje chrześciańskich gości,
Sprasza kruków do Litwy na żer jéj wnętrzności,
Wkrótce z krwawemi dzioby do jéj serca wpadną...
Tylko piersi skalistéj rozwalić niesnadno!

III.

Płyną straszliwe hufce bez końca, bez miary,
Lecą na ciężkich koniach niemieckie rajtary,
I mieszczanie z Elbląga, z Torunia i Gdańska,
I chorągiew zaciężna szwajcarska, słowiańska,
I niemieckich łuczników idzie zastęp chyży,
I burzące tarany, i działa ze śpiży,
(Niedawny wynalazek ogniopalnéj broni,
A Litwini zaledwie zasłyszeli o niéj,
A Niemcy, uzbrojeni w siłę gromowładną,
Tém pewniejsze nadzieje w swém zwycięztwie kładną).
W straży wielkiego mistrza niektóre oddziały
Noszą grzmiące rusznice, ręczne samopały;
Ale jeszcze niewprawna strzelecka gromada
Lepiéj łukiem i bełtem, niźli strzelbą, włada,
I jeszcze wielkie dla się poważanie ściąga
Stary waleczny hufiec łuczników z Elbląga.

IV.

Ransdorf został ich wodzem. Ten zaszczyt mu dany
W nadziei, że tém dzielniéj sprawi się z pogany,

Iż świadom ich zwyczajów, obeznan z ich mową,
Wwiedzie do twierdzy Pullen potęgę krzyżową.
On dochował przysięgi, danéj Lutasowi,
I o lochach tajemnych nikomu nie mówi,
I za najświętszy dla się obowiązek kładnie,
Że ufności Litwinów nie zawiedzie zdradnie,
Że wdzięczen za gościnność, co mu w Litwie dali,
Nigdzie zboża nie stłoczy, nigdzie chat nie spali,
Że spokojnych mieszkańców nigdy nie ugniecie,
Że poszanuje starca, niewiastę i dziecię.
Taką wykonał w duchu przysięgę dostojną,
Przyjmując Przenajświętszy Sakrament przed wojną;
Lecz choć serce umocnił prawowierną modłą,
Choć go wezwanie starszych na wojnę powiodło,
I choć wojnę z pogaństwem za zasługę liczy,
Uczuwa na sumieniu wyrzut tajemniczy.
A gdy jego walecznych łuczników drużyna
Dawną pieśnię pochodu chórem rozpoczyna,
Kiedy starym się snują pogadanki, żarty,—
Ich wódz milczy, na łęku u siodła oparty,
Spuszcza oczy, jak zbrodzień, gdy u sądu stanie,
A na pochmurném czole znać przykre dumanie;
Tylko swego rumaka zażywa ostrogą,
Chciałby pędzić jak strzała, ile siły zmogą.
Nadzieja doń się wdzięczy i szepce mu z cicha,
Że odetchnie powietrzem, co Egle oddycha.
Ale niegodzien doznać swobodnéj radości,
Kto do domu swéj lubéj jak wróg idzie w gości,
Kto zamiast upominków, zamiast czystych kwieci,
Nad jéj głową pożarną pochodnią zaświeci,
Kto niesie łuk i kołczan pełny ostrych grotów,
Któremi pierś jéj braci poprzeszywać gotów,

Kto na głowę jéj ojca, na święte jéj bogi,
Wyostrzył miecz morderczy i topór złowrogi.
Taki kochanek potwór—ludzkości zakała,
Bluźnierstwo taka miłość, co mu w sercu pała!
Czuje Ransdorf, że idzie jak leśny bandyta,
I nieraz miecz od boku rozpaczliwie chwyta,
Targa się przebić własne wiarołomne łono;
Lecz wiara, co od dziecka w serce mu wpojono,
Rozpaczliwe dumania w pogodniejsze zmienia
I szepce mu o dziele wiecznego zbawienia:
Że jako rycerz boży w chrześciańskiéj walce,
Nawróci lub pokona dzikie bałwochwalce,
Że przezeń może ujrzą światło wiekuiste
Synowie odrzucenia, Twoje wrogi, Chryste!
Że w bogach Litwy szatan zamieszkał widomie,
Że Znicz to z iskry piekieł rozniecone płomię,
Że kto tylko na Litwie wytępi bożyszcza,
Kto bezbożne świątynie zamieni na żgliszcza,—
Będzie wielkim w niebiesiech, siłę piekieł wydrze,
Jak niegdyś święty Jerzy, co łeb strzaskał hydrze.
Ale nad wszystkie myśli, myśl święta, jedyna
Wdzięczy się do kochanka i chrześcianina:
Że lube czoło Egli przez chrzestne polanie
Zaświeci aureolą i godném się stanie
Tego nieba, co dzisiaj przeczuwa pierś drobna,
Tych aniołów, do których jak siostra podobna.
O! jak to będzie błogo, wesoło i świetnie!
Papież kordem Piotrowym jego śluby przetnie,
A ona, dziecko niebios—chrześcianka młoda,
Drobną rączkę przed ołtarz tak samo mu poda,
Jak niegdyś w owéj strasznéj i szczęśliwéj chwili,
Kiedy tam ofiarnicy już stos rozpalili;

Tylko na pięknéj twarzy nie przestrach, nie bladość,
Lecz się dola uśmiechnie, zakraśnieje radość,
I nastaną dni piękne w szczęściu i swobodzie...

V.

Tak marzył młody Ransdorf, i rumaka bodzie,
I woła: -- „Héj do Pullen, drużyno krzyżacka!“
Ale rumak, ostrogą draśnięty z nienacka,
Wysłupił się, i spotknął, i klęknął na ziemię;
Lecz Ransdorfa żelazne nie zawiodło strzemię,
Spiął trędzlą z całéj mocy, i znów rumak stawa.
Zbiegła się doń łuczników drużyna ciekawa,
Winszują, że ze szwanku wycofał się zdrowo;
Ale starzy wojacy potrząsają głową,
A Wilhelm siwobrody szepnął do kamrata:
-- „Wolałbym nie pić wina przez całe dwa lata,
„Niż widzieć, jak się rumak przed wojną spotyka,
„Bo to niedobrze wróży szczęściu wojownika.
„Młody wódz!... zła nadzieja po takim wyborze,
„I sam zginie do licha, i nas zgubić może.
„Co nas spotka na Litwie, krew, czy miodek stary,
„Na odwagę, łucznicy, zatrąbmy w puhary!“
I ze skórzanéj sakwy nasączył w róg wina,
Wychylił i wesołą piosnkę rozpoczyna.
Za Wilhelmem łucznicy wypili, zapieli;
Ale coś i po winie sercu niewesełéj,
Ale huczna piosenka w pół taktu się utnie,
A echo gór litewskich odpowiada smutnie.

VI.

Litwa krząta się w polach, jak mrówka, jak pszczoła,
Po niwach płynie pieśnia żniwiarska wesoła,
Po lasach się rozlega róg myśliwski kręty,
Po świątyniach modlitwa i głos ofiar święty,
Pod błękitem niebiosów szczebioce chór ptaszy,
A bojowe rumaki hasają na paszy.
Czemu ich nie siodłacie? czemu nie cuglicie?
Komu miła swoboda, komu drogie życie,
Kto pragnie zdrowia dziatwy, kto pragnie czci bożéj,
Niechaj ucho wytęży, ku ziemi przyłoży,
Niechaj dymów zapyta, niechaj wiatrów bada,
Co ów tętent oznacza? i te kruków stada,
Co się zewsząd chmurami po nad Litwę garną,
Że aż ciemno na niebie, że aż w polu czarno?
A prędzéj niech porzuca i chatę, i łowy,
Niechaj sygnał myśliwski zmieni na bojowy,
Niechaj swój łuk opatrzy, da cięciwę nową
I zostrzy na kamieniu swą włócznię stalową;
A zebrawszy w drużynę jednéj matki dzieci,
Zkąd przybywają kruki, niech w tę stronę leci:
Tam może piersmi w piersi lub z ciemnéj zasadzki
Uda się wam odeprzeć lub zbić huf krzyżacki.
A nie wpuszczajcie wrogów ku domowéj strzesie,
Kędy chatki bezbronne rozsypane w lesie,
Gdzie nad bogi, skrytemi w dębowe konary,
Czuwa słaba niewiasta lub ofiarnik stary,
Gdzie się wasi ojcowie schadzają leniwie,
Kędy twój syn w kolebce lub siostra na żniwie!

Biada twemu plemieniu, biada twéj zagrodzie!
Wróg nie włócznią, to smutkiem twe serce przebodzie.
Nie zegną się pod bronią twe ręce, twe ramię,
To je żal obezsili, to rozpacz załamie:
Bo was Niemcy przezwali dziećmi Belzebuba,
Wytępiać wasze plemię to największa chluba.
W białych płaszczach z krzyżami to goście pamiętni;
Na litewskim podwórku, gdzie ich koń zatętni,
Bądź już gotów, mieszkańcze, na twą śmierć widoczną:
Wnet ogień i żelazo gospodarzyć poczną,
Krwią bryzgną piersi starców, niemowląt, kobiece,
I rumak, co przy żłobie, i pszczółka w pasiece,
Wszystko legnie od strzały, pożaru lub młota,
Aż do drobnéj jaskółki, co w oknie szczebiota.

VII.

Po Litwie wciąż plondrują krzyżackie pałasze,
A bezbronni mieszkańcy, jak pisklęta ptasze,
Widząc srogiego sępa, co już wnet uderzy,
Gromadzą się i tulą pod skrzydła macierzy,
O dziesięć mil w około zbierają się w grona,
Śpieszy do zamku Pullen ciżba przepłoszona.
Margier otwiera wrota—spotykać wychodzi:
A dziesięć wielkich czółen i rybackich łodzi
Snuje się wciąż po Niemnie, wyściga się, śpieszy
Gwoli mężów, i niewiast, i kapłanów rzeszy.
Z dziesięciu bujnych łanów wymłócono żyto,
Pięćdziesiąt tucznych wołów na pokarm zabito,
Nawarzono ałusu, nasycono miodu.

Margier ma karmić dziatwę swojego narodu,
Jako ów ptak zamorski — pelikan mu imię —
O którym powiadają powieści pielgrzymie,
Że kiedy wygłodnieją, kiedy żer niełatwy,
Własne piersi rozdziera na pokarm dla dziatwy.
Tak i Margier, szczęśliwy, że doń przyszli swoi,
Chętnie sercem nakarmi, krwią własną napoi,
Podzieli się i chlebem, i sercem, i siłą,
Byle Litwie niegłodno i bezpiecznie było.
Do Pullen niech już idą rycerze krzyżowi:
Tam przyjąć najezdników od dawna gotowi,
Tam kamiennych toporów i włóczeń ze stali
Dawno już naciosali, dawno nakowali;
Wielkie stosy kamieni zniesiono na wieżę,
Na zgruchotanie karków zakutych w pancerze;
Wyjeździli rumaków doznanych w gonitwie —
A piersi bohaterskich nie zabraknie w Litwie.
Jeśli Krzyżak na polu Litwinów pokona,
To jeszcze twierdza Pullen, od Niemna broniona,
Z wysokiemi basztami i podziemnym lochem,
Nie tak snadno ją zdobyć siłą lub popłochem.
Na basztach czujna warta przechadza się wokół,
W zamku Margier tak mężny, tak czujny, jak sokół,
Pod ziemią strasznych bogów i Marti mieszkanie,
Tam się Litwa wspomoże, kiedy sił nie stanie.
Choćby już wzięła zamek drużyna krzyżacza,
Z Poklusem i Perkunem niechże walkę stacza,
I na pioruny bogów, na Litwy postrzały,
Niech się Krzyżak posunie, jeśli taki śmiały;
Jeżeli mąż się spodli i straci nadzieję,
Niewiasta garnek wrzątku na oczy mu wleje.

VIII.

Tak Margier sprawę Litwy ubezpieczył wcześnie;
Ale cierpiał jak ojciec — ach cierpiał boleśnie!
Gdy od stosu umknęła dziecina niemiecka,
Zgadł wyrodne uczucia w sercu swego dziecka,
I wzdrygnął się na myśli karmione kryjomu,
Niegodne córki Litwy z książęcego domu,
Tak sprzeczne z nienawiścią, co ku Niemcom chowa.
Zakipiał... drżąca ręka już była gotowa
Rzucić się na krew własną z morderczém żelazem
I uczucie z jéj piersi wyrwać z sercem razem.
Ale opuścił ręce, spogląda i bada,
Że Egle taka smutna, milcząca i blada;
Pożałował nieszczęsnéj, co cierpiała tyle,
I sercu ojcowskiemu dał folgę na chwilę;
Przytulił do swych piersi ofiarę niedoli,
Przebacza jéj cierpienie i sam nad niém boli;
I mówił w głębi ducha: — „O biedna ty, biedna!
„Mściwe są bogi nasze, a któż ich przejedna?
„Skupi się na cię zemsta i niebios, i ziemi.
„Egle! a ja twój ojciec, rękoma własnemi
„Będę musiał cię przywieść przed boże ołtarze,
„Jeśli niebo swéj zemście poświęcić cię każe!“

IX.

A zemsta nieśmiertelnych niedługo się zwlekła.
Stanął przed starą Marti straszliwy bóg piekła,

Objawił, jak umknęło krzyżackie pacholę,
I dał uczuć swą zemstę, dał wiedzieć swą wolę.
Gdy wróżbiarka, Poklusa pośredniczka szczera,
Zażądała krwi Egli za krew Krucygiera,
Aby przebłagać bogów, a z Litwy zmyć zakał, —
Margier nawet nie zbladnął, nawet nie zapłakał.
Przywiódł Eglę przed ołtarz i tak mówił do niéj:
— „Córko moja, od śmierci ojciec nie uchroni.
„Tyś wydarła ofiarę z pod kapłańskich noży,
„Poklus na mnie, na ciebie, na Litwę się sroży.
„O! nie ściągaj na Litwę cierpienia niedoli!
„Ja czuję, żeś ty młoda, że cię serce boli;
„Ale twoje uczucie jest bogom w ohydzie,
„Niewolno im złorzeczyć, bo o Litwę idzie.
„Tyś Krzyżaka przed śmiercią ocaliła srogą,
„Umrzesz na jego miejscu — umieraj, niebogo!
„Ja twój ojciec... wódz Litwy... nie cofnę się wcale,
„Ja sam topór naostrzę, ja sam stos rozpalę,
„I niech zgon, dokonany wedle niebios woli,
„Litwę od takich grzechów na zawsze wyzwoli.
„Bo na niebie, na ziemi nie ma cięższéj zbrodni,
„Niż gdy się z wrogiem złączą ziomkowie wyrodni.
„Lecz wróg, zbawion od śmierci, ku większéj ohydzie,
„I zemścić się, i sercu urągać się przyjdzie.
„Litwini! znacie moje rozkazy książęce:
„Choćbym płakał jak dziecko, choćbym łamał ręce,
„Zawiedźcie ją do lochów najgłębszéj otchłani,
„Dopóki wyrok niebios nie spełni się na niéj,
„A przystęp niechaj będzie każdemu zawarty,
„A choćbym ja sam błagał—słyszycie mię, warty!—
„Biada temu, kto tknięty żalem lub obawą,
„Wpuści choćby jéj ojca, pomimo łzę krwawą!“

Tak mówił groźnym głosem niezachwianéj woli,
Jakby serce z kamienia nic a nic nie boli;
Schmurzył czoło, brew mężką nacisnął na oczy,
Lecz z jego orlich źrenic łza się nie potoczy.

X.

Ludno i gwarno w zamku przywykłym do ciszy,
Ledwie zdoła pomieścić tysiącznych przybyszy.
Uwijają się tłumy i konno, i pieszo;
Mężowie ostrzą miecze i kamienie krzeszą
Na topory i młoty, na dzidy i strzały,
(Oręż ze staroświeckich czasów pozostały),
A poważni starcowie, zszedłszy się do rady,
Opowiadają dawne krzyżackie napady,
Ciosają krzepkie drzewca do stalnych bardyszy
I uczą władać bronią młodszych towarzyszy.
Najstarszy z między starców, Lutas siwobrody,
W gromadzie wojowniczéj zwija się jak młody;
Piorunny jego okrzyk na chwilę nie zmilczy;
Przywdział do góry włosiem szubę z sierści wilczéj,
I sutym łbem z leśnego niedźwiedzia odartym
Przystroił siwą głowę, i napuścił hartem
Swój topór staroświecki, wyprobowan laty,
I na brusie kamiennym toczy miecz szczerbaty.
Wąsy białe jak mleko najeża do góry,
I brodę, co od szaréj, kudłatéj wilczury
Dziwnym blaskiem odbija; a zgrzybiała ręka,
Co trzęsła się niedawno, gdy w struny zabrzęka,
Podźwiga ciężki kamień aż na górę wieży,
I biada łbom krzyżackim, gdy na nie wymierzy!

Okrzyk wojny odmłodnił odrętwiałe kości,
Trąbka wskrzesza w nim ducha dawniejszéj dzielności,
Pod bronią wyprostował pochyloną szyję,
A poczuł, że krew młoda do serca mu bije.
Tak Niemen, obumarły pod bryłą lodową,
Gdy się wiatrem wiosennym odżywi na nowo,
Silniejszym wirem pędzi ku cichéj zatoce
I mocniejszemi ciosy w brzeg piaszczysty grzmoce.
Zgrzybiałéj starca twarzy i mętnéj źrenicy
Jakby Perkun użyczył ognia błyskawicy,
Czarodziejską potęgą tak iskrzy się z dala
I najlękliwsze piersi do męztwa zapala.
— „Héj! — woła — naprzód Litwo! na mury, na [wały!
„Ażeby duchy ojców was nie przeklinały,
„Ażeby wasze dzieci wyrastały krzepko!
„Widzicie? miecz krzyżacki tuż nad ich kolebką!
„Słyszycie? psalm niemiecki już zatrząsa knieję!
„Oto już dym pożarny z za lasu czernieje...
„Patrzajcie, tam, na lewo! naprzeciw Puniały
„Sztandar wielkiego mistrza połyska się biały!
„Widzicie liczny hufiec, co téj szmaty strzeże?
„Złocisto żwirowane błyszczą ich puklerze.
„Do łuków, dzieci Litwy! powitajmy gości!
„Zaraz się brzeg niemnowy trupami umości.
„Do łuków! niechaj każdy jedną pierś rozbija,
„Bo tutaj w każdéj piersi niebezpieczna żmija!“

XI.

Tak Lutas krzyczał z góry, ile piersi zmogą,
A dziesięć trąb rogowych ozwało się trwogą;

Od nich w każdym wąwozie i na każdéj niwie
Echo po dziesięć razy zawrzasło chrapliwie.
A z tamtéj strony Niemna płyną insze tony:
Dźwięk muzyki kościelnéj, pięknéj, wyuczonéj,
I w takt łacińskiéj pieśni, bez końca, bez miary,
Wysuwają się z lasu krzyżackie rajtary.
Biała chorągiew mistrza pierwszy plac zabiera,
Daléj sztandar, a na nim herb Hannebergera,
Daléj z za każdéj sosny, z za dębu, z za jodły,
Różnobarwne jak kwiecie hufce się powiodły.
Żelazem wszystkie piersi, wszystkie błyszczą głowy.
Stanął naprzeciw Pullen jakby mur stalowy
Popisany krzyżami: bo wszyscy pancerni
Przywdzieli białe płaszcze—na nich krzyż się czerni,
Że na całém ich wojsku, bez końca, bez liku,
Jakby na chrześciańskim starym mogilniku.
Litwa widzi znak śmierci — i strzela w te krzyże,
Dufając, że je zwalczy, że na wskroś przeniże,
A wzywając ku szczęściu swe bogi ojczyste,
Twojemu znamieniowi urąga się, Chryste!

XII.

Z tych okien i ze strzelnic, od Perkuna dzieci,
Jedno tylko westchnienie ku krzyżowi leci:
Egle, na śmierć sądzona, przed jutrem swéj kaźni
Jeszcze marną nadzieją biedne życie draźni.
W lochu swego więzienia, przy okienku ciemném,
Widzi, jak huf Krzyżaków snuje się nad Niemnem;
Nauczona od dziecka, że Krzyżacy podli,
Chciałaby ich przeklinać — a jednak się modli.

Westchnąć ku swoim bogom daremno się kusi,
Krzyż jest bogiem Ransdorfa—potężny być musi;
A swych uczuć nie mogąc utrzymać na wodzy,
Jękła: — „Bogowie Litwy! za nadtoście srodzy!
„Przygwożdżony do krzyża i w koronie z cierni,
„Bóg Krzyżaków pogląda ku mnie miłosierniéj;
„On od śmierci mię zbawi, on te baszty skruszy,
„On przyniesie pociechę bolejącéj duszy.
„I przyjdą tu krzyżowi wojownicy biali,
„Ja obaczę Ransdorfa — i on mię ocali.
„Zamiast ginąć, jak trawa, gdy ją zetną kosą,
„Ja ucieknę z Ransdorfem gdzie oczy poniosą,
„Nad morze, w kraj niemiecki, pod Chrystusa wła-
[dzę...
„Mego ojca opuszczę, moich bogów zdradzę...
„Zbrodniarka!! cóż wyrzekłam? O święci bogowie!
„Gdzie są wasze pioruny zadać cios méj głowie,
„Skrócić moje dni młode, które zbawić życzę,
„Wypalić z mego serca uczucia zbrodnicze?...
„Ojcze! jam twoja córka!... gdzież moja odwaga?
„Ja się cofam, gdy Poklus ofiary wymaga
„Dla ocalenia Litwy! Co znaczy ta skarga?
„Czemu się serce moje na dwie strony targa?...
„Ransdorfie! tyś wróg Litwy! — giń w jednéj godzi-
[nie...
„O nie! raczéj niech Egle, niechaj Litwa zginie...
„Bogowie, których Niemcy, czy Litwini chwalą!
„Którzyście potężniejsi, niechaj go ocalą —
„Tych przeklnę, co ze wszelkiéj litości wyzuci;
„Tego uznam za boga, kto nam szczęście wróci!“
Tak, złamana rozpaczą, nieszczęsna dziewczyna
Modli się, błogosławi, złorzeczy, przeklina,

To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona,
Aż na surową ziemię upadła zemdlona.

XIII.

A z lasu, z po za Niemna słychać huk donośny:
Ścina topór niemiecki jedliny i sosny;
Jak szeregi bojaków ugodzone młotem,
Walą się stare drzewa z ponurym łoskotem,
Aż się echo borowe zatrzęsa z daleka.
Spłoszone ptactwo leśne chmurami ucieka,
Ulatuje nad Niemnem, nad warowni dachem,
Śpieszy k'Litwie na skargę, dzieli się przestrachem.
Bogowie, co te lasy mieli pod obroną,
Z wiatrem głuche przeklęctwa na łupiezców zioną.
Ustała święta cisza nad zamczyskiem starém,
Kipi całe powietrze tysiącznym rozgwarem,
Poprzepłaszane ptactwo wrzeszczy na zatoce,
Tętni topór po kłodach, sosna się druzgoce,
Rżą rumaki rajtarów, trąbka gra sygnały,
A szumnym rozhoworem gwarzy obóz cały.
Po borze, po nad wodą i po błoni płaskiéj
Echo zaledwie zdoła dopędzić te wrzaski,
W niesforną całość tonów naprędce je składa,
I zda się wciąż powtarzać: zagłada! zagłada!
Każde cieniste drzewo, co zwalone padnie,
Odsłania albo ciżbę skupioną bezładnie,
Albo hufiec szykowny już do boju gotów;
Wznosi się jakby miasto biały rząd namiotów,
Migotają proporce, jak kwiaty nad błonią;
Najwyższy namiot—kościoł, już tam na mszę dzwonią.

Mały miedziany dzwonek gdy zabrzęknął z wolna,
Umilknął łoskot siekier, i wrzawa swawolna,
I surma obozowa — w jedno mgnienie oka
Dokoła znów się cisza rozlega głęboka.
Aż ptactwo ośmielone, gdy je cisza mami,
Poczęło z wolna krążyć tuż nad namiotami,
Ucieka, to powraca, i żałośnie kwili,
I szuka drzew znajomych, i gniazd, co zburzyli.
Margier z wysokich wałów gniewném okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska:
Widzi szereg pancerny nad Niemnem rozwity,
A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście,
Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście.
Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
A na polach litewskich nie braknie kamieni.
Daremnie w hełm uzbrajać i głowę, i szyję:
Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije,
A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
Bohaterskim zamachem w ich serca uderzą.
Z napiętemi łukami, celując z daleka,
Ciżba Litwy na wale tylko hasła czeka.
Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko:
— „Ha! złoczyńcy! namioty rozpięli za blizko,
„Nasze strzały dolecą, jeszcze pędu stanie —
„Hej! puścić chmurę żądeł na ich powitanie!“
I już łuk swój dębowy napiął do wystrzału,
Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomału,
U Krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna, do boju gotowa,
Uklękła — snadź się modlą. Margier łuk natęży:
Oto mistrz, ze starszyzną i z orszakiem księży,

Idzie z wolna pod namiot, gdzie kościoł ubrali;
Poznał go wódz litewski pomimo oddali,
Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
Chciał już strzałę wypuścić; lecz serce zadrżało:
— „Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie
[mierzy,
„Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy:
„Oni modłą zajęci poklękli na ziemi.
„My nie walczym z ich bogiem, jak oni z naszemi.
„Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
„Nie mogą się w téj chwili spodziewać zaczepki,
„Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie!“
Rzekł, odpuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika posłyszy,
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha,
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

XIV.

Trwa cisza uroczysta... Wtém z lasu znienacka
Odezwała się trąba miedziana krzyżacka,
Zagrał potém głos drugi i sto głosów za nim,
Aż zabrzękło powietrze chrapliwém zgrzytaniem.
I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratew spuszcza.
Tłum się ciśnie na pomost, aż zatapia drzewa,
A na każdéj z tych tratew chorągiew powiewa.
Zadrgał Niemen — wioślarze uderzyli w wiosła,

Połowa wojsk krzyżackich żwawo się poniosła.
Margier skinął, wycelił,—i z tratew, co płyną,
Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głebiną,
I zajękło sto piersi wyziewając ducha,
I sto trupów krzyżackich do głębiny plucha.
Wioślarze przyśpieszają i wiosła, i drąga,
Kipi Niemen—rząd tratew pod wały nadciąga.
Z przeklęctwem wystrzeliły krzyżackie łuczniki,
Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki,
I kilka mężnych trupów od strony Puniały
Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
Aż w niemnowéj topieli drgnął łoskot ponury,
Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

XV.

Przybijają do brzegu najezdnicze tratwy;
Lecz wybrzeże urwiste, a przystęp niełatwy,
A nad głową na wałach Litwinów gromada,
I grad ciężkich kamieni na krzyżowców spada.
Lecz choć wisi już nad nim mordercza siekiera,
Książę saski odważnie na górę się wdziera,
A wśród hucznych okrzyków, że aż słychać w lesie,
Za nim ciżba pancerna po wąwozach pnie się.
Już doszli napastnicy do połowy wałów,
Już głowy najezdnicze wolne od wystrzałów,
Kiedy na płytkim głazie w mordercze objęcia
Stary Lutas pochwycił niemieckiego księcia,
I cisnął go na ziemię tak potężnym rzutem,
Aż stęknął żwir pod ciałem w żelazo okutém,
I młotem tak mu silnie do piersi uderza,

Że aż zgrzytnął blaszany napierśnik rycerza.
Ale Krucygier zręczny, jak liszka, jak żmija,
Wstaje, skręca się, z ramion litewskich wywija,
I nim się starzec spostrzegł—tak go mieczem płatnie,
Że Lutas padł, wydając jęczenia ostatnie.
Zerwał się — jeszcze zamach ostateczny czyni,
Już mu śpieszą na pomoc zawzięci Litwini,
Gdy Rudolf, książę saskie, skinął na Krzyżaki:
—„Zabierzcie go! nam dzisiaj przyda się dziad taki!
„Musi znać przejścia twierdzy—odprowadźcie dziada,
„Niech go tam Ransdorf Warner najściśléj wybada.
„Póki z cielska zgrzybialca dusza nie uciekła,
„Nim szatan poganina pochwyci do piekła —
„Pod mękami niech nasze zawiadomi wodze
„O murach, lochach zamku, o całéj załodze.“
Rzekł, a jego żołdacy w téjże saméj chwili
Konającego starca na ręce chwycili,
Zbiegli z krętego wału, zanieśli do łodzi.
A choć ze staréj głowy krew bystro uchodzi,
Lutas wyciągnął ręce jak szpony jastrzębie,
Chwycił jednego z Niemców i w niemnowe głębie
Strącił z łodzi — i upadł na ręce wioślarzy,
Bełkoce nieprzytomnie, coś o bitwie marzy.

XVI.

Już Niemcy wał zdobyli — do warownéj ściany
Wloką burzące działa, grzmotliwe tarany.
Huknął straszliwy łoskot, aż się wstrzęsły góry.
Margier ścian swoich broni; jego głos ponury,

Choć Krzyżaków napełnia zwątpieniem i trwogą,
Ale wszyscy Litwini słyszeć go nie mogą.
Cóż litewscy bojacy? Liczba ich niedługa,
A reszta — motłoch trwożny, uciekły od pługa,
Ciska strzały na oślep, z rąk bardysze roni,
Ścianę osłania piersmi, lecz jéj nie ochroni.
Grzmotnął armatni wystrzał, jak piekieł widziadło...
Runął mur, pękły balki, pół ściany odpadło.
Jeszcze chwila... a jeśli nie odeprą krzepko,
Wnet się Niemcy zapastwią nad dziatwy kolebką!
Taka myśl rozpaczliwa i okrzyk Margiera
W ich piersiach budzi męztwo, co już obumiera.
Choć zgruchotane ściany, obalone głazy,
Pierś jest murem warownym, mocniejszym sto razy
Od wypalonych cegieł i twardych kamieni;
Poczuli to litewscy męże zrozpaczeni,
I jakby nową siłą Perkun ich obdarza,
Jakby zstąpił sam Poklus ze swego ołtarza,
Tak w obec nieprzyjaznych taranów i kuli,
Nieśmiertelną odwagę w swéj piersi poczuli.
W poszarpanych odzieżach, okryci kurzawą,
Dobyli sił ostatnich na obronę krwawą;
Krzycząc z ochrypłéj piersi usty spalonemi,
Uderzyli zajadle na wroga swéj ziemi.
Niemieckiém szwargotaniem wzywając Maryę,
Krzyżak ciężkiém żelazem każdy cios odbije.
A kiedy lotna strzała nie służy z poblizka,
Przy obalonéj ścianie dwoje wojsk się ściska,
W jedną potworną całość zlewa się i splata,
Jak gdyby fala czarna, ruchoma, iskrzata.
A co raz ciężkie ciało do Niemna się zwali,
Trąba zgrzyta, krew świszcze, stal brzęczy po stali,

Ziemia stęka, jak gdyby wzruszona do głębi,
A wiatr gęstą kurzawę pod niebiosa kłębi,
A gwarny wir bojowy kipi tak bezładnie,
Że ucho nic nie schwyci, oko nic nie zgadnie.
Wzięli górę kudłaci wojownicy w czerni:
Staczają się po wałach rycerze pancerni,
Niosą rannych i trupów znakomitszéj braci;
A kto życia nie stracił, ten już siłę traci,
Zbiera pogięte hełmy, potrzaskane miecze
I ucieka od Litwy — nie zawsze uciecze:
Owdzie oszczep ciśnięty z Margierowéj dłoni,
Owdzie strzała swém żądłem kamienném dogoni,
I trupem go położy, skarze za bezprawia.
Już się tratwa po tratwie za Niemen przeprawia,
A nim jeszcze wioślarze skręcą przy zatoce,
Kamień z góry zepchnięty po ich tratwach grzmoce,
Złamie sosnowe kłody lub balki rozdzieli,
I trwożnych niedobitków pogrąża w topieli.
Krwawe słońce zachodzi, świat grąży się w ciemnie,
Wszędzie krew: na niebiosach, na ziemi, na Niemnie,
Na twarzy bojowników, i na ich odzieży,
I na ostrzach orężów, co żer miały świeży.
Wreszcie krzyżowe hufce opuściły wały,
Tylko same Litwinów garstki pozostały;
A na ich czele Margier, na włóczni oparty,
Każe niecić ogniska, rozporządza warty;
A cała jego odzież zbryzgana posoką,
Twarz blada, krwią zabiegło bohaterskie oko,
A miecz jego morderczy, gdy się żniwo kończy,
Silnie utkwiony w ziemię krew kroplami sączy.

XVII.

Wokoło wodza ciżba strudzona i cicha
Trupy Niemców do Niemna pogardliwie spycha;
Nie odziera ze zbroi, bo za nadto śpieszy.
Legł mężny Hanneberger, pan niemieckiéj rzeszy,
Znany rycerz turniejów, co z żywą ochotą
Szedł z Krzyżaki na Litwę po laury i złoto;
Książę saski przez ramię dostał cięcie żwawe;
Poległ komtur z Elbląga, co radził wyprawę;
A Wilhelm, stary łucznik, co na miód się kwapił,
Zamiast kowieńskich lipców, krwi własnéj się napił,
Padł przy zachodniéj baszcie przywalony cegłą.
A co prostych rajtarów i knechtów poległo,
Pan tylko z górnych niebios policzyć to może,
I na cię, wielki mistrzu, hrabio Teodorze,
Policzy krwi ich winę!

XVIII.

— „Jutro plon się pożnie, —
Rzekł Margier sam do siebie i zwrócił pobożnie
Bohaterskie spojrzenie ku wieczornéj zorzy: —
„Ausko święta! tyś bóztwo, w tobie ogień boży,
„W tém żarzewiu kraśnieje potęga i siła;
„Dzięki, żeś jego iskrę w piersi nam rzuciła!
„Wróg odparty na chwilę, gdy wróci na dłużéj,
„Krasna jutrznio! twój promień niech nam szczęście [wróży!
„Do roboty, Litwini! za nami są nieba!
„Zgruchotano nam mury, naprawić je trzeba.
„Ciosajcie nowe ściany i kamienie znoście,
„Przez noc niech stanie baszta, bo znów przyjdą goście.

„Niewiasty i starcowie niech naprawią wieżę,
„A mężowie od boju, spożyjcie wieczerzę,
„I niech każdy wychyli miodu pełną czarę,
„Najpierwszą wlać na ogień bogom na ofiarę.
„Rozłammy chleb na braci pogrzebowéj stypie:
„Może jutro nas kurhan bojowy przysypie.
„Kapłani, grajcie w gęśli, rozpocznijcie pieśnie,
„Niewiasty, zaprzestańcie płakać tak boleśnie;
„Kto dziś został sierotą po ojcu, po bracie,
„W Litwie matkę, a we mnie brata pozyskacie.“
Rzekł, złożył hełm na trawie, wyzuł się ze zbroi,
I spłakanym sierotom chleb dzieli i kroi,
I do siwego starca, i do biednéj wdowy
Przepija czarą miodu obchód pogrzebowy.
Na wałach gwar i życie spokojne powraca,
Przy bojowych ogniskach wieczerza i praca,
W Niemnie iskrzą ogniska, a po całéj niwie
Echo nocne odgłosy powtarza leniwie,
I krzyżackie piosenki, i modlitew szmery,
Jęk ranionych, gwar ludu i łoskot siekiery.

Pieśń piąta.

I.

Ransdorfowi, co pełnił odwodowe straże,
Wielki mistrz na bój pierwszy puszczać się nie każe;
Chrobre jego łuczniki o jutrzejszym świcie
Pójdą na bój morderczy na śmierć i na życie:

Starszyzna, rozjątrzona dzisiejszemi klęski,
Na jutro przepowiada swój tryumf zwycięzki.
Bez dzwonu i bez pieśni, przy modlitwie cichéj,
Znakomitszych zabitych pochowały mnichy,
Aby, słysząc z daleka pogrzebowe tony,
Nie brał większéj otuchy poganin wzgardzony,
Albo niegodnym śmiechem szyderczéj radości
Nie dał w urągowisko chrześciańskich kości.
Wedle namiotów wodzów palą się ogniska,
A krzyżackie rycerstwo otacza je z blizka,
A przy każdém ognisku ksiądz w komży i stule
Przemawia do rajtarów pobożnie i czule,
Zagrzewa do odwagi, by walczyli śmieléj,
Wróży zabitym niebo, bo w Panu zasnęli,
I z Biblii przytacza wzory znakomite
Samsona, Machabejów, Deborę, Judytę,
I uciśnionéj Litwy bałwochwalcze syny
Równa z Amorejczyki albo Filistyny,
A przekształcając Pismo gwoli swéj potrzebie,
Woła z Mojżeszem: — „Wodze! zbierzcie lud do sie-
„Idźcie pod mury miasta, głosząc spokój boży; [bie,
„A kto was nie usłucha, kto bram nie otworzy,
„Rozpocznie z tobą wojnę, — niechaj ginie zgoda.
„A gdy Pan Bóg bezbożnych w wasze ręce poda,
„Wszędzie mieczem straszliwym spustoszenie nieście,
„Niech padną głowy męzkie i głowy niewieście,
„Niech sprośni bałwochwalcy giną w jednéj chwili,
„Aby was nieprawości swych nie nauczyli.
„Przez wasze mściwe ręce Bóg niewiernych karze;
„W pień wyniszczcie ich głowy, w popiół ich ołtarze!“
Takiemi okrzykami mnich wytęża płuca,
W zapale fanatycznym miota się i rzuca,

Krew mu kipi w źrenicach, a na uściech piana,
I śpiewa pieśń Judyty, padłszy na kolana:
— „Panie! spójrz na obozy assyryjskiéj czerni...
„Niech się w niwecz obrócą, niech giną niewierni!
„Napróżno w swoją liczbę ufa motłoch ślepy,
„W swoje tarcze i strzały i w swoje oszczepy,
„A nie wie z kim prowadzi świętokradzkie boje,
„Że ty sam kruszysz miecze, a Pan imię twoje!
Tak mnich pokrzepia w wojsku upadłego ducha,
A żołdactwo pobożnie kaznodziei słucha,
I nadzieję wygranéj już pewniejszą liczy,
I napawa się myślą bogatych zdobyczy.
W innym zasię namiocie mnich na tarczy siedzi,
Udziela rozgrzeszenia i słucha spowiedzi,
Bo jako napisano w zakonnym statucie:
„Gotujcie się do boju w żalu a pokucie,
„Bądźcie zbrojni w zasługę, a cnotą orężni,
„Niewinność chrześciańska niech serce umężni."
Krzyżactwo, pisanemu wierne zakonowi,
Jeden grzech wyspowiada, nim drugi ponowi,
Zmiata z serca wspomnienia ominionych zbrodni,
Aby nowym gadzinom lęgnąć się wygodniéj.
I przy blasku smolnego drzewa lub łuczywy
Przenajświętszy Sakrament dzieli mnich sędziwy
Poklękłemu rycerstwu i knechtów czeladzi:
—„Oto Baranek Boży, który grzechy gładzi!"
Dzwonek brzęczy, ksiądz pieje, a cała gromada
Długiemi szeregami na kolana pada,
A blask smolnych pochodni miga uroczyście
Między konary sosen i dębowe liście.

II.

Białe wodzów namioty na zielonéj darni
Od ognia, co w nich gore, sieją blask latarni.
Ztamtąd nie bierze chwały Odkupiciel świata,
Tam nikt z braci w kościelny dzwonek nie kołata:
Zamiast modłów szeptanych pobożnemi usty,
Słychać brzękot puharów i piosnkę rozpusty:
Tam śpiewak obozowy, minnesinger stary,
Wypieszczonemi takty rwie w struny cytary;
Nie pomnąc, jak jest świętą dostojność śpiewacza,
Lubieżne krotochwile bezczelnie przytacza.
Pijane serce wodzów w takt bordonu tętni;
Otaczają śpiewaka rycerze namiętni,
Gromada, strojna w togi i zakonne płaszcze,
Na słowa nieprzystojne śmieje się i klaszcze.
Najdzielniejsi wodzowie, najgorliwsi księża,
Każdy ku brzydkiéj pieśni uwagę natęża,
Nalewa pełny puhar niemieckiego wina
I wtórować śpiewaczym tonom rozpoczyna.
Piosenka i modlitwa, i dziki gwar szału
Nad obozem krzyżackim wznoszą się pomału,
A nieskalane echo litewskiéj pustyni
Powtarza je po cichu, snadź gwałt sobie czyni.

III.

Ransdorf w swoim namiocie, jak zakonnik w celi,
Siedzi jeden, powszechnéj ochoty nie dzieli.
Myśl o Egli, od czasu gdy ujrzał swobodę,
Ochrania od skażenia jego serce młode.

Bo hulacka piosenka szału i rozkoszy
Boleści rozpaczliwéj z serca nie wypłoszy!
Na zgryzotę sumienia, ach, niełatwa rada,
Winem nie zalać iskry, co mu pierś przejada.
On klęczał przed ołtarzem i modlił się codzień,
Winił się na spowiedzi, jak najcięższy zbrodzień,
Przedstawiał swą niewdzięczność w straszliwéj po-
Jako Litwie żelazem za gościnę płaci. [staci,
Ale mnich, co go przyjął na pokuty łono,
Co chciał wskrzesić do życia duszę zrozpaczoną,
Napróżno doń przemawiał w imię sprawy bożéj,
Zamiast ranę wyleczyć, rozjątrzył ją srożéj.
Bo słysząc, że dla Boga walczą się te kraje,
Że zdrada w imię Pańskie zdradą być przestaje,
Zachwiał się młody łucznik w młodocianéj wierze,
I coś mu było ciężko, gdy mówił pacierze;
Pierzchły swobodne myśli z ociężałéj głowy,
A piersi jakby kamień przywalił grobowy.

IV.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.
—„Wodzu—rzecze—bojowe przynosim ci dary,
„Jest to umierający bałwochwalca stary.
„Waleczny książę saski (niechaj żyje zdrowo!)
„Zwalił starego czarta siłą Samsonową,
„A póki dusza w cielsku, przytomność w umyśle,
„Poleca waszéj cześci wybadać go ściśle

„O tajnych lochach zamku, któremi się wciska,
„Aby węża wykurzyć z jego legowiska.
„Nie zdobyć zamku szturmem: silną ma obronę,
„Jak liche gniazdo sępie do skał przyczepione;
„Ale ten dziki starzec, przyciśniony nożem,
„Opowie insze drogi, któremi wejść możem.
„Przynosim go pod samy namiot waszéj cześci;
„Ależ to silny Litwin, ze sto czartów mieści,
„A całe staje ziemi zawalił swém ciałem,
„A takiéj długiéj brody nigdy nie widziałem,
„A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha,
„Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha."
Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,
A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
Wychodzi przed swój namiot.

V.

Tam z powisłą głową
I z przebitemi pierśmi, skrępowany w sznury,
Leżał Lutas, otulon szmatami wilczury;
Odarty ze przyłbicy, i z miecza, i z młota,
Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,
Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,
Po jego siwéj brodzie płynie krew zapiekła.
Ransdorf skinął—i z ramion rycerskiego dziada
Ocięto gruby powróz, co ręce przejada;
A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,
Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny;

Tylko całą potęgę i duszy, i ciała
Skupił w dzikiéj źrenicy, co krwią zakipiała.
Raz spojrzał na Ransdorfa, tak dziko, tak hardo,
Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą,
I jęknął: — „W uroczystéj śmiertelnéj godzinie
„Witaj, młody rycerzu i chrześcianinie!
„Mianowano cię wodzem... los godzien zazdrości!
„Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
„Witam cię i pozdrawiam przeklęctwem méj ziemi,
„Które Litwa wyrzecze nad kośćmi mojemi.
„Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłém, —
„Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
„Co jéj niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała?
„Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
„Przeklęctwo, ej! przeklęctwo pozostanie po mnie!...
„Tyś, zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
„Tak uczy wasza wiara i wasi prorocy,
„Za chleb ofiarowany rzucić kamień z procy,
„Za uścisk płatnąć mieczem—tyś dziecko bezprawi,—
„Niewinien srogi tygrys, że się we krwi pławi.
„Lecz ten godzien zaginąć w piekielnéj czeluści,
„Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści...
„Oto krew naszych braci, płomień naszych żgliszczy
„Słyszę z dala jak huczy, przelewa się, świszczy,
„I gorącym potokiem leje się do łona,
„I miga przed oczyma jak chusta czerwona...
„Wkrótce ty sam obaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
„Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
„Ja słyszę, jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
„Jak płacze każda matka i każda dziecina,
„Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
„W którą topór kapłański w téj chwili uderzy

„W zamian za twoją głowę—niechaj mnie przeklina!
„I tutaj moja zbrodnia, i tu moja wina.
„Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
„Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
„Dla czegom jéj nie zabił? Jedném cięciem mojém
„Obdarzyłbym i Eglę, i Litwę spokojem!
„Czemum ci nie dał zginąć na ofiarę piekła?
„Czemu ze starych oczu łza grzeszna pociekła?...“—
Tak Lutas, słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnéj murawie targa się i rzuca,
I ręce to wypręża, to do prośby składa:
„Młodzieńcze! jeszcze jedna została ci zdrada:
„Ukazać loch tajemny... O! rycerzu krzyża!
„Patrzaj, oto się Lutas do prośby poniża.
„Błagam cię, wiarołomco, w imieniu méj ziemi:
„Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
„Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
„Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...
„Szalony! co ja czynię, i co mi się marzy?
„Że wpół drogi zbrodniczéj zatrzymam zbrodniarzy?!
„O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
„Jak wilki do owczarni, niech podkopem wnidą,
„Niech zburzą gród Margiera Niemcy wiarołomni!...
„Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
„Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste.
„O przybity do krzyża chrześciański Chryste!
„Ciśnij z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
„Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
„Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
„Ja się zemszczę... Do łuków! do mieczów, młodzieńce!
„Brońcie wejścia do lochu! bo już wróg napada!
„Powiedzcie Margierowi... że w obozie zdrada,

„Że Lutas... zdradził Litwę!...“—Tu oddech się zatnie;
Ryknął lew strasznym płaczem—ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, litewskiéj mowy nie rozumie,
Jednak wszyscy pobledli, każdy oddech ścina;
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:
— „Oto — rzecze — poganin chrztu świętego prosi,
„Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
„Śpieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!“
I już ze stągwią wody z Niemna zaczerpniętéj
Chciał nad czołem Lutasa odprawić chrzest święty,
Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję:
„Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!“

VI.

Na ziemi poszarzało, na niebie już świta.
Ransdorf, jak martwy posąg, jak kolumna wryta,
Stał nad trupem Lutasa — co myśli? co marzy?
Szatan mu dziką rozpacz wypisał na twarzy,
Jego czoło zmarszczkami najeża zgryzota,
Jako wicher wśród burzy, kiedy fale miota.
A w głowie kipią myśli szalone i chore,
A całe piekło cierpień w jego piersiach gore.
— „Ha! prawdę powiedziałeś, o starcze złowrogi!
„Nie pora zbrodniarzowi cofać się w pół drogi.
„Kto raz wirem występku został uniesiony,
„Już go twarda konieczność pochwyci w swe szpony,
„Pchnie ze zbrodni we zbrodnie; na drodze takowéj
„Chcieć się wstrzymać od grzechu—to może grzech nowy!
„Hańba złamać przysięgę... daną w obec krzyża,
„Mistrzowi wydać przejście, co k'twierdzy przybliża...

„Chowałbym tajemnicę, ale to się znaczy:
„Eglę zostawić w rękach litewskich siepaczy.
„Nim wał i mur zdobędą rycerze krzyżowi,
„Oni jéj krew niewinną już przelać gotowi
„I wydrzeć wielkie serce!... O, stójcie, zbrodniarze!
„Na wieczne potępienie choć mię Pan Bog skaże,
„Zdradzę was... tajnym lochem łuczników powiodę,
„I ofiarę ze stosu wyrwę na swobodę,
„I mistrzowi ułatwię oblężenia pracę,
„I za gościnność waszą płomieniem zapłacę.
„Niech z dymem waszych dachów, z jękiem waszych
[dzieci,
„Przeklęctwo na mą głowę do niebios poleci,
„I tam wymodli piorun, co mi strzaska łono —
„Ja przyjmę bez szemrania karę zasłużoną,
„Byle Eglę ocalić — prędzéj... prędzéj zdrada!“
I porwał róg bawoli i do ust przykłada,
I na swoich łuczników na pobudkę dzwoni,
Aż się zgrzytanie trąby rozległo po błoni,
I wywołało w lesie różnych dźwieków krocie.
Kipi obóz niemiecki, jak rój na wylocie,
A ptaszki, co już dzionek opiewały rychły,
Przelękłe nowym gwarem w pół taktu ucichły.
Ozwał się dzwonek na mszę — gwar kipi nad wodą,
Rżą rumaki, co Niemcy na wodopój wiodą;
A z za krawędzi lasu powoli... powoli
Błysnęło jasne słońce — złéj czy dobréj doli.

VII.

Litwini już gotowi — oni w nocnéj chwili
I basztę zgruchotaną, i mur naprawili,

Osadzili strażami i wały, i wieże,
I bramę do warowni, i Niemna wybrzeże;
A sami do świątyni zeszli się gromadnie,
Gdzie Marti suche drzewo do ogniska kładnie,
A podnosząc do góry ociemniałe oczy,
Z podziemnemi bogami swój rozhowor toczy.
A na jéj twarz promienną, na postać niewieścią
Cała Litwa pogląda z przestrachem i cześcią;
Czy wróżbiarka pobladnie, czy rumieńcem pała,
Litwa, jakby w jéj twarzy swą dolę czytała,
Płomieni się i blednie. Marti stos rozżarza,
I po trzykroć obchodzi dokoła ołtarza,
I polewa na ogień krew z całopalenia,
I coraz insze bóztwo koleją wymienia,
Coraz inszemu bóztwu oddaje pokłony,
Zwraca się do zachodniéj, to do wschodniéj strony,
Niewidzialnego inszym przywołuje ducha,
Zdaje się o coś pyta, zda się czegoś słucha.
Aż nareszcie poczuła nadziemską wyrocznię
I chrapowatym głosem przepowiadać pocznie,
A z czarnych kłębów dymu, jak z piorunnéj chmury,
Leci odgłos wyrazów drżący a ponury:
— „Pytałam się u bogów, w czém losu osnowa?
„Ale niebo milczenie uroczyste chowa;
„Chciałam w piekle wyczytać przyszłość téj krainy,
„Ale nad całém piekłem lata płomień siny;
„Pytałam chmur niebieskich, ale wiatr je kręci;
„Pytałam czarnych kruków, lecz żerem zajęci;
„Tylko płomień zniczowy — słuchajcie z oddali —
„Z jakimś się dzisiaj hukiem niezwyczajnym pali,
„Uczuwam w łonie ziemi jakiś dreszcz nieznany,
„A noże ofiarnicze spadają ze ściany,

„Kędy je zawieszono! Czuwajcie gotowi!
„Trzeba spełnić, cokolwiek niebo postanowi;
„Bo łatwiéj zepchnąć górę do niemnowéj fali,
„Prędzéj ogień zaskrzepnie, woda się zapali,
„Niż z wyroków nad ludzką zawieszonych głową
„Potrafimy odmienić choćby jedno słowo.
„Wiele przeszło pokoleń w Litewszczyznie staréj;
„Ale jak Litwa Litwą nie było ofiary,
„Jaka dziś ma się spełnić—biada temu, biada!
„Kto z boleści zajęknie, kto sercem nie włada,
„Kto z mężów aż do końca nie dotrzyma broni,
„Która z niewiast przed wrogiem choćby łzę uroni!“
Tak Marti wysilona chwieje się i słania,
A z wałów róg bojowy podał znak spotkania.
— „Na mury!—krzyknął Margier—niech Niemiec [obaczy,
„Co jest walka w rozpaczy, co jest śmierć w rozpaczy!“

VIII.

Krzyżacy z nowém wojskiem, jak wczorajszéj chwili,
I tratwy naprawili, i Niemen przebyli,
I trzy potężne hufce zmierzają swobodniéj
Od Niemna, od Puniały, od strony zachodniéj;
Tylko strona południa, gdzie las i bezdroże,
Wieńcem się wojsk morderczych opasać nie może.
Książę saski, choć ranny, od strony Puniały
Rozwinął po wąwozach hufiec okazały;
Nemur, gościnne książę od Niemieckiéj Rzeszy,
Pod zachodnie okopy z rajtarami śpieszy
I szykuje konnicę nad szerokim jarem;
Sam wielki mistrz od Niemna, pod białym sztandarem,

Na czele swéj piechoty przodkowanie bierze,
Wdziera się mimo trudu na strome wybrzeże.
A Litwa, ogarnięta potrójną obławą,
Na wszystkich trzech okopach potyka się żwawo;
W miarę jak rąk ubywa, odwagi przyrasta:
Mąż bierze łuk i włócznię, a słaba niewiasta
Kamieniami i gruzem zamierza z oddali,
Bije w głowy rajtarów i z nóg ich obali;
Tylko że słabym rękom ta praca niełatwa.
Dziś ani jedno czółno, ani jedna tratwa
Nie zostały strzaskane od ciosu kamieni,
Rzadko trupem krzyżackim Niemen się zapieni.
A nie bacząc na straty, niemiecka drużyna
Coraz wyżéj a wyżéj po wałach się wspina,
Czepia się na urwiskach, czepia na opoce,
I z bojowych taranów do warowni grzmoce.
Litwa stanęła pierśmi—zakipiał bój ręczny,
Zlał się w jedną gromadę oddział trzytysięczny,
I krzyki różnorodne, i szczęk różnéj broni
Szalonemi rozgwary uderzył po błoni.
Naokoło warowni rzeź toczy się krwawa,
I jakby chmurny obłok kłębi się kurzawa,
I coraz się rozciąga i dłużéj, i szerzéj;
Czasem ogień z rusznicy jak piorun uderzy,
Czasem, bieżąc po wałach różnemi zakręty,
Grzmotnie wśród chmury kamień z wieżycy zepchnięty,
Przebija w chmurze otwór, co znowu się zlewa;
Z chmury tylko krew świszczy jak deszczu ulewa,
I walą się zabici do rzeki, do fossy,
A z twierdzy jęk niewieści kwili w niebogłosy.
Z za Niemna coraz nowi przybywają goście,
I na trupach zabitych, jakby na pomoście,

Stają nowe szeregi na pomoc mistrzowi,
Kędy huf obezsilon świeżym się odnowi.
A Litwini wciąż jedni wśród nieprzyjaciela;
Oko piaskiem nabite już niecelno strzela,
Ręce trudem złamane nie udźwigną młota,
Słabym tylko zamachem po pancerzach grzmota
Silny niegdyś ich bardysz. Koleją... koleją
Widzi Margier, że jego bojowniki mdleją,
W piersiach zachrypnął okrzyk, co był silny z rana,
W oczach krew się zapiekła, a na ustach piana.
Zatrąbił do odwrotu, i swój zastęp cały
Pod osłonę warowni zgromadził na wały,
I już pod samym wałem ujrzał krzyża znamię.
Spojrzał w oczy Litwinom, i ręce załamie:
Napróżno im wydawać wojownicze hasła,
Ostatnia iskra męztwa w ich oczach zagasła!
Ale jeszcze ostatnia nadzieja nie znika.
— „Niech silny grad kamieni spotka najezdnika!“
I co żyje: mężowie, niewiasty i dzieci,
Jęli dźwigać stos cegieł—i gradem poleci
Tysiąc strasznych pocisków—a każdy coś znaczy:
Bo najstraszniejsza siła to siła rozpaczy!
Jak gdyby pod sturęcznym zamachem olbrzyma,
Chwieje się huf krzyżacki i pochód zatrzyma.

IX.

Od wschodniéj, od zachodniéj, od północnéj ściany
Margier ujrzał pęd wroga kamieńmi wstrzymany;
Zwrócił się k'południowi—o straszny Perkunie!
Tu chorągiew krzyżacka odważnie się sunie

Z niedostępnych bezdroży — gdzie stara olszyna,
Gdzie się lochów tajemnych siatka rozpoczyna,
Silny hufiec niemiecki zachodzi swobodnie,
Przed hufcem młody łucznik potrząsa pochodnię,
Zapalił dach i daléj spustoszenie niesie,
I oto płomień wężem zwija się po strzesie!
Margier poznał Ransdorfa — i wzrokiem sokoła
Obrzucił całą twierdzę. — „Litwini! — zawoła —
„Dajcie rozbrat nadziei: już się twierdza pali.
„Modlitwa nie pomoże, męztwo nie ocali.
„Jedno zostało... umrzeć... O! gdyby wrogowie
„Szanowali cześć niewiast, albo dziatwy zdrowie!
„Litwini! ja, wasz książę, z rzewnemi modlitwy
„Upadłbym do nóg jego dla zbawienia Litwy.
„Ale któż Krucygiera o litość umodli?
„Trzeba umrzeć... Litwini! czyż umrzem jak podli?
„A na ostatnim trupie mężnego Litwina
„Naszych starców i dzieci Krzyżak pozarzyna!
„I będzie się na żgliszczach urągał boleści,
„Naszych bogów znieważy, niewiasty zbezcześci!
„O! nie dopuść, Perkunie, na Litwę téj plamy!
„Jeśli trzeba się poddać — trupy im oddamy!
„Zapalcie stos ofiarny! wzmóżcie się na sile,
„Rzućcie na nich kamieńmi, wstrzymajcie na chwilę,
„By wrogowie, przyszedłszy w nazbyt rannéj dobie,
„Nie przeszkodzili spełnić, cośmy winni sobie.
„Jeszcze ostatnim gradem na wroga ciśnijcie!
„Brat bratu, ojciec dziecku niech odbierze życie:
„To lepiéj, niźli zginąć od ręki siepacza!“
Rzekł, i kamień z okopu co największy stacza,
I twardemi granity od końca do końca
Sto krzyżackich rycerzy w topielisko wtrąca.

Twierdza gore, bój kipi... Litwini z rozkoszą
W środku saméj warowni stos ofiarny wznoszą.
Straszliwy jęk rozpaczy doszedł do podziemi;
Wyszła Marti, jak upiór, z bogami swojemi,
A zagasiwszy Znicza — z wysileniem ducha
Ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha.
Ransdorf widzi z daleka swéj zdrady owoce:
Marti strasznym toporem w pierś Litwinów grzmoce,
Pod ofiarném żelazem ściele się gromada,
A kto skonał, kapłanka na stosie go składa.
Dzieci Litwy, pijane szałem i rozpaczą,
Same się zabijają, same na stos skaczą;
Niejeden dziki ojciec wśród pogorzeliska
Chwycił syna z kolebki i na ogień ciska;
A matka jeszcze trupa spalonego pieści,—
Nim ją przyszli zabijać — skonała z boleści.
Margier kapłanom w trąby odezwać się każe,
Aby się podniecała wściekłość przy ofiarze;
A sam z kilku mężnymi własne mury wali,
Strąca balki na Niemców, by nie przeszkadzali
Spełnić się losom Litwy przy ofierze krwawéj.
Pociesz się, wielki mistrzu, żniwem twéj wyprawy!

X.

Kiedy Litwę ogarnął jéj zapał szaleńczy,
O Egli zapomniano, że w więzieniu jęczy,—
Ransdorf z ogniem i mieczem, jakby zbójca dziki,
Obiega całą twierdzę z wiernemi łuczniki,
Po znajomych komnatach snuje się dokoła,
I w ręce na nią klaszcze, po imieniu woła.

A chociaż płomień huczy, a bój z dala wrzeszczy,
Choć się z echem rozlega płacz matek złowieszczy,
Chociaż echo szaleje wpośród komnat próżni,—
On pewien, że ją znajdzie, że jéj głos odróżni,
Wpadł szaleniec do lochów w ofiarnéj podziemi,
To deptał bogi Litwy, to klękał przed niemi;
Wreszcie w lochach podziemnych, których nie pamięta,
Znalazł ciemne więzienie, gdzie Egle zamknięta.

XI.

Ona, z piętnem boleści na wybladłéj twarzy,
Siedziała w głębi lochu... coś głęboko marzy.
Promień słońca ukradkiem jéj oblicze złoci:
Zbledniał krasny rumieniec wśród murów wilgoci,
Schmurniało piękne czoło, powisła jéj głowa,
A na jéj ustach bladość spoczęła grobowa;
Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka,
Gdyby nie iskra życia, co strzela z jéj oka.
Gdy Ransdorf ostateczne wysilenia czyni,
Kiedy pękły żelazne wrzeciądze jaskini,
Cofnęła się trwożliwie, krzyknęła boleśnie,
Patrzy nań nieprzytomna, jak na widmo we śnie.
Ransdorf, krwią obryzgany, przed dziewicą klęka:
— „Córko Litwy! błysnęła ostatnia jutrzenka
„Nad gniazdem twego rodu — cała twierdza gore!
„Przybiegam się ocalić, och! przybiegam w porę:
„Płomień ostatnie balki na dachu przepala,
„A Krzyżacy do twierdzy cisną się jak fala,
„A Litwini pod zamkiem rozpaczliwą zgrają
„Sami się na ofiarę bogom zabijają,

„Aby żywo nie wpadli pod niemiecką władzę.
„Idźmy ztąd, piękna Egle, ja cię uprowadzę!
„Straszny dzień!.. uciekajmy... czy widzisz dym czarny?
„Czy słyszysz huk płomieni i okrzyk ofiarny?
„Czujesz, jak tu gorąco już przepala cegły?
„Śpieszmy! bo droga trudna, a nasz cel odległy...
„Ja ciebie uprowadzę szlaki znajomemi
„Z niebezpieczeństwa wrogów, ze żgliszcza twéj ziemi!“
Rzekł, i patrząc z rozkoszą w oblicze dziecięce,
Chciał miłe sercu brzemię pochwycić na ręce;
Ale córka Margiera łagodna a cicha,
Skinieniem go oddala, spojrzeniem odpycha,
A w tém jedném spojrzeniu tyle sił wytęża,
Że, jak pchnięty ramieniem bojowego męża,
Cofnął się młody Krzyżak.— „Stój, dziki zuchwalcze!
„Kto ci mówił, żem słaba? że siebie nie zwalczę?
„Co znaczą mego domu gorejące ściany?
„W twoich ręku pochodnia i miecz krwią zbryzgany!
„Posłuchaj mię, Krzyżowcze! och! niedawno jeszcze
„Jako najsłodszą myślą biedne serce pieszczę,
„Że z tobą w cudzéj ziemi pędzić będę chwile,
„Obowiązki dla bogów, dla Litwy uchylę,
„Porzucę dom i ojca... i będzie mi błogo,
„I tu nie pożałuję nikogo... nikogo!
„W snach widziałam twój domek, i morskie wybrzeże,
„I mury waszych zamków, i kościelne wieże;
„Przysięgłam twemu Bogu, że moich porzucę,
„I skłonię całe serce ku jego nauce...
„Lecz dzisiaj w moich myślach i w sercu inaczéj:
„Ty przywiodłeś do Pullen krzyżackich siepaczy,
„Wniosłeś do mojéj strzechy i miecz, i pożogę,
„Dzisiaj Litwa chce ofiar — cofnąć się nie mogę.

„Moja powinność umrzeć w ofiarnéj postaci
„Obok mojego ojca, obok moich braci.
„Weź ten krzyż... mnie niewolno nosić go na łonie:
„Egle ze swemi bóztwy w jednym stosie spłonie.
„Ztąd nie zdołasz mię wyrwać całą swoją mocą
„I nigdy się nie dowiesz: do kogo i po co
„Zaszlę ostatnią modłę..."

XII.

Tak mówiła śmiało.
O duszo Margierowa! czemu słabe ciało
Obrałaś za mieszkanie? czemu we łzach oczy?
Czemu ten dym, co buchnął, twoją główkę mroczy?
Czemu płomień pożarny, co się mignął z dala,
Z piersi ostatni oddech gorącem wypala?
Egle traci przytomność, chwieje się i pada,
A płomień już się wgryza, sklepienie przejada,
I w głębokie podziemie od baszty przyległéj
Posypały się głównie i runęły cegły.
Z pośród gruzów pożarnych, dymu i płomieni,
Porwali biedną Eglę łucznicy strwożeni,
A Ransdorf na ich czele, jako czujna warta,
Ukazuje im drogę, płomienie rozgarta;
A gdy wyszli z podziemia, on drżący i siny
Mieczem toruje drogę pomiędzy Litwiny.
Tam już z wałów ostatnie cofnęły się straże,
A twierdza jednym hukiem goreje w pożarze;
Ze wszystkich stron Krzyżacy wpadają i wrzeszczą,
A ich trąba ogłasza godzinę złowieszczą,

To chychoce jak szatan, to syczy jak żmija.
A Litwa nieprzytomnie sama się zabija:
Tam morderczym toporem brat uderza brata,
Ojciec własne niemowlę bardyszem rozpłata,
Dzika Marti ze stosu płonącego drzewa
Ostatnią dla nich pieśnię pogrzebową śpiewa,
Poleca swoim bogom dusze tych, co płoną,
I wywija w powietrzu siekierą święconą.
Ransdorf z lubą zdobyczą przebiega podworze,
Przeciska się przez ognie, topory i noże,
I mieczem nieprzytomne wymierza zamachy;
A jego hełm i pancerz wykowane z blachy
Napaliły się w ogniu, pierś i głowę pieką.
O! w téj głowie, w téj piersi goręcéj daleko!
Wrząca dusza młodziana silniéj płomienieje
Od zgryzot i obawy, i trwożnéj nadzieje.

XIII.

Wierni jego łucznicy, uchyliwszy głowy,
Nieśli omdlałą Eglę za obwód zamkowy,
Gdzie z pod olchy, zawarte kamieńmi i kłodą
Poczynają się lochy, co do Niemna wiodą,
W których była ostatnia obrona Litwina,
A których dziki widok tyle przypomina!
Och! bo w życiu Ransdorfa to miejsce nielada:
Tędy go wiodła miłość, tędy wiodła zdrada;
O poranku szedł tędy na czele swéj młodzi,
A teraz jak kochanek szczęśliwy przechodzi.
Lecz choć sercu i męztwu dziś stało się zadość,
Czemu na jego twarzy nie kraśnieje radość?

Czemu serce nie kipi w swobodzie młodzieńczéj,
Gdy szlachetne żądanie skutkiem się uwieńczy?
Już swobodny od mieczów i pogorzeliska,
Czerpa wodę z potoku, na twarz lubą pryska —
Egle dała znak życia, znać, że coś pamięta.
Swobodniéj odetchnęła pierś bolem ściśnięta;
Otwarła jasne oczy — o radosna zmiana! —
I niebem zabłysnęła dla duszy młodziana,
I sili się przypomnieć wszystkie dnia koleje:
Gdzie jest? dokąd ją wiodą? co się w zamku dzieje?
Chce, ale nie śmie spytać, a choć się zapyta,
W oczach tylko łuczników odpowiedź wyczyta:
Bo ich trwogą przeraża podziemne bezdroże,
Zguba jeszcze tak blizka — a głos zdradzić może.
— „Czas nagli do pośpiechu! uciekajmy skoro!"
Tak wołając, łuczniki na barki ją biorą,
A Ransdorf z zapaloną pochodnią na przedzie,
Znajomemi zakręty cały orszak wiedzie;
Aż w milczeniu ostrożne posuwając kroki,
Stanęli u wybrzeża niemnowéj zatoki.
Tam, jak Ransdorf zawcześnie przygotować każe,
Czeka już łódź niemiecka i zręczni wioślarze.
Egle, jeszcze wpółmartwa, złożona do łodzi,
Spojrzała w stronę zamku, zkąd okrzyk dochodzi,
I na krwawe płomienie, co jéj dom pożarły,
I okrzyk rozpaczliwy z piersi obumarłéj
Przeszył piersi Ransdorfa jak ostrém żelazem:
— „Puszczajcie mię do ojca! ja zginę z nim razem!
„Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję,
„Jak wszyscy bracia moi, jako siostry moje!"
Tak jęknęła boleśnie, i ręce załamie,
I znów omdlałą głowę przewiesza na ramię.

A Ransdorf klęczy przed nią i słowa nie mówi,
A wioślarze, na wodza skinienie gotowi.
Zepchnęli łódź do wody... Zaszumiały wiosła,
I fala z cichym szmerem ich czółno poniosła.

XIV.

A na żgliszczach zamkowych kipi bój zajadły:
Zwęglone od płomienia ściany już opadły,
Do Niemna, do Puniały płynie krew ruczajem;
Litwini nie przestają mordować się wzajem,
Wskakują w stos ofiarny, śpiewają i jęczą,
Obryzgani posoką i pianą szaleńczą.
Jeden Margier spokojny wśród jęku swych dzieci;
Żaden mu wściekły wyraz oblicza nie szpeci.
Ujrzał zgubę, gdy Krzyżak od lochów się wciska,
Zaprzysiągł, że mu odda trupy i zwaliska,
A jako dobro Litwy, jak bogowie każą,
Ścina głowy swym braciom z uroczystą twarzą;
Nie pastwi się nad nimi jako wściekły zbójca,
Ale pełni powinność książęcia i ojca,
Aby lud bohaterski, sercem ukochany,
Nie przyszedł w pohańbienie, dźwigając kajdany.
Szukający zdobyczy wśród zamku płomieni,
Krzyżacy na morderstwo patrzą przerażeni;
Od ranka swéj wściekłości wywierając dosyć,
Nie śmieją na Litwinów już ręki podnosić.
Choć biorą to szaleństwo za sidła szatana,
Do ich serca wstępuje jakaś cześć nieznana
Dla chrobrych bojowników. Już stos ledwie pała,
Już Marti wśród gorących płomieni skonała,

Już słychać słaby łoskot ledwie kilku młotów,
Margier krwawą ofiarę już dopełnić gotów
I przebić własne piersi...

XV.

Wtém z Niemna od brzega
Płynącą łódź krzyżacką z daleka postrzega:
Poznał postać Ransdorfa — rzucił wzrok sokoli:
Poznał Eglę — zapłakał... bo go serce boli.
— „Bogowie! ja tu czuwam, gdzie o Litwę idzie,
„A tu własna krew moja śpieszy ku ohydzie!
„Wyrodna krew Margiera, Egle nieszczęśliwa,
„Śpieszy potargać z Litwą rodzinne ogniwa,
„I z młodą a najdzikszą krzyżacką gadziną
„Ucieka od ofiary, kędy wszyscy giną!
„Perkunie! wzmocnij rękę! oto w jednym strzale
„Ja cześć jéj nieskalaną od hańby ocalę!“
Rzekł, i z silnego łuku wymierzył do łodzi,
Nie wierzy w trafność oka: bo mu łzą zachodzi —
Naciągnął — puścił strzałę... pobiegła ze świstem,
Aż Niemen zapluchotał drgnieniem uroczystém.
Stanęło w oczach ojca grobowe widziadło,
A z czółna coś białego do wody upadło.
Jeszcze wystrzał, i jeszcze uroczysta chwila,
Łódź skręca się po fali, chwieje się, nachyla,
I z pluchotem jak kamień do Niemna uderza
W polerownéj zbroicy ciężki trup rycerza.
Zakrzyknęli wioślarze, ratunkiem zajęci;
Jeszcze się biała płachta z falami zakręci,
Mignęła raz... i drugi po wodnym obszarze...
Uciekli na brzeg drugi strwożeni wioślarze.

A Niemen, jak dotknęła czarodziejska władza,
Znowu płynie spokojnie, znowu się wygładza,
Kręci się lekkim wirem, od słońca połyska:
Nie znajdziesz w jego łonie śladu grobowiska...

XVI.

— „Spełniła się—rzekł Margier—ofiara straszliwa!“
I podchodzi do stosu, i miecza dobywa.
Tam już wszyscy Litwini snem wiecznym posnęli:
Owdzie trup się czerwieni, owdzie kość się bieli,
Owdzie jęk się wydziera ostatniego ducha,
A nad stosem przygasłym jeszcze dym wybucha.
Margier kołpak soboli zdjął z rycerskiéj głowy:
—„Witam cię, chrobra Litwo, w otchłani grobowéj!
„Daj świadectwo niebiosom w uroczystéj dobie,
„Żem cześć twoją ocalił i zginął przy tobie!
„Nie umarłaś spodlona— tylko nieszczęśliwa!“
Rzekł, i szerokim mieczem pierś własną przeszywa,
Oczy wlepił w niebiosa i trupem się ściele...
Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele.

EPILOG

Krzyżacy w gruzach cegieł i spalonych głowni
Długo szukali skarbów ukrytych w warowni;
Żołdactwo w popielisku długo się szamota,
Szukając starych miodów i srebra, i złota.

Wycięli stare lasy u Litwinów święte,
Zabrali tuczne trzody dotąd nieporznięte,
I zburzyli warownię, i z ziemią zrównali,
Krzyż na niéj postawili i odeszli daléj.
Puszczyki zamieszkały tajemne otchłanie,
Czas objął rumowisko w swoje panowanie.
Na rycerskich popiołach to się trawka wspina,
To porosły pokrzywy i gęsta leszczyna;
Potém rolnik zaorał niwę znakomitą,
I posiał na jéj łonie chleborodne żyto.
A na gładkiéj, głębokiéj niemnowéj topieli
Czasem się biała płachta o zmroku zabieli...
Ci nie wierzą, ci wierzą—dziwny ród człowieczy!
Ktoś ci jeszcze odpowie: że to stare rzeczy,
Że z czasów, gdy Litwini byli jeszcze dzicy,
Jest to chusta grobowa Egli topielicy.
A więcéj próżno pytać o przeszłość nieznaną,—
Gdzieś ją, słyszę, w łacińskich książkach zapisano.
Chcesz się prawdy dowiedzieć?—pytaj kronikarzy;
Resztę niech własna głowa, niech serce domarzy!

Borejkowszczyzna, 6 sierpnia 1854.

SPIS RZECZY W TOMIE I.